

**Barbara Wood**

**Gwiazda Babilonu**

Przełożyła z angielskiego Maria Grabska-Ryńska

*Tytuł oryginału Star of Babylon*

*Opis z okładki.*

*Kiedy w dziwnych okolicznościach umiera znany egiptolog profesor Masters, jego asystentka nawet nie przypuszcza, jak brzemiennie w skutkach będzie to dla niej. Niebawem sama staje się celem: ktoś plądruje jej mieszkanie, a nawet próbuje ją zabić. Zaniepokojona Candice szuka przyczyny nagłego zainteresowania swoją osobą. Przeglądając pozostawione przez profesora zapiski i dokumenty odnajduje starą mapę, Kamienną tabliczkę, enigmatyczne zapiski naukowca i wzmiankę o Gwieździe Babilonu. Jak się okazuje, właśnie owa Gwiazda jest obiektem zainteresowania ludzi gotowych na wszystko, by ubiec Candice w poszukiwaniach.*

***Memu mężowi George'owi z wyrazami miłości***

## PROLOG

*Aleksandria, rok 331.*

Biegąc ciemnym sekretnym przejściem kapłanka nie ośmieliła się zwolnić, choć nogi się pod nią uginały. Tuż za nią kroczyła śmierć — śmierć dla nich wszystkich. Musiała ostrzec pozostałych.

Biblioteka płonęła.

Kapłanka potknęła się, boleśnie otarła nagie ramię o szorstki mur i omal nie upadła. Ale biegła dalej, rozpaczliwie łapiąc ustami powietrze. Nawet tu, w bezpiecznej zdawałoby się odległości, czuła żar, wdychała dym pożogi. Czy zdąży na czas?

Rozcierając ciepłe olejki po nagiej skórze Filos dziękował życzliwym boginiom Losu za to, że postawiły na jego drodze najpiękniejszą istotę na świecie. Artemizja nie zgodziłaby się z tym twierdząc, że twarz ma zbyt okrągłą, a nos perkaty. Lecz dla najwyższego kapłana Filosa była wcieleniem Księżyca. Wystarczyło, by mężczyzna spojrzeć w jej świetliste oblicze, a natychmiast czuł magiczne przyciąganie.

Przed chwilą dopełnili miłosnego aktu, teraz Artemizja zażywała aromatycznej kąpieli w swojej prywatnej łaźni. Niedługo wrócą do Biblioteki, by podjąć swe uświęcone obowiązki — każde osobno; ich zakazana miłość musiała pozostać tajemnicą.

Wyciągnięta w parującej wonnościami wannie Artemizja spojrzała na kochanka. Filos zawsze zdejmował perukę, nim wszedł do jej łóża. Jak wszyscy kapłani golił głowę — gładka czaszka w połączeniu z pięknym wydatnym nosem upodobała go do orła. Jakżeż był urodziwy! I należał do niej.

Gdybyż tylko mogli związać się ślubem!

Niestety, jeszcze przed narodzinami przeznaczono ich do służby Bibliotece i

jej sekretnej misji. Jako dzieci złożyli śluby czystości, łatwo wypowiedziane, cóż bowiem może wiedzieć dziecko o fizycznej miłości? Gdyby ich grzeszny romans wyszedł na jaw, zostaliby wykluczeni ze stanu kapłańskiego, wyklęci przez rodziny i wygnani na pustynię, by tam szczęśli.

Filos odwrócił się niespokojnie. Zza drzwi dobiegł jakiś dźwięk. Ktoś nadchodził!

— Ukryj się! — Artemizja też posłyszała hałas, ale było już za późno.

Drzwi otwały się na oścież i wpadła przez nie kapłanka w podartej na ramionach białej szacie, z obliczem stężałym ze zgrozy. Nie zwróciła uwagi na obecność kapłana w komnatach Artemizji.

— Biblioteka płonie!

Poczuli dym. Filos szarpnął zasłonę i wyrzwał na zewnątrz. Nad potężnym skupiskiem budynków Biblioteki jaśniała luna. Ubrali się pospiesznie i ruszyli biegiem.

Widok, który ujrzeli, odebrał im mowę. Piękne kolumny, łuki i kopuły oplecione były językami ognia. Wypełniający gęsto ulicę tłum miotał się tam i z powrotem, wynosząc krzesła, pulpity, księgi, by podsycić nimi płomienie. Oszalała tłuszcza rabowała z magazynów dzbany wina, święte olejki, złote lampy.

— Trzeba ich powstrzymać! — krzyknęła Artemizja, ale Filos schwycił ją za ramię. Wtedy i ona zobaczyła kapłanów i kapłanki odartych z szat, ciągniętych przemocą na stosy.

— Musimy ocalić, co się da. — Złapał ją za rękę i pociągnął w stronę portu, którego potężne mury przez sześćset lat chroniły Bibliotekę przed falami morza. Odnaleźli ukrytą furtę i zapuściwszy się w wypełnione dymem korytarze napotkali innych kapłanów i kapłanki objuczonych zebranymi w pośpiechu zwojami.

— Biegnijcie do przystani — rozkazał im Filos. — Weźcie, ile zdołacie, ale nade wszystko ratujcie życie.

Wraz z Artemizją przemknęli się do sanktuarium, gdzie przechowywane były najświętsze księgi. Pospiesznie nagarnęli zwoje w poły szat, czując żar bijący od rozgrzanych murów, wdychając gęstniejący dym.

Na ścieżce do portu dogonili pozostałych i wszyscy razem pobiegli ku nabrzeżu. Ale tłum już deptał im po piętach, dysząc żądzą mordy.

— Poganie! — dobiegły ich wrzaski. — Diabelskie nasienie! Kapłani przedarli się, lecz kilku schwytano. Padli pod ciosami

pałek.

Filos zrozumiał, że nie mają szans uciec oboje z Artemizją, lecz jeśli się rozdziela, jej może się udać.

— Biegnij! — wydyszał, wpychając jej w ramiona niesione przez siebie zwoje. — Ja skrucę tam. Pójdą za mną.

— Nie zostawię cię! — Po twarzy Artemizji ciekły łzy.

— Ukochana, te księgi są cenniejsze niż moje nic niewarte życie. Spotkamy się znów w Światłości!

Ruszyła pędem. Obejrzała się tylko raz, by zobaczyć, jak tłum go dopada i unosi w górę. Przerażliwy wrzask nie dobywał się z jego ust, lecz z ust opętanych chrześcijan, którzy nieśli swe ofiary na stos.

Nim ogień go pochłoniął, Filos zawołał jeszcze:

— Nie daj im zapomnieć o przysiędze, ukochana! Nie pozwól im zapomnieć!

Biblioteka, wzniesiona niedługo po założeniu miasta przez Aleksandra Wielkiego, przez ponad sześć stuleci była ośrodkiem wiedzy, studiów i rozwoju ludzkiej myśli, miejscem przechowywania świętych tekstów, traktatów filozoficznych i listów zbieranych w czterech częściach świata. Teraz wszystko, co się w niej znajdowało, pożerały płomienie. Papirus, pergamin i ludzkie ciała pospołu obracały się w popiół, który unosił wiatr.\*<sup>1</sup>

Skuleni w łodziach uciekinierzy, kurczowo ściskający ocalone skarby, długo wpatrywali się w czerwoną łunę na nocnym niebie. Potem obrócili się plecami do

---

<sup>1</sup> \* *W rzeczywistości zbiory aleksandryjskie płonęły trzykrotnie: w czasie inwazji Cezara na Egipt (48/47 r. p.n.e.) zniszczeniu uległa różnie oceniana część Wielkiej Biblioteki. W roku 391 n.e. patriarcha Teofil na rozkaz cesarza spalił świątynię Serapisa i znajdującą się przy niej mniejszą bibliotekę. Dzieła zniszczenia dopełnił kalif Omar, który po zdobyciu Aleksandrii w 642 roku nakazał spalić wszystkie księgi niewiernych. (Wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki.)*

miasta, które ongiś było im domem, postawili żagiel i wyruszyli w morze wraz z odpływem.

## **Część pierwsza.**

### **ROZDZIAŁ PIERWSZY.**

Candice Armstrong miała właśnie popełnić drugi bardzo poważny błąd w swoim życiu, gdy przeszkodziło jej pukanie do drzwi.

Nie od razu je usłyszała. Nad Pacyfikiem szalał sztorm, wiatr uderzał jak wściekły w góry Malibu grożąc zerwaniem sieci energetycznej. Candice gorączkowo wystukiwała na klawiaturze komputera rozpaczliwą prośbę, którą musiała wysłać, zanim padnie zasilanie.

I zanim opuści ją odwaga.

Światła zamigotały. Candice zakłęła pod nosem i nagle zdała sobie sprawę, że ktoś puka — tym razem głośniejszy, bardziej natarczywie.

Zerknęła na zegarek. Była północ. Któż to może być o tej porze? Spojrzała na swoją współlokatorkę Pusię, przekarmioną perską kotkę, która bardzo nie lubiła, gdy ktoś jej przerywał drzemkę. Zwierzątko spało.

Nastawiła uszu. Możliwe, że się przesłyszała. Burza rozpełtała się na dobre, teraz jeszcze na dodatek grzmiało.

Puk-puk-puk!

Wyjrzała przez wizjer w drzwiach. Za nimi w ulewnym deszczu stał mężczyzna. Nie widziała jego twarzy ocienionej szerokim rondem kapelusza, staroświeckiej fedory w stylu lat czterdziestych. Otulony był w równie stylowy trencz.

— Słucham? — zawołała.

— Doktor Armstrong? Doktor Candice Armstrong? — Głos był mocny, stanowczy, przyzwyczajony do posłuchu.

— Tak.

Podniósł do judasza plakietkę policji Los Angeles. Powiedział coś, pewnie swoje nazwisko, które jednak utonęło w huku grzmotu.

— Czy mogę wejść? — podniósł głos. — Sprawa dotyczy profesora Mastersa.

— O co chodzi? — Candice zamrugła i uchyliła nieco drzwi, żeby mu się lepiej przyjrzeć. Intruz był wysoki i kompletnie mokry. Tylko tyle mogła stwierdzić.

— Czy wie pani, że pani telefon nie działa? Otworzyła drzwi szerzej.

— Proszę wejść, inspektorze. Co się stało?

— Poruczniku — poprawił ją, wchodząc do holu. Woda ściekała mu z szerokich ramion. Candice prędko zamknęła drzwi przed naporem burzy. — Trudno panią znaleźć — dodał z taką miną, jak gdyby czuł się osobiście urażony.

Przypomniało jej się, co powiedział kiedyś Paul, ostatni mężczyzna w jej życiu: „To nie jest dom, Candice. To kryjówka”. Czyżby miał rację? A jeżeli tak, to przed czym chciała się ukryć?

Rozstali się, bo Candice nie zgodziła się pojechać z nim do Phoenix i zostać wyłącznie żoną adwokata. Jej przyjaciółki były zdruzgotane, że spuściła z haczyka „taki okaz”. Doprawdy, jakby chodziło o pstrąga. W porządku, może i był dobrą partią, ale ona nie zamierzała nikogo „łapać”. A już z pewnością nie kogoś, kto oświadczył się słowami: „Zawodowo i tak jesteś skończona, równie dobrze więc możesz za mnie wyjść”. Pragnęła zarówno czułości, jak partnerstwa. Niestety i jedno, i drugie wciąż wydawało się nieosiągalne. Odkrywając, jak ważna jest dla Candice praca, mężczyźni prędko przestawali się nią interesować. W końcu uznała, że może się bez nich obejść.

To dlatego omijała wzrokiem wysokiego nieznanego o oczach skrytych w cieniu naciągniętego na czoło kapelusza. Wyglądał na przystojniaka, ale na razie nie mogła być tego pewna.

— Co się stało? — powtórzyła. — Czy profesor miał wypadek?

Oczy przybysza omiotły wewnątrz, jakby liczył egipskie figurki, skórzane puffy, palmy w doniczkach, plakaty z Nilem i piramidami w tle.

— Owszem — usłyszała. — Jest w ciężkim stanie. Pytał o panią.

— Dlaczego właśnie o mnie? — zdziwiła się. Od ponad roku nie miała z nim kontaktu.

— Tego nie wiem. Pani telefon nie działa, posłano mnie więc, żebym panią powiadomił. — Mówił dziwnym tonem. Może się dąsał, że pełni rolę chłopca na posyłki.

Candice złapała kluczyki i pospiesznie pogasiła światła. Zawahała się w progu, obejrzała na jasny ekran komputera z żarliwym listem czekającym tylko na komendę: „Wyślij”. Była to ostatnia desperacka próba ocalenia jej kariery: usiłowała przedstawić swoje stanowisko w skandalu związanym z grobowcem faraona Tete-fa.

Trudno, wyśle później.

Zamknąwszy za sobą drzwi przystanęła ponownie. Prawa przednia opona całkiem sflaczała. Zmiana koła zajmie mnóstwo czasu, a na domiar złego lało coraz rzęsiściej.

— Podwożę panią — mruknął niechętnie policjant.

W drodze do oddalonego o dziesięć mil szpitala w Santa Monica niczego jej nie wyjaśnił. Nie zdjął kapelusza, ale teraz wyraźniej widziała jego twarz. Jeszcze przed czterdziestką, z głębokimi bruzdami po obu stronach ust. Nos wydatny i kształtny; z profilu przypominał nieco Totmesa Trzeciego.

Nadbrzeżna autostrada przypominała senny koszmar. Ściana wody obmywała cztery pasy asfaltu, strużki błota zsuwały się z nasypów, czarne niebo od czasu do czasu rozdzierała błyskawica. Nie widać było nawet fal łamiących się przy plaży. Nieliczne samochody poruszały się z żółwią prędkością.

Candice wróciła myślami do profesora. Kiedy to ostatni raz się widzieli? Na lunchu, wiele miesięcy temu, po zakończeniu wspólnej pracy nad Projektem Salomona. Owszem znali się, pracowali razem. Dlaczego jednak wezwał właśnie ją?

Pochyliła się do przodu, przynaglając w duchu policjanta, żeby jechał szybciej.

Porucznik tymczasem przyglądał jej się ukradkiem. Spięta, ocenił. Zdenerwowana. Myśli o czymś intensywnie. Ale milczy.

Nie do tego był przyzwyczajony. Panicznej jeździe do szpitala, w którym ktoś znajomy walczy ze śmiercią, towarzyszy zwykle nerwowa paplanina. Dziesiątki pytań, palone jeden za drugim papierosy. Armstrong reagowała całkiem inaczej. Wpatrzona przed siebie, choć założyłby się, że nie widzi szosy za przednią szybą, skupiona na czymś, co rozgrywało się w jej głowie.

— Jerycho — powiedziała nagle.

— Słucham? — Oderwał wzrok od jezdni.

— Nasze pierwsze wspólne wykopaliska. To było w Jerychu. Zamrugnął oczami, zaskoczony. Najwyraźniej rozmawiała

w myśli sama ze sobą.

Jej głos go zdumiewał. Brzmiał głęboko, zarazem kusząco i stanowczo; przywodził na myśl gorące bułeczki z miodem.

— Co się właściwie stało? — spytała. — Wypadek samochodowy?

— Spadł ze schodów.

Spojrzała na niego zdziwiona. Profesor Masters spadł ze schodów?

— Mógł się zabić — mruknęła, przypominając sobie, że jej dawny mentor ma już siedemdziesiątkę na karku.

— Jest w stanie krytycznym.

Nieboskłon przecięła rozwidlona biała smuga, rozległ się trzask pioruna. Nocna sceneria robiła wrażenie surrealistycznej dekoracji. Niech pan nie umiera, profesorze, jak mantrę powtarzała w myślach Candice.

Chwilę później byli już na rozjeździe i mknęli pod górę, a potem ostro w dół do końca Wilshire Boulevard, gdzie przez ociekającą deszczem szybę zobaczyli duży neon: ODDZIAŁ POMOCY DORAŻNEJ.

Policjant zwolnił i wjechał na teren szpitala. Candice spodziewała się, że ją wysadzi i ruszy dalej, ale on zostawił samochód tuż przed wejściem, nic sobie nie



robiąc z zakazu parkowania, i wszedł za nią przez podwójne drzwi do windy, gdzie wcisnął guzik z numerem 4. Jaskrawe światło ujawniło kolejne zmarszczki w kącikach jego oczu i jasny kosmyk pod rondem kapelusza, który wciąż miał na głowie. Zauważyła też z pewnym zdziwieniem, że spod mokrego prochowca wyciera biała koszula ze sztywnym kołnierzykiem, jedwabny krawat w kolorze czerwonego wina i bardzo elegancka marynarka. Odwołano go z przyjęcia?

Spodziewała się zastać w holu tłumek zmartwionych krewnych i przyjaciół Mastersa, jednakże poza mężczyzną pijącym wodę z automatu nie było tam nikogo. Nikt też nie czuwał przy łóżku profesora.

— Czy nie powiadomiono rodziny? — spytała zdumiona Candice przedstawiając się w dyżurce.

— Tylko panią. — Pielęgniarka wstała i wprowadziła ją do jednej z zastawionych elektronicznym sprzętem przeszklonych salek wychodzących na dyżurkę.

Łzy zakręciły się w oczach Candice, kiedy zobaczyła swego mistrza leżącego w białej pościeli. Bandaż na kruchej czaszce, przylepiony plastrem wenflon, rurka z tlenem pod nosem — a do tego ciągle pikanie monitora. Był śmiertelnie blady i wyglądał bardzo staro. Patrząc na jego ręce, pokryte plamami i zasinione w miejscu wkłucia igły, oczyma duszy ujrzała te same kształtne dłonie trudzące się nad pokruszonym ze starości papirusem. Profesor spędził nad nim wiele godzin, mozolnie dopasowując luźne części. Czasem mijały tygodnie, nim właściwie połączył dwa wystrzępione brzegi. Pamiętała, jak układał pęsetą obok siebie żółtawe fragmenty poznaczone czarnymi robaczkami. „Patrz, Candice — mówił — i ucz się alfabetu.”

„Alfabetem” w odróżnieniu od „alfabetu” nazywał dwadzieścia dwa znaki starożytnego hebrajskiego pisma. Poświęcił życie badaniu ewolucji wczesnych piktogramów w rozpoznawalny system literowy, toteż mógł czytać pradawną hebrajszczyznę równie łatwo, jak codzienną gazetę.

Candice ujęła wiotką dłoń w swoją, modląc się, aby mogła ona znów rekonstruować starożytne papirusy. Powieki mężczyzny zadrgały, rozchyliły się. Przez chwilę patrzył na nią zmieszany, potem poznał.

— Candice. Przyszłaś...

— Spokojnie, profesorze, proszę oszczędzać siły. Tak, jestem tutaj.

Jego oczy niespokojnie obiegly pomieszczenie, a oddech stal sie plytszy. Poczula, jak suche chlodne palce zaciskaja sie na jej dloni.

— Candice... Pomoz ... Pochyliła sie, zeby lepiej slyszeć.

Porucznik ulokował sie za wózkiem wyładowanym aparaturą medyczną, skąd mógł obserwować chorego i jego gościa. Pielęgniarki usiłowaly sie dodzwonic do Candice Armstrong, lecz linia w kanionie została uszkodzona. Jeśli nawet miała telefon komórkowy, nie figurował w żadnych spisach. Tymczasem półprzytomny starzec denerwował sie, budząc poważne obawy medyków. Co chwile żądał, aby po nią posłano, aż w końcu znów stracił przytomność.

„Uraz głowy, możliwy krwotok podoponowy — orzekł lekarz. — Musimy go najpierw ustabilizować." Miał nadzieję, że wizyta tej kobiety zdoła nieco uspokoić pacjenta.

Znaleźli jej adres w portfelu profesora; mieszkała w górach Malibu. Ponieważ sprawa była pilna, porucznik zaoferował sie, że po nią pojedzie, choć szalała burza. Przyglądał sie teraz jej delikatnym ruchom, gdy pochylała sie nad chorym. Miała zapewne trzydzieści kilka lat, ubrana była w wełniane ciemnobezowe spodnie i kremową jedwabną bluzkę ozdobioną przy szyi różową kameą. Delikatny złoty zegarek. Bardzo kobieca; nie tak wyobrażał sobie osobę, która grzebie sie w piachu wśród ruin. Sięgające ramion włosy spięła z tyłu, lecz niesforne kosmyki spadały jej na twarz. Właściwie była ładna, choć nie mógł sie uważać za znawcę damskiej urody.

Tym, co ją wyróżniało spośród innych, był głos. Naprawdę brzmiał tak, jakby gardło miała pełne miodu.

Nieświadoma, że jest przedmiotem bacznej obserwacji, Candice nachyliła sie nad profesorem, który z trudem starał sie przemówić.

— W domu... — wyszeptał. — Jedź, Candice... Prędko, zanim...

— Wszystko będzie w porządku, profesorze. Proszę sie nie martwić.

Ale on sie zdenerwował.

— Pandora. W domu...

— Pandora? To pański kot? Pies? Mam sie nią zaopiekować? Może powinam

zadzwoić do kogoś z pańskich krewnych? Albo z uczelni?

Z wysiłkiem przetoczył głową z boku na bok.

— Nie. Tylko ty. Jedź... — Zamknął oczy i szepnął: — Gwiazda Babilonu...

— Co?

Oczy pozostały zamknięte.

— Profesorze?

Udało mu się wydobyć jeszcze dwa słowa:

— Pandora... Klucz... — Potem stracił przytomność. Opuszczając szpital Candice czuła ból w sercu. Profesor był

taki drobny i bezbronny. Siedem lat wcześniej, kiedy pracowali razem w Izraelu, wydawał się olbrzymem.

Czekając na windę wyjęła telefon komórkowy.

— Mam nadzieję, że uda mi się dostać taksówkę o tej porze — mruknęła wystukując numer.

— Odwiozę panią do domu.

— Nie jadę do siebie. Muszę jechać do domu profesora. Mam wrażenie, że chodziło mu o jakieś domowe zwierzę.

— Zawiozę panią. — W jego głosie nie było słychać entuzjazmu; mimo to Candice skwapliwie przyjęła propozycję.

W strugach ulewy przebiegli do samochodu.

— Mieszka przy Bluebell Lane w Westwood — powiedziała wsiadając. — Nie pamiętam numeru, ale poznam dom.

Duża, cofnięta nieco od ulicy willa w stylu Tudorów stała w elegantszej części zachodniej dzielnicy Los Angeles, otoczona starannie przystrzyżonymi żywopłotami, krzewami róż i wypielegnowanymi trawnikami. Okna były ciemne. Candice wyskoczyła z samochodu i pobiegła w deszcz. Policjant dogonił ją pod drzwiami,

gdzie zaglądała do donic i pod wycieraczkę.

— Profesor mówił o kluczu — wyjaśniła. — Nie mogę go znaleźć.

Klucza nie było, okazało się jednak, że frontowe drzwi nie są zamknięte. Weszli do ciemnego holu.

— Kici kici! Pandora! Kotku! — zawołała Candice, oczekując powitalnego miauknięcia, ale odpowiedziała jej tylko cisza, sporadycznie przerywana pomrukiem grzmotu.

Nieśmiało zapuściła się dalej, zaglądając przez uchylone drzwi do pograżonych w mroku pokoi.

— Pandora! Pandy! Pańdzia!

Otoczyły ją wspomnienia dni spędzonych przy pracy nad Projektem Salomona, zapach fajki profesora, jego niski łagodny głos, którym z takim znawstwem mówił o pradžejach. Modliła się, żeby wyżył. Dobrze, że znalazła go gospodyni; w przeciwnym razie....

Kiedy tak stała w owalnym holu, zastanawiając się, czy wypada jej myszkować po cudzym domu, zaskoczył ją czyjś przyciszony głos. Podeszła do schodów i zerknęła w górę. Policjant stał na piętrze i ku jej zdumieniu rozmawiał przez telefon komórkowy. Nie słyszała, co mówi, ale wydało jej się dziwne, że tam wszedł. Czego szukał?

Z salonu sączyło się przyćmione światło.

Zbliżywszy się do otwartych drzwi natychmiast spostrzegła wiszący nad kominkiem obraz.

Namalowany w klasycznym stylu Davida lub Ingesa, przedstawiał Pandorę, według Greków pierwszą kobietę na ziemi. Zadumana postać, wysoka i smukła w fałdzistym peplosie, ze smutkiem wskazywała puszkę podarowaną jej przez Zeusa.

Wspinając się na palce, Candice odchyliła obraz od ściany. Ale nie było za nim ukrytego klucza ani sejfu, w którego zamku mógłby tkwić. Zadumała się na chwilę. Niewątpliwie tę właśnie Pandorę miał na myśli profesor.

Jej uwagę przykuło ramię postaci na obrazie. Wyciągnięte było w stronę daru

władcy bogów, puszki mieszczącej całe zło świata, ale blady palec wskazywał również coś poza płótnem, rzeźbioną drewnianą szkatułkę stojącą na marmurowym piedestale. Było to pudełko na cygara; Candice przypomniała sobie, że profesor trzymał je w gabinecie. Tu wyglądało trochę nie na miejscu.

Uchyliła wieczko. Jej oczy rozszerzyły się ze zdumienia. Wewnątrz nie było cygar, lecz stara książka. Słyszając za sobą kroki policjanta, Candice wyjęła ją z pudełka.

— Chyba o to właśnie prosił profesor. Pandora wskazuje wprost na nią.

Nie odpowiedział. Stał bez ruchu w salonie pełnym bezcennych antyków, rozświetlanym co chwilę błyskiem pioruna.

— Czy mogę zabrać tę książkę? — spytała Candice. — Rano zaniosę ją profesorowi. Jeśli pan chce, podpiszę rewers.

— Nie trzeba, ufam pani — odparł.

Kiedy zamknęli za sobą drzwi i wyszli w ulewną noc, zagadnęła:

— Dlaczego wchodził pan na piętro? Zauważył pan tam coś?

— Oglądałem chodnik, żeby sprawdzić, gdzie się potknął. — Jego oczy wpatrzone były przed siebie, w deszcz.

— Wydawało mi się, że pan z kimś rozmawiał.

— Z mężem gosposi. To ona wezwała karetkę. Chciałem porozmawiać z nią, ale dali jej środki uspokajające i zasnęła.

Candice obrzuciła go uważnym spojrzeniem. Usta miał zaciśnięte, a w głosie jakieś dziwne napięcie. Nagle przeszła ją alarmująca myśl.

— To nie był wypadek, tak? Dlatego skierowano pana do tej sprawy?

— Nie zostałem do niej skierowany. I owszem, to był wypadek.

— Ale skoro policja...

Jego głęboko osadzone oczy nareszcie zwróciły się na nią.

— Sądziłem, że się pani domyśliła. John Masters jest moim ojcem.

## ROZDZIAŁ DRUGI.

Obudził ją telefon.

W wodnistym świetle sączącym się przez gałęzie sosen ocieniających okno zobaczyła tarczę budzika. Za wcześnie na wiadomość z San Francisco — tę, na którą czekała: że nareszcie dadzą jej pracę.

— Halo? — powiedziała sennie do słuchawki, odgarniając z twarzy zmierzwione włosy.

Cisza.

— Halo? Kto tam? — powtórzyła zniecierpliwiona. Klik.

Candice spojrzała na telefon i nagle oprzytomniała. Poderwała się z łóżka, przypomniawszy sobie o wydarzeniach ostatniej nocy. Złapała za słuchawkę i chwilę potem uzyskała na informacji numer szpitala, gdzie połączono ją z oddziałem intensywnej terapii. Spytała o stan profesora, modląc się w duchu: Spraw, żeby było lepiej. Żeby siedział w łóżku i podrywał pielęgniarki.

Stan chorego wszakże się nie poprawił.

— Jeśli odzyska przytomność — powiedziała — proszę mu powiedzieć, że Candice Armstrong odwiedzi go dziś przed południem.

— Jeszcze raz?

— Jak to „jeszcze raz”?

— Była tu pani kilkanaście minut temu, pani Armstrong.

— Nic podobnego!

— Mam pani podpis na liście odwiedzin. Właśnie na niego patrzę.

Candice przetarła oczy. Prawdopodobnie nie zmieniono arkusza z nocy. Pożegnała się i odłożyła słuchawkę.

Pod prysznicem nawiedziło ją wspomnienie wczorajszej rozmowy. „John Masters jest moim ojcem.”

Sięgnął przy tym do płaszcza i ponownie wyjął identyfikator. Tym razem Candice przeczytała go dokładniej. Detektyw porucznik Glenn Masters. Oddając mu odznakę, pomyślała wtedy, że w tym płaszczu i kapeluszu wygląda jak policjant lustrujący miejsce zbrodni, lecz w żadnym razie nie jak człowiek wracający do domu swego dzieciństwa. Zakładała bowiem, że wychował się w tym domu. Profesor mieszkał w nim od pięćdziesięciu lat; nieraz się chwalił, że odkupił go od pewnej gwiazdy niemego kina. Utrzymywał, że jej duch wciąż snuje się po pokojach.

— Tak mi przykro — powiedziała. — Wyobrażam sobie, jaki to dla pana wstrząs. Nie mam prawa zawracać panu głowy w takiej chwili. Powinnam była wezwać taksówkę.

Kiedy bez słowa schował odznakę do kieszeni na piersi, dodała półgłosem:

— Nie wiedziałam, że profesor ma syna.

Nie odpowiedział. W milczeniu odwiózł ją do domu. Wysiadając, spytała:

— Poruczniku, pański ojciec wspomniał o Gwieździe Babilonu. Czy pan wie, co to jest?

— Nie.

Przypomniała sobie o poźółkłej francuskiej książce, którą miała w torbie na ramieniu. Wyjęła ją pospiesznie.

— Może pan zechciałby ją doręczyć. Odniosłam wrażenie, że profesorowi bardzo na niej zależy. Może zbudzić się w nocy i pewnie zechce ją mieć...

— Pani mu ją zanieś. To panią prosił. Wytrzeszczyła na niego oczy. Kiedy zobaczył jej minę, dodał:

— Mój ojciec i ja od lat nie żyliśmy ze sobą blisko. Kiedy zabrała go karetka, to nie pogotowie mnie powiadomiło, tylko gospodyni. Ojciec o tym nie wiedział i nie zdawał sobie sprawy, że jestem w szpitalu. Kiedy odzyskał przytomność, po-

prosił o sprowadzenie tylko jednej osoby: pani.

Powiedział to spokojnie, bez goryczy czy żalu. Po prostu stwierdził fakt. Pomimo to Candice czuła wyrzuty sumienia, choć tłumaczyła sobie, że nie można jej winić za to, iż profesor wezwał ją, a pominął własnego syna. Był wdowcem, przypomniała sobie. Jego żona, matka porucznika, zmarła wiele lat temu. Ściślej mówiąc, padła ofiarą mordu.

Włożywszy dżinsy i różową jedwabną bluzkę, Candice przeniosła się ze swymi myślami do kuchni. Nałożyła karmy kotce która natychmiast, nie przestając mruzczyć, zabrała się do jedzenia. Candice zrobiła sobie rozpuszczalnej kawy i otworzyła książkę znaną minionej nocy w domu profesora.

Decouvertes mesopotamiennes pióra Pierre'a Duchesne'a, wydana w Paryżu w roku 1840. Książka tak ważna dla Johna Mastersa, że tylko o niej myślał, leżąc ciężko ranny na szpitalnym łóżku.

Komuś, kto nie znał Mastersa, mogłoby wydać się dziwaczne, że książka przechowywana była w pudełku po cygarach, a jedyną wskazówką co do miejsca jej ukrycia był gest postaci na obrazie. Ale dla kogoś, kto go dobrze znał, był to nieomylny znak, że ma ona związek z jakimś ważnym i utrzymywanym w tajemnicy projektem. Ilekroć profesor pracował nad nową teorią, zawsze obsesyjnie się bał, że któryś z rywali zechce mu ją skraść, toteż trzymał notatki w najdziwniejszych miejscach. Kluczowa część dokumentacji Projektu Salomona spoczywała na przykład w opiekaczu do grzanek.

Pytanie brzmiało: co jest tak ważnego w tej starej książce? Co ma wspólnego z najnowszymi pracami profesora? I w ogóle nad czym ostatnio pracował? Mówił o Gwieździe Babilonu...

Nagle rozdzwonił się telefon i Candice omal nie wyskoczyła ze skóry. To na pewno Reed O'Brien z wieścią, że dostała pracę.

— Halo? Cisza.

— Halo? Z jakim numerem chce się pan połączyć? Klik.

Jakiś dowcipniś. Pewnie któryś z jej dawnych studentów. Żałowała, że nie może wyłączyć aparatu, ale czekała na informację, która miała uratować jej życie.

Wróciła do książki. Z pożółkłych stronic unosił się zapach kurzu i starości.



Tekst był po francusku. Oprócz łaciny i klasycznej greki Candice uczyła się na studiach również francuskiego i niemieckiego, ponieważ niemal połowa publikacji egiptologicznych wydawana była w tych językach. Przerzuciła kilka kart. Pierre Duchesne, francuski konsul w Egipcie w latach 1825—1833, przedsięwziął kilka podróży na północny wschód, w dorzecze Eufratu i Tygrysu, gdzie dawał upust swojej archeologicznej pasji. Odkrycia mezopotamskie były w istocie dziennikiem tych podróży, wzbogaconym rycinami przedmiotów, jakie Duchesne zebrał i przywiózł do swej wiejskiej rezydencji pod Paryżem.

Przedstawione na nich posążki, fragmenty płaskorzeźb, tabliczki pokryte piśmem klinowym same w sobie nie były zbyt ciekawe; ponadto tylko z rzadka towarzyszył im jakikolwiek opis, prawdopodobnie dlatego, że Duchesne niewiele o nich wiedział. Z całą pewnością nie było tam niczego, co choćby w domyśle mogło przypominać gwiazdę. Nie odnosił się także do niej tytuł żadnego z rozdziałów.

— To nie może być „klucz”, o który mu chodziło — mruknęła pod nosem, zastanawiając się, czy nie powinna wrócić do domu profesora i obejrzeć dokładniej pojemnika na cygara.

Jej uwagę odwrócił przenikliwy dźwięk dobiegający z tarasu. Otwarte drzwi wpuszczały wilgotną woń i odgłosy lasu. Na drewnianej poręczy przycupnął drozd i śpiewem witał dzień. Jego świergot brzmiał trochę jak dzwonek telefonu, przypominając o wyczekiwanej wieści z San Francisco. Rada nadzorcza muzeum miała podjąć decyzję w tym tygodniu.

Jej kariera zawodowa leżała w gruzach. Właściwie nie zdołała się nawet rozpocząć przez tę nieszczęsną aferę z grobowcem. Candice miała teraz trzydzieści cztery lata i zaczynała wpadać w panikę. Fucha w muzeum, na którą ostrzyła sobie zęby połowa amerykańskich egiptologów, mogła być dla niej ratunkiem, drugą szansą. Candice doszła jednak do wniosku, że zasypywanie Reeda O'Briena rozpaczliwymi listami bynajmniej jej nie pomoże, w końcu więc nie wysłała wczorajszego maila.

Przeglądając książkę Duchesne'a zauważyła na wewnętrznej stronie okładki zblakłą pieczęć: Antykwariat. Stokey, Los Angeles, Figueroa Street.

Zmiana koła nie sprawiła jej trudności — Candice wcześniej się nauczyła sama dawać sobie radę. Zamknęła laptopa i porwała kluczyki.

— Jeśli zadzwoni Reed O'Brien — powiedziała do Pusi, która wylizywała się na sofie — powiedz mu, że chętnie przyjmę tę posadę.

Wrzuciła książkę do torby i ruszyła w mglistym jeszcze porannym świetle. Ją-  
dąc, uświadomiła sobie nagle, że Gwiazdą Babilonu nazywano także Gwiazdę Be-  
tlejemską. Ta możliwość przyprawiła ją o ekscytujący dreszczyk. Czyżby tajemni-  
cze badania profesora miały związek z narodzinami Chrystusa?

## ROZDZIAŁ TRZECI.

Candice nie od razu spostrzegła podejrzany samochód.

Jej myśli były podzielone między profesora Mastersa — wybierała się do niego  
po wizycie w antykwariacie — a Reeda O'Briena. Wyrzucała sobie w duchu, że  
jednak nie wysłała maila.

Reed znał szczegóły skandalu na wykopaliskach — znał je cały naukowy świa-  
tek — lecz powinna mu była przedstawić swój punkt widzenia. Zobaczyłby wów-  
czas sprawę w zupełnie innym świetle.

Wyszła wówczas z namiotu, bo nie mogła zasnąć. Z wykopu sączyło się świa-  
tło; opuściła się tam i słysząc jakieś szmery w komorze grobowej, podkra-  
dła się bliżej. Zobaczyła profesora Barneya Fairclotha, szefa ekspedycji. Stał nad otwar-  
tym sarkofagiem. Wyjąwszy z kieszeni jakąś rzecz, wetknął ją między bandaże  
spowijające mumię, zamknął trumnę i posypał ją kurzem, tak żeby wyglądała na  
nietkniętą. Potem cofnął się, zacierając miotełką swoje ślady.

Candice chrząknęła i dyrektor obrócił się gwałtownie. Sytuacja była bardzo  
krępująca. On, człowiek dojrzały, uznana sława naukowa, i ona, świeżo po stu-  
diach, z jeszcze ciepłym doktoratem z egiptologii.

— Jutro nasz wielki dzień — rzekł nieco za głośno, pospiesznie zdejmując la-  
teksowe rękawiczki. — Otworzymy sarkofag i przekonamy się, czy moja teoria  
jest słuszna.

Faircloth uważał, że Aztekowie są potomkami Egipcjan, którzy pokonali  
Atlantyka na tratwach. Poświęcił życie odnalezieniu faraona, który wysłał ekspedy-

cję za ocean. Teraz był pewny, że go znalazł.

Candice nie wiedziała, co powiedzieć. Stali w cuchnącej kurzem i stęchlizną kamiennej komorze w towarzystwie kontrowersyjnego władcy spoczywającego w pozłacanej, na pozór wciąż zapieczętowanej trumnie.

— Upewniałem się tylko... — Szef wykopalisk machnął ręką za siebie i nagle spytał: — Co pani widziała?

— Widziałam, że włożył pan coś do sarkofagu. Dojechała aż do skrzyżowania Vermont i Pico, zanim zdała sobie sprawę, że od wyjazdu z Malibu wciąż widzi w lusterku białego taurusa z tablicami wypożyczalni samochodów.

Skręciła bez migacza, a taurus za nią. Wjechała na parking przed marketem. Zrobił to samo. Wycofała się, znów skręciła, a potem przemknęła skrzyżowanie na pomarańczowym świetle. Miejsce taurusa zajął czarny SUV. Odetchnęła. Los Angeles jest pełne psychopatów.

Faircloth był tak zdenerwowany, że nawet jego głos zdawał się ociekać potem.

— Candice, wszyscy wiemy, że to Tetef wysłał ekspedycję za ocean. Ale nikt nam nie uwierzy bez dowodów. Chciałem tylko trochę popchnąć sprawę.

Podrzucony przedmiot był małym amuletem z rzeźbionym wizerunkiem pierzastego węża. Pochodził z Museo Nacional de Antropologia w Meksyku i miał zostać znaleziony przy mumii w dolinie Nilu.

Candice wcale nie „narobiła krzyku”, jak mówiono. Prawdę mówiąc, w ogóle nie wiedziała, co robić. Faircloth był jej idolem. Praca u jego boku stanowiła dla niej spełnienie marzeń. Popenił jednak najgorszą chyba zawodową zbrodnię i chciał, żeby to zataiła. Candice zadzwoniła do swojego promotora, również znanego badacza i prezesa Kalifornijskiego Towarzystwa Egipologicznego. Zwierzyła mu się w zaufaniu, prosząc o radę. Powiedział: „Ja się tym zajmę” i wtedy zaczął się koszmar.

Biały taurus znów pojawił się za nią. Manewrowała w gęstym ruchu, co chwilę zerkając w lusterko. „Jeśli twój samochód jest śledzony, jedź prosto na najbliższy posterunek policji” — mówił instruktor na organizowanych przez YMCA kursach samoobrony. Wszystko dobrze, tylko gdzie jest najbliższy posterunek? Spostrzegłszy, że zwalnia się miejsce na prawym pasie, skręciła raptownie, nagrodzona obraźliwym gestem kierowcy nadjeżdżającego bmw. Sznur samochodów zwarł się i

taurus został nieco z tyłu. Candice skrzyła w pierwszą przecznicę i przedarła się zygziem przez willową dzielnicę do Wilshire Boulevard, gdzie wpadła w jeszcze gęstszy korek.

Nie wiedziała, że Fairclotha i jej promotora dzieli zadawniona wrogość. Faircloth został publicznie okrzyty hańbą. Prezes Stowarzyszenia upokorzył go dodatkowo, składając wniosek, by wszystkie poprzednie prace Fairclotha, jego publikacje, wykłady, nawet listy do wydawców, zostały skrupulatnie sprawdzone pod kątem omyłek, celowych zafalszowań i plagiatów. Sprawa trafiła do mediów; agresywna ekipa telewizyjna wmanewrowała Candice w wywiad dla popularnego niedzielnego programu. Po montażu wyrwanych z kontekstu fragmentów świat odniósł wrażenie, że Candice Armstrong uważa wszystkich egiptologów za rabusiów grobów i szarlatanów.

Reakcja środowiska naukowego była natychmiastowa i brutalna. Uważano, że sprawa powinna być zostać załatwiona „w branży”. Choć nikt nie kwestionował winy Fairclotha, zarzucono Candice zawiść, intryganctwo i kreowanie się na gwiazdę. Z dnia na dzień przestała być mile widziana na wykopaliskach, sympozjach, wykładach i wszędzie, gdzie gromadzili się archeolodzy. Jej publikacje leżały w magazynach, teorie ignorowano, a o funduszach na prace wykopaliskowe nie mogła nawet marzyć. Rzeczywiście była skończona. I wtedy przyszedł niespodziewany ratunek w osobie Johna Mastersa, który zaprosił ją do udziału w Projekcie Salomona.

Odnalazłszy antykwariat, Candice sprytnie wcisnęła samochód w miejsce przy krawężniku, szybko zamknęła drzwi i pospiesznie przemknęła się do wejścia. Wewnątrz, osłonięta od okna regałami, wyjrzała na ulicę, ale białego taurusa nigdzie nie było widać.

Puknęła w dzwonek na kasie. Z zaplecza wyłonił się właściciel, pan Goff, przygarbiony mężczyzna z niedojedzoną kanapką w jednej ręce i serwetką w drugiej. Podsunąwszy tłuste brzegi mięsa pomiędzy usmarowane musztardą kromki odgryzł wielki kęs i zawinął kanapkę w serwetkę. Żując z namysłem, oznajmił, iż poznaje książkę i dokładnie pamięta owo popołudnie sprzed pół roku, kiedy to profesor Masters przyszedł ją nabyć.

— Sporo za nią zapłacił — rzekł z pełnymi ustami i dyskretnie zlizął musztardę z kącika warg. — Kolekcja Duchesne'a przepadła w pożarze, a jedynym katalogiem zniszczonych znalezisk jest właśnie ta książka. Nakład był niewielki, do dziś przetrwało ledwie kilkanaście egzemplarzy. Profesor mówił, że stracił po-

przedni, kiedy zalało mu bibliotekę.

Candice pamiętała to zdarzenie i rozpacz profesora nad utratą części cennego zbioru starych woluminów.

— Czy orientuje się pan może, co jeszcze ją wyróżnia? Jeśli profesor stracił swój egzemplarz pięć lat temu, dlaczego dopiero teraz go odkupił?

— Nie chodziło mu o samą książkę, a o jedną konkretną tabliczkę. Zaraz pani pokażę. — Goff odłożył kanapkę, skrupulatnie wytarł dłonie o spodnie i zaczął przekładać stronicę z precyzją chirurga rozdzielającego warstwy mięśni.

Dziennik Duchesne'a został wydany na długo przed upowszechnieniem się fotografii, ilustracje były miedziorytnicze, ale tak drobiazgowo, iż do złudzenia przypominały zdjęcia.

— To ta — oznajmił pan Goff. — O! — Między stronicę wetknięty był złożony kawałek papieru z jakąś notatką. — Lepiej niech pani to schowa — rzekł podając jej kartkę. — Może być ważne.

Candice włożyła notatkę do portfela i pochyliła się nad ryciną. Była na niej gliniana lub kamienna tabliczka typowa dla starożytnej kultury Mezopotamii, w rodzaju tych używanych powszechnie w archiwach lub korespondencji. Powierzchnię pokrywały ciągi znaków.

— Wygląda na pismo klinowe — powiedziała — ale nie potrafię rozpoznać języka.

— Dlatego właśnie interesowała profesora. Powiedział, że uczeni od dziesięcioleci usiłują ją rozszyfrować. — Goff sięgnął po kanapkę i wgrzył się w nią z lubością. — Podobno jest jedyna w swoim rodzaju. Nie odnaleziono żadnej innej próbki tego pisma. Co ciekawe, choć nic więcej nie powiedział, odniosłem wrażenie, iż natrafił na drugi taki zapis. Chciał je porównać.

Candice spojrzała na niego zaskoczona. Czyżby Masters dokonał przełomowego odkrycia?

Zauważyła fotokopiarkę na tyłach sklepu i poprosiła o skserowanie ryciny z tajemniczą tabliczką. Zamierzała — o ile profesor jej nie zatrzyma — schować książkę w bezpiecznym miejscu; była zresztą zbyt cenna, by używać jej na co dzień do pracy. Postanowiła też przefaksować rycinę ekspertowi, który być może

zdoła zidentyfikować pismo.

Czekając na kopie zlustrowała ulicę. Biały taurus najwyraźniej dał za wygraną.

Już wychodziła, gdy zadzwonił telefon, stary czarny aparat z obrotową tarczą.

— Tak? — odezwał się antykwariusz. — Proszę chwileczkę poczekać. —  
Zwracając się do Candice, spytał: — Czy pani nazywa się Candice Armstrong?

— Tak — odpowiedziała zdumiona.

— Do pani. — Wręczył jej słuchawkę.

Jak to możliwe? Nikt nie wiedział, że jest tutaj. Ujęła czarną słuchawkę ostrożnie, jakby bała się, że ją ugryzie, i z obawą przyłożyła do ucha.

— Tu Candice Armstrong. Klik.

— Cóż to znowu... — zaczęła osłupiała, lecz nagle przypomniała sobie poranne głucho telefony i uświadomiła sobie, co oznaczały. — O mój Boże!

— Czy wszystko w porządku? — zaniepokoił się pan Goff, ale odpowiedziało mu trzaśnięcie drzwi.

W drodze powrotnej Candice dwukrotnie omal nie spowodowała wypadku, w tym raz otarła się o autobus. Jak szalona lawirowała w natężonym ruchu, prowokując lawinę przekleństw i obraźliwych gestów. Jeśli zatrzyma mnie policja, myślała, powiem im, że właśnie rabują mi dom, i poproszę, by mnie eskortowali.

Pędząc z nadmierną prędkością stromą, zalaną deszczem drogą do domu w Malibu, omal nie wpadła w poślizg. Niestety, jej obawy się potwierdziły.

Pusia miauczała rozpaczliwie na środku jezdni. Doskonale pamiętała, że zamknęła kota w domu.

Ktoś się włamał.

Codziennie rano Glenn Masters budził się z jednym nurtującym pytaniem: czy to dziś? Bał się dnia — a taki dzień musiał przecież nadejść — w którym sięgnie po środek, którym najbardziej gardził: fizyczną przemoc.

Zadawał sobie to pytanie pod prysznicem, nad poranną kawą i krzyżówką w

gazecie, a potem wyjmował z szuflady odznakę i szedł na posterunek, gdzie spędzał kolejny dzień w świecie przemocy, twardo trzymając się w ryzach, aby nie stać się częścią tego świata.

Psycholog ostrzegła go, że hamowanie kumulujących się emocji może mieć wręcz przeciwny skutek.

— Przyjdzie taki dzień, w którym dojdiesz do kresu wytrzymałości i wtedy całkiem stracisz nad sobą kontrolę — powiedziała i dodała, że powinien od czasu do czasu upuścić nieco pary. Potem zapytała go o życie uczuciowe.

Pomyślał ze złością, że to nie jej sprawa, ale odparł spokojnie: „Dziękuję, nie narzekam”. Sherry nie było już przy nim. Po wypadku oddalili się od siebie i od tego czasu nie miał nikogo na stałe.

Nie chciał ryzykować zakochania się — zwłaszcza teraz, gdy już wiedział, jak bardzo uczucia są ze sobą splątane i że jeśli uwolni się spod kontroli jedno, reszta może się rozszaleć w ślad za nim.

Obserwując chaos panujący na posterunku zastanowił się, co on tu do diabła robi. Po pogrzebie matki wymiotował codziennie przez dwa tygodnie, myśląc z odrazą o jej brutalnej śmierci. Potem zaczął brać środki uspokajające, żeby okiełznać żołądek, pastylki nasenne i jeszcze jedne tabletki, żeby nie mieć snów. A kiedy nareszcie wynurzył się ze strefy zmierzchu, obolały, ale zimny jak stal, odkrył, że w czasie jego mentalnej nieobecności narodziło się w nim niewzruszone postanowienie: nigdy w życiu nie będzie stosował przemocy.

A jednak zaczął pracować w policji, i to w wydziale zabójstw. Przyjaciele pytali, dlaczego nie znalazł sobie jakiegoś miłego klasztoru w Tybecie, gdzie mógłby żyć spokojnie pośród chmur. Odpowiadał, że na świecie jest wielu zbrodniarzy, których trzeba ująć, a ci rzadko zapędzają się na szczyty gór.

Był więc pacyfistą w świecie zbrodni.

Krytycznie zerknął na biurko, które ugięło się pod stertami papierów — nie rozwiązane sprawy, protokoły przesłuchań, dowody rzeczowe do rozpatrzenia, wątki, które dopiero trzeba było rozwinać... Jego umysł zajmował jednak niepodzielnie stary człowiek leżący bezwładnie w szpitalnym łóżku.

Nie tak wyobrażał sobie spotkanie z ojcem. Ilekroć układał w myśli scenariusz pojednania, miało to zawsze miejsce w domu, w ojcowskim gabinecie. Staruszek

siedział godnie w swoim skórzanym fotelu i mówił: „Synu, poprosiłem cię, żebyś przyszedł, uznałem bowiem, że już najwyższy czas przyznać, iż się myliłem. Mam nadzieję, że mi wybaczysz”. Glenn oczywiście wybaczał, ściskali się mocno, a potem nawiązywali od nowa nadwątlone długim rozstaniem ojcowsko-synowskie więzi. Tymczasem los zetknął ich w szpitalnej salce, gdzie John Masters leżał nieprzytomny i w ogóle nieświadom obecności syna.

— Glenn?

Odwrócił się i napotkał spojrzenie dużych pięknych oczu Maggie Delaney, przydzielonej niedawno do wydziału zabójstw.

— Tak? — bąknął.

— Przesłuchaliśmy dozorcę. Myślę, że to jest jakiś trop. — Podała mu kartkę papieru.

Przebiegł oczyma tekst, ale nie był w stanie go zrozumieć. Miał wrażenie, że widok agonii ojca wysał z niego wszystkie życiowe siły. „Przykro mi, panie Masters — powiedział przez telefon lekarz. — Nie mogę przekazać panu optymistycznych prognoz. Taki uraz głowy u kogoś młodszego wywołałby zapewne mniej groźne skutki, ale pański ojciec ma ponad siedemdziesiąt lat...”

Przed oczyma Glenna pojawił się koszmarny obraz — ojciec skulony u stóp schodów niczym porzucona szmaciana lalka, zdany na łaskę losu... Jakież to upokarzające. A gdyby pani Quiroz nie było w domu? Jak długo leżałby na podłodze nieprzytomny, zaśliniony, w mokrych spodniach, nim wreszcie znalazłby go listonosz, ogrodnik albo zaniepokojony sąsiad? Dzięki Bogu za refleks gospodyni. Glenn usiłował się do niej dodzwonić, ale wciąż spała po środkach uspokajających, które lekarz zaaplikował jej na wstrząs.

Wejście do rodzinnego domu po tylu latach wywołało zamęt w jego duszy. Wspomnienia osaczyły go niczym chmara złaknionych towarzystwa widm. Przyjęcia urodzinowe, prezenty pod choinką, rozmowy przy posiłkach podawanych przez nieodstępną niczym duch opiekuńczy panią Quiroz. A potem scena, gdy stanął w progu gabinetu ojca, młodszego wówczas o dwadzieścia lat, z bujną ciemną czupryną, w niczym niepodobnego do kruchego starca na szpitalnym łóżku. Pochylał się nad biurkiem, zajęty czymś ważnym. Osiemnastoletni wówczas syn stał w drzwiach łaknąc pocieszenia, pragnąc, by ojciec zamknął go w objęciach i upewnił, że świat nie jest tym piekłem, w jakie nagle się zmienił. Chrząknął nie-



śmiało. Ojciec podniósł głowę. I wtedy, w kompletnej ciszy patrząc mu w oczy, Glenn odczytał jego myśli:

Wylatując ze szkoły nie wskrzesisz matki, chłopcze.

Tego samego dnia wyprowadził się z domu i poszedł prosto do działu rekrutacyjnego policji miejskiej. Marzenia o kontynuacji naukowych dokonań ojca zostały wyparte przez twardą prozę pracy policjanta.

— Dobrze. Świetnie — odpowiedział Maggie. Uczynił wysiłek, by okiełznać rozproszone myśli i skupić się na raporcie. „Dozorca budynku przy Highland Avenue twierdzi, że widział...”

Słowa rozmyły się i zobaczył twarz matki.

Jej oczy jaśniały blaskiem i choć nie miał wówczas pojęcia, o czym ona mówi, z zachwytem chłonał każde słowo. Ale wtedy do pokoju wszedł ojciec i odezwał się z wyrzutem:

— Nie napychaj dziecku głowy Armagedonem, Lenoro. Obiecałaś.

Matka zamilkła, skarcona, a Glenn po raz pierwszy doznał wrażenia, że rodzice ukrywają przed nim jakiś straszliwy sekret.

Jak mógł o tym zapomnieć?

I jak brzmiały te słowa...?

Objął rękami głowę, jakby chciał je wycisnąć z mózgu, sylaba po sylabie.

„Rzeczy ostateczne, kochanie. Ta eschata po grecku, dies novissimi po łacinie. Dni końca.”

To nie miało sensu. Matka nigdy nie mówiła o religii. Była naukowcem. Dlaczego miałyby mu wyjaśniać ezoteryczną koncepcję końca świata?

Poczuł dreszcz. I niewytłumaczalny strach.

— Glenn? — Maggie wciąż czekała na odpowiedź. Spojrzał na nią marszcząc brwi. Tajemnica, której strzegli rodzice...

— Tak? — spytał z roztargnieniem. - Mamy to sprawdzić?

Nie tylko Maggie zwróciła uwagę na jego niezwykle roztargnienie. Stojąc w drzwiach, kapitan Boyle przyglądał się krytycznie swojemu najlepszemu wywiadowcy.

Glenn budził w ludziach mieszane uczucia. Koledzy go nie lubili, ale szanowali i w większości podziwiali. Nie potrafił działać w zespole, słowo „współpraca” nie figurowało w jego słowniku. Pomimo to miał osiągnięcia. Kiedy raz złapał trop, szedł nim aż do końca. Działał na własną modłę, nie jak typowy glina. Trudno było sobie wyobrazić, by mógł z trzaskiem wpaść do pomieszczenia strzelając z dwóch pistoletów. W istocie w ogóle nie nosił broni.

Ale co by zrobił w naprawdę podbramkowej sytuacji? Takiej, z której nie mógłby się wykręcić zagadując przeciwnika? Gdyby musiał ratować własne życie? Boyle czasem się nad tym zastanawiał. Nikt nie wiedział, co Masters naprawdę sobie myśli. Był samotnikiem, nie miał bliskich przyjaciół. Nigdy nie wpadał „Pod Koguta i Szczygła”, gdzie gasili pragnienie inni policjanci. Nie miewał też przyjaciółek, choć parę lat temu żył z tą alpinistką.

(Alpinistką! Czy to nie dziwactwo?) Ciekawe, czemu przestał się nią interesować. Weźmy taką Maggie Delaney. Przydzielona czasowo do wydziału zabójstw, Maggie na co dzień dowodziła komórką do spraw przemocy w rodzinie. Jej fantastyczne ciało było żywym dowodem, że wizyty w siłowni bynajmniej nie szpecą. Pożądał jej każdy bez wyjątku kolega, ona jednak widziała tylko Glenna Mastersa. Ten zaś zupełnie jej nie zauważał. Na przykład teraz chyba w ogóle nie zdawał sobie sprawy, że jest w pokoju.

— Glenn, czy mógłbym zamienić z tobą słówko w cztery oczy? — odezwał się kapitan.

Maggie wyszła.

— Właśnie dzwonili ze szpitala — ciągnął Boyle ze zmieszana miną. — Kazali ci przekazać, że zmniejszają ciśnienie śródczaszkowe i twój ojciec czuje się względnie dobrze. — Zdanie zakończył wysoką, wyczekującą nutą. Czekał. Kiedy Glenn nie odpowiedział, Boyle podjął: — Ojciec jest w stanie krytycznym, a ty trzymasz to w tajemnicy?

— Kapitanie, z pańskim pozwoleniem chciałbym pojechać do szpitala South Central i przesłuchać...

Starszy policjant potrząsnął głową i ojcowskim gestem położył mu rękę na ra-

mieniu.

— Jeśli nie chcesz o tym mówić, nie mów. Ale odkąd pamiętam, nie miałeś urlopu ani nawet zwolnienia lekarskiego. Zmykaj stąd i jedź do taty.

— Glenn! — zawołał ktoś zza przepierzenia. — Jest do ciebie telefon na drugiej linii.

Glenn podniósł słuchawkę. Od razu rozpoznał głęboki miodowy głos Candice Armstrong.

— Zostałam obrabowana. Ktoś włamał mi się do domu i przewrócił wszystko do góry nogami.

## ROZDZIAŁ CZWARTY.

Ruina. To było najodpowiedniejsze słowo. Ktoś obrócił jej dom w ruinę. Książki powygartane z półek walały się na podłodze, posążki były porozbijane na kawałki, kartoteka opróżniona, a jej zawartość rozsiana nieledwie po całym domu. Drań rozpruł nawet sofę.

Candice była sina z wściekłości. Przed oczyma latały jej czerwone plamki.

Pięć minut po przybyciu szeryfa z Malibu pojawił się także Glenn w długim czarnym prochowcu i kapeluszu. Zamieniwszy kilka słów z obecnymi już na miejscu funkcjonariuszami, przeszedł przez salon, rozglądając się bacznie. Zajrzał do sypialni. Łóżko okryte kwiciastą kołdrą i poduszkami w harmonijnie dobranych kolorach, wypastowana podłoga z desek, na toaletce trochę złotej biżuterii i statuetka, która — o ile była autentyczna — musiała być warta sporo pieniędzy. Włamywacz nawet ich nie tknął. Za to wypatroszył biblioteczkę i wysypał na podłogę zawartość szuflady z dokumentami.

Doprawdy dziwne włamanie.

Glenn zajrzał do łazienki, gdzie na drążku wisiały równiutko złożone ręczniki haftowane w różyczki. Na porcelanowej mydelniczce różowe mydło w kształcie

muszli. Łazienka tak kobieca jak jej właścicielka. Ścianę zdobiły oprawione w fantazyjne ramki fotografie: Candice odbiera świadectwo maturalne, Candice na przyjęciu, Candice z kobietą, która mogłaby być jej matką. Jego uwagę przykuło zdjęcie, na którym była z jego ojcem.

Profesor, kilka lat młodszy, obejmował ją ramieniem. Stali obok znaku z napisem „Jerycho” w trzech językach — po hebrajsku, arabsku i alfabetem łacińskim. Mrużąc oczy w jaskrawym słońcu, szczyrzyli zęby do obiektywu, jakby nigdy w życiu lepiej się nie bawili. Włosy Candice, dłuższe niż dziś, rozwiewały się na wietrze. Przypomnił sobie, jak spływały po jej policzkach zeszłej nocy, kiedy pochylała się nad szpitalnym łóżkiem...

Skarcił się w duchu. To, jak wygląda, nie ma tu nic do rzeczy. Przyjechał, żeby zbadać miejsce przestępstwa.

Wyszedł z łazienki i stanął w drzwiach małego, pozbawionego okna pomieszczenia, które zapewne było pomyślane jako magazynek albo szwalnia. Podłogę zaścielały wydruki, mapy, fiszki, kolorowe flamastry i notesy. Na środku zaś kłęczała Candice Armstrong w błękitnej bluzeczce i długiej kwiciastej spódnicy, próbując to wszystko zebrać. Łzy ciekły jej po twarzy.

— Hej — powiedział łagodnie, ujął ją za ramiona i pomógł wstać. — Jak się pani czuje?

— Dobrze — mruknęła, choć miała ochotę krzyknąć: „Fatalnie!”

— Na pewno?

Zauważyła, że się jej przygląda, i odczytała jego myśli. Podnosząc dłoń do oczu, powiedziała:

— To są łzy wściekłości. Nie mam w zwyczaju płakać nad byle czym.

— Nie nazwałbym tego byle czym — bąknął, rozglądając się po zdewastowanym pomieszczeniu. Sięgnął do kieszeni na piersi i wyjął złożoną białą chusteczkę do nosa. — Proszę.

Otarła policzki, rozpoznając zapach ozdobionego monogramem batystu. Woda kolońska Hugo Boss. Elegancka. I kosztowna.

Glenn patrzył na różową kameę, którą miała pod szyją. Klejnot przyciągał

wzrok ku źródłu jej niezwykłego głosu.

— Pomogę pani — rzekł i schylił się po najbliższą książkę. Był to tomik w gładkiej kartonowej oprawce, zatytułowany:

Własność ziemską kobiet i dziedziczenie w linii żeńskiej w okresie Nowego Państwa. Autorką była Candice Armstrong. Podtytuł głosił: „Rozprawa przedstawiona w przewodzie doktorskim w katedrze Kultury i Języków Bliskiego Wschodu Uniwersytetu Stanu Kalifornia, Los Angeles 1994. [Vol. 1, s.xi + 301, tabl. 12, wykr. 43.] Zam. Mikrofilm Nr 7632839. Prom. Mark Davidson". Odłożył ją na półkę i sięgnął po następną, cieńszą, pod tytułem: Staroegipska poezja miłosna. Książka otworzyła mu się w dłoni i mimo woli przeczytał:

Moja łódź płynie w górę Rzeki,

Rytmicznie uderzam wiosłem;

Zmierzam do Teb, Miasta Obu Krain.

Błagać będę boga Ptaha, Pana Prawdy,

By dzisiejszej nocy przywiódł do mnie ukochaną.

Bogini Mesenet jest pękiem trzciny w dłoni mej miłej, Bogini Maat naręczem ziela zdobi jej ramiona, Bogini Neit rozwija pąk lotosu na jej łonie, Bogini Anuket jest kwieciem rozkwitłym na jej piersi.

Zerknął na stronę tytułową. „Przełożyła z zapisu hieroglificznego doktor Candice Armstrong." Odłożył książkę na półkę. Babka jest niegłupia, musiał jej to przyznać.

Ściany tego osobliwego pokoiku pokryte były rycinami, mapami i wycinkami z gazet; wisiały tu wykresy i kalendaria. Dominujące miejsce zajmowała czarna tablica z notatkami nagryzmołonymi kredą:

Dlaczego zabito Tutanchamona?

KV55: Dlaczego w kobiecej trumnie jest mumia mężczyzny?

Dlaczego Neferetiti znika z zapisów historycznych?

Czy rzeczywiście znika?

Liczne zdjęcia przedstawiały podobizny egipskich królów i królowych, najczęściej Echnatona i Neferetiti. Glenn zrozumiał, że tu znajdował się środek świata Candice Armstrong, oś, wokół której obracało się jej całe życie.

— Czy coś skradziono z tego pokoju?

— Nie wiem! — warknęła ze złością, przyciskając papiery do piersi. Cała się trzęsła. — Pusia mogła zginąć! Mojego poprzedniego kota zagryzły kojoty! Nigdy nie wypuszczam jej na dwór!

Jakby dla potwierdzenia jej słów na biurko wskoczyła srebrzysta perska kotka. Z podniecenia biła ogonem o boki, najwyraźniej nie przyzwyczajona do tego, by jej dom nawiedzali obcy natręci. Kiedy Glenn podrapał ją za uchem, Candice wytrzeszczyła oczy.

— Nikomu nie pozwala się dotknąć!

— Lubię koty. Są szczerze, niczego nie udają. Mówiła pani o głuchych telefonach. Dlaczego nie zadzwoniła pani do mnie z księgarni? Ściągnąłbym tu szeryfa w ciągu paru minut. Mogliśmy go złapać na gorącym uczynku.

Nie dodał, że powinna była zaczekać na zewnątrz, aż nadjedzie policja. Wchodząc do domu narażała się na spotkanie z włamywaczem, który mógł być uzbrojony.

— To brzydki nawyk, z którego usiłuję się wyleczyć — powiedziała, zwracając mu moką chusteczkę. — Impulsywność. Najpierw działałam, potem myślę.

Czy doprawdy mogła inaczej postąpić odkrywszy nieetyczny postępek Fairclotha? Może gdyby się zastanowiła, przedyskutowała to z nim i innymi uczestnikami wykopalisk... Ale po co martwi się tym teraz, po dziesięciu latach?

— W porządku — rzekł detektyw. Zauważył jej zbielełe usta, napięte ścięgna szyi, strach w oczach. — Przestraszyła się pani.

— Wciąż jestem przerażona.

Policjant rozejrzał się ponownie po małym, zasłanym papierami pomieszczeniu. Zastanawiał się nad motywem włamania. Czego intruz mógł tutaj szukać?

— Nikt by się na to nie połakomił — powiedziała Candice, czytając mu w myślach. — Moja teoria jest niepopularna. Nikt nie zechciałby jej skraść.

Masters spojrział na nią.

— Jaka teoria?

— Że Neferetiti, znana też pod imieniem Nefretete, była panującym władcą.

Zaskoczony, zmrużył oczy.

— Dowodzą tego teksty źródłowe, ale egiptolodzy wolą relegować ją do roli pierwszej małżonki. — Nie dodała już głośno, że jej obsesja, by przywrócić Neferetiti należną pozycję, miała poniekąd źródło w zawodowych doświadczeniach jej matki: Sybilla Armstrong przez wiele lat była wykorzystywana, a laury za jej pracę zbierał kto inny.

— Jeśli włamywacza nie interesowały pani badania, to co?

— Praca pańskiego ojca. Gwiazda Babilonu. To jedyne wytłumaczenie.

Jego brwi podjechały aż po rondo kapelusza.

— No dobrze. Proszę się tu rozejrzeć, zrobić listę skradzionych rzeczy. Ja tymczasem pogadam z ludźmi szeryfa.

Funkcjonariusze rzetelnie wykonywali swoją pracę — zbierali odciski palców, fotografowali ślady stóp i opon. Drzwi wejściowe zostały wyważone, prawdopodobnie łomem. Słuchając raportu usiłował się skupić, ale wciąż miał przed oczyma Candice Armstrong wśród książek na podłodze, małą i bezbronną.

Zdjął kapelusz. Candice przyjrzała mu się ukradkiem. Zawsze sądziła, że kapelusz zazwyczaj ukrywa łysinę, ale włosy Mastersa były lśniące i gęste. Odczesywał je od czoła; miały ten specyficzny odcień, który latem staje się złoty, a zimą ciemnieje w brąz.

Kiedy zrzucił przemoczony płaszcz, spostrzegła, że pod spodem ma doskonale uszytą sportową marynarkę, szare spodnie i białą koszulę ze starannie zawiązanym jedwabnym krawatem. Teraz widać było, jak jest zbudowany. Ten facet nie siedzi za biurkiem, pomyślała. Z pewnością używa swego ciała.

Zastanowiła się, czy jest żonaty. Profesor nigdy nie wspominał o synowej. No tak, ale o synu także nie...

— Co skłania panią do stwierdzenia, że włamanie ma związek z moim ojcem?

— spytał, podchodząc do niej.

— Sposób, w jaki przeszukiwano dom. Nie wiem jeszcze, czy coś skradziono, ale biżuteria pozostała nietknięta. — Podprowadziła go do stolika przy oknie. Stały na nim buteleczki z olejem i rozpuszczalnikami, leżały szmatki, waciki. — To moje hobby — rzekła, wskazując niewielką oszkloną gablotkę. — Kupuję i restauruję stare kamee. Czasem pod warstwą brudu znajduję prawdziwe skarby. — Wskazała owalny, oprawny w złoto kamień lawendowej barwy. — Tę kupiłam za pięćdziesiąt centów na wyprzedazy, a ostatnio wyceniono ją na tysiąc dolarów. Dlaczego włamywacz ich nie wziął?

— Może nie zna się na kameach.

— Poruczniku, a czy panu wydają się cenne?

Spojrzał na złote i srebrne filigrany, szlachetne kamienie, niewiarygodny artystyczny rzeźbiarski.

— Tak — przyznał.

— No właśnie. Łatwo je wynieść, łatwo sprzedać. Ale złodziej nimi wzgardził. Jest coś jeszcze. Byłam dzisiaj śledzona. Wszędzie jeździł za mną biały ford taurus.

Chrząknął znacząco. Szkoda, że nie powiedziała mu o tym wcześniej. Najwyraźniej wszystko musiała robić po swojemu.

— Zapamiętała pani numer?

— Nie widziałam tylnych tablic, a z przodu miał kartonową plaketkę wypożyczalni.

— Proszę mi podać nazwę. Może uda nam się zidentyfikować wóz. — To też wolałby wiedzieć wcześniej.

— Jestem pewna, że kierowcą był autor głuchych telefonów. I sędzę — podniosła torbę i wyjęła z niej książkę — że szukał tego.

Pokazała mu rycinę z nieczytelną tabliczką.

— Antykwariusz twierdzi, że kamień jest unikalny, podobno nikt nie ma drugiego takiego. Odniósł jednak wrażenie, że być może pański ojciec znalazł podob-



ny. Słyszał pan coś o tym?

Glenn potrząsnął głową.

— Nie rozpoznaje pan tej tabliczki? Może wydaje się panu znajoma?

Glenn uważnie przyjrzał się rycinie.

— Ojciec był ekspertem od pisma klinowego. Wiecznie siedział nad tego rodzaju tabliczkami, ale ta jest chyba w jakimś innym języku.

Samo tworzywo też jest nietypowe. Większość zapisów nanoszona była na glinianych tabliczkach utrwalanych później w piecu. Ten jednak najwyraźniej jest wyryty w kamieniu, jak gdyby ktoś chciał zapewnić mu większą trwałość. Proszę zwrócić uwagę, jakie ma gładkie brzegi, jak gdyby wielokrotnie przechodził z rąk do rąk. Być może trwało to wiele pokoleń. W każdym razie na pewno nie tkwił w jakimś archiwum. Był w użyciu. Ale te znaki są mi całkiem obce.

— Mnie też. Zrobiłam kserokopię rysunku. Chcę ją komuś przesłać. Jeśli ktośkolwiek na świecie potrafi zidentyfikować ten język, to właśnie ta osoba. Jest jeszcze notatka. — Wyjęła kartkę z portfela i podała Glennowi. — Była wetknięta obok strony z ryciną. To pismo pańskiego ojca.

Glenn zmarszczył brwi czytając:

— „Czy odpowiedź jest w grobowcu Nakhta?” Co to znaczy?

— Nie wiem. Nakht był arystokratą żyjącym w Egipcie w czasach osiemnastej dynastii. To moja działka, być może dlatego właśnie pański ojciec chciał mnie widzieć. Może myśli, że znam odpowiedź na jego pytanie.

— A jak ono konkretnie brzmi?

— To dopiero będę musiała ustalić. — Candice odgarnęła z czoła pasmo włosów.

— Ale nad czym takim mógł pracować ojciec, że... — Glenn urwał i zamrugał oczyma. Ich spojrzenia się zetknęły. Nagle oboje pomyśleli o tym samym.

— Weźmiemy mój wóz — rzekł Glenn.

Kiedy w szarym świetle deszczowego popołudnia wjechali na Bluebell Lane,

już z dala dostrzegli wybite okno.

Candice ruszyła biegiem, lecz Glenn ją powstrzymał. Włamywacz mógł być jeszcze w środku. Zadzwoił z komórki na posterunek w Santa Monica i dopiero wtedy ostrożnie ruszyli ku drzwiom. W holu przystanęli, jak poprzedniej nocy, tym razem jednak Candice drżała ze strachu wyobrażając sobie zamaskowanego rewolwerowca w każdym ciemnym kącie. Glenn obszedł dom zapalając światła, rozglądając się i nasłuchując. Kiedy zyskał pewność, że intruz już odszedł, zajęli się szacowaniem szkód.

Choć panował tu mniejszy nieład niż w domku Candice, willa została przeszukana wedle tej samej metody.

Rzeczy cenne — sprzęt elektroniczny, butla pełna monet, słój wypchany banknotami dolarowymi — pozostały nietknięte. Ktoś natomiast wygarnął książki z półek i opróżnił szuflady. Obraz z Pandorą wisiał krzywo, a pudełko na cygara leżało rozbite na podłodze.

Kiedy Candice przykucnęła, żeby podnieść skrzynkę, poczuła mocny zapach cienkich cygar, które lubił palić profesor — importowanych z Hondurasu „Las Cabrillas” o delikatnym pieprzowo-dębowym aromacie.

W gabinecie na dywanie leżała mosiężna plakietka podarowana ongiś profesorowi przez studentów. Wygrawerowane na niej były słowa: Chwałą Bożą jest rzecz ukryć, a chwałą królów rzecz zbadać. Przypowieści 25:2. Obok na podłodze poniewierał się egzemplarz kwartalnika International Antiquities Marketplace. Candice podniosła go. Z części poświęconej ofertom sprzedaży antyków ktoś wyrwał jedną kartkę. Zauważyła datę

— czasopismo pochodziło sprzed pół roku. Wedle słów pana Goffa właśnie pół roku temu profesor Masters zainteresował się książką Duchesne'a i przyszedł do antykwariusza z prośbą o pomoc w jej nabyciu. Teraz wiedziała dlaczego.

Odłożyła pismo tam, gdzie je znalazła, i uniosła dłoń do nosa. Czyżby ręce jej nasiąkły zapachem cygar, kiedy zbierała rozbite pudełko? Nie, to nie to. A jednak, kiedy odjęła dłoń od twarzy, nadal czuła pieprzowo-dębowy aromat.

Dziwne.

— Tutaj — odezwał się Glenn przeglądając zawartość głębokiej szuflady z wyłamany zamkiem. —; Ojciec bardzo skrupulatnie prowadził korespondencję,

zachowywał kopie wszystkich listów.

Niektóre teczki były bardzo grube, a ich zawartość sięgała czterdzieści lat wstecz. Brakowało całego zbioru na literę „B”.

Candice obejrzała się przez ramię. Czuła mrowienie w karku; uczucie, że jest śledzona, nasiliło się. Po kątach zdawały się czaić widma. Na dodatek ten dziwny zapach...

— Panie poruczniku ... — zaczęła.

Przerwał jej uniesieniem ręki. Ze sposobu, w jaki rozejrzał się po pokoju, poznała, że też coś go zaniepokoiło. Może i on poczuł zapach cygara?

— Proszę tu zostać — szepnął i ostrożnie ruszył do drugich drzwi, prowadzących na tyły domu.

Candice nie miała ochoty zostawać sama. Miała wrażenie, że obserwują ją czyjeś oczy. Zapach cygara nie przestawał jej prześladować. Drań musiał je palić tuż przed ich przyjściem!

Znów obejrzała się nerwowo. Nie, pokój był pusty, tylko czarne cienie nadawały znajdującym się w nim przedmiotom groteskowe kształty. Nasłuchiwała kroków policjanta, lecz w willi panowała niesamowita cisza. Miała ochotę zawołać, wiedziała jednak, że powinna zachować milczenie.

Nagle piętro wyżej skrzypnęła deska podłogi. Candice poderwała głowę. Czyżby Masters wszedł tam kuchennymi schodami? Serce jej waliło, czuła suchość w ustach. Na palcach podeszła do drzwi i wyjrzała do holu. Zapach cygara był tu silniejszy.

Włamywacz wciąż był w domu!

Pobiegła z powrotem do biurka i trzęsącymi się rękami złapała mosiężny nóż do otwierania kopert, który zauważyła wcześniej. Zacisnęła palce na rękojeści. W tej samej chwili przeraził ją łomot, który rozległ się na piętrze.

— Poruczniku! — krzyknęła.

Posłyszała ciężki tupot i coś jakby odgłosy walki. Rzuciła się do stóp schodów, wyteżając wzrok, by przeniknąć mrok na piętrze.

— Panie Masters!

Odpowiedział jej głośny trzask, krótka chwila ciszy i znów łomot. Ktoś zbiegał ze schodów.

— Czy to.... — Nie dokończyła, bo z ciemności wyprysnęła sylwetka człowieka, który wpadł na nią, przewracając ją na ziemię. — Hej! — wrzasnęła z oburzeniem. W następnej chwili po schodach zbiegła kolejna postać, tym razem znajoma. Masters minął ją i w szaleńczym tempie wypadł z domu, ścigając tamtego.

Candice prędko wstała i pobiegła za nimi. Dotarła do drzwi w porę, by zobaczyć, jak stróż porządku powala intruza na trawnik. Włamywacz był niższy, lecz zwinniejszy; przetoczył się, zerwał i kopniakiem trafił Glenna w ramię. Ten utrzymał się w pionie i odpowiedział sierpowym, który ponownie zwałił przeciwnika na ziemię.

Wybiegła w deszcz z nożem w garści, czekając na okazję, by włączyć się do bójki. Gdy jednak intruz wreszcie obrócił się plecami, stanowiąc doskonały cel, Glenn wyrzucił go w szczękę. Włamywacz zatoczył się wprost na Candice, wytrącił jej broń i rzucił się do ucieczki.

Glenn pognał za nim, ślizgając się na mokrej trawie, i wkrótce obaj zniknęli za żywopłotem.

Candice po raz kolejny podniosła nóż. Okrążyła żywopłot: mężczyźni szamotali się dalej na chodniku. Niższy wyrwał się, skoczył na jezdnię, Glenn rzucił się za nim, lecz w tejże chwili jakby znikąd pojawił się samochód, który zahamował z piskiem. Kierowca otworzył drzwi pasażera, a włamywacz wskoczył do środka. Glenn uchwycił jeszcze klamkę i załomotał w drzwi, lecz gdy samochód przyspieszył, musiał puścić. Nie utrzymał równowagi i wylądował na siedzeniu, zderzając się z betonowym słupem ulicznej lampy.

— Niech to szlag! — zaklął uderzając weń pięścią. Candice dobiegła do niego zadyszana.

— Co się stało? — wystraszyła się widząc, że krwawi mu dłoń.

— Zanotowała pani numer rejestracyjny?

— Nie zdążyłam nawet dojrzeć marki.

Glenn zmrużył oczy w deszczu, patrząc w głąb ulicy. Oddychał ciężko i miał zaciśnięte zęby.

— Ten sukinsyn miał czelność palić cygara ojca w czasie, gdy okradał jego dom! — warknął z furją.

Przez szum deszczu przedarł się pisk pagera. Glenn szybko połączył się ze szpitalem. Profesor odzyskał przytomność, ale jego ogólny stan się pogorszył. Doktor radził, żeby przyjechać natychmiast.

## ROZDZIAŁ PIĄTY.

Glenn gwałtownie wcisnął hamulec i samochód zatańczył na mokrym asfalcie. Candice rzuciło w przód, poczuła szarpnięcie wbijającego się w ramię pasa.

— Co...? — spytała, rozglądając się za przeszkodą.

— Ten człowiek — powiedział Glenn zmienionym głosem. — Ja go znam.

Spojrzała w ślad za jego wzrokiem na długą czarną limuzynę stojącą przed wejściem do szpitala. Zmierzali ku niej trzej mężczyźni, którzy wyszli właśnie z budynku. Dziwaczne trio, pomyślała oceniając ich wzrokiem. Idący w środku wydawał się szefem; dwaj pozostali, w okularach słonecznych, mimo iż dzień był pochmurny, stanowili obstawę i zarazem świtę. Jednym z nich był wysoki i chudy Murzyn, drugim biały mężczyzna około pięćdziesiątki z rzucającym się w oczy znamieniem na twarzy. Miało kształt i wielkość ludzkiej dłoni; zupełnie jak gdyby ktoś wymierzył mu policzek i ślad został już na zawsze. Obaj ubrani byli w sportowe spodnie khaki i białe, rozpięte pod szyją koszule.

Mężczyzna idący w środku zbliżał się do siedemdziesiątki, sądząc po siwych włosach i białej, schludnie przystrzyżonej brodzie. Ubrany był dość dziwacznie; nawet w południowej Kalifornii nikt nie wychodzi na deszcz ubrany w białe plisowane szorty, białe adidasy i podkolanówki, i do tego białą koszulkę polo. Obrazu dopełniał biały pulower zarzucony niedbale na plecy. Starszy pan wyglądał tak, jak gdyby właśnie odwołano go z kortu albo z pokładu jachtu.

Candice obejrzała się na Glenna. Miał dziwną minę.

— Kto to? — spytała.

— Ktoś, kogo znałem w przeszłości. — W jego głosie pobrzmiwało niedowierzanie. — W bardzo dalekiej przeszłości...

Zaparkował na najbliższym wolnym miejscu. Kiedy wysiadł z samochodu, człowiek w bieli spostrzegł go od razu. Podszedł, a wraz z nim jego towarzysze, trzymając się o krok z tyłu. Ochroniarze? zastanawiała się Candice. Jeśli tak, to nie zatrudnił ich ze względu na masę mięśni.

— Jak się masz, synu — rzekł miękko starszy pan, wyciągając żylastą, smagłą dłoń.

— Witaj, Philo — rzekł Glenn do człowieka, którego nie widział od dwudziestu lat.

— Przyjechałem natychmiast, gdy tylko się dowiedziałem. Co za tragedia! — W cichym, uprzejmym głosie słychać było akcent południowych stanów. — Moja żona... pamiętasz chyba Sandrinę? Zmarła trzy lata temu. A teraz ten nieszczęsny wypadek twego ojca... — Odetchnął głęboko i mrużąc oczy spojrzał na gmach szpitala, jak gdyby mógł przeniknąć wzrokiem stal i cement i dotrzeć wprost na oddział intensywnej terapii. — Kiedy o nim usłyszałem, przypomniałem sobie czasy, gdyśmy wszyscy... — Wzruszony, klasnął w dłonie, na które zdążył już włożyć drogie skórzane rękawiczki. — Nie chcą mnie wpuścić. Tylko najbliższa rodzina, powiedzieli.

Kiedy to mówił, Candice zerknęła na towarzyszących mu mężczyzn i ze zdziwieniem spostrzegła, że obaj przyglądają jej się spoza ciemnych szkieł. Odwróciła wzrok, po chwili spojrzała znowu. Niewidoczne oczy zdawały się przewiercać ją na wylot. Poczowała dreszcz i paskudne podejrzenia wobec całej trójki.

— Jeśli będziesz czegokolwiek potrzebował, synu, zadzwoń. Zostanę w mieście tak długo, jak będzie trzeba. Zatrzymałem się w hotelu „Beverly Hills”.

— Kto to był? — spytała Candice, kiedy limuzyna zniknęła im z oczu.

— Philo Thibodeau. — W głosie Glenna słychać było zakłopotanie. — Teksaski miliarder. Połowa Houston jest jego prywatną własnością, a druga połowa należy do jego licznych firm. Jego żona i moja matka znały się ze studiów. Ostatnio

widziałem go dwadzieścia lat temu, na pogrzebie matki. Całkiem o nim zapomniałem. Dziwne...

Candice знаła to nazwisko. Philo Thibodeau był właścicielem kilku wielkich korporacji, całych miast, ligowej drużyny futbolowej, sieci płatnej telewizji kablowej, sieci hoteli oraz większości bytła w Teksasie. Należał do tych ludzi, których zawsze można dostrzec w tle zdjęć ważnych osobistości — wszędobylski sponsor widywany na balach dobroczynnych, wiecach politycznych i uroczystościach państwowych. Był, zdaje się, nawet bliskim znajomym prezydenta.

Porucznik bez słowa lekko dotknął jej łokcia. Dołączyli do rzeki ludzi wlewającej się do szpitala. Nie uszli jednak daleko.

— Proszę iść — powiedział nagle, zdejmując kapelusz i unosząc dłoń do czoła. — Zaraz panią dogonię. Muszę tylko umyć ręce. — W jaskrawym świetle jareniówek oświetlających hol spostrzegła jego nienaturalną bledość.

Glenn odprowadził ją wzrokiem do windy, po czym znalazł toaletę, zmoczył pod kranem papierowy ręcznik i przetarł nim twarz i kark. Ręce mu się trzęsły, a serce waliło, choć nie wiedział dlaczego.

Przez ostatnie dwadzieścia lat ani razu nie pomyślał o Philonie Thibodeau. Po śmierci matki wykonał tytaniczną pracę, by odciąć się od przeszłości, pozostawić za sobą wszystkie złe wspomnienia i emocje. Gniew zapędził go w góry; wspinał się, by zapomnieć, jaki świat jest zły. Zaliczał ekstremalnie trudne ściany od Wyoming do Szwajcarii, od Tasmanii po Montanę.

Piął się po skalnych urwiskach krusząc stopami przeszłość, wyęzając serce i ciało do granic ludzkiej wytrzymałości, porzucając gniew, nienawiść i miłość daleko w dole, u podnóża. I w końcu mu się udało.

Lecz dzisiaj, przed chwilą, runęła bariera, jaką wzniósł wokół siebie. Philo Thibodeau pokonał ją bez wysiłku niczym wytrawny alpinista.

Dlaczego to spotkanie tak bardzo wytrąciło go z równowagi? Widział w lustrze, że jego twarz jest trupio blada. Nie potrafił sprecyzować swoich uczuć. Nie mógł sobie przypomnieć, jaki miałby mieć powód do niepokoju. Wiedział jedno: z pewnością nie było się z czego cieszyć.

Candice z niedowierzaniem zbliżyła się do łóżka. John Masters jakby jeszcze się skurczył, wyglądał tak krucho! Oczy miał otwarte, ale niezbyt przytomne,

twarz skrzywioną z wysiłku, by dociec, gdzie jest.

— Dzień dobry, profesorze — powiedziała. — Czy pan mnie słyszy?

Błysnęło jej wspomnienie dnia, gdy wygłaszał referat przed gronem ośmiuset największych sław świata archeologii. Zakończył go słowami: „Nie zdołałbym tego osiągnąć bez pomocy doktor Candice Armstrong, która użyczyła mi swej wiedzy i zdolności”. Poprosił ją, by wstała i przyjęła swoją porcję oklasków. Była to dla niej bardzo miła niespodzianka.

Wyjęła z plecionej torby książkę Duchesne'a i podsunęła ją pod światło lampki.

— Zrobiłam to, o co pan prosił — powiedziała, trzymając książkę tak, by ją widział. — Przyniosłam książkę.

Spojrzenie chorego skoncentrowało się na książce.

— Tak, tak. Klucz... — rzekł z wysiłkiem świszczącym, ledwie słyszalnym głosem. — Gwiazda Babilonu.... Musisz ją znaleźć. Jak najszybciej.

— Gwiazda Babilonu? Gdzie mam jej szukać? Pomyślała o dniu, kiedy go poznała. Miał wtedy wykład

w Royce Hall. Wyprostowana za katedrą masywna postać sześćdziesięciodwuletniego wówczas badacza o srebrnych włosach patriarchy i skórze ogorzałej od słońca Palestyny zdawała się dominować nad całą salą. Candice słyszała o nim różne opinie. Postawił sobie za cel udowodnienie, że Stary Testament jest w istocie źródłem historycznym. Aby tego dopiąć, szukał materialnych dowodów na to, że Salomon i Abraham żyli naprawdę.

Owego brzemiennego w skutki popołudnia przed ośmiu laty Candice wzięła udział w toczonej po wykładzie dyskusji. „Panie profesorze — odezwała się — kartusz Atona, będącego bogiem i niebiańskim ojcem faraona Echnatona, nosi nazwę Amram lub jak chcą niektórzy, Abram. Jak w tym kontekście skomentuje pan fakt, że to samo imię przypisywane jest w Biblii ojcu Mojżesza?”

Słuchaczom nie spodobało się to pytanie, rozległ się szmer niezadowolenia, ale John Masters był zachwycony. Ta dziewczyna ma ikrę, pomyślał, nie boi się sięgać do niepopularnych teorii i ma odwagę mówić o nich na głos. Rzecz jasna słyszał już o niej. Osobiście nie wierzył, by to ona ponosiła winę za upadek Fair-



lotha. Miała słuszość ujawniając nieetyczne praktyki tego drania i zasługiwała na to, by dać jej drugą szansę.

To był początek ich przyjaźni. Ze względu na jej biegłą znajomość pisma hieroglificznego Masters zaprosił Candice do udziału w Projekcie Salomona, który okazał się udanym mariażem biblistyki i egiptologii.

— Panie profesorze — szepnęła teraz. — Co to jest Gwiazda Babilonu?

Przymknięte powieki starca zadrżały i znów się uniosły. Posłyszała wysilony oddech i ledwie ulatujące z warg słowa:

— Przywieź ją tu. Gwiazda Babilonu będzie tu bezpieczna.

— Dobrze — przytaknęła dla świętego spokoju. Nie miała pojęcia, o czym mowa. — Znajdę Gwiazdę Babilonu i przywiozę ją. Proszę teraz odpoczywać.

Chory zamknął oczy i zapadł w sen. Candice usiadła przy łóżku wspominając, jak spacerowała z nim w palącym słońcu, wsłuchując się z rozkoszą w melodyjne hebrajskie i arabskie frazy i wyobrażając sobie, że jest jego córką. Jej własny ojciec zginął w Wietnamie mając dziewiętnaście lat, jeszcze przed jej narodzeniem.

Ciąg skojarzeń przypomniiał jej o synu profesora. Zaniepokoiła się, czy nie załabł. Pospiesznie wyszła z oddziału i wpadła na idącego korytarzem mężczyznę.

— Ian! — wykrzyknęła zaskoczona.

Sir Ian Hawthorne należał do elity brytyjskich archeologów. Miał czterdzieści trzy lata; był wysoki, ogorzały, o długich jasnych (złośliwi twierdzili, że tlenionych) włosach. Zawsze przywodził Candice na myśl podstarzałego ratownika. Jego strój — zmięte spodnie khaki, spłowiała dzinsowa koszula i zakurzone okulary w złotych drucianych oprawkach — z pewnością byłby nie na miejscu w Izbie Lordów.

— Co za niespodzianka! — ucieszyła się. — Nie wiedziałam, że jesteś w Stanach.

Hawthorne ucałował ją w policzek.

— Przyjechałem na sympozjum poświęcone archeologii czasów Nowego Testamentu.

— Referujesz coś?

— Niestety nie. Mój Boże, Candice, wyglądasz olśniewająco. Ileśmy się nie widzieli?

— Cztery lata. Ostatnio na seminarium na Hawajach. — Candice rozejrzała się. — Melania przyjechała z tobą?

— Jak by to powiedzieć... Zerwaliśmy ze sobą.

— Tak mi przykro.

— Byłem u Conroya na UCLA. Powiedział mi o Johnie Mastersie. Jestem wstrząśnięty. Pielęgniarki nie chcą mnie do niego wpuścić. Powiedziały, że musiałbym być członkiem najbliższej rodziny albo królową Anglii. Jedno i drugie odpada.

Drzwi windy się otwarły i wyszedł z nich Glenn. Znów był w kapeluszu, ale twarz miał jeszcze bardzo bladą. Candice dokonała prezentacji.

Panowie uścisnęli sobie dłonie. Spoglądając w przekrwione oczy Hawthorne'a Glenn podejrzewał, że czerwone żyłki mają mniej wspólnego ze słońcem pustyni niż z zamiłowaniem do butelki. Na odległość wyczuwał alkoholika.

— Wracam na sympozjum — oznajmił Hawthorne. — Cieszę się, że cię zobaczyłem, Candice. Musimy się kiedyś spotkać. Inspektorze, mam nadzieję, że pański ojciec wkrótce odzyska zdrowie.

Kiedy odszedł, Glenn patrzył przez chwilę w ślad za nim, najwyraźniej analizując coś w myślach.

— Powinna pani na razie zamieszkać gdzie indziej — odezwał się do Candice.

— Myśli pan, że włamywacz może wrócić?

Glenn czuł niepokój. Najpierw Philo Thibodeau w tenisowych bielach, teraz znów ten utytułowany archeolog. Zlatywali się do szpitala jak sepy — oczywiście w trosce o zdrowie jego ojca.

A przy tym dwa włamania — do domu profesora i do Candice.

Nie wierzył w takie zbiegi okoliczności.

— Kochanie! — Sybilla Armstrong uścisnęła córkę, bez żenady przyglądając się towarzyszącemu jej przystojniakowi.

Po wyjściu ze szpitala wrócili do Malibu, gdzie Candice spakowała walizkę i nie bez trudu uwieżyła Pusię w wiklinowym koszu. Potem odwiedzili Sybillę Armstrong, cofając się w czasie o pięćdziesiąt lat.

— Coś okropnego! — wykrzyknęła, wciągając ich do zdumiewającego budynku na szczycie wzgórza. — Włamanie! A ja myślałam, że kanion Malibu jest bezpiecznym miejscem. Dzięki Bogu, że nie było cię w tym czasie w domu!

Jej ton był tak samo dźwięczny i głęboki jak głos Candice, a ciało, pełne i miękkie, przywodziło myśl o dojrzałej brzoskwini. Równo przycięte włosy miała rozdzielone pośrodku i tak natapirowane po bokach, że czubek głowy był całkiem płaski. Ubrana była w bajecznie kolorową tunikę i wąskie czarne spodnie. W uszach kołysały jej się wielkie mieniące się cygańskie kolczyki. Ta kobieta niełatwo ulega modom, pomyślał Glenn. I jest bardzo zamożna, albo on się nie zna na nieruchomościach.

Sybilla Armstrong mieszkała w przeszklonym na wylot domu zbudowanym w połowie XX wieku. Nie był duży jak na tutejsze standardy, lecz roztaczał się z niego widok na wszystkie strony. Teraz, wieczorem, zdawał się unosić nad morzem światła miasta. Na tarasie jarzył się bladą zielenią basen w kształcie nerki. Wnętrze było gustownie urządzone w stylu retro, z sufitu zwisały mobile Caldera.

— Panie inspektorze, czy mogę zaproponować panu drinka?

— Nie, dziękuję. Muszę wracać na posterunek. — Chciał przeprowadzić wstępny wywiad w sprawie Philona Thibodeau i Iana Hawthorne'a.

Miał ochotę ostrzec je, by zaryglowały drzwi i okna i nie wpuszczały obcych. Nie chciał jednak być może niepotrzebnie straszyć kobiet samotnych w domu na wzgórzu. Kiedy wyszedł, od razu połączył się z posterunkiem i załatwił im całodobową ochronę.

Sir Ian nie był zaskoczony, że Jessica Randolph zatrzymała się w najdroższym apartamencie najdroższego hotelu w Los Angeles.

To było w jej stylu. Tylko najlepsze, najdroższe, najrzadsze i najpiękniejsze

rzeczy były dostatecznie dobre dla pani Randolph, marszanda antyków, dzieł sztuki i znalezisk archeologicznych.

Chociaż Ian znał ją dość dobrze i od dawna — mieszkając w Londynie spotykali się czasem — nie mógłby nazwać tej znajomości zażyłą. Pukając więc o tak późnej porze do drzwi jej apartamentu łamał sobie głowę nad przyczyną, która kazała jej nagle do niego zadzwonić. Czego mogła chcieć od splukanego pechowca, który dni chwały miał już poza sobą?

Drzwi otwarły się i ukazała się w nich subtelna twarz w obramowaniu soczyscie rudych włosów. Jessica była nie tylko bogata, była też piękna.

— Ian, kochanie! — powitała go z emfazą, owiewając chmurą perfum Chanel. Miała na sobie powłóczyste spodnie i tunikę z turkusowego jedwabiu.

— Zaskoczyłaś mnie — rzekł, wchodząc. — Nie wiedziałem, że jesteś w Los Angeles. Myślałem, że wyjechałaś do Stambułu, żeby przeprowadzić aukcję siedemnastowiecznej korony.

— Owszem, skarbie. Transakcja została zawarta dwa dni temu. — Uśmiechnęła się chytrze. — Moja prowizja wyniosła pięćset tysięcy dolarów.

Ian uczynił znaczny wysiłek, by nie dać po sobie poznać zawiści.

— Skąd wiedziałaś, gdzie mnie znaleźć?

Ruszyła przodem wdzięcznym krokiem, którego wyćwiczenie — jak podejrzewał — musiało jej zająć lata.

— Słyszałam, że bierzesz udział w tym biblijnym sympozjum, zadzwoniłam więc do organizatorów, którzy byli tak mili i powiedzieli mi, w którym hotelu się zatrzymałeś. Nalej sobie szampana, mój drogi. Zaraz do ciebie wrócę.

Ian zignorował szampana i podszedł do dobrze zaopatrzonego barku. Wybrał whisky Glenlivet, starannie omijając wzrokiem ogorzałą i nieco już zniszczoną twarz w lustrze. Wiedział, że jest przystojny — dostatecznie często czytywał to w kolumnach towarzyskich — ale wcale się taki nie czuł. O jego urodzie, manierach i stanie cywilnym, czyniącym go pożądaną partią, od lat ćwierkano w prasie, jakby jedynym celem jego życia było pokazywanie się na trybunach w Wimbledonie czy Churchill Downs. Teraz jednak miał czterdzieści trzy lata, był zadłużony, znużony pracą, brakowało mu pomysłów i stanowczo za dużo pił.

Jessica rozmawiała przez telefon po francusku, płynnie i z nieskazitelnym akcentem, Ian znał ten język dostatecznie dobrze, by zrozumieć, że Jessica pośredniczy w telekonferencyjnej licytacji pomiędzy kupcami w Singapurze i Quebecu. Jej przedmiotem był Rembrandt wystawiony w Paryżu.

Patrząc na nią, Ian poczuł mimowolny zachwyty. W żyłach Jessiki Randolph nie płynęła krew, lecz złoto. Mówiła specyficznym językiem dolarów, funtów, rubli. Ulubioną muzyką dla jej uszu był brzęk kasy. Urodę mężczyzny oceniała nie patrząc mu w twarz, lecz zaglądając do portfela. Dla Jessiki nie było brzydkich milionerów.

Ian rzucił okiem na wózek z przekąskami. Jakież to dla niej typowe: zamówiła kawior, prawdopodobnie rzadki i najdroższy, jaki był w karcie. Małe łyżeczka nosiła ślady używania, brakowało także paru krakersów. Ale większość kawioru pozostała na talerzyku, porzucona, do sprzątnięcia wraz z okruszkami i skórkami pomarańczy. Jessica nigdy nie zjadała niczego do końca. Skubała odrobinę, resztą gardziła, jak gdyby chciała okazać, że ją na to stać. Apetyt budziły w niej pieniądze, nie potrawy. Tuczyła swoje konto w banku, lecz nigdy ciało.

Podejrzewał, że od początku do końca Jessica jest swoim własnym dziełem. Nikt nigdy nie słyszał o jej rodzinie, środowisku, dzieciństwie, Ian gotów był się założyć, że Randolph nie było jej prawdziwym nazwiskiem. Przed laty miał z nią romans; było to w czasach, gdy Jessica wspinała się dopiero po swej platynowej drabinie. „Romans” to właściwie zbyt wielkie słowo, rodzi bowiem uczuciowe skojarzenia, oni zaś po prostu uprawiali seks, to wszystko.

— Co ci wiadomo o Gwieździe Babilonu? — spytała, zatrzasnąwszy telefon komórkowy.

— Gwiazda Babilonu? — Ian uniósł jasne brwi.

— Wiesz o wszystkim, co w trawie piszczy, skarbie. Być może wpadło ci coś w ucho.

— Nigdy. A co to jest?

— Gdybym wiedziała — rzuciła Jessica sucho — nie pytałabym o nią; już miałabym na nią kupca. — Zapaliła papierosa i wydmuchnęła dym przez nos. — Pomyślałam, że Candice Armstrong mogła ci o niej mówić.

— Dlaczego akurat Candice? A w ogóle skąd ją znasz?

— Słyszałam o niej — mruknęła wymijająco Jessica.

— I dlatego mnie tu zaprosiłaś? Równie dobrze mogliśmy to załatwić przez telefon.

— Chcę cię poprosić o przysługę. — Jessica znów frunęła w drugi koniec pokoju. Nigdy nie przemieszczała się normalnym krokiem. — Muszę dziś w nocy lecieć do Londynu, wypadło mi tam coś nieoczekiwanego. Tymczasem jeden z moich klientów interesuje się obiektem zwanym Gwiazdą Babilonu. Pomyślałam, że mógłbyś nadstawić uszu. To twoje sympozjum ściągnęło tu setki archeologów i historyków z całego świata. Ktoś może o niej napomknąć.

— Na miłość boską, Jessico! — wybuchnął. — Nie mam przecież bladego pojęcia, o co pytać. Co to ma być? Naszyjnik? Mozaika? Ciało niebieskie?

— A skądże mam wiedzieć? — odpaliła równie niecierpliwie. — Po prostu proszę cię tylko, żebyś był na nasłuchu. To ważne. — Pociągnęła papierosa, pozwoli wypuścić dym i dodała:

— Może być warta fortunę. Bardzo chętnie wypłacę ci znaleźne. Zaskoczyła go.

— Zostanę w mieście jeszcze tylko dwa dni — wyjaśnił — a potem wracam do Jordanii.

— Tak, tak, słyszałam. Znów będziesz ryć w ziemi, prawda?

— rzuciła lekceważąco. — Pomyśl lepiej, mój drogi, czy nie przyda ci się hojna prowizja, którą ci wypłacę.

Puściła do niego oko, które odczuł jak policzek. Miał ochotę krzyknąć: „Wygrałaś! To ty masz forszę, ty odnosisz sukcesy! Jesteś nieuchwytna, tajemnicza i traktujesz cały świat jak swój prywatny folwark”. Zamiast tego jednak uśmiechnął się i uniósł szklanę, jakby wznosił toast.

Nie znosił demonstrowanej przez nią wyższości i odrazą napawała go myśl, że jest zdany na jej łaskę. Smutna prawda wyglądała tak, że potrzebował pieniędzy. Przez ostatni tydzień ukrywał się przed bukmacherem, któremu był winien prawie tysiąc funtów za przegrane zakłady.

— Dobrze, złotko — rzekł, odstawiając pustą szklanę.

— Jutro rozpuszczę towarzyskie wici i sprawdzę, czy ktoś słyszał o tej tajemniczej gwiazdzie.

Kiedy wyszedł, Jessica uśmiechnęła się do swoich myśli. Wiedziała, że Ian uważa ją za wredną wyrachowaną sukę. Nic nie szkodzi.

Nie wiedział, i nie musiał wiedzieć, że od dawna istniał dla niej tylko jeden mężczyzna. Wiele gotowa była zaryzykować, by go zdobyć. Zdobędzie Gwiazdę Babilonu, choćby miała ją ukraść. Choćby miała dla niej zabić.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY.

Sybilla wyjechała wcześniej rano w interesach. Candice znalazła w kuchni kartkę:

Na pewno dostaniesz tę pracę, kochanie. Nikt nie zna starożytnego Egiptu tak jak Ty. Jesteś najlepsza! Afera z Fairclothem to już przeszłość, O'Brien dobrze o tym wie. Nie zaszkodzi muzeum tylko po to, żeby zrobić na złość Tobie.

Żałowała, że nie potrafi wykrzesać z siebie równie wiele optymizmu. Rano, gdy się ubierała, zadzwonił telefon, ale nie z San Francisco. Porucznik Masters chciał się upewnić, że obie z matką mają się dobrze i nikt nie nachodził ich w nocy.

— Sprawdziłem pani przyjaciela — dodał.

— Przyjaciela?

— Pan Hawthorne rzeczywiście jest na liście uczestników seminarium i wczoraj był obecny na wykładach.

— Sprawdzał pan Iana? On nie jest złodziejem.

— Pomysły też się kradnie. Częściej niż precjoza.

— W każdym zawodzie zdarzają się czarne owce! — zaprotestowała. — Sir

Ian jest znanym i szanowanym uczonym. Nigdy nie zniżyłby się do tego, żeby wykorzystać kolegę po fachu.

A jednak gdzieś słyszała, że Ian ma kłopoty. Podobno długi hazardowe. Czyjego nagle pojawienie się na scenie to tylko zbieg okoliczności? A może miał jakiś ukryty powód? Ten policjant w każdym widział przestępcę — jak to policjant. Po namyśle doszła do wniosku, że zbytnio mu się nie dziwi.

Zeszłej nocy stał w milczeniu z ręką na poręczy łóżka, patrząc na twarz starca, jakby się za niego modlił. Oczy miał nieprzeniknione, a z postawy Candice nie umiała wywnioskować, o czym myśli. Masters stanowił dla niej zagadkę. Pod maską opanowania wyczuwała w nim aurę głębokiej melancholii, jak gdyby to muskularne ciało zamieszkiwały dwie osoby — sztywny funkcjonariusz i jeszcze jeden człowiek, którego dotąd nie poznała. Dlaczego robił na niej wrażenie, że najwyższym wysiłkiem woli ciągle trzyma się w ryzach? Że najłżejsze osłabienie uwagi wyzwoli w nim...

Właśnie, co? Furię? Łzy? Atak hysterii? Nie potrafiła sobie wyobrazić tego drugiego Glenna Mastersa. Możliwe, iż ciągle samokontrola zabiła w nim prawdziwe oblicze.

W zadumie nacisnęła dzwonek przy drzwiach na oddział intensywnej terapii. Kiedy wpisywała się na listę gości, pielęgniarka przy biurku zmarszczyła brwi.

— Panna Armstrong? Przecież pani już weszła?

— Znów to samo? — Można by pomyśleć, że gdzie jak gdzie, ale tutaj powinni zwracać większą uwagę na ruch odwiedzających. — Owszem, byłam tu wczoraj wieczorem... — zaczęła, chcąc zauważyć, że nadal nie zmienili arkusza wpisów, gdy za szybą zobaczyła nachyloną nad Mastersem smukłą rudowłosą kobietę. — Kto to jest?

— Pani Candice Armstrong. — Mina pielęgniarki świadczyła wyraźnie, że przestała cokolwiek rozumieć.

— Ależ to ja jestem Candice Armstrong!

Jej okrzyk zwrócił uwagę rudowłosej, która podniosła wzrok, przyjrzała się jej, a potem złapała torebkę i biegiem wypadła na korytarz.

— Jedną chwilkę... — zaczęła Candice, lecz kobieta minęła ją i pobięła do



windy. Candice ruszyła za nią, ale drzwi zamknęły jej się przed nosem. Zobaczyła tylko trzydziestoparoletnią, uderzająco piękną twarz, której — tego była pewna — nigdy w życiu nie widziała.

Zbiegła po schodach i dotarła do holu na czas, by ujrzeć, jak jej samozwańcze alter ego wypada na parking dla karetek. Klucząc pomiędzy noszami i fotelami na kółkach, Candice popędziła za nią, wołając:

— Proszę zaczekać! Kim pani jest?

Kobieta przemknęła przez śliski od deszczu plac i zniknęła w czeluściach wielopoziomowego parkingu przyległego do szpitala. Candice przyhamowała przed nadjeżdżającym samochodem. Ominąwszy go, przyspieszyła, starając się nie stracić tamtej z oczu. Ruda grzywa rozplynęła się jednak w mroku betonowego budynku.

Otoczona przez ściany odbijające każdy dźwięk, Candice przystanęła i nadstawiała uszu. Którędy teraz?

Posłyszała staccato wysokich obcasów na następnym poziomie. Ruszyła rampą w górę i wypadłszy zza zakrętu zobaczyła, jak ruda wsiada do czerwonego mustanga z opuszczonym dachem i czerwoną skórzaną tapicerką.

— Hej, ty! — wrzasnęła Candice.

Kobieta nawet na nią nie spojrzała; przekręciła kluczyk w stacyjce i wycofała samochód. Nim zmieniła bieg, Candice dopadła wozu i z całej siły wyrznęła pięścią w bagażnik.

— Nie waż się odjeżdżać! Kim jesteś? Dlaczego się za mnie podajesz?

Ruda rzuciła okiem w lusterko i nacisnęła gaz. Mustang wyprysnął naprzód, z piskiem opon skręcił na rampę i po chwili już go nie było.

Candice spoglądała za nim bezradnie. Znów zapomniała spojrzeć na numer rejestracyjny.

Skręciła do wyjścia i wtedy posłyszała dźwięk, który zjeżył jej włosy na głowie. Ryk grzanego w miejscu silnika — jakby kierowca czekał na sygnał do startu. A potem pisk opon i w następnej chwili czerwony mustang wyłonił się zza zakrętu

pędząc wprost na nią.

Rzuciła się do ucieczki.

Mustang ruszył w pościg, prawie nie zwalniając na ostrych zakrętach rampy wiodącej na coraz wyższe piętra. Owładnięta paniką Candice nie próbowała nawet kluczyć; biegła wciąż pod górę, upadła, kiedy złamał jej się obcas, i zerwała się w ostatnim momencie, niemal tuż przed zderzaka nacierającego na nią wozu. Do-  
bywając resztek sił wypadła na górne piętro parkingu. Dopiero tam zdała sobie sprawę, że strach zapędził ją w pułapkę: ostatni poziom był odkryty i nie było z niego wyjścia.

Dlaczego ta kobieta próbuje mnie zabić?

Przystanęła na chwilę. Taras był prawie pusty, przed sobą miała schludny rząd zaparkowanych samochodów lepszej klasy, a nad głową zachmurzone niebo.

Obróciła się. Mustang pędził wprost na nią. Ta wariatka chciała ją rozgnieść jak pluskwę!

— Oszalałaś? — krzyknęła uskakując sprzed kół. Zobaczyła rozwiane rude włosy, blade dłonie zaciśnięte na kierownicy, oczy ukryte za ciemnymi szklami.

Podbiegła do krawędzi dachu, gdzie sięgający pasa murek dzielił ją od pięcioletniej przepaści.

— Pomocy! — krzyknęła, lecz wiatr uniósł jej wołanie. Nikt z przechodniów nawet nie podniósł głowy. Rzuciła się do drabinki pożarowej, gdy jednak spojrzała w dół, ulica i ludzie zawirowali jej przed oczyma. Zatoczyła się chwiejnie do tyłu.

Niewiele myśląc, wdrapała się na maskę zaparkowanego najbliższej błękitnego lexusa. Miała do dyspozycji kilka mercedesów, bmw, porsche, nawet jednego rolls-royce'a. Z pewnością wyposażony był w alarmy. Zaczęła skakać z jednej maski na drugą przy wtórze ogłuszającej kakofonii syren i klaksonów w nadziei, że może to wreszcie zwróci uwagę ochrony.

Ale kiedy ześliznęła się z ostatniej maski, ujrzała przed sobą chromowaną krawężnik czerwonemu mustanga.

— Chciała mnie rozjechać! W biały dzień na publicznym parkingu! To jakaś

psychopatka!

Lekarz chciał jej dać środek uspokajający, lecz odmówiła. Zależało jej na tym, by zachować pełnię władz umysłowych i móc odtworzyć w pamięci wszystkie szczegóły. W ostatniej chwili, gdy już była pewna, że zginie, mustang ostro zawrócił i popędził rampą w dół. Zapewne prowadząca go kobieta uświadomiła sobie, że hałas zaraz ściągnie ochronę.

Siedziała na wysokiej kozetce za parawanem, nerwowo machając nogami w powietrzu. Miała na sobie spódnicę z sutą falbaną. Stojący obok Glenn starał się nie patrzeć, jak marszczona tkanina ociera się o jej łydki.

— Nie powinna była pani za nią biec. — Zabrzmiało to jak oskarżenie.

— Podawała się za mnie! Co, miałam grzecznie czekać na przybycie policji? Chciałam się dowiedzieć, czego chce od profesora!

— Jeden ze świadków spisał numery wozu — przerwał jej spokojnie. — Znajdziemy ją. Czy czuje się pani dostatecznie silna, żeby iść do ojca?

— Czuję, że zaraz szlag mnie trafi! — syknęła, zbierając swoje rzeczy. Tego było za wiele. Splądrowany dom, ukochana kotka wypuszczona samopas na jezdnię, jakaś baba posługuje się jej tożsamością, a na dodatek usiłuje ją przejechać!

Glenn nie dziwił się jej zbyt, chociaż był zdania, że powinna bardziej nad sobą panować.

Kiedy stali w windzie, wciśnięci między ludzi z kwiatami, Candice nie widziała dokładnie jego twarzy. Nieodłączna fedora

— tym razem granatowa — nasunięta na czoło ocieniała jego oczy. Czowała jednak, że jest podminowany. Z powodu tego, co się jej przydarzyło? Czy też zderwowało go coś innego?

Po wyjściu z windy ujrzeli na korytarzu liczną grupę ludzi. Widząc Glenna tłumek obstał go wkoło, wyrażając współczucie. Byli tu zarówno młodzi, jak i starzy, jakaś kobieta w sari, Azjata w popielatym garniturze, z rozwichrzoną brodą sięgającą pasa. Wszyscy mieli poważne, zatroskane miny. Glenn stał w środku zmieszany. Wyglądało na to, że ich nie zna.

Miliarder Philo Thibodeau występował dziś w białych spodniach i białej szytej na miarę koszuli z wyhaftowanym na kieszeni emblematem. Rozpięty kołnierzyk odsłaniał opaloną na brąz szyję kontrastującą z przyszczyżoną białą brodą. Znow towarzyszył mu osobliwy duet, który zdaniem Candice mógł pełnić rolę ochrony, chociaż obaj mężczyźni byli drobnej budowy i najwyraźniej nie nosili broni. Zachowywali się z wyczuwalną arogancją; patrzyli na innych z góry jak dwa pawie. Słyszając, że ciemnoskóry mówi coś do Philona, zrewidowała swój wcześniejszy pogląd: to nie był amerykański Murzyn, tylko Afrykańczyk; miał dość silny obcy akcent, może z Kenii? Ten drugi, ze znamieniem w kształcie dłoni, przyglądał się jej zza ciemnych szkieł tak samo jak dzień wcześniej. Poczowała ciarki pełzające jej po plecach.

— Witam panią — rozległ się jedwabisty głos tuż obok niej.

— Doktor Armstrong, prawda?

Candice odwróciła się zaskoczona i ujrzała niską, pulchną kobietę, która w ozdobionym piórami kapeluszu przypominała przepiórkę. Była już na pewno po sześćdziesiątce, a jej twarz wydała się Candice znajoma.

— Poznałam panią dzięki zdjęciu na okładce pani przekładów egipskiej poezji miłosnej — podjęła miłym głosem kobieta.

— Bardzo inteligentnie zinterpretowała pani znak wadżet. Tam, gdzie inni tłumacze zawiedli, pani udało się wczuć w psychikę starożytnych Egipcjan. — Kobieta uśmiechnęła się. — Ja też jestem z branży — dodała wyciągając odzianą w rękawiczkę dłoń.

— Mildred Stillwater.

Candice wytrzeszczyła oczy. Miała przed sobą jednego z czołowych ekspertów w dziedzinie starożytnych języków Bliskiego Wschodu.

— Doktor Stillwater! Jestem zaszczycona! Przez cały czas posługiwałam się pani książką, żeby zweryfikować odczyt.

Kobieta uśmiechnęła się ponownie.

— Przyszliśmy tu wszyscy złożyć uszanowanie Johnowi. Jeśli odzyska przytomność, czy będzie pani tak miła i powie mu, że jest stale obecny w moich myślach?

— Z pewnością będzie pani wdzięczny za modlitwę. W oczach Mildred Stillwater pojawił się dziwny błysk.

— My się nie modlimy, kochanie — powiedziała. — Ale John o tym wie. Zrozumie.

Thibodeau pospiesznie podszedł do Mildred, uśmiechnął się uprzejmie i rzekł:

— Chyba nie powinniśmy teraz zawracać głowy pani doktor Armstrong... — po czym odprowadził ją na bok.

W grupie był także Ian Hawthorne; jasnoszary grubo dziergany sweter podkreślał jego ogorzałą cerę.

— Pojutrze wracam do Jordanii — bąknął i wzruszył ramionami. — Wykopaliska niezbyt bogate, ale przynajmniej moje.

— Doktor Armstrong — wtrącił się Glenn. — Możemy teraz wejść.

Ian ujął ją za ramię.

— Posłuchaj, Candice. Mam jeszcze prawie dwa dni, więc gdybyś czegokolwiek potrzebowała, gdybym mógł ci jakoś pomóc... — Wskazał oczyma wejście na oddział intensywnej terapii. — Lubilem staruszka. — Podał jej wizytówkę z licznymi numerami telefonów.

Candice podziękowała i pospieszyła na oddział, gdzie Glenn okazał swoją odznakę i zaczął przesłuchiwać personel. Rudowłosa kobieta odwiedziła profesora parokrotnie, za każdym razem przedstawiając się jako Candice Armstrong. Nie, nie wiedzą, czy udało jej się porozmawiać z chorym. Podczas gdy Glenn zażądał wglądu do rejestru odwiedzin, Candice weszła do separatki swego dawnego mentora.

Jego stan się pogorszył, twarz przybrała barwę popiołu. Ujęła go za rękę. Miała wrażenie, że trzyma zimne kości owinięte w stary papier. Profil starca przypominał mumię Setiego I, wielkiego i szlachetnego władcy. Zaskoczyło ją jego nagłe wychudzenie.

Jeszcze parę lat wcześniej był tęgi i pełen życia. Czy możliwe, by człowiek starzał się w takim tempie?

Żałowała, że nie potrafi się zań pomodlić. Nie była wierząca; matka nie wpoila

jej żadnej religii, nigdy nie chodziły do kościoła. Candice pomyślała o wszystkich świętych tekstach, które profesor w ciągu swego życia odczytał i zanalizował, objaśniając je innym. Nigdy nie rozmawiał z nią na temat religii pojmowanej osobiście. W częstych dyskusjach traktowali ją tylko jako jeden z aspektów życia starożytnych ludów. Zastanawiała się, jaką modlitwę wybrałby, aby odmówił ją nad nim teraz.

Dopiero po chwili zdała sobie sprawę, że otworzył oczy.

— Panie profesorze? — odezwała się cicho.

Bez zmruczenia patrzył w sufit. Candice nachyliła się, umieściwszy się na linii jego wzroku. Spojrzenie miał niewidzące, oczy szkliste.

— Profesorze? — powtórzyła nieco głośniej.

Gałki drgnęły lekko w sędziwych oczodołach. Mętne źrenice odnalazły twarz Candice i zatrzymały się na niej. Poczowała drgnienie dłoni, którą trzymała w swojej. Pierś starca uniosła się z wysiłkiem, gdy zaczerpnął tchu, szepnął:

— Dżebel... Mara...

Usta miał skrzywione jak po wylewie. Nachyliła się niżej.

— Co pan mówi?

Język i wargi były wyschnięte, szczeka zdawała się skrzypieć przy poruszaniu.

— Dżebel... — powtórzył — Mara.

— Co to jest Dżebel Mara?

Na moment jego spojrzenie nabrało ostrości i wtedy ją rozpoznał.

— Candice — powiedział. — Znajdź Gwiazdę Babilonu...

— Tak, panie profesorze, znajdę ją. Przyniosę ją panu. Proszę się nie męczyć.

Jego twarz zmarszczyła się ze zmartwienia i wysiłku. Candice poczuła niepokój. Może powinna wezwać pielęgniarkę?

— Obiecuj, Candice. Dżebel Mara...

— Obiecuję — powiedziała widząc, jak iskra w jego oczach gaśnie, a dłoń zaczyna się rozluźniać. — Znajdę Gwiazdę Babilonu. Proszę teraz odpocząć.

Znalazła Glenna w dyżurce pielęgniarskiej, gdzie lodowatym tonem informował personel, iż wcale mu się nie podoba to, że obcy mają tak łatwy dostęp do chorego. Miał zamiar umieścić strażnika przy wejściu na oddział i żądał, by sprawdzano dokumenty każdej osoby pragnącej widzieć się z profesorem Mastersem.

— Lista tych osób będzie krótka — warknął, z trudem hamując wściekłość. — Ja i tu obecna doktor Armstrong. Jeśli ktokolwiek inny zechce widzieć się z moim ojcem, żądam, by natychmiast mnie o tym zawiadomiono, czy to jasne? A jeśli pojawi się tu ta rudowłosa kobieta, proszę ją zatrzymać.

Kiedy automatyczne drzwi otworzyły się przed nimi, zobaczyli, że tłumek w holu zgęstniał. Szpitalny strażnik prosił właśnie zebranych, by się rozeszli. Jedna z kobiet, starsza już Latynoska z długimi srebrno-czarnymi warkoczami i skórą barwy starej kości słoniowej, protestowała głośno, żądając, by pozwolono jej się widzieć z señorem Glennem.

— O, jest! — wykrzyknęła i podbiegła do niego. — Lo siento — powiedziała. — Przepraszam. Przepraszam.

Glenn położył jej dłoń na ramieniu.

— W porządku, pani Quiroz, przecież to nie pani wina. Wypadki się zdarzają.

— Jak dzwoniłam wczoraj, byłam zdenerwowana! Gdzie ja miałam głowę! Powinnam od razu panu powiedzieć. A potem przyszedł mąż, zabrał mnie do domu.

— O czym powinna mi była pani powiedzieć? — spytał cierpliwie Glenn.

— Chciałam powiedzieć i zapomniałam. Pana tata pisał list, zanim spadł. Zobaczyłam go i schowałam. Zaczynał się „Kochany synu”, więc wiedziałam, że ważny. Myślę sobie: przyjdzie policja, weźmie. A teraz, Dios mio, nie mogę sobie przypomnieć, gdzie go dałam!

— Nie szkodzi, pani Quiroz. Znajdę go.

— Musiałam go schować.

— Dlaczego? — Glenn urwał i dodał: — Dlaczego sądziła pani, że policja zabierze list?

— Bo pana tata... — kobieta przeżegnała się, różaniec, który zaciskała w rękę, lekko brzęknął. — Nie zrobił tego sam!

Glenn zeszywniał.

— Co pani przez to rozumie?

— Pracowałam długo, wie pan? Profesor mówi: mam iść do domu, ale musiałam zmyć podłogę w kuchni, przez ten deszcz pełno błota.

Profesor pisał list. Potem słyszę dzwonek do drzwi, idą na górę. Nie wiem kto. Klóć się, profesor bardzo zdenerwowany. I nagle hałas, wybiegłam, profesor pod schodami, a na dworze ktoś ucieka.

— Pani Quiroz — głos Glenna był nieludzko spokojny — co pani mówi?

— On się nie potknął. Chodził przecież po schodach ze sto razy na dzień. Uważał. Nie spadłby. Señor Glenn, ten ktoś popchnął!

## ROZDZIAŁ SIÓDMY.

Bieg. Najszybciej, jak się da. Nogi miękną, serce i płuca omal nie eksplodują. Kolejny przełącznik trenażera: jeszcze prędzej, jeszcze bardziej stromo. Do upadłego.

Ktoś próbował zamordować ojca.

Pot lał się z twarzy i szyi Glenna, z całego ciała, ręce miał zwinięte w pięści, ramiona poruszały się jak tłoki, stopy bębniły w gumową taśmę. Nawet dźwięk maszyny stał się bardziej wysilony, jak gdyby i ona miała już dość.

Kiedy pani Quiroz powiedziała w szpitalu: „Ktoś go popchnął”, Glenna ogarnęła ślepa furia. Miał ochotę eksplodować, spuścić z uwięzi wszystkie swoje emo-



cje i do diabła z konsekwencjami. Zamiast tego spytał: „Jest pani pewna?“, wyjął notatnik i skrupulatnie zapisał jej zeznania. Na zewnątrz spokojny, w środku gotował się z wściekłości.

Gdy podniósł wzrok, zauważył, że pośród ludzi zgromadzonych w holu nie ma już Philona Thibodeau. Natychmiast zadzwonił do hotelu „Beverly Hills”. Nie mieli go na liście gości. Połączył się z posterunkiem i kazał im sprawdzić wszystkie hotele w Beverly Hills i Los Angeles.

Później odwiózł Candice Armstrong do domu matki. Różowa kamea drżała w zagłębieniu jej szyi, jakby rzeźbiona bogini także czuła gniew. Zanim odjechał, upewnił się, że wszystko jest w porządku, radiowóz stoi na podjeździe, wszystkie drzwi i okna są pozamykane. Candice była bardzo blada, miała białe plamy wokół ust, a jej głęboki głos brzmiał ochryple, gdy powiedziała:

— Niech pan znajdzie tego, kto to zrobił.

Przepchnął oba przełączniki aż do końca, eksploatując ciało z resztek sił. Serce mu waliło, z trudem łapał powietrze. Nie mógł przestać biec. Jeśli teraz przestanie, straci nad sobą kontrolę.

Ustalili, że Philo Thibodeau nie meldował się w żadnym z hoteli okręgu Los Angeles.

— Sprawdźcie lotniska — rozkazał.

Odpowiedź przyszła prawie natychmiast. Prywatny odrzutowiec będący własnością Philona Thibodeau otrzymał pozwolenie na start z międzynarodowego lotniska w Los Angeles niecałą godzinę po tym, jak pani Quiroz wypowiedziała swe brzemienne w treść oświadczenie. Jako cel lotu podany został Singapur.

Glenn miał ochotę sam się kopnąć. Powinien był od razu o tym pomyśleć; powinien był przygwoździć Philona już wczoraj na parkingu, kiedy instynkt podpowiadał mu, że nagłe pojawienie się tego człowieka nie wróży nic dobrego. Nie miał żadnych dowodów, nic nie łączyło miliardera z zamachem na jego ojca, dwoma włamaniami i rudą wariatką, która próbowała przejechać Candice Armstrong. A jednak przez cały czas miał pewność, że za tym wszystkim stoi Philo.

Dosyć tego!

Zwolnił taśmę trenażera i powściągnął furie dał wytchnienie nogom przecho-

dząc w lekki trucht, zanim bezpiecznie wyłączył maszynę i stanął bez ruchu.

Ale znieruchomiało tylko jego ciało. Mózg wciąż pracował na najwyższych obrotach. Nie mógł dać się zwieść fałszywemu poczuciu bezpieczeństwa tylko dlatego, że Philo był o tysiące mil stąd. Zarzucona na niego sieć musi objąć cały glob. Tak, żeby się nie wymknął.

Tymczasem zamówił listę połączeń telefonicznych ojca oraz wyciągi bankowe. Poszuka powtarzających się numerów i sprawdzi, czy z konta nie dokonywano ostatnio większych przelewów. Jutro jego ludzie przepytają studentów na uniwersytecie, antykwariuszy, mieszkańców Bluebell Lane, posłańców ze sklepu, ogrodnika, listonosza — wszystkich, którzy mieli kontakt z jego ojcem.

Przysiągł sobie zdobyć potrzebne dowody, zanim Philo znów uderzy.

Candice trzęsącymi się rękami rozpięła bluzkę.

Wciąż kręciło się jej w głowie od szoku. Ktoś zepchnął profesora ze schodów. Prześladowała ją wizja tego upadku. Jak strasznie bezradny musiał się czuć, gdy straci! równowagę i runął objijając się o stopnie, siniacząc i kalecząc kruche ze starości ciało, świadom, że gdy stoczy się na dół, może już nie żyć.

Ktoś usiłował za wszelką cenę zdobyć Gwiazdę Babilonu.

Candice miała ochotę krzyknąć albo tłuc po kolei wszystkie matczyne szkła. Zamiast tego zadzwoniła do paru osób z pytaniem, czy ktoś ma stare numery International Antiquities Market-place. Pilnie musieli się dowiedzieć, co kupił profesor i od kogo. Zastanowiła się przelotnie, czyby nie zagadnąć kilku znajomych, co wiadomo światu o Gwieździe Babilonu, ale po namyśle zrezygnowała. Skoro profesor utrzymywał swoje śledztwo w tajemnicy, ona powinna postępować tak samo.

Spędziła wieczór przeszukując książki i Internet. Czytała rzymskie legendy, teksty średniowiecznych rękopisów, relacje Marca Polo i przypisywane mu pogłoski. Dowiedziała się tylko, że termin odnosi się do symbolu siedmioramiennej gwiazdy albo do rzeczywistego ciała niebieskiego — Kapelli, szóstej co do jasności gwiazdy na nocnym niebie. Nazywano też tak boginię Isztar. W końcu prze-faksowała rycinę kamienia Duchesne'a do wydawcy Starożytnych tekstów Bliższego Wschodu. Jeśli ktokolwiek był w stanie zidentyfikować alfabet, to tylko on.

Ale czym było Dżebel Mara? Nazwa brzmiała z arabska lub z hebrajska, a Ian

Hawthorne znał oba te języki; dysponował też potężną wiedzą na temat Jerozolimy od czasów niewoli babilońskiej do jej podboju przez Rzymian. Miał niesamowite wyczucie: potrafił spojrzeć na kawałek glinianej skorupy i określić, za którego z Machabeuszów została wypalona. Szkoda, że nie mogła go wtajemniczyć.

Weszła do kiczowatej sypialni, rozchyliła zasłony i wyjrzała na zewnątrz. Czarno-biały policyjny radiowóz wciąż był zaparkowany na podjeździe. Siedzący w nim policjant pomachał do niej ręką. Odpowiedziała takim samym gestem.

Glenn Masters nalegał, że musi mieć ochronę. Chętnie się zgodziła. Czuła się bezpieczniej wiedząc, że w pobliżu jest policjant, zwłaszcza teraz, gdy zapadła noc, a ona była sama w domu na wzgórzu.

Glenn Masters... Candice była zaskoczona własną reakcją, gdy wszedł na pogotowie po incydencie z czerwonym mustangiem. Ucieszyła się, zyskując niewytłumaczalną pewność, że przy nim nic jej nie grozi. Już bardzo dawno żaden mężczyzna nie budził w niej tego rodzaju odczuć. Nie pamiętała nawet, czy w ogóle był ktoś taki. Jego wysoka postać i niewzruszony spokój sprawiały, że czuła się jak będąca w opresji bohaterka romantycznych powieści. Ku swemu zdumieniu odkryła, że nie ma nic przeciwko temu.

Znów zastanowiła się, czy jest żonaty. Nosił co prawda gładką złotą obrączkę na prawej ręce, ale...

Stop, powiedziała sobie. Posuwasz się za daleko.

Sypialnia Sybilli, podobnie jak reszta domu, tkwiła głęboko w latach pięćdziesiątych. Jedynym ustępstwem na rzecz współczesności był elektroniczny budzik na duńskiej nocnej szafce z drzewa tekowego i stojące obok w ramce zdjęcie młodego żołnierza. Wyglądał jak mały chłopiec przebrany dla zabawy. Był to ojciec Candice; miał wtedy dziewiętnaście lat i wkrótce potem zginął w Wietnamie.

Z głębi domu dobiegł szmer.

— Pusi! — zawołała wystraszona Candice. Spróbowała się odprężyć, tłumacząc sobie, że jest roztrzęsiona po incydencie na parkingu. Najpewniej kotka zwiedzała nie znane sobie wnętrza.

Otworzyła szafę, żeby znaleźć szlafrok.

Sybilla ubierała się jaskrawo, lecz konsekwentnie trzymała się swojego stylu.

Szkarłatne i granatowe jedwabie, naturalne i sztuczne, perkale o barwie żonkili i kremowe lny, a do tego starannie dobrane dodatki. Candice znalazła jedwabne kimono drukowane w kwiaty jabłoni i wiśni.

Otrzymawszy kondolencyjny telegram ze sztabu armii, Sybilla Armstrong rzuciła studia i zatrudniła się jako sekretarka w agencji reklamowej. Była inteligentna, kreatywna i pełna świeżych pomysłów, które jej szef wykorzystywał bez skrupułów, wszystkie profity zagarniając dla siebie. Podczas gdy on dostawał podwyżki i awanse, Sybilla wciąż była kiepsko opłacaną wyrobnicą. Kroplą, która przepełniła czarę jej goryczy, była sprawa perfum.

Telefon brzęknął krótko i z szumem włączył się faks. Candice podbiegła do aparatu, modląc się, by znajomy redaktor rozpoznał zapis na kamieniu Duchesne'a. Mina jej zrzędała, kiedy przeczytała odpowiedź: „Alfabet nieznanym”.

Wróciła do łazienki, rozebrała się i odkręciła prysznic. Kusila ją kąpiel w wannie, ale nie miała czasu na wylegiwanie się w gorącej wodzie. Szybki natrysk i z powrotem do roboty. Gdy była już jedną nogą w kabinie, znów postyszała hałas. Tym razem to nie faks.

Narzuciła szlafrok i wyjrzała do sypialni, gdzie przyćmione światło rzucało na ściany delikatne cienie. Przez otwarte drzwi widziała salon, a dalej jarzące się wśród nocy światła Los Angeles. Opalizujący basen odbijał się w szybie; po ścianach salonu tańczyły bladozielone refleksy przybierając nieomal ludzkie kształty.

— Pusia! — zawołała, myśląc: Co ten kot znów wyprawia?

Nasłuchiwała jeszcze chwilę, po czym weszła pod prysznic.

Mimo że świat reklamy zdominowany był przez mężczyzn, Sybilla marzyła o samodzielnym stanowisku w firmie, własnym gabinecie z własną sekretarką i o własnych projektach. Uczyła się wieczorowo, zaliczała coraz to nowe kursy, aby podnieść swe kwalifikacje. Wiedziała, że sukces jest w zasięgu ręki. I wtedy firma dostała zlecenie od producenta kosmetyków. Potrzebował nowego image'u dla produkowanych od dawna perfum, których kwiatowe nazwy mocno się już opatrzyły. Sybilla zaproponowała, by odwołać się do uczuć używając takich słów jak „namiętność”, „tęsknota” czy „miłość”. Wody i balsamy otrzymały nazwy: „Słodkie sny”, „Wiosenny Deszcz”, „Mgła jesieni”. Pomysł chwycił. Sprzedaż skokowo wzrosła. Szef Sybilli, pan Wyatt, otrzymał hojną premię i awansował do zarządu firmy, a Sybilli nawet nikt nie podziękował.

Zrobiła wtedy coś niebywałego: poszła do pana Wyatta i zażądała, by wymieniono ją jako autorkę projektu. Natychmiast zwolnił ją z pracy. Udała się więc do pozostałych członków zarządu, pisała listy do gazet, wystąpiła nawet w audycji lokalnej stacji radiowej. Nie ustąpiła nawet wtedy, gdy Wyatt pod naciskiem wspólników zaoferował jej ponowne przyjęcie do pracy i podwyżkę. Powtarzała uparcie: „Świat ma wiedzieć, że to mój pomysł”.

Osiągnęła cel udając się wprost do jednego z klientów, producenta damskiej bielizny, który właśnie zamierzał wypuścić na rynek nową linię fasonów. Sybilla dowiodła mu, że to ona jest autorką poprzednich kampanii reklamowych ich firmy, i zaoferowała się, że opracuje projekt nowej kampanii za darmo.

Wynik przeszedł najśmielsze oczekiwania. Gdy założyła własną małą agencję, dwóch poważnych klientów Wyatta przeszło do niej, chętnie podejmując ryzyko. Nie zawiedli się. Napływali kolejni klienci, obroty rosły, a dziś Sybilla Armstrong obsługiwała tylko firmy z górnej półki i zarabiała kokosy. Była to nagroda za to, że miała odwagę walczyć o swą sprawę.

Wszędzie to samo, pomyślała Candice. Teraz ktoś chciał bezprawnie wykorzystać pomysł profesora Mastersa. Przysięgła sobie, że do tego nie dopuści.

Zakręciła wodę i uchyliła zaparowane drzwi kabiny prysznicowej. Po ścianach sypialni przebiegły jaśniejsze smużki, jak gdyby ktoś pływał w basenie. Chyba zerwał się wiatr. Drzewa rzuciły niesamowite cienie na mur ogrodu, tworząc złudzenie, że wspinają się nań widmowe postacie.

Zbeształa się w duchu za to, że sama potęguje nastrój grozy. Ostatecznie przed domem czuwał policjant. Kiedy pomyślała: „policjant”, w jej umyśle zmateriałizował się obraz Glenna Mastersa. I znów serce drgnęło wbrew jej woli. Serce to w ogóle krnąbrny organ, niepodległy woli mózgu. Candice nie zamierzała zawracać sobie głowy porucznikiem ani żadnym innym mężczyzną, ale jej serce miało własne plany i bynajmniej nie pytało jej o zgodę. Uczyniła wysiłek, by wymazać wspomnienie wysokiej sylwetki w eleganckim, odrobinę przekrzywionym kapeluszu.

Przestań! zezłościła się na siebie. Miała ważniejsze rzeczy do przemyślenia. Muzeum Archeologiczne w San Francisco planowało realizację dokumentalnego serialu telewizyjnego o kobietach w starożytnym Egipcie — żonach, matkach, garncarkach, muzykantkach i tancerkach, szwaczkach i królowych. Potrzebny im był konsultant historyczny. Candice zrobiłaby niemal wszystko, żeby dostać tę

pracę. Czy nie powinna skupić się raczej na tym, niż na profesorze i jego tajemniczej Gwieździe Babilonu?

Sięgając po ręcznik, przypomniała sobie, jak rok temu widzieli się po raz ostatni. Jedli razem lunch na uniwersytecie, gdzie profesor wciąż miał wykłady. Słuchając jej namiętej egiptologicznej perory spytał nagle:

— Czego ty szukasz, Candice?

— „Prawdy! — odparła z zapałem. — Odpowiedzi na pytania, wyjaśnienia tajemnic! Co stało się z Neferetiti po upadku rządów jej męża? Kim był faraon opisany w księdze Wyjścia?...”

— Nie — rzekł po namyśle. — Mam wrażenie, że szukasz własnej duszy.

Trzask!

Candice podskoczyła. Z bijącym sercem nastawiła uszu, wpatrując się w cienie pełzające po ścianach. Pewnie Pusia zmiotła coś z półki tym swoim długim, niesfornym ogonem.

Lepiej to jednak sprawdzić.

Glenn wyszedł spod prysznica i sięgnął po ręcznik. Wycierając się, kątem oka zobaczył w lustrze fragment swoich pleców, paskudną nierówną bliznę na prawej łopatce. Tamtego dnia myślał, że umrze. Pamiętał pochyloną nad sobą bladą jak ściana twarz Sherry. Ciekawe, co dziś robi. Pewnie się wspina. Zabawne, że można być ze sobą tak blisko, nawet myśleć o małżeństwie, a potem zauroczenie pierzcha i ludzie stopniowo stają się sobie obcy. Być może jedynym, co ich kiedykolwiek łączyło, były góry.

Pomyślał o Candice Armstrong.

Inteligentna, lecz zbyt impulsywna. Ryzykantka. Słyszał o skandalu rozpętanym wokół Barneya Fairclotha w związku z grobowcem Tetefa. Musiał oddać jej sprawiedliwość: była odważna, ale On sam zabrałby się do sprawy zupełnie inaczej — spokojnie i metodycznie. Punkt po punkcie. Rezultat byłby ten sam — zrujnowana reputacja Fairclotha — a obyłoby się bez kłopotów, w jakie wpadła Candice. Teraz jej kariera leżała w gruzach. Była zbyt niecierpliwa. Nie chciałby, żeby ktoś taki partnerował mu podczas wspinaczki.

Naciągnął spodnie od dresu i koszulkę i podszedł do telefonu, żeby zadzwonić na posterunek. Nic nowego nie odkryto.

Dlaczego nie wyszła za mąż? Czy poświęciła się wyłącznie pracy? Przypominał sobie namiętną furie, która gorzała jej w oczach, gdy zbierała notatki z podłogi pokoiku stanowiącego centrum jej wszechświata. Wyglądała jak matka walcząca w obronie dzieci.

Candice Armstrong zajmowała stanowczo zbyt wiele miejsca w jego myślach. Trochę go to martwiło. Siłą zepchnął ją na dalszy plan i skupił się na Philonie Thibodeau — mężczyźnie, o którym nie myślał od wielu lat, a którego nagłe pojawienie się uruchomiło w głowie Glenna wszystkie dzwonki alarmowe.

Z głębi umysłu wypływały wspomnienia. Mastersowie przyjaźnili się z Sandriną i Philonem Thibodeau; byli z nimi nawet bardzo zżyci. Sandriną i Lenora jeździły czasem na wspólne wyprawy, pozostawiając mężów w domu. Ilekroć Glenn pytał, gdzie były, matka głaskała go po policzku i mówiła: „Na takiej babskiej imprezie, kochanie”. Wyobrażał je sobie w jakimś ekskluzywnym szwajcarskim uzdrowisku, gdzie moczyły się w borowinie popijając ohydne ziołowe herbatki. Przypominał sobie teraz, że już wtedy nie lubił Philona Thibodeau, choć nie mógłby precyzyjnie określić przyczyn. Może przez to, że matka często się z nim śmiała, lub że zawsze skwapliwie podawał jej palto muskając jej ramiona w sposób, który nastoletniemu Glennowi wydawał się niewłaściwy. A którego profesor w ogóle nie dostrzegał.

Morven.

Zamarł. Skąd mu się wzięło to słowo?

Kolejne od dawna zagrzebane wspomnienie wydostało się nagle na wierzch. Po pogrzebie matki Glenn cierpiał na bezsenność; w końcu zmusił się do zażywania tabletek. Którejś nocy obudziły go głosy na parterze. Dwaj mężczyźni kłócili się zażarcie, jeden groził, że zabije drugiego. Otumaniony prochami Glenn nie rozumiał, o czym mówią, nie był nawet w stanie rozpoznać głosów. Wkrótce znów zasnął i rano już nie pamiętał nocnego incydentu.

Przypominał sobie o nim teraz, po dwudziestu latach. Dlaczego? Kim lub czym było Morven?

Przeszłość wracała na grzbietach demonów, które pokonał dawno temu — a przynajmniej tak mu się wydawało. Złapał płaszcz i kluczyki. Powinien dokładniej

rozejrzeć się w domu ojca.

Ociekająca wodą Candice wyszła spod prysznic, narzuciła kimono, związała je paskiem i poszła zbadać źródło hałasów.

— Pusia? — zawołała. — Gdzie jesteś, głuptasie? Co ty tam wyprawiasz?

Przeszklony salon wypełniony zielonkawym światłem bijącym od basenu wyglądał jak akwarium; rozleniwiona gorącym prysznicem Candice miała uczucie, że pływa między meblami. W holu znalazła rozbitą wazę strąconą z postumentu, który Pusia najwyraźniej postanowiła zwiedzić. Miała nadzieję, że waza nie była bardzo cenna.

Nagle zadzwonił telefon. Podskoczyła. A potem rzuciła się biegiem, przypominając sobie, że podała Reedowi O'Brienowi numer telefonu matki.

— Halo? — rzuciła bez tchu. Cisza.

— Halo! Klik.

Wpatrując się w milczący aparat Candice poczuła, jak ogarnia ją paniczny strach.

Glenn jechał przez Wilshire Boulevard, kiedy zabręczała komórka. Dzwonili z posterunku w Hollywood.

— Zlokalizowaliśmy tego mustanga, poruczniku. Wynajęty przez kobietę nazwiskiem Jane Smith. Zwróciła go dziś po południu. Ślepa uliczka.

— Macie dane karty kredytowej?

— Tak, i z dowodu też. Obydwa wyglądają na fałszywe.

— Są jakieś wieści z Singapuru?

— Thibodeau jeszcze nie wylądował.

Glenn zaklął pod nosem. Nie miał żadnych gwarancji, że Philo wyląduje w Singapurze. W każdej chwili mógł zmienić plany i udać się gdziekolwiek indziej.

— Skontaktujcie się z Interpolem i poproście ich ...



Odpowiedziała jej poczta głosowa Mastersa. Candice przerwała połączenie i gorączkowo wcisnęła guzik ponownego wybierania numeru.

Znów poczta głosowa!

Czy powinna zawołać stróżującego na zewnątrz policjanta? Ale może jej prześladowca właśnie na to liczył — że wyjdzie z domu i będzie ją mógł napaść.

Spojrzała przez okno na zaparkowany radiowóz. Policjant siedział w mroku, nie widziała jego twarzy. Od ostatniego razu nie zmienił pozycji. Zasnął? Czy ma wyjść i go zbudzić?

Posłyszała kolejny szmer.

— Pusia? — zawołała ostro, słysząc w swoim głosie histeryczną nutkę.

Cisza.

Włos zjeżył jej się ze strachu. W domu oprócz niej był ktoś obcy.

Glenn przeprowadził jeszcze pięć rozmów telefonicznych. W Los Angeles dochodziła północ, ale po drugiej stronie globu ludzie zaczęli właśnie pracę. Ludzie, którzy mogli znaleźć Philona Thibodeau.

Zignorował ikonkę poczty głosowej. Jeśli to coś ważnego, ten kto dzwonił, spróbuje jeszcze raz.

Candice przekradła się na palcach przez salon, złapała pogrzebacz sprzed kominika i chwyciła go mocno obiema rękami. Miała ochotę zapalić światło; chwiejne cienie na ścianach sprawiały wrażenie, że podkrada się do niej trzydzieści osób. Ale światło dałoby intruzowi przewagę... Drgnęła, kiedy włączył się filtr w basenie; szum pompy zagłuszył inne dźwięki.

— Wezwałam policję! — zawołała. — Przed domem też jest funkcjonariusz. — Napięta do ostateczności ruszyła powoli po złocistym dywanie, unosząc pogrzebacz jak kij przy grze w baseball. — Proszę odejść! Nic tu nie wskóracie!

Czy to ta ruda? Zaparkowała gdzieś szpanerskiego mustanga i przekradła się przez zarośla, nie dostrzeżona przez policjanta? Ale jak dostała się do środka?

No tak. Boczne drzwi na patio były przecież otwarte.

Candice zadygotała ze strachu. Próbowwała ocenić odległość między sobą a drzwiami wyjściowymi i policjantem na podjeździe. Zdąży?

Napastnik zaszedł ją od tyłu. Nie słyszała go, nawet nie wyczuła, że się zbliża. Silne dłonie złapały ją w pasie i poderwały z ziemi. Pogrzebacz wypadł jej z rąk. Zaczęła krzyczeć, ale spocona dłoń zatkała jej usta.

— Zamknij się! — syknął napastnik. — Jeśli krzykniesz jeszcze raz, zabiję cię.

Zamiast się z nim szamotać, Candice całym ciężarem rzuciła się w tył. Zaskoczyła go, zbiła z nóg. Zatoczył się na ścianę, poluźniając chwyt. Wyrwała mu się i przebiegła może dwa metry, nim chwycił rąbek jej kimona. Wylądowała na czworakach. Komórka wypadła jej z kieszeni. Wystarczyłoby, żeby wcisnęła ponowne wybieranie numeru Mastersa, ale w półmroku nie mogła znaleźć aparatu.

Kopnęła napastnika, ale już był przy niej, przygniół ją, jedną ręką wykręcił jej ramię, a drugą znów zatkał usta. Zobaczyła jego odbicie w sięgającym podłogi lustrze. Światła było niewiele, zobaczyła jednak łysą na czubku głowę z długimi włosami zebranymi w koński ogon. Mężczyzna był barczysty i mocno zbudowany, ubrany w dżinsy i kolorową hawajską koszulę.

— Gdzie ona jest? — warknął i odjął dłoń od jej ust na tyle, że zdążyła wyjąkać:

— Kto?!

— Gwiazda Babilonu.

— Ja nie... — Candice poczuła na szyi coś ostrego. Kątem oka pochwyciła w lustrze błysk. Nóż.

— Gdzie ona jest? — pytanie doleciało ponownie wraz z falą odoru czosnku. — Mów albo skończysz tak jak ten stary!

Próbowwała grać na czas, ale ostrze już wbijało się jej w ciało. Ten drań zarznie ją tu, w domu, przed którym stoi radiowóz!

— Błagam... — jęknęła.

Poczuła ból i cieknącą po szyi strużkę krwi. Wrzasnęła. Przypominając sobie kursy samoobrony, szarpnęła głową w tył, uderzając napastnika w twarz. Trafiała w

nos i posłyszała chrupnięcie. Uścisk rozluźnił się na moment. Wykorzystała to, by wbić mu łokieć w żebra, i popędziła na oślep przed siebie.

Rzucił się za nią.

Candice z krzykiem wybiegła przed dom, załomotała w drzwi radiowozu. Kiedy je otworzyła, ciało policjanta osunęło się na podjazd. Przekroczyła je, wskoczyła do środka, zatrzasnęła drzwi i zablokowała zamki.

Zdażyła w ostatniej chwili. Chwiejący się na nogach nożownik szarpnął klamką raz i drugi, a potem wlaźł na maskę samochodu. Twarz miał zalaną krwią.

Pomiędzy siedzeniami Candice spostrzegła ultranowoczesną konsolę pełną przycisków, których nie umiała obsłużyć. Naciskając wszystkie i przerzucając włączniki na chybił trafił, złapała mikrofon i wrzasnęła do niego:

— Ratunku! Jestem w radiowozie, na masce siedzi facet, który chce mnie zabić!

Znów walnęła w konsolę, w efekcie czego rozjarzył się „kogut” na dachu, omiatając drzewa i ściany domu dyskotekowym czerwono-niebieskim światłem.

Spośród szumów i trzasków nadpłynęła odpowiedź:

— Proszę zachować spokój. Nie rozumiemy słów, kiedy pani krzyczy. Gdzie pani jest?

Kluczyk był w stacyjce. Przekręciła go.

— Na Hedgewood! — krzyknęła, wrzucając wsteczny. Gdy tylko radiowóz zaczął się toczyć, ożyła syrena, potwornym rykiem zagłuszając wszystko.

Rzutek oka sprawdziwszy, czy nie zawadzi rozciągniętego na podjeździe policjanta, Candice wcisnęła gaz do dechy, a potem gwałtownie nadepnęła hamulec. Jej prześladowca rozpląszczył się na przedniej szybie, smarując ją na czerwono, lecz nie spadł. Ruszyła do przodu, szarpiąc kierownicą w lewo i w prawo. Miotła nim po masce, ale wciąż się trzymał.

— Ostatni dom przy Hedgewood Drive! — krzyczała do mikrofonu. — W Bel Air! Pospieszcie się!

Wyjąc syreną i błyskając światłami radiowóz znów potoczył się do tyłu i z im-

petem wyrznął w wiekowy dąb, któremu nie dały rady trzęsienia ziemi, lawiny błotne, pożary, korniki, Indianie i skauci. Wytrzymał również to uderzenie. Mężczyzna zsunął się z maski i leżał nieruchomo na podjeździe.

Candice bez ustanku krzyczała do mikrofonu, choć w oddali słychać już było inną policyjną syrenę, a osoba w radio powtarzała jej, żeby się uspokoiła, pomoc jest w drodze. Zobaczyła jeszcze, że napastnik dźwiga się na nogi, skacze w zarośla i znika.

— Co z nim, żyje? — spytała sanitariusza, który opatrywał jej ranę na szyi. Nosze z policjantem ładowano właśnie do karetki.

— Tak, jest tylko nieprzytomny, proszę pani.

Posłyszeli ryk silnika wspinającego się wąską drogą, a potem ostry pisk hamulców. Z samochodu wyskoczył Glenn i podbiegł do Candice wołając już z daleka:

— Nic się pani nie stało?

— Niech to jasna cholera! — odparła.

Obrzucił wzrokiem jej cieniutkie kimono zaciągnięte ciasno na piersiach, mokry miejscami jedwab przylegający do ciała, a potem poszedł porozmawiać z obecnymi na miejscu policjantami. Wracając zatrzymał się, by obejrzeć poobijany radiowóz.

— Ładnie go pani urządziła. Krew na całej karoserii i wyraźny krwawy ślad od domu aż w krzaki! — W jego głosie zabrzmiała nutka podziwu. — Uprzedziliśmy wszystkie punkty pomocy doraźnej, że mają nas informować o złamanym nosach i urazach twarzy.

Aczkolwiek wątpię, by był tak głupi, żeby udać się na pogotowie. — Zerknął do notesu. — Hawajska koszula?

— Drukowana w niebieskie palmy. Niewiele więcej udało mi się zobaczyć.

Znów zaskoczył go jej głos, sączący się niczym ciepła whisky na rozgrzane kamienie. Przymrużył oczy, lustrując samotną posiadłość.

— Nie może pani tu zostać.

— Nie mogę narażać znajomych, a nie mam innej rodziny. Chyba przeniosę się do hotelu.

Spojrzał na kameę zdobiącą jej obandażowaną szyję — delikatną boginię splamioną teraz krwią — i wbrew samemu sobie powiedział:

— Wiem, gdzie pani będzie bezpieczna.

— Gdzie?

— U mnie — rzekł, choć było to ostatnie miejsce, gdzie pragnąłby ją widzieć.

## ROZDZIAŁ ÓSMY.

— To będzie proste. — Rossi z roztargnieniem potarł zamię na policzku. Nie swędziało, choć zawsze miał wrażenie, że powinno. — Człowiek, którego wynająłem, jest zręczny i potrafi milczeć. Wchodzi na oddział intensywnej terapii jako posłaniec z kwaciarni, co to się zgubił i szuka pacjenta, któremu ma dostarczyć bukiet. Zanim pielęgniarki go wyproszą, mijają dwie minuty. Tyle mu wystarczy na przeprowadzenie rozeznania. Kilka minut później wchodzi ja udając krewnego pacjenta.

Philo Thibodeau delikatnie głaskał błękitnoszarego syjamskiego kota, który rozparł mu się na kolanach. Na zewnątrz grzywiaste fale łamały się uderzając o kalifornijską plażę.

— Stróżuje tam policjant — rzekł.

— To nie problem. — Rossi skończył napełniać strzykawkę i zatknął na niej igłę do podskórnych iniekcji.

— Sprawdzają dokumenty.

— To też nie problem.

— Jak długo to potrwa?

— Potas działa błyskawicznie, więc wstrzyknę go z dala od serca. Najlepiej w nogę. To mi da czas na opuszczenie oddziału. — Rossi nakrył igłę kapturkiem i umieścił strzykawkę w rękawie, po czym starannie zapiął mankiet. — Zanim dojdzie do zatrzymania akcji serca, mnie już tam nie będzie. Nikomu nie przyjdzie do głowy, że miałem z tym coś wspólnego.

— Czy jest szansa, że go odratują? — Philo w myśli liczył minuty.

Rossi potrząsnął głową.

— Nie będą znali przyczyny zapaści. Zastosują niewłaściwe środki. Żeby zneutralizować potas, pacjent powinien dostać kroplówkę z insuliną, glukozę i wapno — stwierdził rzeczowo. Był ongiś praktykującym lekarzem. — Nie wpadną na to. Będą go reanimować jakieś piętnaście minut, może pół godziny, potem dadzą za wygraną i orzekną zgon.

Philo połechtął mruczącego kota pod wysadzaną brylantami obróżką.

Glenn wcale nie miał ochoty zapraszać jej do siebie. Ale człowiek, który ją napadł, był najprawdopodobniej tym samym, który zepchnął jego ojca ze schodów. Glenn czuł się odpowiedzialny za jej bezpieczeństwo.

W każdym razie tak to sobie tłumaczył. Głębszy powód, do którego nie chciał się przed sobą przyznać, miał związek z obrazem rozdygotanej Candice siedzącej w tylnych drzwiach karetki z opatrunkiem na szyi. Jedwabne kimono zsunęło się, odsłaniając nagie udo. Wyglądała tak krucho i bezbronne, a jednak w walce z napastnikiem zdołała mu zadać na tyle silne obrażenia, że zostawił za sobą krwawy ślad. Glenn nie mógł przestać o tym myśleć, a to oznaczało, że Candice Armstrong zaczynała burzyć jego spokój grożąc mu niebezpiecznym zachwianiem równowagi emocjonalnej. Po drodze napomknęła, że ubiega się o pracę w San Francisco. Miał szczerą nadzieję, że dostanie tę posadę.

W windzie tym razem nie grała muzyka, wjechali więc na ósme piętro w zupełnej ciszy. Oboje byli spięci. W głowie Glenna kłębił się wir pytań: Kto zepchnął ojca? Gdzie jest list schowany przez panią Quiroz? Czy znajdzie w nim wskazówki co do tożsamości napastnika?

I co znaczy słowo „Morven”, które nagle wypłynęło z głębin jego pamięci?

Candice starała się być dzielna. Na wyraźne polecenie sanitariusza wzięła środek uspokajający z matczynej apteczki i obiecała, że później zażyje jeszcze jeden.

Było po północy, bała się, że zaśnie na stojąco. Zdecydowała się nie dzwonić do Nowego Jorku, żeby nie martwić matki. Odwiozła tylko Pusię na przechowanie do przyjaciółki, której skłamała, że opatrunek na szyi zakrywa użądlenie pszczoły.

Kiedy Glenn przekreślił klucz w zamku, bąknęła:

— Może pan jechać do szpitala i posiedzieć przy ojcu. Nic mi tu nie grozi.

— Nie zostawię pani samej. A ojciec i tak nie będzie świadom mojej obecności. Jeśli będę potrzebny, szpital mnie wezwie.

„Szpital”, nie „ojciec”? Co między wami zaszło? miała ochotę spytać. Co rozdzieliło ojca i syna tak boleśnie, że nie mogli być razem nawet teraz, w godzinie próby?

Glenn zrzucił prochowiec, zaskakując ją swoim strojem. Dotychczas widywała go w garniturach; teraz miał na sobie luźne czarne trykotowe spodnie i koszulkę opiętą na szerokich barkach. Czerń nadawała mu aurę siły i profesjonalizmu.

Odwróciła wzrok. Dopóki nie zatroszczy się o swoją karierę, może obyć się bez mężczyzn. Powiedziała sobie stanowczo, że na świecie jest bardzo wielu przystojniaków, którzy dobrze wyglądają w opiętych koszulkach.

Mieszkaniu nadawały ton siedziska wyściełane szarym i bordowym zamszem, chromowane lampy, indiańskie kilimy i żywe palmy w wielkich donicach. Całą jedną ścianę pokrywały zdjęcia gór — od pocztówkowych do wielkich jak plakat, barwne i czarno-białe, przedstawiały urwiska, szczyty, skalne filary. Kiedy Glenn zniknął w kuchni, podeszła bliżej i odkryła, że na prawie każdym zdjęciu jest człowiek — Glenn, przywarty niczym mucha do pionowych, niemal całkiem gładkich skalnych ścian. Na niektórych widniała też szczupła, żylasta kobieta spięta z nim liną.

Odczytała podpisy: Eagle Crag, Gola, Donegal, Grampiany...

Glenn wrócił z kuchni niosąc dwie wysokie szklanki wypełnione sokiem pomarańczowym i kostkami lodu. Widząc jej zainteresowanie, wyjaśnił:

— Moja matka zginęła tragicznie, została zamordowana. Miałem wtedy osiemnaście lat i zupełnie nie umiałem sobie z tym poradzić. Rozsadzała mnie wściekłość.

W owych czasach nie było takich rzeczy jak terapia gniewu. Przyjaciółka zachęciła mnie do wspinaczki.

Domyśliła się, że mówił o kobiecie ze zdjęć.

— Wygląda to na niebezpieczny sport — zauważyła.

— Jest niebezpieczny. Ale daje też niesamowitą satysfakcję. Powinna pani spróbować.

— Dostaję zawrotów głowy na domowej drabince — odparła. — W czasie studiów pracowałam na wykopaliskach w pobliżu piramidy Cheopsa. Szef namawiał mnie na wyścig: kto pierwszy dotrze na wierzchołek. Być może zdołałabym się tam wspiąć, ale wiedziałam, że już nie zejść. Widywaliśmy turystów uziemionych na szczycie piramidy, bo lęk wysokości nie pozwalał im ruszyć w dół. Egipcjanie ściągali ich wojskowym śmigłowcem. Ze mną byłoby tak samo. — Candice dotknęła obandażowanej szyi.

— I co? Czy wspinaczka pomaga okiełznać gniew?

— Już się nie wspinam. Co się dzieje?

— Opatrunek jest za ciasny.

Odstawił szklanki na niewielki stolik nakryty wzorzystą indiańską derką.

— Proszę usiąść—wskazał jej zamszową sofę w kolorze wina.

— Zaraz go zmienię.

Kiedy wrócił z apteczką, zapytała:

— Dlaczego zrezygnował pan ze wspinaczki? — Była ciekawa, czy miało to jakiś związek z kobietą ze zdjęć.

— Miałem wypadek. Rozwaliłem sobie kolano. — Usiadł obok, otwierając białą metalową puszkę oznaczoną czerwonym krzyżem. Delikatnie zdjął opatrunek z szyi i zmarszczył brwi.

— Co?! — Candice wyobraziła sobie krew tryskającą z rozoranej tętnicy szyj-



nej.

Obiema rękami sięgnął za jej głowę, by unieść włosy i rozwiązać różową wstążkę. Drgnęła, czując nieoczekiwanie dotyk jego palców na nagiej skórze.

— Zakrwawiła sobie pani kameę.

Zdjął naszyjnik i włożył go w jej nadstawioną dłoń, a potem zajął się raną. Przestała krwawić, ale trzeba ją było lepiej oczyścić. Kiedy zanurzył tampon w środku odkażającym, na zewnątrz znów zaczęło lać.

Najdelikatniej jak umiał przemył ranę. Miał już w życiu do czynienia z ranami od noża, od kuli, zmiażdżonymi czaszkami, otwartymi złamaniami, a nawet oddzielonymi od ciała kończynami, ale to niewielkie draśnięcie go przerażało. I złościło. Atak na szyję tak białą i delikatną, jak gdyby i ją stworzył artysta jubiler, jawił mu się ohydny niczym gwałt. Miał ochotę złapać tego drania i jemu podeźnać gardło.

Candice widziała żyłkę pulsującą mu na skroni i zastanawiała się, o czym myśli. Bez wątplenia o ojcu. Poróżnili się, ale wciąż go kocha.

— Dlaczego właśnie kamee? — spytał, nie mogąc już dłużej znieść nabrzmiałej bliskością ciszy. Candice się przebrała, miała teraz na sobie bluzkę z cieniutkiej prześwitującej tkaniny i miękko opływającą nogi kloszową spódnicę. Włosy nie dbale spięta spinką. Z jej skóry unosił się jeszcze zapach płynu do kąpieli, aromat frezji, a może piwonii?

— Lubię je wyszukiwać i przywracać im blask — powiedziała, czując delikatne muśnięcia na szyi. Nie patrzyła mu w oczy. Był zbyt blisko; wystarczy, że na niego spojrzy, i gotowa złamać swą solenną decyzję co do unikania związków. — Czuję się wtedy tak, jakbym przywracała te piękne kobiety do życia.

— Jak Nefretete? — uśmiechnął się. Osuszył ranę i delikatnie ją posmarował wyciśniętą na palec maścią. — Co każe pani sądzić, że była panującym władcą? — Zadał to pytanie, by oderwać umysł od tego, co robił, od ich fizycznej bliskości. Wyczuwał, że Candice też jest zmieszana.

— To nie jest uznana teoria — bąknęła, patrząc mu przez ramię na wiszący nad kominkiem portret.

Reed O'Brien, patrząc na nią znacząco zza swego wielkiego biurka, zastrzegł:

„Jeśli zdecydujemy się powierzyć pani pieczę nad tym dokumentem, to od razu uprzedzam, że nie ma w nim miejsca na radykalne tezy o kobietach faraonach. Serial traktuje o życiu kobiet w tradycyjnym społeczeństwie starożytnego Egiptu i ma się opierać na znanych faktach, nie mitach”.

— Archeolodzy nie kwestionują panowania Hatszepsut, bo dowody są miazdzące — podjęła, gdy Glenn sięgnął po apteczkę, z której wyjął gazę, plaster i nożyczki. Jeszcze nie skończył; znów będzie ją dotykał, nachylał się tak blisko... — Ale jedna kobieta faraon to aż nadto dla konserwatywnych egiptologów. To środowisko zdominowane przez mężczyzn.

Glenn nakrył ranę sterylną gazą, po czym ujął ją za nadgarstek — delikatnie, jak gdyby była z porcelany — i umieścił jej rękę na opatrunku, żeby go przytrzymała.

— Ale dlaczego pani twierdzi, że Nefretete sprawowała władzę?

Przeniosła wzrok z portretu na zaciągnięte zasłony, za którymi deszcz łagodnie obmywał okna. Uniósł jej dłoń, jakby... Spokojnie, skarciła się w duchu. On tylko robi ci opatrunek. A jednak gest ten wydał jej się pieszczotliwy.

— Świadczą o tym pewne znaleziska — odparła. — Na przykład bloki kamienne z całkiem nieortodoksyjnymi przedstawieniami Neferetiti. — Położyła lekki nacisk na poprawną formę imienia. — Na niektórych reliefach stoi obok Echnatona i jej postać jest takiej samej wielkości. To znaczące, bo żony królów zawsze bez wyjątku rzeźbiono znacznie mniejsze. Na innych ustrojona w koronę i bicz gromi wrogów Egiptu z pokładu swej łodzi.

Posłyszała szcęk nożyczek i pas plastra lekko przycisnął tampon.

— Mogła po prostu być silną królową małżonką — stwierdził przekrzywiając głowę, żeby przyjrzeć się swojemu dziełu. Znów poczuła zapach wody kolońskiej Bossa.

— To nie wszystko — powiedziała. — W chwili gdy Neferetiti znika z kart historii, pojawia się na nich osoba imieniem Smenchkare.

Szcęk nożyczek. Drugi kawałek plastra stabilizuje gazę. Skończone.

— Kochanek Echnatona?

— Tak się na ogół przyjmuje. Są płaskorzeźby przedstawiające Smenchkare na kolanach Echnatona, który go całuje. Ale czy jest to rzeczywiście młody mężczyzna, czy Neferetiti w męskich szatach, wyniesiona do roli współwładcy? Jeden z tytułów Smenchkare brzmi Neferneferu-Aton. Taki sam przydomek nosiła Neferetiti.

Odsunął się i zlustrował wzrokiem opatrunek.

— Teraz jest lepiej — rzekł z nutką zadowolenia, ale i ulgi, że może się odsunąć i nie ma już powodu jej dotykać. — Ciężko będzie znaleźć dowód. Wszystkie groby w Tel El Amarna zostały już zbadane.

Zaimponował jej swoją wiedzą.

— Nie ograniczamy się do Amarny. Po upadku osiemnastej dynastii świątynie i pałace Echnatona zostały rozebrane, a kamiennych bloków użyto do budowy nowych gmachów. Znaleźliśmy dotąd tylko kilka. Będzie ich więcej.

Glenn zatrzasnął apteczkę.

— Zamierza pani je znaleźć i przywrócić władczyni należne jej miejsce.

— Owszem — odparła szczerze.

Palila ją ochota, by zapytać go o kobietę na zdjęciu — czy miała udział w jego wypadku, czy wciąż się z nią spotykał... Strofowała się w duchu, że to nie jej sprawa.

Patrzyła na jego kształtne dłonie, gdy zbierał ścinki gazy i bandaża. Na prawej zauważyła dziwną bliznę tuż przy nasadzie małego palca. Rana odniesiona podczas służby, zabłąkana kula?...

— Urodziłem się z polidaktylią — rzekł, pochwyciwszy jej spojrzenie. — Miałem w tej ręce szósty palec.

— Przepraszam, nie chciałam się tak gapić.

— Nie szkodzi. Usunięto go chirurgicznie, kiedy miałem dziewięć lat.

— Dziewięć? Dlaczego tak późno?

— Matka się sprzeciwiała.

— Dlaczego?!

— To cecha genetyczna, jej ojciec też miał szósty palec u prawej dłoni, a przed nim wielu innych przodków. Możliwe, że była z tego dumna. Ale mój ojciec w końcu postawił na swoim i palec odcięto.

— Koledzy w szkole pewnie panu dokuczali?

— Przeciwnie, dzięki temu byłem sławny. Potem stałem się tylko zwykłym chłopcem.

Miała ochotę powiedzieć: „Nadal jest pan niezwykły”, ale ugryzła się w język i zapytała:

— Lubi pan swój zawód?

Zastanowił się nad tym. Policyjną robotę miał we krwi, poświęcał jej cały swój czas i każdą myśl. Nie wyobrażał sobie, że miałby odejść na emeryturę; będzie ścigał przestępców dotąd, aż zginie na posterunku. Ale czy to lubił?...

— Chyba tak — bąknął — skoro robię to już dwadzieścia lat.

— To niebezpieczne.

— Ale czasem jest wesoło — rzekł lekko, widząc strach czający się w jej oczach. Lepiej zmienić nastrój. — Kiedy byłem w drogówce, ścigaliśmy z kumplem pijanego kierowcę na Pacific Coast Highway. W końcu go dopadliśmy, wyciągnęliśmy z wozu i postawiliśmy mu zarzut jazdy po nadużyciu alkoholu. Gość ledwie trzymał się na nogach, ale twierdził, że jest trzeźwy, i żądał dowodów.

Pokazałem mu, że wozi na masce górną połowę słupa sygnalizacji świetlnej.

Candice sięgnęła po oszronioną szklanekę. Jej wzrok znów powędrował do grupowego portretu wiszącego nad kominkiem.

— Namalowano go w okolicach Bożego Narodzenia, trzydzieści lat temu — rzekł Glenn. — Matka, ojciec... zresztą na pewno pani go poznaje. I ja. Miałem wtedy osiem lat.

Obraz przykuwał wzrok. Profesor, uderzająco przystojny z bujną czarną czupryną i przenikliwymi czarnymi oczyma. Obok uśmiechnięty chłopczyk, mały dżentelmen w garniturku i krawacie. W prawej dłoni złożonej na lewej widać było

wyraźnie szósty palec. Ale najbardziej zafascynowała ją kobieta, matka Glenna, która padła ofiarą mordu.

— Jaka ona piękna — powiedziała.

— Była naukowcem, matematykiem. Łączyła ich z ojcem wspólna pasja tworzenia większych prawd z małych części. Ojciec składał drobiny gliny i papirusu, matka cyfry i liczby.

Spojrzał na Candice, jakby rozważał w duchu pewną decyzję, po czym zaskoczył ją zdejmując z palca obrączkę i podając jej ze słowami:

— To należało do niej.

Zobaczyła, że nie była to zwykła obrączka, lecz pierścień, który Glenn nosił oczkiem do wnętrza dłoni. Tworzył je piękny kwadratowy rubin otoczony wieńcem złotych jęczyczków podobnych do płomieni.

— Wewnątrz obrączki jest motto — powiedział.

— Fiat Iwc — odczytała Candice. — Niech się stanie światło.

— Matka zawsze mówiła, że pewnego dnia ten klejnot będzie należał do mnie. Nie przypuszczała — dodał, odbierając pierścień i wkładając go z powrotem na palec — że nastąpi to tak szybko.

Wstał, podszedł do okna i odciągnął zasłony na boki. Za szybą widać było niewielki balkon zastawiony roślinami w doniczkach, a dalej światła miasta rozplywające się w ulewnym deszczu.

— Została zabita — rzekł. — Wychodziła ze sklepu, jakiś facet uderzył ją w głowę młotkiem, wyrwał jej torebkę i uciekł. Świadek zauważył tylko, że był to biały mężczyzna, wysoki i chudy, jasnowłosy albo łysy; nie był pewien, bo wszystko rozegrało się tak szybko. Policja podeszła do sprawy metodycznie.

Zajął im to kilka miesięcy żmudnej pracy, ale w końcu znaleźli gościa. Przyznał się.

Odwrócił się twarzą do niej

— Moja matka zginęła w bezsensownym akcie przemocy. Chciałem wiedzieć dlaczego. Czy to panią dziwi?

Candice, której ojciec zginął w bezsensownej wojnie, wcale to nie dziwiło.

— Jak go znaleźli?

— Nie pozbył się młotka. Policja systematycznie przeszukiwała teren coraz dalej od miejsca zbrodni i w końcu natrafiła na szopę z narzędziami. Na młotku pozostały ślady krwi i włosy... jak się później okazało, mojej matki. Świadek rozpoznał sprawcę podczas konfrontacji. Facet dostał dożywocie i zmarł później w więzieniu. Ja właśnie wtedy rozpocząłem studia, chciałem zostać archeologiem, jak ojciec. Ale ta sprawa uświadomiła mi, jak ważne jest, by zbrodnia nie pozostała bez kary. W dniu, w którym skończyłem osiemnaście lat, przerwałem studia w połowie semestru i zgłosiłem się do policji Los Angeles.

I od tamtej pory ścigasz zbrodniarzy, pomyślała Candice. Teraz zrozumiała źródło waśni z ojcem — swoją decyzją chłopak zniweczył jego marzenia.

Glenn uciekł przed nią wzrokiem; pojęła, że zanadto zbliżyła się do jego wnętrza.

— Późno już — powiedział. — Pokażę pani pokój.

Wziął jej torbę, choć była lekka, a ranę należałoby właściwie nazwać draśnięciem. Traktował ją jak księżniczkę.

Poprowadził ją schodami na piętro. Jedne z drzwi były otwarte, a to, co za nimi zobaczyła, tak zafascynowało Candice, że stanęła jak wryta.

Pokój pełen był obrazów; wisiały na ścianach, stały na sztalugach, na podłodze. To była pracownia malarza. Rozsuwane szklane drzwi prowadziły na inny balkon zawieszony wśród wierzchołków drzew o nagich teraz gałęziach moknących w przedwiosennym deszczu. Wyobraziła sobie, że za kilka tygodni okryją się kwieciami i listowiem. Pokój wypełni się wtedy słońcem, które tchnie jeszcze więcej blasku w jasne płótna.

Na pierwszy rzut oka obrazy wydawały się abstrakcyjne: przedstawiały galaktyki, gromady gwiazd i mgławice — białe pośród bieli. Nieskalana barwa śniegu mieniła się kością słoniową i srebrzystą perłą, przenikały ją złotawe aureole i opalizujące obłoki zabarwione odrobiną szafranu lub topazu i żyłkowane ledwie widocznymi smużkami różnych odcieni błękitu. Pozornie wszystkie płótna były do siebie podobne, a jednak się różniły: niektóre wprost buchały blaskiem, inne wydawały z siebie łagodne lśnienie.

On maluje światło, uświadomiła sobie Candice.

— Coś takiego zobaczyłem w czasie upadku — mruknął.

— Łoilem na żywca Blacktail Butte w Wyoming...

— Łoił pan... na żywca...?

— Wspinałem się bez asekuracji. Zero sprzętu, tylko buty i kalafonia. Odpadłem. To był tak zwany lot, dosyć długi. Spadając, zobaczyłem światłość. — Pełnym skrepowania gestem powiódł wokół. — Od tamtej pory staram się ją namalować.

— Światłość?

— To słowo przyszło mi na myśl, gdy spadałem. Takie skojarzenie, nie wiem, skąd się wzięło.

Czymkolwiek była ta światłość, jej uroda zapierała dech w piersi.

— Sprzedaje pan te obrazy?

— Nie są na sprzedaż.

Patrząc, jak chrząka zmieszany i szura nogami, Candice zrozumiała, że nikt nie ogląda jego dzieł — ona także ujrzała je przez przypadek. Miała wielką ochotę pozostać tu dłużej. Na usta cisnęły jej się tysiące pytań. Ale Glenn gestem zaprosił ją do wyjścia. W progu nagle przystanął i zmarszczył brwi.

— Dziwne — powiedział.

— Co?

— Jednego brakuje.

— Jest pan pewien?

— Był tam — wskazał miejsce obok wejścia do garderoby.

— Jeden ze starszych obrazów.

— Czy to możliwe, żeby ktoś go ukradł?

Mars na czole Glenna pogłębił się. Po co ktoś miałby się włamywać do jego mieszkania i brać stąd jedno płótno?

— Pewnie pani Charles go przestawiła. To kobieta, która raz w tygodniu przychodzi sprzątać. Zawsze proszę, żeby pomijała ten pokój, ale upiera się, że jeśli nie pozwolę jej tu odkurzyć, zginę pod lawiną pyłu. Tak, to na pewno ona.

Zawahał się jeszcze przy drzwiach, jakby nie był do końca przekonany, że winowajczynią jest pani Charles.

Candice wykorzystała tę chwilę, by po raz ostatni rzucić okiem na obrazy, i ze zdumieniem spostrzegła coś, czego nie było widać z bliska: prawie na każdym płótnie była czyjaś twarz.

Szpitalnym korytarzem kroczył lekarz w sztywno wykrochmalonym białym kitlu, ze stetoskopem udrapowanym na szyi. Było już późno, w salach pozostało niewielu gości. Lekarz skinął życzliwie głową umundurowanemu policjantowi siedzącemu pod drzwiami oddziału intensywnej terapii. Policjant odpowiedział skinieniem, rzucając przelotnie okiem na identyfikator przypięty do kitla.

— Kogo my tu mamy? — zagadnął medyk. — Jakaś gwiazda filmowa?

— Usiłowanie morderstwa — odparł policjant ze znudzoną miną. — Chronimy ofiarę w związku z ryzykiem kolejnej próby.

— Powodzenia — rzekł doktor i ruszył dalej. Zatrzymał się przy kranie z pitną wodą, zaspokoił pragnienie i skreślił za róg, gdzie się zatrzymał i spojrzął na zegarek odliczając czas od chwili, gdy Rossi wstrzyknął potas. Za chwilę powinno się zacząć.

W chwili gdy Glenn otwierał drzwi do gościnnej sypialni, zabręczał jego telefon komórkowy. Dzwonili ze szpitala.

— Tak? Dziękuję, będę za jakieś pół godziny. — Posłuchał chwilę i rzekł: — Rozumiem, siostrze, ale poza wszystkim prowadzę policyjne dochodzenie i muszę zadać ojcu kilka pytań.

Rozłączył się i prędko wystukał inny numer, wyjaśniając równocześnie Candice:

— Ojciec odzyskał przytomność. Obrzęk mózgu się zmniejszył, jest przytom-



ny, rozumie i mówi.

— Dzięki Bogu! — westchnęła Candice.

— Może powie nam, kto go popchnął.

Rozmowa z posterunkiem była jeszcze krótsza: Glenn zameldował o rozwoju sytuacji i zlecił wzmocnienie ochrony w szpitalu. Teraz, gdy profesor się obudził, był w jeszcze większym niebezpieczeństwie.

— Zespół reanimacyjny pod numer 8!

Na korytarzu zaroilo się od biegnących ludzi — lekarzy, laborantów, pielęgniarek. Stojący na końcu korytarza doktor dołączył do grupy i wraz z nią wbiegł na oddział intensywnej terapii.

Wszystko szło jak w zegarku zgodnie z planem Rossiego. Gapowaty posłaniec z kwiatami wszedł na oddział, wdał się w sprzeczkę z pielęgniarką i zanim go wyprowadzono, zdążył zapamiętać listę pacjentów wypisaną kredą na tablicy: łóżko nr 8 — Richard Chatzky; nr 1 — John Masters. Powtórzył to Rossiemu, który zjawił się później jako krewny Chatzky'ego.

Dzięki temu dostał się na oddział, a dalej już poszło z górki. Kiedy siedząca za szklaną szybą pielęgniarka odwróciła wzrok, Rossi wbił igłę w nogę pogrążonego w śpiączce pacjenta. Teraz Philo Thibodeau w białym kitlu, ze stetoskopem i fałszywym identyfikatorem miał już tylko czekać, aż na oddziale podniosą alarm.

Podczas gdy reszta ekipy rzuciła się ratować życie Richarda Chatzky'ego, Philo odłączył się od grupy i wśliznął do odległej separatki oznaczonej numerem 1, w której John Masters dochodził do siebie po upadku ze schodów. Przysłuchując się dobiegającym z drugiego końca oddziału chaotycznym nawoływaniom o lidokainę, elektrody oraz inne gadzety, które zgodnie z zapewnieniem Rossiego przedłużą wysiłki reanimacyjne na tyle, by dać mu dość czasu, Philo nachylił się nad łóżkiem i rzekł:

— Cześć, John! Pamiętasz mnie?

Glenn z piskiem opon zahamował na parkingu przed szpitalem i oboje wyskoczyli z samochodu. Obojgu spieszno było porozmawiać z profesorem — złasz-

cza że była to szansa, na którą już specjalnie nie liczyli. Candice chciała mu podziękować za wszystko, co dla niej zrobił; Glenn uznał, że czas zakończyć trwający od dwudziestu lat rozłam.

Powieki chorego zadrżały i rozchyliły się. Zmarszczył brwi. Potem na twarzy odbiło się zrozumienie.

— To ty! — szepnął.

— We własnej osobie — uśmiechnął się Philo. — To znów ja.

Klimatyzowane powietrze niosło nakładające się na siebie głosy: „Wykres płaski” „Ciśnienie na palec”, „Dajcie wreszcie tę saturację, do cholery!”

— Nie powiem ci! — wychrypiał Masters. Philo nachylił się nad nim.

— Nie przyszedłem tu po Gwiazdę Babilonu. Poczekam, aż znajdą ją dla mnie twój syn i ta Armstrong. Przyszedłem ci powiedzieć, że Lenora nigdy nie będzie twoja.

— Co...

Philo położył dłoń na szyi profesora, dotykając kciukiem i środkowym palcem obu tętnic szyjnych. — Nigdy nie była twoja — rzekł cicho, ale dostatecznie głośno, by było go słychać mimo panującego w głębi oddziału zamieszania. Pan Chatzky nadal nie reagował na zabiegi reanimacyjne. — Należała i na wieki będzie należeć do mnie.

„Uwaga! — doleciało zza ściany. — Psiakrew, dalej nic!” Philo delikatnie naciśnął tętnice. Masters zaszamotał się słabo, ale brakło mu sił.

— To ty jesteś winny jej śmierci — ciągnął cicho Philo, zwiększając nacisk. — Gdyby była moją żoną, potrafiłbym ją ochronić. Ale ty pozwoliłeś, żeby ją zabito.

John Masters bezskutecznie próbował oderwać jego dłoń od swojej szyi.

„Wołajcie księdza!”

Oczy profesora wyszły z orbit, wargi przybrały niebieskawy odcień. Philo z uśmiechem patrzył, jak życie opuszcza człowieka, którego nienawidził od czterdziestu trzech lat.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY.

Słyszając odgłosy reanimacji, ruszył biegiem. Ta ulga, gdy odkrył, że kryzys nie dotyczy ojca! Pochylił się nad łóżkiem. Tato, to ja. Cisza. Tato? Krzyk Candice: „Monitor! Linia jest płaska!” Wołanie o pomoc, zaskoczenie pielęgniarek — kolejna zapaść? Druga ekipa wbiega do salki, szcęk sprzętu, elektrody, impuls. Długie igły wbijane w pierś ojca, zamieszanie, ciało robi się białe, a potem żółte. Kolejny zastrzyk, większe nateżenie. Impuls. Stoją z Candice bezradni i przerażeni, gorączkowo uwijający się medycy nie zwracają na nich uwagi. Oboje myślą: to nie możliwe, to nie mogło się stać właśnie teraz, gdy oboje mamy mu tyle do powiedzenia! W końcu ktoś mówi: „ To już koniec. Przykro mi, poruczniku. Wygląda na to, że serce nie wytrzymało”.

Glenn bezlitośnie przesłuchiwał pielęgniarki, lekarzy, salowych, stróżującego w holu policjanta. Zatrzymanie akcji serca u innego pacjenta, które bezpośrednio poprzedziło nieoczekiwany zgon jego ojca, nie mogło być przypadkowe. Czy ktoś coś zauważył? Policjant wspomniał o siwowłosym lekarzu z białą brodą, mówiącym z południowym akcentem.

Odesłał Candice taksówką do swojego mieszkania, każąc jej iść spać. Powiedział, że sam też wkrótce wróci. Ale zanim dotarł do domu, od dawna było jasno i już jej nie zastał. Zostawiła kartkę. Jedzie do siebie sprawdzić, czy wszystko w porządku. Dzwonił niejaki pan French. Oboje mają się stawić w jego biurze o dwunastej w południe. Mówił, że to pilne. Był radcą prawnym Johna Mastersa, a sprawa dotyczyła testamentu.

Teraz więc Glenn spacerował nerwowo przed gabinetem adwokata, wściekły na siebie, że nie zadbał lepiej o bezpieczeństwo ojca. Podeszedł do okna i spojrzał w dół na zalany deszczem parking. Czekał na Candice. Nie mogli zacząć bez niej.

Uczył wysiłek, żeby opanować emocje — furie, ból i coś jeszcze, czego nie mógł zidentyfikować. Chciał zachować chłodny umysł; czekało go wiele pracy. Musiał znaleźć list schowany przez panią Quiroz. Dzwonił do niej dziś rano, ale nadal nic nie pamiętała. I jeszcze prześladowające go tajemnicze słowo. „Morven”... Miał wrażenie, że skądś je zna...

Na parking wjechał samochód Candice. Z góry widział przez przednią szybę smukłe ramiona w różowych rękawach. Przypomniawszy sobie fakturę tej tkaniny, cienkiej jak skrzydło ważki, i nieuchwytny zapach jakiegoś kwiatu, którego nie mógł rozpoznać.

Niebezpieczna kobieta, pomyślał. Zeszłej nocy, gdy naciągnięto prześcieradło na twarz ojca, objęła go ramionami. Z wahaniem, niezgrabnie oddał uścisk, ale zaraz się odsunął. Czuł rozpacz, ale zamierzał dać jej wyraz po swojemu, w innej porze, kiedy będzie mógł to zrobić w kontrolowany, zdyscyplinowany sposób. Nie chciał się załamać w ciepłych objęciach Candice Armstrong.

Candice zaparkowała wóz i rzuciła okiem w górę. W oknie biurowca zobaczyła Glenna Mastersa. Patrzył na nią.

Kiedy zbudziła się w jego mieszkaniu i stwierdziła, że jeszcze nie wrócił ze szpitala, pojechała do Malibu, żeby sprawdzić, czy dom wciąż stoi, odsłuchiwała wiadomości — O'Brien nadal milczał jak zaklęty — wykąpała się i przebrała, potem wpadła zobaczyć, jak się miewa Pusia, a następnie udała się do kancelarii adwokackiej spółki „Whalen, Adams & French” zastanawiając się, dlaczego została wymieniona w ostatniej woli profesora.

Po wyjściu z windy zobaczyła Glenna, który kręcił się po holu. Na ramionach jego długiego czarnego płaszcza i rondzie kapelusza błyszczały krople deszczu — musiał przyjść tuż przed nią.

— Jak się pan czuje? — spytała. — Nie wrócił pan do domu.

— Pojechałem prosto na posterunek zebrać ludzi. To Philo zabił ojca i musimy go złapać.

— Czuję się winna — powiedziała z wahaniem. — To przeze mnie nie było tam pana wczoraj.

— To nie pani wina — przerwał jej. — Ja podjąłem decyzję i ja ponoszę za nią odpowiedzialność. Powinienem być już dawno schować dumę do kieszeni i pogodzić się z ojcem. Cóż, będę musiał jakoś z tym żyć.

Widziała w jego oczach, że wcale nie będzie mu łatwo.

— Proszę posłuchać — podjął. — Grozi pani niebezpieczeństwo. Zabójca ma prawo przypuszczać, że ojciec przekazał pani swoje tajemnice.

— Podobnie jak panu.

— Potrafię zadbać o siebie.

— Ja też.

— Nie sędzę. — Spojrzał na jej szyję. Zdobila ją dokładnie umyta kamea na czystej wstążce. Potem przypomniał sobie krwawy ślad ciągnący się od domu do radiowozu. — No, może ma pani trochę racji — przyznał.

Pan French — wysoki, odprasowany i kompetentny — wprowadził ich do salki konferencyjnej i poprosił, by zajęli miejsca przy dużym stole. Sam usiadł u jego szczytu i wyjął opasłą teczkę zawierającą ostatnią wolę zmarłego Johna Mastersa. Najpierw jednak złożył Glennowi kondolencje, napomykając, jak bardzo jest wstrząśnięty.

— Wolą pańskiego ojca było — rzekł — aby treść testamentu została odczytana natychmiast po jego śmierci. Z naciskiem podkreślał, by nie tracić ani chwili.

Nim przeszli do meritum, Glenn zapytał prawnika, który doradzał ojcu od wielu lat, czy mówi mu coś słowo „Morven”. Ale ten pokręcił tylko głową, stwierdzając:

— Brzmi jak imię. Nie, nigdy go nie słyszałem.

— Zna pan Philona Thibodeau?

— Ze słyszenia. Nie mieliśmy okazji poznać się osobiście. O ile sobie przypominam, pańska matka przyjaźniła się z jego żoną. Znały się ze studiów, prawda?

Po tej krótkiej wymianie zdań adwokat otworzył teczkę i począł wymieniać poszczególne składniki majątku Johna Mastersa i sposób ich rozdysponowania. Glenn był zaskoczony — nie przypuszczał, że ojciec był aż tak zamożny. Słuchali ze znużeniem treści rozmaitych legatów, aż nagle Candice posłyszała:

— Pani Candice Armstrong pozostawiam wszystkie prawa do Projektu Salomona.

Wzruszyła się. Choć owszem, pomogła mu w badaniach, to jednak cały projekt był wyłącznie owocem genialnego umysłu Johna Mastersa. Będąca plonem badań książka wciąż dobrze się sprzedawała w księgarniach uniwersyteckich i muzeach,

Candice miała więc zapewniony cenny dodatek do swych niewielkich w tej chwili dochodów. Ważniejsze jednak było dla niej to, że profesor pozostawił jej jakby część siebie.

— Mojemu synowi Glennowi zapisuję cały mój majątek pozostały po wydzieleniu wyżej wymienionych legatów. Ma on otrzymać dom wraz z gruntem, na którym stoi, oraz wszystkim co się w nim znajduje.

Słuchając, Glenn nerwowo, jakby zawzięcie obracał pierścień na palcu.

— Wreszcie — adwokat odchrząknął — pozostawiam mu Gwiazdę Babilonu.

Glenn omal nie zerwał się z krzesła.

— Czy ojciec pisze, czym jest Gwiazda Babilonu?

— Niestety nie. Na tym tekst się kończy. Ale polecono mi, bym dał panu to. — French wręczył mu niewielką kopertę. — Jest w niej klucz do skrzynki depozytowej pańskiego ojca. Być może tam znajdzie pan to, czego pan szuka.

Dyrektor banku, mały siwy człowieczek o oryginalnym nazwisku Vermillion, odprowadził ich do skarbcza, a potem do bezpiecznego pomieszczenia, w którym stał stół i krzesła. Doradzał, by się nie spieszyli, nacisnęli guzik w razie, gdyby potrzebna była porada lub jakakolwiek pomoc, oferował kawę lub herbatę. Odmówili, nie mogąc się już doczekać chwili, gdy zamknie za sobą drzwi.

Wtedy Glenn zdjął i odłożył kapelusz, a potem otworzył skrzynkę depozytową.

Była w niej tylko sfatygowana paczka wielkości i formatu pudełka po butach. Częściowo owinięta w brązowy papier i związana sznurkiem nosiła dwa adresy — nadawcy i adresata — wypisane niemal nieczytelnym pismem, a także sporą liczbę zagranicznych znaczków. Spod opakowania wystawała warstwa zmiętych stron moskiewskiej gazety.

Wewnątrz znajdowały się dwa przedmioty. Jednym była mapa, bardzo stara; pozostały kruchy papier niemal całkiem przetaił się na złożeniach. Ktoś wyrysował ją ręcznie, niezdarnie, jakby drżącą ręką. Nazwy geograficzne i adnotacje naniezione były po rosyjsku. W pobliżu skraju widniał znak X i wskazująca nań strzałka.

Do mapy przypięta była spinaczem strona wydarta z „International Antiquities

Marketplace". Obejrzawszy ją, Candice znalazła tylko jedno ogłoszenie nadane z Moskwy: ofertę sprzedaży glinianej tabliczki pochodzącej z Mezopotamii, w niezidentyfikowanym języku i o nieznanym datowaniu.

— Nazwisko sprzedawcy zaczyna się na „B”, widzi pan? — wskazała. — Siergiej Baskow. A z kartoteki pańskiego ojca zginęła właśnieteczka korespondentów na literę „B”. Chwileczkę, Baskow... O ile dobrze sobie przypominam, na początku dwudziestego wieku żył pewien teolog nazwiskiem Iwan Baskow, uznany spec od języków semickich. Krążyły pogłoski, że znalazł coś na pustyni, ale zmarł, zanim zdążył to ogłosić. Jeśli ta opowieść jest prawdziwa, znalezisko Baskowa nadal tkwi w ziemi i czeka na ponowne odkrycie.

Glenn w zadumie obracał na palcu złoty pierścień.

— A zatem ojciec planował wykopaliska. Być może w miejscu zwanym Dжебел Mara.

Rozgarnęli zmięty papier, by odsłonić owinięty nim przedmiot.

— Mój Boże! — szepnął Glenn.

— Druga tabliczka! — Oczy Candice rozwarły się szeroko ze zdziwienia. — Z alfabetem takim jak u Duchesne'a!

W silnym świetle jarzeniówki pismo klinowe było całkiem wyraźne. Te same niezrozumiałe symbole.

— Tu jest coś napisane. — Candice zauważyła zdanie skreślone na marginesie gazetowej stronicy charakterystycznym pismem profesora: Tabliczki znaleziono wraz z Gwiazdą Babilonu.

Spojrzała na Glenna. — Iwan Baskow badał tereny położone w widłach Eufratu i Tygrysu. Widocznie natrafił na większy zbiór tabliczek. Jak Duchesne. Może nawet tabliczka Duchesne'a pochodzi z tego samego miejsca!

Glenn wbił wzrok w glinianą tabliczkę, która wyglądała tak krucho, jak gdyby najłżejszy powiew mógł ją obrócić w proch. Siedział bez ruchu, obracając pierścień na palcu, pogrążony w głębokim namyśle. Candice wyobraziła sobie, że w ten sam sposób przypatruje się dowodom na miejscu zbrodni. Albo maluje swoje świetliste obrazy. W końcu rzekł:

— Czy zauważyła pani coś niezwykłego w zapisie na kamieniu Duchesne'a?

— Poza tym, że nie da się go odczytać? Nie. Zresztą nie miałam czasu dokładniej go zbadać.

— Żaden z symboli się nie powtarza. Jej oczy rozszerzyły się.

— Naprawdę?

— Dwadzieścia dwa symbole, każdy inny.

— Alfabet — powiedziała.

— Tak. Albo tajny kod, może szyfr.

— Klucz! — powiedziała nagle Candice. — To by wyjaśniało, dlaczego tabliczka Duchesne'a jest kamienna, nie gliniana. To klucz do zapisu, klucz, o którym mówił pański ojciec! Mając kamień Duchesne'a możemy odczytać ten fragment. Trzeba tylko ustalić, w jakim języku go zapisano.

Glenn delikatnie rozgrzebał palcem strzępy gazety i wyjął skrawek gładkiego białego papieru.

— Zdaje się, że ojciec już złamał szyfr. Założę się, że to jest przekład.

Candice nachyliła się. Na kartce widniały słowa: żona astronoma.

— Pamięta pan notatkę, którą znalazłam w książce? „Czy odpowiedź jest w grobowcu Nakhta?” Skoro pański ojciec wetknął ją obok ryciny, to albo uważał, iż tabliczka pochodzi z czasów osiemnastej dynastii, albo w tym niezrozumiałym tekście jest jakieś odniesienie do Nakhta. Nakht piastował stanowisko naczelnego astronoma w świątyni Amona w Karnaku gdzieś między tysiąc pięćsetnym a tysiąc trzysta piętnastym rokiem przed naszą erą. Jego żona, Tawy, była świątynną muzykantką. Poza tym nie wiemy o nich niczego więcej. Nie jest nawet pewne, któremu królowi służyli.

Grobowiec Nakhta, znajdujący się w pobliżu Doliny Królów, jest słynny ze swoich malowideł. Badałam je; choć w grobie złożony został astronom, nie ma na nich ani jednej gwiazdy.

Wyobraziła sobie przedstawioną na fresku panią Tawy, Pieśniarkę Amona, dzierżącą w rękę instrument. Czyżby Gwiazda Babilonu miała związek z nią, nie z



jej mężem? Ale co szlachetnie urodzony Egipcjanin z czasów osiemnastej dynastii mógł mieć wspólnego z Babilonem, który szczyt rozwoju osiągnął dopiero tysiąc lat później?

— I dlaczego to jest napisane szyfrem, nie normalnym alfabetem w jakimkolwiek języku? — zastanowiła się na głos.

— Możliwe, że istniało tajne stowarzyszenie. Strażnicy zakazanej wiedzy.

W tejże chwili rozdzwonił się telefon komórkowy Glenna. Dzwoniła pani Quiroz. Przypomniała sobie, gdzie schowała list.

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY.

Jessica Randolph nie miała bynajmniej zamiaru gonić Candice Armstrong samochodem. Ale poniosło ją, kiedy tamta zaczęła walić w karoserię, potem zaś pościg zaczął jej sprawiać przyjemność. Miała nieprzepartą ochotę pójść na całość i wykończyć tę małą pindę. Może jeszcze to zrobi.

Wysunęła się z łóżka i narzuciła na siebie satynowy szlafrok — cicho, żeby nie zbudzić mężczyzny, który spał w zmiętej pościeli. Spojrzała na niego z pogardą. Był członkiem parlamentu, bogatym i wpływowym, statecznym mężem i ojcem czworga dzieci — i chyba najgorszym partnerem seksualnym, jakiego w życiu miała. Satysfakcja fizyczna nie była jednak celem tego romansu i w ogóle nie pasowała się zbyt wysoko w hierarchii Jessiki. Największą rozkosz czerpała z nowych nabytków, a ten człowiek miał towarzyskie powiązania z właścicielami najwspanialszych prywatnych kolekcji w Wielkiej Brytanii. Właśnie teraz tropiła pewien rękopis z piątego wieku. W zamian za ten niewielki wysiłek dowie się, kto ma ten dokument i jak nakłonić właściciela do sprzedaży.

Bose stopy Jessiki tonęły w puszystym brzoskwiniowym dywanie. Sypialnia urządzona była z królewskim przepychem, pełna antyków, kosztownych mebli, wspaniałych tkanin i kryształowych lamp. Jessica sama urządzała swój dom. Kochanków zawsze sprowadzała tutaj; miała żelazną regułę, by nigdy nie spotykać się u nich ani w wynajętych pokojach. To ona niezmiennie dyktowała warunki,

obojętne, czy chodziło o aukcję wazy z epoki Ming, czy o godzinę uniesień w ramionach mężczyzny. Ośmiopokojowe mieszkanie znajdowało się w najwykwintniejszej dzielnicy Londynu i nie było jej jedynym lokum.

Dziś wszystko się zmieni. Wraz z nadejściem świtu kochankowie znikną z jej życia — zostanie w nim tylko jeden mężczyzna. Ten, na którego czekała prawie przez całe życie.

Spod satynowej kołdry doleciało chrapanie. Ten pan zadawał jej zbyt wiele pytań, lecz Jessica po mistrzowsku opanowała sztukę uników. Jej przeszłość nikogo nie powinna obchodzić. To, skąd pochodziła i jakimi środkami zdobyła swą wysoką pozycję na rynku dzieł sztuki, było jej prywatną sprawą, a nie materiałem do plotek.

Gdyby brukowce coś zwietrzyły...

W przyległym pokoju zadzwonił telefon. Spiesznie wyszła z sypialni, zamykając za sobą drzwi, i podniosła słuchawkę, nim zdążyła to zrobić pokojówka. Jessica trzymała stałą służbę we wszystkich swoich rezydencjach. Wybierała ją zwracając szczególną uwagę na dyskrecję i umiejętność trzymania języka za zębami.

Dzwoniono na jej osobistą linię, zastrzeżony numer znany tylko nielicznym.

— Tu Jessica — powiedziała.

— Profesor Masters nie żyje — odezwał się poważny głos w słuchawce.

— Rozumiem. Co z Gwiazdą Babilonu? — Jessica nie miała zwyczaju marnować czasu, gdy chodziło o interesy.

— Obserwujemy jego syna. Sprawa będzie albo bardzo prosta, albo dość skomplikowana.

— A Candice Armstrong?

— Jeszcze dziś zniknie ze sceny. Proszę czekać na mój telefon.

List jest w gabinecie, powiedziała pani Quiroz. List pisany przez Johna Mastersa do syna, zanim przerwał mu morderca.

Glenn z wściekłością zerwał z drzwi żółtą policyjną taśmę, prąc przed siebie jak taran. Kiedy weszli do holu, uderzył dłonią włącznik i pod sufitem rozjarzył

się kryształowy żyrandol. We wnętrzu czuć było wilgoć, jakby od lat nikt tu nie mieszkał. Jak prędko z domów ucieka życie, pomyślała Candice.

Znaleźli list zwinięty w tutkę i wetknięty do wazonu ze sztucznymi irysami. Trzydzieści lat pracy u przeczulonego na punkcie zachowania tajemnicy badacza nie pozostało bez wpływu na jego gosposię.

Glenn stanął na środku orientального dywanu, trzymając zwitek tak, jakby go ważył w dłoni.

— Moim zdaniem — odezwała się Candice, pragnąc przerwać milczenie, ale także pomóc mu zrobić ten bolesny krok

— moim zdaniem pański ojciec zakładał z góry, że szpital skontaktuje się z panem. Zawsze to robią. Dlatego wezwał mnie. Nie „zamiast” pana, ale „oprócz”.

Podniósł na nią wzrok, w którym było tyle jawnej wdzięczności, że Candice spuściła oczy.

Nagle zadźwięczał brzęczyk telefonu i oboje aż podskoczyli. Była to nagrana reklama telefoniczna, którą Glenn uciszył niecierpliwym gestem. Przy okazji zobaczył mrugające światełko automatycznej sekretarki. Na taśmie było kilka rozmów. Odsłuchali razem kilku ofert telewizji kablowej, jednej pomyłki, a potem nagle rozległy się wypowiedziane z obcym akcentem słowa: „Dzień dobry, profesorze, to znów ja, Elias Konstantine. Przepraszam, że to trwało tak długo, ale sam pan rozumie — różne papierki, opłaty... Mogę pana zawieźć do Dżebel Mara, ale musi pan jak najszybciej przybyć do Damaszku. Powinienem też pana ostrzec

— tu jest niebezpiecznie. Przyjeżdża pan na własne ryzyko, profesorze. Dziś był u mnie jakiś człowiek i prosił o to samo, ale odpowiedziałem, że nie znam miejsca o nazwie Dżebel Mara. Obawiam się, że ma pan konkurencję”.

— Damaszek! — wykrzyknęła Candice. — Zatem pański ojciec planował wykopaliska! W miejscu zwanym Dżebel Mara. Ale jak to możliwe, by ktoś poza nami o nim wiedział? Profesor mówił o tym tylko do mnie.

— Zginęła teczka z korespondencją — rzekł z roztargnieniem Glenn, wciąż trzymając zwinięty arkusik, jakby nie potrafił go rozłożyć. — Siergiej Baskow musiał pisać o Dżebel Mara...

— Więc każda strona ma tylko fragment układanki — zauważyła Candice,

mimo woli wyobrażając sobie scenę pościgu za skarbem z kiepskiego filmu przygodowego.

Glenn podniósł słuchawkę i połączył się z posterunkiem.

— Włamywacz zniknął bez śladu — rzekł, zakończywszy rozmowę. — I nadal nie wiemy, gdzie jest Thjbodeau.

Zadumał się nad ostatnimi słowami Konstantine'a. Konkurencja...

Zabójca ojca ruszył na poszukiwanie Gwiazdy Babilonu. A to oznaczało, że i on będzie musiał pójść tym tropem.

Zdjął kapelusz, elegancką czarną fedorę z satynową wstążką, i ułożył go starannie na biurku. Jakby odprawiał jakiś rytuał, pomyślała Candice patrząc, jak prostuje kartkę, wciąga głęboki oddech i podchodzi do światła przygotowując się na to, czemu musiał stawić czoło.

Kiedy rozpoczął głośno: "Drogi synu...", wtrąciła:

— Nie musi mi pan tego czytać.

— Została pani w to wmieszana, ma więc pani prawo wiedzieć, co jest w liście.

Ale to nie był prawdziwy powód. Glenn czuł się bezpieczniej czytając ten list na głos, upubliczniając prywatne słowa, jakby wcale go nie dotyczyły.

— Drogi synu — rozpoczął jeszcze raz. — Skoro czytasz te słowa, znaczy to, że już nie żyję; dobiegłem kresu swych dni lub dosięgła mnie zła przygoda, być może w czasie wykopalisk. Jeśli umarłem przed rozpoczęciem wyprawy, proszę cię, byś wyruszył na nią w moim zastępstwie. Jeśli zaś zostałem pochowany w Syrii — abyś kontynuował to, co rozpocząłem.

Wybacz mi, piszę w pośpiechu, bo grozi mi niebezpieczeństwo. A z mojego powodu grozi ono także Tobie. Jest kilka rzeczy najwyższej wagi, o których muszę Ci powiedzieć. Ale przede wszystkim chciałbym nareszcie zawrzeć z Tobą pokój.

Łzy zapiekły Glenna w oczy, zatarły słowa w zmierzchającym świetle.

Candice zapaliła stojącą na biurku lampę.

— Z pewnością przejrzałeś już moje rzeczy, także te w depozycie bankowym, i wiesz z mojej korespondencji z Siergiejem Baskowem, że Gwiazda Babilonu jest w Dżebel Mara. Ponieważ głęboko wierzę, iż może Cię ona doprowadzić do przełomowego odkrycia związanego z Egiptem osiemnastej dynastii, radzę Ci zwrócić się o pomoc do Candice Armstrong. To dobra dziewczyna i znakomity egiptolog. Co więcej, można jej zaufać.

Cienie wkradły się do pokoju, przyczytały w kątach, jak gdyby nadśluchując.

— Zdaje się nam, że mądrość przychodzi z wiekiem — pisał John Masters. — Ale tak nie jest. Wiek otwiera nam tylko oczy na to, że za mało w nas mądrości.

Glenn urwał, odchrząknął, postąpił bliżej lampy.

— Wyobrażam sobie, jak musiałeś się czuć po śmierci matki. Ja sam byłem zbyt zrozpaczony, by Cię pocieszyć. Ileż to razy żałowałem, że nie mam dość odwagi albo dość pokory, by poruszyć ten temat i naprawić nasze wzajemne stosunki! Tymczasem zwykle, kiedy byliśmy razem, nie umieliśmy znaleźć wspólnego języka i wszystko rozgrywało się nie tak, jak powinno. Spędziłem całe życie na sklepaniu rozsypanych kawałków, a teraz Ty, synu, robisz to samo — składasz razem poszlaki i fakty, by uzyskać jasny obraz zbrodni. A jednak żaden z nas nie zdołał scalić naszych strzaskanych więzi.

Wiem, myślisz, że się wstydzę, iż mój syn jest policjantem — czytał Glenn nieswoim, napiętym głosem. — Przeciwnie. Jestem z Ciebie dumny. Ale jestem też zbyt uparty, by Ci to powiedzieć. Jeśli czytasz te słowa, to znaczy, że nie zrobiłem jednak pierwszego kroku, by przełamać dzielące nas milczenie. To znaczy, że już nie żyję. Jeśli tak jest, chcę, abyś wiedział, że kocham Cię całą swoją duszą i zawsze Cię kochałem — nie umiałem tylko znaleźć słów zdolnych wyrazić moc mojej miłości.

Glenn przycisnął palce do oczu.

Candice czekała.

Za oknami znów zaczął padać deszcz. Glenn przysunął się do lampy, ręka trzymająca list zadrżała.

— Przejdźmy jednak do interesów. Synu, nawarzyłem Ci piwa z tajemnic i teraz pozostawiam Ci ten mętny wywar pytań bez odpowiedzi. Jest jeszcze coś, o czym nie wiesz: przez wiele lat chronilem Cię przed tą wiedzą. Już dawno powi-

nieniem był Ci powiedzieć o Morven i o Światłości.

Światłość! Oczy Candice rozszerzyły się z emocji.

— Czas, byś poznał prawdę. Ukrywałem ją przed Tobą tak długo przez wzgląd na Twoje bezpieczeństwo. Nie wiedziałeś, czym naprawdę zajmuje się matka. — Glenn urwał, zmarszczył czoło. Czym zajmowała się naprawdę?

— Sam o tym przeczytasz — podjął — w jej dzienniku. Nigdy Ci go nie pokazywałem. Schowałem go po jej śmierci. Jest w jej nocnej szafce, tam gdzie zawsze go trzymała. Przeczytaj go, synu. Musisz wiedzieć, czemu masz stawić czoło, jakim siłom wydać wojnę.

Glenn zerknął na sufit, jakby mógł przeniknąć wzrokiem tynk, belki stropu i dywan i zajrzeć do dziennika leżącego w szufladzie nocnej szafki.

— Philo Thibodeau to szaleniec. Naczytał się Nostradamusa i wziął sobie do serca przepowiednię z siódmej centurii, czterowiersz osiemdziesiąty trzeci. Nie pozwól, by zawładnął Gwiazdą Babilonu. Użyje jej, by czynić zło. I tożło największe, prawdziwy Armagedon, sądzę bowiem, że planuje zniszczyć...

— Dalej, dalej — ponagliła Candice.

— To już koniec. Tekst się urywa. Właśnie wtedy mu przerwano. — Glenn zapatrzył się na ostatnie słowo. W tamtej właśnie chwili ktoś zadzwonił do drzwi i życie ludzkie dobiegło końca.

Candice zadygotała. Zapadający zmrok przyniósł ze sobą zimny powiew. Wpełzająca podstępnie wilgotna mgła brała dom w posiadanie.

— Co mógł mieć na myśli pisząc o zniszczeniu? — Nagle wyobraziła sobie Gwiazdę Babilonu w postaci bomby jądrowej porzuconej na pustyni przez jakiegoś bliskowschodniego dyktatora. Zerknęła na Glenna, którego twarz ukryta była w cieniu. — Co takiego jest napisane na tabliczkach, których pański ojciec tak wytrwale szukał? — Mimowolnie dotknęła opatrunku na szyi. Ktoś inny pragnął ich tak bardzo, że nie cofnąłby się przed zabójstwem. — Jakiś tekst biblijny? Przepowiednia?

Proroctwo końca świata, pomyślała.

Glenn upuścił list na biurko i bez słowa wyszedł z pokoju. Posłyszała, jak bie-

gnie na górę po schodach, przemierza pokój nad gabinetem. Po chwili wrócił, trzymając w ręku oprawny w szmaragdowy jedwab tomik o złożonych brzegach stron, zapinany na magnetyczny zameczek. Był to dziennik jego matki.

Po zwolnieniu zapięcia kartki rozchyliły się w miejscu, gdzie dzieliła je czerwona wstążka zakładki. Glenn zobaczył wypisane ręką matki słowa: Śmierć nie istnieje...

Zamknął dziennik i mocno przycisnął magnes. Jeszcze nie teraz. Za wcześniej. To coś więcej niż pamiętnik, to odkryte wnętrze jego serca.

A serce było jego słabym punktem, którego nie chciał wystawiać na cios.

— Trzeba zajrzeć do Nostradamusa — stwierdziła Candice. — Może on nam coś podpowie.

Glenn rozejrzał się po bibliotece za antycznym wydaniem, które od wielu lat było w posiadaniu jego ojca. Stało na półce. Wrócił z nim do biurka. Rozdziały, zwane centuriami, składały się ze stu czterowierszy. Znalazł siódmą centurię i szybko przeczcił strony. Kończyła się na czterdziestej drugiej strofie.

Odłożył książkę. Nie mieli czasu do stracenia. Podnosząc słuchawkę telefonu, rzekł do Candice:

— Morderca ojca na pewno opuścił już Stany, bo nie ma tu nic więcej do roboty. Teraz spróbuje przekonać albo zmusić Eliasa Konstantine'a, żeby zawiózł go do Dżebel Mara. Tam go znajdę.

— Znajdziemy — poprawiła go Candice.

— Co? — obrócił się gwałtownie.

— Jadę z panem — oznajmiła. — Złożyłam obietnicę pańskiemu ojcu.

Uświadomiwszy sobie sens jej słów, Glenn wpadł w panikę. Patrzyła na niego szeroko otwartymi oczyma, w których szklily się łzy. Nie potrafiłby jej niczego odmówić. A przecież nie mógł pozwolić na tę szaleńczą wyprawę.

Szukał w myśli słów, którymi mógłby ją przekonać.

— Nie mogę się na to zgodzić. Ryzyko jest zbyt duże. Jeśli naszym rywalem jest Philo Thibodeau, to bardzo groźny przeciwnik, bogaty i potężny, nieomal

wszechmocny.

— Ale nas jest dwoje. — Widząc, że Glenn nie mięknie, dodała: — Będę panu pomocą, nie zawadą. Jestem archeologiem. Jak zamierza pan znaleźć Gwiazdę Babilonu?

Spokój, nakazał sobie w myśli Glenn. Traktuj to profesjonalnie.

— Tak samo, jak znajduję winnych zbrodni — rzekł. — Analizując tropy.

— Jak dostanie się pan do Syrii? Na wizę czeka się tygodniami.

— Dadzą mi służbową w trybie pilnym. Policje różnych krajów wyświadczaają sobie takie przysługi. Tu Masters — rzucił do telefonu. — Połącz mnie z kapitanem Boyle'em. To pilne.

Czekając na połączenie rzekł do Candice:

— Proszę zostawić to mnie, doktor Armstrong. Zanim dostanie pani wizę, zdążę go złapać.

Candice wyjęła własny telefon komórkowy, jakby stawała do pojedynku.

— Gdzie pani dzwoni?

— Do Iana Hawthorne'a. Mówił, że wraca do Jordanii. Prowadzi tam wykopaliska. Przerzuci mnie do Ammanu jako swą pracownicę, a stamtąd jest już tylko żabi skok do Damaszku.

— Pani doktor...

— Ian, tu Candice — powiedziała szybko, słysząc w słuchawce znajomy głos. — Mówiłeś ostatnio, żebym zadzwoniła, jeśli potrzebna mi będzie pomoc. Otóż jest mi potrzebna, i to bardzo.

Skończywszy krótką rozmowę, schowała telefon do torebki i widząc nachmurzoną minę Glenna, odezwała się przepaszająco:

— Proszę się nie martwić, nie powiem mu, dlaczego muszę jechać. W ogóle nic mu nie powiem o Gwieździe Babilonu, chyba że nie będzie innego wyjścia. Zresztą Ian nie będzie mnie o nic pytał. Jest dżentelmenem.



Glenn spróbował z innej beczki:

— Pani obecność utrudni mi prowadzenie śledztwa... Równocześnie odezwał się pager Candice. Spojrzała na wyświetlacz. Kod regionu 409. San Francisco.

— Muszę przyjąć tę rozmowę.

Z bijącym sercem ponownie wyjęła komórkę i wystukała numer O'Briena.

— Słyszeliśmy o śmierci Mastersa. To ogromna strata dla całej archeologii — rzekł i po chwili wahania dodał: — Rozpatrzyliśmy pani podanie, Candice. Ma pani tę pracę.

Spojrzała we wnętrze czarnego, zimnego i czysto wymiecionego kominka. Czują na sobie wzrok Glenna. Słyszała bijący o szyby deszcz.

— Aha — bąknęła.

— Co się stało? — spytał Glenn, nie spuszczając z niej wzroku.

— Dostałam posadę, poruczniku. Tę, o której panu mówiłam.

Poczuł ogromną ulgę. Dziewczyna pojedzie do San Francisco.

Candice kurczowo ścisnęła słuchawkę, z której odezwał się stłumiony odległością głos: „Halo! Czy pani mnie słyszy?!“

Miała ochotę śmiać się i skakać. Uwierzyli w nią! Nie sugerowali się sprawą Fairclotha, tylko jej wiedzą. Nareszcie zyskała uznanie w swoim środowisku.

Spojrzała na Glenna, w zamyśleniu ściskającego zeszyt w szmaragdowej oprawie i nagle coś jej się przypomniało. Zakryła dłonią słuchawkę, bezceremonialnie odbierając głos O'Brienowi, i spytała:

— Poruczniku, jeśli znajdzie pan tabliczki i Gwiazdę Babilonu, co pan z nimi zrobi?

Zamrugał, nie przygotowany na takie pytanie.

— Oddam je syryjskim władzom. A dlaczego pani pyta?

— Pański ojciec chciał, aby zabezpieczono je tutaj.

— Wywóz starożytności i skarbów kultury jest niezgodny z prawem. Jeśli znajdę tabliczki i to coś, co nazywa się Gwiazdą Babilonu, moim obowiązkiem jest przekazać to wszystko rządowi Syrii.

— Ale pański ojciec...

— Przede wszystkim muszę przestrzegać prawa, panno Armstrong.

Widząc jego stanowczą minę, zaciśnięte usta, Candice zdała sobie sprawę, że dla niego sprawa jest już rozstrzygnięta. A John Masters prosił: „przywieź ją tu”.

Wróciła do Reeda, który czekał w San Francisco.

— Ogromnie mi przykro, ale nie mogę przyjąć tej posady.

— Co?! — Glenn złapał ją za nadgarstek. — Musi pani ją przyjąć!

Candice wyszarpnęła rękę i zakończyła rozmowę.

— Wprost nie chce mi się wierzyć, że pani to zrobiła. Mnie też trudno w to uwierzyć, pomyślała. Na głos zaś powiedziała:

— Wiem, co robię.

— Do diabła, czy nie zdaje sobie pani sprawy, na co się pani naraża? Jeśli nie dopadnę zabójcy mego ojca, on zapoluje na panią!

Candice zawadiacko zadarła podbródek, żeby ukryć rozpacz. Praca w San Francisco była jej ostatnią deską ratunku.

— Tym lepiej. Będzie pan miał przynętę. — Wypowiedziała te zuchwałe słowa, czując w sobie bardzo niewiele odwagi. Miała nadzieję, że nie widać po niej, jak bardzo się boi. A potem przypomniała sobie, z czym dzwonił O'Brien. Mimo jej reputacji nadszarpniętej skandalem rada muzeum wysoko oceniła jej kwalifikacje merytoryczne. A skoro oni byli skłonni jej zawierzyć, sama też powinna wierzyć w siebie. Dam sobie radę, pomyślała.

— Miała pani powściągnąć swoją impulsywność — rzekł kwaśno Glenn.

— To nie był impuls.

Miał ochotę powiedzieć, że do listy wad powinna dodać upór.

— Nie może pani jechać.

— A pan nie może mnie powstrzymać. — Wyzywająco spojrzała mu prosto w oczy, pewna swego. Kiedy jednak napotkała jego wzrok, poczuła, iż serce znów alarmująco skacze jej do gardła. Nagle uświadomiła sobie, że znacznie łatwiej jest pożegnać się na progu z pociągającym mężczyzną, po czym schronić się w domu i przestać o nim myśleć, niż przemierzyć z nim pół świata nie rozstając się z nim nawet na chwilę. Obiecała sobie jednak, że znajdzie tabliczki i przywiezie je do kraju. Musi oprzeć się czarowi wysokiego porucznika. Z pewnością wystarczy odrobina silnej woli.

Słyszając, jak jej niski głos przybiera jeszcze głębsze tony, Glenn Masters poczuł gorąco rozlewające mu się po skórze. Nie wiedzieć dlaczego nagle przyszły mu na myśl upalne letnie noce, zmięta pościel... To był powód, dla którego nie mógł zabrać jej ze sobą — całkowicie go dekoncentrowała. Miał się spotkać ze zbrodniarzem na drugim końcu świata i musiał być czujny. Jeśli ona uparła się jechać, on był nie mniej zdecydowany, by ją zawrócić — siłą, jeśli nie będzie miał innego wyjścia.

## ROZDZIAŁ JEDENASTY.

Spotkanie było tajne.

Na czterdziestym piętrze wieżowca wznoszącego się nad nocnym pejzażem Houston zebrały się dwadzieścia dwie osoby. Schodzili się pojedynczo pod osłoną ciemności i zniżając głos, przemykali cicho przez hol, w którym miejsce zwykłego strażnika zajął człowiek zaufany. Nie tracili czasu na błahe pogaduszki ani osobiste rozmowy, lecz z powagą zajmowali miejsca przy dużym konferencyjnym stole oświetlonym zwisającymi nisko reflektorkami. Każdy miał przy sobie pliki dokumentów, gotów przedstawić raport. Skórzane fotele otaczające stół tonęły już w półmroku; od czasu do czasu błysk złota, platyny lub drogich kamieni na palcach i przegubach zebranych świadczył o ich bogactwie, a co za tym idzie — władzy. Nie wszyscy byli Amerykanami. Większość przyleciała z innych krajów. Nie zawsze też spotykali się w tym właśnie budynku, ani nawet w Stanach. Ponieważ jednak dziś gościli w Houston, rola przewodniczącego zebrania przypadła Philonowi

Thibodeau, którego korporacja petrochemiczna była właścicielem wieżowca.

Philo wstał ze swego miejsca u szczytu stołu. Jego białe włosy załśniły na moment w świetle lampy. Miał na sobie nieformalny strój, jak zwykle biały i nieskazitelnie czysty (przebierał się kilka razy dziennie). Inni popijali już kawę lub wodę mineralną, ale przed Philonem nie stała żadna szklanka. Nigdy nie jadł i nie pił w towarzystwie innych — nawet własnej żony.

— Zaczniemy od pana, panie Greene — rzekł do mężczyzny siedzącego po jego prawicy.

Mężczyzna otworzył teczkę, odchrząknął i przeczytał:

— W przyszłym tygodniu przed sądem wyższej instancji w Los Angeles rozpoczyna się proces Rogera Fieldstone'a, aresztowanego za posiadanie przedmiotów skradzionych z muzeum Getty'ego w Malibu.

Thibodeau cmoknął z niesmakiem.

— Trzeba jak najszybciej opanować sytuację. Kto przewodniczy rozprawie? Ktoś z naszych?

Mężczyzna zajrzał do notatek.

— Sędzina Norma Brown.

— A tak, to porządna kobieta. Zadzwońię do niej. Przesuńcie Fieldstone'a do jakiejś innej pracy, bo tu się nie popisał. Gdzieś, gdzie nie będzie się rzucał w oczy, na przykład do laboratorium spektrometrycznego.

Kolejnateczka spoczywała w dłoniach głębokiej hebanowej barwy.

— Zlokalizowaliśmy pewną książkę, mającą rzekomo być dziennikiem jednego z pierwszych antropologów, jacy odwiedzili Afrykę Wschodnią. Podobno zawiera opisy rytuałów religijnych, które zaobserwował z ukrycia. W przyszłym tygodniu mam się spotkać z człowiekiem, który chce ją sprzedać.

— Świetnie, panie Kimbata — rzekł Thibodeau. — Kto następny?

Zebrani kolejno składali raporty. Przyciszone głosy rozbrzmiewały różnorodną gamą obcych akcentów. Przygarbiony mężczyzna w grubych szklach powiedział:

— W najświeższym numerze „International Antiquities Marketplace” jest oferta sprzedaży kretańskiej steli zapisanej pismem linearnym B.

— Podróbka. — Thibodeau machnął ręką. — Dalej.

— Za jedwabny zwój z nieznanym wcześniej taoistycznym tekstem sprzedawca żąda pięciu milionów dolarów — odezwał się pan Yamamoto z Tokio.

Zebrani poczęli wymieniać uwagi, kiwać lub potrząsać głowami; w końcu zgodzili się, że cena jest uczciwa.

Ostatni spośród członków gremium, analityk giełdowy i czarodziej finansów, oznajmił, że ich wspólny znajomy został wybrany na dyrektora zarządzającego w olbrzymiej i potężnej korporacji. Zebrani pokiwali głowami z aprobatą, a Thibodeau zagwizdał cicho: mając tę korporację pod kontrolą mogli mówić o spełnieniu marzeń.

Wreszcie przyszła kolej na niego.

— Panie i panowie, otrzymałem informacje, że doktor Candice Armstrong wybiera się na poszukiwania Gwiazdy Babilonu.

— Wydanie wizy syryjskiej trwa kilka tygodni — odezwał się Barney Voorhees, minister kultury jednego z europejskich rządów. — Mamy dość czasu, żeby ją powstrzymać.

— Poprosiła o pomoc Iana Hawthorne'a — zauważył Philo. — Hawthorne ma koneksje w Jordanii i wie, gdzie posmarować, żeby zyskać jej szybki wstęp. Po dotarciu do Damaszku Armstrong skorzysta z usług człowieka nazwiskiem Elias Konstantine.

— A co z młodym Mastersem?

— Też jedzie.

— I nie ma sposobu, żeby im przeszkodzić? — rozległ się z półcienia głos nacechowany silnym australijskim akcentem.

— Są sposoby — mruknął Philo. Ale na tym etapie nie chciał już ich powstrzymywać. Niech znajdą Gwiazdę Babilonu, potem będzie można się ich pozbyć. Nie wyłożył jednak swych przemyśleń głośno.

Gdy zebrani wyszli, by powrócić do swych ról bankierów, polityków, naukowców i poetów, do rodzin i przyjaciół, którzy nie mieli pojęcia o ich związkach z tajnym bractwem, Philo przeszedł do sąsiedniego pomieszczenia, gdzie oczekiwał na niego pewien mężczyzna.

— Buschhorn nie chce sprzedać — oznajmił.

Mężczyzna miał końską szczękę i furtkę między zębami. Zbudowany był jak buldożer, takie też miał obejście. Tym razem jednak najwyraźniej nie udało mu się dopiąć swego.

Philo ze smutkiem pokręcił głową. W głębi duszy był pacyfistą; wolał zdobywać obiekty do swojej kolekcji w sposób cywilizowany. Ale kiedy natrafiał na opór, bez wahania sięgał po inne środki.

Tego również nie wiedzieli o nim członkowie rady.

To Sammy trzymał ją przy życiu.

Gdyby nie on, wpadłaby w obłęd albo odebrała sobie życie. Dlatego dostawał najlepszą karmę, rozmaite zabawki i codziennie na dwie godziny wypuszczała go z klatki, dając mu pełną swobodę.

Można śmiało powiedzieć, że Sammy był najszczęśliwszą papugą na świecie.

Britta mieszkała samotnie przy Hederichstrasse we Frankfurcie. Zaledwie czterdziestodwuletnia, włosy miała bielsze od piór kakadu przycupniętej na jej ramieniu. Duże oczy Britty widziały zbyt wiele i na zawsze zastygła w nich groza. Była torturowana przez powstańców, którzy opanowali szpital we wschodnio azjatyckiej dżungli, gdzie pracowała wraz z mężem. Dwudziestu jeden pracowników szpitala więziono przez wiele miesięcy w ciemności, prawie bez jedzenia. Przeżyła tylko Britta.

Sammy dał jej siły, by się pozbierać. Ten łagodny ptak gwizdał z uznaniem, kiedy rozbierała się do kąpieli, wydziobywał jej z talerza pumpernikiel i kiełbasę, domagał się głaskania i wypełniał mieszkanie komicznymi dźwiękami. Odważniał jej miłość i wspierał ją w walce o godność ludzką. Jako członkini Amnesty International Britta pisała listy, wygłaszała odczyty, organizowała marsze protestacyjne i tropiła każdy przejaw łamania praw człowieka. Sammy był jej odtrutką na ten mroczny świat.

Fotel na kółkach miał elektryczny napęd. Był to luksus, lecz niezbędny — powstańcy połamali jej ręce, które nigdy nie odzyskały pełnej sprawności. Z papugą na ramieniu podjechała do klatki.

— Teraz grzeczny ptaszek pójdzie spać, a potem pani da mu papu — zaszczębiała.

Sammy zagwizdał w odpowiedzi, pieszczotliwie skubnął ją w ucho, zeskoczył na dłoń i dał się wstawić do klatki, gdzie usadowił się na drążku. Nastroszył piękny biały czub, przekrzywił łebek, jakby się zastanawiał, na co ma apetyt.

Przez moment Britta miała wrażenie, że słyszy dźwięk otwieranych drzwi. Nie, to niemożliwe, były przecież zamknięte na klucz.

Kiedy się obejrzała, zobaczyła dwóch mężczyzn. Jeden z nich był czarny, drugi biały z czerwonym znamieniem na policzku. Trzeci, starszy i siwowłosy, wyłonił się spoza nich; jego straż przednia rozstąpiła się niczym morze przed prorokiem. Miał na sobie białe spodnie i białą, rozpiętą pod szyją koszulę, na które narzucił kremowy kaszmirowy płaszcz jakby na przekór pochmurnej, deszczowej pogodzie. Britta odniosła wrażenie, że swoją władczą osobowością wypełnia do reszty niewielkie mieszkanie.

— Proszę się nie obawiać, Frau Buschhorn — rzekł doskonałą niemczyzną z lekkim amerykańskim akcentem. — Nie zamierzamy pani skrzywdzić.

— Kim pan jest? Czego tu chcecie? — spytała ostro, przekręcając fotel tak, żeby mieć ich na wprost. Chciała im pokazać, że niełatwo ją zastraszyć.

Philo milczał przez chwilę, taksując ją wzrokiem. Twarda kobieta. Włosy pobielale przedwcześnie, jak jego własne. Znał jej historię — gdy uciekła z niewoli, pisały o niej wszystkie gazety. Teraz była znaną na całym świecie bojowniczką o prawa człowieka. Philo czytał jej w myślach: „Nie zrobisz mi nic, czego nie zrobili tamci”.

Myliła się.

Sięgnął do kieszeni i wyjął z niej niewielki tomik. W niewoli mąż Britty, Jacob, doświadczył serii mistycznych wizji. W ciemności widział światło, w cierpieniu czuł dotyk Boga; spośród krzyków torturowanych kolegów wyławiał Boży szept, a kiedy z bólu tracił przytomność, czułe dłonie wyjmowały go z ciała i tuliły z miłością.

Jacob mówił o tym współwzięniom, dając im pociechę i nadzieję. Gdy strażnicy nie patrzyli, spisywał swe widzenia na skrawkach papieru i tkanin, używając struganego zębami ołówka. Britta zabrała te zapiski ze sobą; odratowana w szpitalu, nie raz uciekała się do nich po pocieszenie. Później — uznawszy, że powinna się nimi podzielić z całym światem — wydała je drukiem. Słowa nadziei, mądrości i pokrzepienia natychmiast obiegiły glob stając się bestsellerem. Przetłumaczono je na wiele języków; Philo trzymał właśnie w dłoni angielską wersję.

— Przyszliśmy po oryginał tego tekstu. Britta nagle zrozumiała.

— To pan jest tym człowiekiem, który chciał go kupić.

— Otrzymała kilka ofert; ostatnia opiewała na sumę miliona dolarów.

— Tak — rzekł łagodnie Philo. — A teraz przyszedłem go sobie wziąć.

Sięgnęła po telefon. Philo w dwóch krokach znalazł się przy niej i lekko dotknął palcami grzbietu jej dłoni.

— Proszę się nie bać — rzekł, wpatrując się w nią bez zmrużenia ciemnoszarymi oczyma, z których biła potęga jego ducha.

— Nie skrzywdzimy pani. Przyrzekam.

Zacisnęła palce na słuchawce.

— Nie dostanie pan tych papierów.

— Moi towarzysze przeszukają mieszkanie. Oczywiście zrobią to z należyтым szacunkiem. Wszystko zostanie tak, jak było. Jeśli przestawią jakikolwiek przedmiot, proszę mi powiedzieć, to zaraz poprawią.

— Szukajcie sobie do woli — powiedziała wyzywająco.

— Tak też zrobimy. Odwrócił się i wszedł do kuchni.

Britta podniosła słuchawkę i zaczęła wybierać numer, nim zorientowała się, że telefon jest głuchy. Odłożyła słuchawkę na widelki, patrząc, jak człowiek w kaszmirowym płaszczu szarogęsi się w jej kuchni. Powiedziała sobie stanowczo, że się go nie boi. Może sobie szukać gdzie chce, i tak nie znajdzie rękopisu. W żaden sposób nie zdoła jej skłonić do tego, by wyjawiała miejsce jego przechowywania.



— Moi współtowarzysze i ja nie jesteśmy oszustami ani rabusiami — rzekł, zdejmując czajnik z kuchenki. — Jesteśmy rycerzami w uświęconej misji, członkami najstarszego i najświętszego bractwa na ziemi. Pani osobiste ambicje nie mogą nas powstrzymać przed osiągnięciem celu.

Kobieta spojrzała nań z pogardą. Nie obchodziło jej, kim byli; mogli sobie wynieść całą zawartość mieszkania, proszę bardzo. Przeżyła już gorsze rzeczy, nie byli w stanie jej dotknąć.

Philo napełnił czajnik nad małym zlewem.

— Proszę posłuchać, co mam pani do powiedzenia, Frau Buschhorn. — Odwrócił się i spojrzał jej prosto w oczy. — To ważne...

Czajnik został umieszczony na palniku, Philo zapalił gaz.

— Nasze korzenie sięgają starożytnego kapłaństwa, wspólnoty mężczyzn i kobiet stojących na straży wiedzy. Trzysta lat przed narodzeniem Jezusa Chrystusa Aleksander Wielki miał wizję, w której posłyszał głos nakazujący mu zgromadzić całą mądrość świata. — Philo wyjął mleko z lodówki i nalał trochę do fajansowego dzbanuszka. Tymczasem w sypialni jego ludzie metodycznie przeszukiwali rzeczy Britty. — Aby to osiągnąć — ciągnął, gromadząc na blacie filiżanki, spodki i łyżeczki i stojącą na stole cukiernicę — jego następcę, Ptolemeusz, rozesał listy do wszystkich władców świata, prosząc, aby przekazali mu dzieła swych poetów i pisarzy, myślicieli i proroków, księgi święte i świeckie, pieśni i hymny. Potem wyprawił gońców do wszystkich miast Europy, Azji i Afryki, aby mu je przywieźli. Obce statki zawijające do Aleksandrii przeszukiwano, a jeśli znalazł się na nich jakikolwiek manuskrypt, zabierano go do kompleksu gmachów Wielkiej Biblioteki, gdzie zostawał skrupulatnie przepisany.

Philo znalazł w szafce nieduży brązowy imbryk. W sypialni dwaj goryle obmacywali szafę cal po calu z dokładnością policyjnych detektywów badających miejsce zbrodni. Drobną kobietą w fotelu na kółkach patrzyła na to wyniośle. Nie miała zamiaru dać się zastraszyć tym trzem intruzom, naruszającym spokój jej domu. W klatce pod oknem Sammy beztrosko czyścił sobie pióra.

— Dwieście lat później — podjął Philo — potomkini Ptolemeusza, Kleopatra, rozbudowała i wzbogaciła Bibliotekę znów rozsyłając na cały świat emisariuszy, którzy mieli wyszukiwać i zwozić księgi pełne mądrości. Mówi się, że w czasach Jezusa Biblioteka Aleksandryjska zawierała odpisy i przekłady wszystkich zna-

nych tekstów. Proszę tylko pomyśleć, pani Buschhorn: wszystkie księgi świata!

Wyjął zza tosterę tacę, rozłożył na niej znaną w szufladzie serwetkę i zaczął ustawiać filiżanki i dzbanki. Niosąc tacę do saloniku, podjął:

— Księgi te udostępniano uczonym z całego świata. Zapraszano ich, aby mogli studiować chińskie, arabskie i hebrajskie rękopisy. Dzieła Platona, Cezara i Ptahhotepa. Pokolenia błyskotliwych umysłów odwiedzały wielkie czytelnie, ogrody i muzea. Był to pierwszy na świecie uniwersytet, Frau Buschhorn. Źródło światła, podobnie jak słynna aleksandryjska latarnia morska.

Czajnik zaczął gwizdać. Idąc do kuchni, Philo na moment zasłonił okno. Zrobiło się ciemno i Britta poczuła dreszcz pełznący po plecach.

Wrócił z parującym imbrykiem i zabrał się za rozlewanie herbaty do filiżanek. Sammy skakał po klatce, trącając dla zabawy duże błyszczące paciorki i małe dzwonki, które odzywały się czystym dźwiękiem.

Dwaj mężczyźni skończyli przeszukiwać sypialnię i wzięli się za salon — spokojnie, metodycznie i schludnie. Przedwieczne cienie padały na dywan i postacie intruzów. Ten, który z nią rozmawiał — Philo Thibodeau, milioner; widziała go na zdjęciu w gazecie, jak ścisnął dłoń kanclerza Niemiec — miękkim, miodopłynnym głosem toczył krągłe frazy w jej trudnym języku. W oczach miał współczucie, jak gdyby naprawdę było mu przykro, że pozwolił sobie na to najście.

— W roku trzysta dziewięćdziesiątym pierwszym naszej ery patriarcha Aleksandrii, patrząc na Bibliotekę, w której przechowywano mądrość wieków, uznał, że dopóki ta wiedza istnieje, dopóty ludzie będą wątpić w ewangelię Jezusa. Panujący wówczas cesarz Teodozjusz z wielkim zapalem wypleniał pogaństwo; patriarcha bez trudu więc uzyskał jego zgodę na zniszczenie Biblioteki. Chrześcijańska tłuszcza, podburzona zacieklej retoryką Kościoła, przekonana, że zebrane księgi są dziełem Szatana, ruszyła na Bibliotekę z pochodniami. W orgii świętokradczej nienawiści wyrzucano z budynków kodeksy i zwoje i palono je na wielkich stosach na ulicach Aleksandrii, podczas gdy kapłani i kapłanki próbowali je ratować. Czy potrafi pani sobie to wyobrazić, Frau Buschhorn?

Mimo woli Britta wyobraziła sobie tę scenę: na tle jaskrawo-żółtych płomieni liżących czarne niebo zbici w trwożne gromadki kapłani o ogolonych głowach i kapłanki w długich czarnych perukach, w białych rozwianych szatach, gorączkowo pakują i niosą sterty ksiąg. Na zewnątrz oszalały tłum ciska ich w płomienie;

papirus i ludzkie ciała czernieją razem w ogniu...

— Ocenia się, że owego dnia spłonęło około pół miliona książek. — Philo podał jej filiżankę, nalał i sobie, ale swoją odstawił na bok. Britta także nie miała ochoty na herbatę. — Spalenie Biblioteki to niezbity fakt — ciągnął odsuwając sobie krzesło i siadając naprzeciw niej. — Historycy nie wiedzą jednak o tym, że wielu spośród kapłanów i kapłanek, którzy strzegli w niej wiedzy świata, zdołało uciec. Ocalili życie... i nie tylko.

Goryle skończyli przeszukiwać salonik i nie znalazłszy niczego, ustawili się przy drzwiach wyjściowych.

— Kapłani wywieźli z Aleksandrii tyle świętych ksiąg i zwojów, ile zdołali unieść. Legenda mówi, że jedna z kapłanek udawała ciężarną, schowawszy pod suknią kosz z przepowiedniami wyroczni delfickiej. Przegrupowali się na Cyprze; stamtąd ruszyli na północ, do Hiszpanii, a później Francji, cały czas uchodząc przed szerzącym się chrześcijaństwem. Z biegiem lat i oni przyjęli chrzest, ale nie złamali danej ongiś przysięgi, że będą chronić ocalone pisma, choć były dziełami pogan. W ciągu wieków, gdy inne prace padały ofiarą nietolerancji, Aleksandryjczycy strzegli ksiąg ocalonych z pożaru i gromadzili kolejne, na tym bowiem polegało ich święte powołanie.

Kiedy przerwał, dając Britcie czas, by przyswoiła sobie to, co jej opowiedział, wtrąciła:

— Nie boję się pana. Uniósł brwi.

— Nie oczekuję, że będzie się pani bać, Frau Buschhorn. Uznałem tylko, że powinna pani wiedzieć, dlaczego są nam potrzebne papiery pani męża.

Wrzucił do jej filiżanki dwie kostki cukru i dołał mleka. Britta zauważyła oryginalny pierścień na jego prawej dłoni: kwadratowy rubin otoczony złotym ornamentem w kształcie języków ognia.

Sammy zasnął, oparłszy łebek o skrzydło.

— Tajne sprzysiężenie rozrastało się. Jego członkowie towarzyszyli konkwistadorom i misjonarzom do Ameryki, gdzie ratowali święte manuskrypty Azteków i Majów. Popłynęli z pierwszymi zesłańcami do Australii, gdzie słuchali tubylców i zapisywali ich wiedzę. Jako antropolodzy i geografowie dotarli do Indian na Ziemi Ognistej, najdalszym krańcu Ameryki Południowej. Badali żyjące w ukry-

ciu plemiona Nowej Gwinei i Afryki. Ich mity, prorocstwa i nauki duchowe są teraz pieczołowicie przechowywane wraz z Torą, naukami Chrystusa, Buddy i Mahometa, księgami Laocy i Konfucjusza.

Zaczynał ją przerażać. Z fanatykami politycznymi miała już do czynienia, z szaleńcem jeszcze nie.

— Przecież ma pan tę książkę — powiedziała, starając się, by głos jej nie zdrżał.

Philo spojrzął na cienki tomik, który położył na stole.

— To nie wystarczy. Dla naszych celów święty tekst musi być tak czysty i bliiski źródła, jak to tylko możliwe.

Zdjął pierścień i pokazał jej biegnącą wewnątrz inskrypcję.

— Fiat Iwc. Niech się stanie światłość — rzekł. — Światło musi być bez skaży. To — dodał, wskazując angielskie wydanie duchowych objawień Jacoba Buschhorna — zostało skażone przekładem i redakcją i dlatego nie daje światła.

Włożył pierścień z powrotem na palec i uśmiechnął się do niej. Serce Britty podskoczyło do gardła. Nie miała pojęcia, o czym mówi ten cudzoziemiec, ale bała się go.

— Nie tknęła pani herbaty — rzekł widząc, że siedzi w milczeniu z rękoma zaciśniętymi kurczowo na poręczach wózka. Skąpe światło deszczowego dnia zaczęło się zmierzchać, w saloniku zaległ ponury cień.

— Te zapiski to wszystko, co mi pozostało po ukochanym człowieku — odezwała się drżącym już głosem. — Bez nich nie będę miała nic.

W przyływie paniki uświadomiła sobie, że to prawda: jeśli utraci te słowa, zapisane przez Jacoba w ciemności, w bólu i rozpacz, swój jedyny łącznik z tamtymi dniami grozy i nadziei, nie zdoła dalej żyć.

Philo ujął obie jej dłonie i rzekł cicho, poważnie, głosem, w którym wrzała jednak pasja:

— Muszę je mieć.

— Dla ozdoby pańskiej kolekcji? — warknęła z goryczą, mając ochotę splu-

nać w twarz temu mężczyźnie w drogim kaszmirowym płaszczu, który przyklęknął u jej pozbawionych życia nóg.

— Och, nie chodzi o kolekcję — w oczach Philona rozjarzył się blask. Jego głos zniżył się prawie do szeptu, ale wciąż czuło się w nim moc. — Nie jest pani w stanie zrozumieć mego dzieła ani drogi, po której kroczę. Mój cel przewyższa zdolność pojmowania zwykłych śmiertelników. — Poczwała, że jego palce zaciskają się, dłonie wilgotnieją i porcja energii przechodzi z nich do jej rąk.

Nie potrafiła oderwać od niego wzroku. — Nadchodzi godzina chwały i pani także będzie miała w niej swój udział. Ale by mogła nadejść, potrzebuję rękopisu pani męża. I będę go miał.

Wstał i podszedł do klatki, w której biała papuga drzemała na poprzeczce.

— Piękny ptak — powiedział, zaglądając przez pręty. — Czy boi się nocy? To częste u papug. Nikt nie wie dlaczego. Budzą się nagle przerażone i w panice miotają się po klatce. Chyba mają koszmary, jak pani myśli?

Nie spuszczała z niego wzroku. Kiedy sięgnął do kieszeni i wydobyl z niej białe rękawiczki, wstrzymała oddech.

— Ludzie są tacy sami — ciągnął. — Ptak nie widzi w ciemności na tyle dobrze, by upewnić się, że jest bezpieczny, wpada więc w panikę. Tak samo jest z nami. Nie widzimy w ciemności i nie wiemy, że nic nam nie grozi. A jesteśmy bezpieczni, Frau Buschhorn. Mogę pani dać na to swoje słowo, bo ja potrafię przeniknąć wzrokiem mrok. Widzę to, co nas otacza, i to, co nas czeka. Ciemność nie istnieje, jest tylko światło. — Jego dłoń spoczęła na drzwiczkach klatki. — Ile ma lat?

— Dziesięć. — Britta z trudem przełknęła ślinę.

— Czy wie pani, że kakadu dożywają dwudziestu pięciu lat? Znam jedną, która ma już ponad trzydzieści. Będzie pani mogła cieszyć się miłością tego uroczego stworzenia jeszcze kilkanaście albo więcej lat.

— Co pan zamierza zrobić?

— Mam zamiar wyjść z tego mieszkania z rękopisem pani męża.

Britta dumnie uniosła głowę.

— Nie dostanie go pan!

— Pani Buschhorn...! — W głosie Philona zabrzmiała nutka żartobliwej przygany.

Zmilczała. Philo otworzył klatkę.

— Proszę pana...

Spojrzał na nią. W oczach miał pytanie.

Britta myślała, że po tym, co wycierpiała w Azji, nic jej już nie dotknie. Nie przewidziała, że spotka człowieka pokroju Thibodeau.

— Nie mogę panu dać tych zapisków — powiedziała łamiącym się głosem. — Jest na nich krew, pot i łzy mojego męża. Jeśli je oddam, to tak, jakbym jego porzuciła.

— Właśnie dlatego są mi potrzebne. Właśnie ze względu na tę krew, pot i łzy. — Philo sięgnął do klatki i delikatnie złapał ptaka obiema rękami. Nie czując zagrożenia, Sammy przekrzywił główkę oczekując pieszczot. Britta poczuła, że ogarnia ją panika.

Philo ukląkł obok fotela na kółkach. Sammy spokojnie siedział mu w dłoniach.

— Gdzie jest rękopis?

Oczy Britty wypełniły się łzami.

— Proszę, niech pan tego nie robi.

Philo uniósł papugę na wysokość twarzy i zagwizdał. Sammy przyjrzał się mu z zaciekawieniem, strosząc czub. Philo zagwizdał jeszcze raz i ptak odgwizdał w odpowiedzi. Philo spojrzał na Brittę i z powagą wyrecytował fragment angielskiego przekładu pism Jacoba Buschhorna:

— Bóg rzekł: „Bądź spokojny, bowiem wszystko jest tak, jak być miało. To Ja kazałem rzeczom toczyć się tą właśnie drogą. Na jej końcu jest światło; i ty będziesz jaśnieć w błyszczącym sklepieniu niebios”.

Łzy spływały po policzkach kobiety.

— Bóg rzekł: „Jesteś moją chwałą, ty i twoi bracia, którzy wraz z tobą cierpią męki. Czekają na was niebo i aniołowie...”

Britta zaczęła płakać, a Sammy, nareszcie wyczuwając zagrożenie, zaskrzeczał.

— Bóg rzekł: „Nic nie dzieje się bez celu. Cokolwiek się stanie, stanie się dlatego, że taka była Moja wola”.

Sammy zakrzyczał przenikliwie, trwożnie. Britta miała wrażenie, że oto od nowa przeżywa tamten koszmar, kiedy jeńcy witali każdy dzień pewni, że będzie ich ostatnim; kiedy jej mąż, okaleczony torturami, mówił swoim współwięźniom słowa pociechy...

— Błagam! — wyszlochała. Łzy ciekły jej po twarzy. Odpowiedział jej cichy, pełen czci głos Philona:

— Bóg rzekł: „Ja jestem światłem, które zstąpiło na ziemię”. Sammy zaszmotał się w dłoni Philona skrzecząc przeraźliwie. W paciorkowatych oczkach malowała się panika.

— Sprawia mu pan ból! — krzyknęła Britta.

— Gdzie jest rękopis?

— Proszę, niech go pan nie krzywdzi. Błagam!

— Gdzie jest rękopis?

Britta spazmatycznie wciągnęła powietrze.

— Gdzie jest rękopis?

Miała go pod bluzką, na sercu. Spoczywał tam w czasie ucieczki i później, kiedy wiozła ciało męża do Niemiec, i w czasie pogrzebu i zawsze — aż do tej pory miała go tuż przy sobie.

Ale kiedy spojrzała na Sammy'ego w uścisku tego drania, powoli wyciągnęła zza dekoltu żółty jedwabny woreczek na czarnym sznurku, rozgrzany ciepłem jej piersi. Jeden z goryli wyjął jej go z ręki, rozwiązał i pokazał Philonowi zmięte i poplamione, zabazgrane drżącą ręką skrawki papieru — oryginalny rękopis Jacoba Buschhorna, w którym opisał on swoją wizję Boga.

Philo wstał i delikatnie umieścił ptaka w klatce. Sammy wyrwał się i skoczył na swoją poprzeczkę, zmięty i sponiewierany, ale żywy.

Intruzi uprzejmie pożegnali płaczącą kobietę. Gdy wyszli na zalaną deszczem mroczną ulicę, człowiek z czerwonym znamieniem powiedział:

— Gratulacje, Philo.

Lecz Philo nigdy nie wątpił, że uda mu się zdobyć rękopis. Był Rycerzem Płomienia, w jego żyłach płynęła krew bohaterów.

## ROZDZIAŁ DWUNASTY.

*Południe Francji, rok 1096.*

Alaryk, hrabia Valliers, wysforował się daleko przed resztę pocztu. Znów szturchnął konia ostrogami, zmuszając go do szybszego galopu. W zamku oczekiwała go nagroda — Margot o białych jak mleko ramionach i ustach słodszych od wina. Nic tak jak orężny bój nie wzmagало miłosnych zapałów Alaryka. A ostatnia potyczka była udana. Poległo tylko dwunastu jego ludzi (przeciwnik stracił trzydziestu dwóch), zdobył zaś cenne łupy: beczki wina, drogocenne wschodnie tkaniny, stadko tłustych owiec i wspaniałego bojowego rumaka. Ludzie Alaryka tęsknili już do żon i dzieci, do gospodarstw, z których zostali wyrwani, aby toczyć walkę w imieniu swego pana. Chcieli znów nacieszyć się normalnym życiem, zanim rozkaz hrabiego ponownie pchnie ich w bój.

Sam Alaryk też stęsknił się za ukochaną żoną. Cieszył się również na myśl o spotkaniu z bratem, Baldwinem, który raniony w nogę w poprzedniej bitwie tym razem nie mógł mu towarzyszyć. Z pewnością chętnie wysłucha opowieści!

Niecierpliwie dźgnął ostrogą andaluzyjskiego ogiera imieniem Tonnerre — Grzmot. Wiózł niespodziankę, dar dla Margot — fragment Krzyża, na którym zginął Chrystus! Och, Alaryk zbyt nie wierzył w jego prawdziwość. Podejrzewał,



że gdyby złożyć wszystkie będące w ludzkim posiadaniu kawałki świętego Krzyża, sięgnęłyby od końca do końca kraju Franków.

Znów popędził konia, otrząsając z twarzy krople wiosennego deszczu. Nie był już pierwszej młodości, przeciwnie, mając trzydzieści pięć lat wkraczał w jesień żywota. Ale zdrowie mu dopisywało, a wraz z nim dobry humor; był postawny, przystojny, o długich jasnych włosach i takiejże starannie przyciętej brodzie. Urody dodawały mu zielone oczy, w których błyskały wesołe ogniki. Wciąż sprawnie obracał mieczem, czuł w sobie moc męskich sił i był zakochany. Uznał w duchu, że na jakiś czas ma dość zbrojnych awantur. Pora spędzić trochę czasu ze swą umiłowaną panią i dopełnić małżeńskiej powinności, czyniąc ją brzemienną. Dobra, cierpliwa Margot znosiła nieobecność męża, jak przystało szlachetnie urodzonej damie. Nie ma na świecie człeka, rzekł sobie Alaryk, szczęśliwszego ode mnie.

W tym samym czasie — o czym Alaryk nie wiedział — inny jeździec zmierzał w pośpiechu drogą wiodącą do zamku z przeciwnej strony. Jego misja nie miała jednak nic wspólnego z uciechami łoża ani przewagami wojennymi. Miał wypełnić zadanie poruczone mu przez Boga.

Od wyjazdu z Paryża brat Krzysztof jechał dzień i noc. Teraz zaczęło padać, kopyta muła ślizgały się w rozmiękłym błocie. Niósł wszakże ważną wieść: wezwanie do zbożnych czynów w Jeruzalem.

Dotarł do zamku w kilka chwil po hrabim. Wpadłszy na zalany deszczem dziedziniec natrafił na kłębowisko jeźdźców, koni i chłopców stajennych łapiących je za uzdy.

— Mój panie... — zaczął, zsunąwszy się na ziemię.

— Wina! — ryknął dobrodusznie hrabia. — I mięsa! Słudzy pokłonili się spiesznie i w te pędy zawrócili do kuchni.

Alaryk zdjął hełm i przyjrzał się gościowi.

— A kimżeś ty, u licha?

— Jestem brat Krzysztof, aleksandryjczyk. Alaryk chrząknął lekceważąco.

— Przywiozłem pilne wieści, panie! — rzekł mnich z taką powagą, że Alaryk miał ochotę parsknąć śmiechem. Z rozmachem klepnął zakonnika w ramię swoją

wielką łapą i zagrział:

— Pójdź, braciszku, ogrzejesz sobie zadek przy ogniu! Weszli do wielkiej sali o polepie zasłanej sitowiem i ścianach obwieszonych wzorzystymi tkaninami. Alaryk podszedł prosto do olbrzymiego paleniska, na którym płasał zachęcająco ogień, i zrzucił mokry płaszcz, pod którym miał ubłoconą, zakrwawioną kolczugę. Giermkowie pomogli mu zdjąć zbroję i odzież, a następnie zaczęli go wycierać ogrzanymi ręcznikami. Prezentując bez skrzepowania nagie, poznaczone licznymi bliznami mocne ciało w ciepłym blasku bijącym od ognia, rycerz rzekł:

— Nic nie może być pilniejsze od tego, bym uczcił swoją panią. — Umoczył palce w misce z nasyconą pachnidłem wodą i poklepał się po policzkach. — Nie pójdę wszakże do niej śmierdzący krwią i bitwą.

Nadbiegł sługa z winem. Alaryk wziął puchar i pociągnął wielki łyk, przyglądając się spod oka dziwacznemu gościowi.

Mnich był krzywonogim człowieczkiem o ogolonej głowie, obwisłym brzuchu i zapadniętej pod habitem piersi. Nawet kaptur i szkaplerz miał zbryzgane błotem. Śmierdział potem, piwem i gnojem.

Alaryk podrapał się po żebrach i beknął z ukontentowaniem.

— No więc, co to za wieści?

Zadzierając habit i wystawiając gołe pośladki do ognia, brat Krzysztof rzekł pośpiesznie:

— W całym chrześcijaństwie książęta i diukowie zwołują ludzi pod broń. Zbiera się wielka armia, która pomaszeruje do Ziemi Świętej, by wyzwolić Jeruzalem z rąk pogan.

Alaryk wiedział już o planowanej wyprawie na Wschód. Kiedy zeszłej wiosny papież Urban wygłosił swe natchnione kazanie, tysiące ludzi krzyczało: „Bóg tak chce!” Cały kraj ogarnęła religijna gorączka. Słuchał zakonnika bez większego zainteresowania; o wiele bardziej zaprzętały go myśli o alkwie.

— Turcy straszliwie gnębią prawych chrześcijan — ciągnął mały człowieczek. — Chwytają ich i siłą dokonują obrzezania.

Napadają na pielgrzymów, których włóczą końmi po ulicach Jeruzalem.

Alaryk niecierpliwie przebierał nogami. Wypił jeszcze jeden puchar wina, obserwując znad brzegu czaszy osobliwego gościa.

Krzysztof był doprawdy dziwnym mnichem. Nie nosił krzyża ani różańca przy pasie, w mowie zaś nie nadużywał imienia Pańskiego, do czego mają zwykle skłonność świątobliwi mężowie. Z pewnością był świetnym mówcą; w żywych słowach malował wizje udręczeń i zbrodni, zapalając się coraz bardziej. Choć równie dobrze mógł popuszczać wodze wyobraźni, Alaryk czuł, że jego słowa muszą być prawdziwe, bo tacy właśnie byli Turcy.

Krzysztof także nie wątpił w okrucieństwa Turków, w głębi ducha domyślał się jednak, że wezwanie Urbana miało także inne przyczyny. Europą targały wojny, potyczki, zamieszki; panowie, znudzeni spokojnym życiem, oblegali domy i zamki sąsiadów dla kaprysu lub łupu, a nim jeszcze zdążyli wrócić z nim do domu, napadnięty zbierał wojska i uderzał w odwecie — i wszystko zaczynało się od nowa. Mapa Europy przypominała gigantyczną szachownicę, na której piony były w ciągłym ruchu i nikt nie liczył się z ludzkim życiem, nie dopuszczał nawet myśli o zawarciu pokoju. Przepychają się, pomyślał gorzko mnich, jak świnie przy korycie. Urban, najmędrszy z papieży, znalazł sposób, by ich pogodzić: dał im wspólnego wroga.

— Mój panie, rycerze naszywają krzyż na odzieniu, malują go na hełmach i tarczach i stają wspólnie pod sztandarem Jezusowym. To będzie święta wojna!

Alaryk słuchał go nieporuszony. Giermkowie odziali go w długą miękką szatę podbitą lisim futrem, a słudzy postawili przed nim misę z pieczonymi gołębiami. Rzucił się na jedzenie. Wszystkie jego chuci domagały się zaspokojenia. Margot, Margot czeka na górze...

— Godfryd z Bouillon sprzedał miasto Verdun i zastawił swe włości, by wyposażyc wojska. Czy Alaryk z Valliers będzie gorszy?

— Zaczny braciszku, ja nie jestem tak pobożny jak on. — Alaryk niecierpliwie posunął się na ławie. Pilno już mu było do żony.

— Ty, panie, udasz się tam w innym celu: żeby ratować księgi. Przywiezienie ich do Francji jest twoim obowiązkiem.

Rycerz zamrugał oczyma, zaskoczony. Miałby ratować księgi? Cóż za bezużyteczne zajęcie! Nie był piśmienny; potrafił jedynie naskrobać własne imię. Margot to co innego, umiała czytać, posiadała nawet kilka własnych ksiąg. Na myśl o niej

znów odczuł silne podniecenie.

Widząc, że uwaga gospodarza zaczyna błędzić gdzie indziej, Krzysztof dodał pospiesznie:

— Wśród owych pism są też bezcenne listy napisane własną ręką Marii Magdaleny. Trzeba je ocalić! To zaiste święta misja, panie!

Ale w tej chwili zamiary Alaryka były zgoła nieświęte, a na myśl o czekającej nań w łóżnicy Margot, poczuł, jak jego męskość budzi się do życia. Zaczęło mu się spieszyć. Wyssał szpik z kości, słuchając obojętnie, jak Krzysztof peroruje:

— Przechowywano je z czcią w Jeruzalem, w domu bogatego kupca, który jest jednym z naszego zakonu. Dom stoi przy małej uliczce za Drogą Krzyżową, w pobliżu Bramy Heroda. Listy te zostały przywiezione do Biblioteki w roku Pańskim osiemdziesiątym drugim przez pewnego rabina imieniem Józef. Błogosławiona niewiasta dała mu je na łożu śmierci z przykazaniem, by je zabrał do najbezpieczniejszego miejsca na świecie. Wiedział on, że strażnicy Biblioteki ochronią listy przed zakusami tych, którzy zaprzeczają świętości Magdaleny. Miała ona wielu wyznawców, ale i wielu wrogów, którzy chcieli zniszczyć jej pisma. Rabin zapowiedział, że kiedyś po nie wróci, ale tak się nie stało. Kiedy podpalono Bibliotekę, jedna z kapłanek ocaliła listy i wywiozła je na Cypr, skąd trafiły na powrót do Jeruzalem.

Alaryk wrzucił kość do ognia i wytarł tłuste palce w szatę. Zmarszczył brwi. Co ten wciąż z tą biblioteką...? Z drugiej strony, listy samej Marii Magdaleny... jakież cenny dar dla umiłowanej Margot!

— Powierzono ci ten święty obowiązek, panie, bo... — Krzysztof urwał nagle, patrząc na ręce rycerza.

Alaryk wiedział, co go tak zaskoczyło. W prawej dłoni miał sześć palców. Uważał to za szczęśliwy znak, bowiem jego dziad także miał sześć palców i był wielkim wojownikiem; dodatkowy palec czynił go niezrównanym szermierzem. Brat Alaryka, Baldwin, pozbawiony był tej cechy i być może dlatego już od lat chłopięcych, kiedy to wysłani na dwór wuja przygotowywali się do rycerskiej powinności, uporczywie starał się dorównać bratu.

— Niby dlaczego miałbym zaprzętać sobie głowę księgami? — spytał.

Brat Krzysztof uczynił wysiłek, by ukryć rozczarowanie. U poprzedniego

członka stowarzyszenia, w Rouen, pan domu nazwał go „pasibrzuchem” i kazał pacholkom wyrzucić za drzwi. Ale Krzysztof mu wybaczył, bowiem ów żaloszny prostak nie wiedział, co czyni. Krzysztof użalił się nad sobą w duchu. Zazdrościł Alarykowi jego tężyzny i zdrowia. Rycerz zdawał się nawet mieć wszystkie zęby, które często pokazywał, będąc skorym do śmiechu. Krzysztof, jak każdy człek, który zbliżył się do pięćdziesiątki, codziennie przeliczał psujące się uzębienie i z trwogą oczekiwał dnia, gdy nie będzie już w stanie przeżuć chleba i mięsa i zostanie skazany na kaszę. Cóż mu wtedy pozostanie? Czy będzie miał po co żyć?

Misja, upomniał się w duchu. Dopóki żyje choć jeden aleksandryjczyk, pozostaje nadzieja.

W każdym razie mocno starał się w to wierzyć.

Urażony w swej dumie, rzekł ostro:

— Jesteś aleksandryjczykiem! To nasz pierścień — dodał, podciągając rękaw habitu. — Ty też masz taki.

Alaryk skrzywił się. Pierścień wyglądał znajomo. Nagle sobie przypomniał: ojciec dał mu taki w dniu jego trzynastych urodzin, a na dokładkę uraczył go opowieścią o bohaterskich kapłanach, którzy szli przez ogień niosąc księgi. Mieli nawet w skarbczyku taką starożytną księgę, choć nie w formie kodeksu, a kruche-go zwoju. Leżała w skrzynce i od stuleci nie oglądało jej oko ludzkie.

— Trzysta lat przed narodzeniem Jezusa Chrystusa wielki wódz imieniem Aleksander zdobył Egipt — rzekł mnich mentorskim tonem — i będąc w tym kraju odwiedził wyrocznie bożka Amona na pustyni. Tam objawił mu się oślepiający blask, wśród którego głos Boży nakazał mu zbudować miasto świetniejsze od wszystkich innych, przeszłych oraz przyszłych; miasto, które będzie Światłem Świata, ośrodkiem nauki i miłości bliźniego. Nazwano je Aleksandrią, wódz bowiem umyślił sobie, że tam będzie miał stolicę, ale zmarło mu się w Persji. Jego syn zbudował wielką bibliotekę, w której zgromadzono wszystkie księgi świata. Po sześciu wiekach wszakże tę spalono. Aleksandryjczycy rozpierzchli się po wszystkich częściach świata. Teraz naszym braciom w Jeruzalem grozi zagłada, a wraz z nimi świętym księgom, których strzegą.

Alaryk spojrział na niego tępo.

— Przecież złożyłeś przysięgę, panie, czyż nie?

Alaryk zaczął grzebać w pamięci. Ojciec opowiadał mu tę historię z głowy, zaśłyszawszy ją od swojej matki. O ile mu było wiadomo, nikt z rodu nigdy nie spotkał żadnego aleksandryjczyka. Prawdę mówiąc, nie był nawet pewien, co to znaczy. Ale... tak, istotnie składał niegdyś jakąś przysięgę, której treści za nic nie mógł sobie przypomnieć.

— Czy ona mnie obowiązuje? — spytał niepewnie.

Na rany Chrystusa! zaklął w duchu mnich. Wysłuchiwał już tego w nazbyt wielu dworach. Bractwo praktycznie nie istniało. Było niczym drzewo o uschłych gałęziach i liściach i zgniłym pniu. Tylko on i paru czynnych jeszcze braci u samych korzeni utrzymywało je przy życiu. Bez niego i tych, którzy wciąż trwali, misja skazana byłaby na niepamięć.

Wdychając śmierdzący opar unoszący się z rozgrzanego habitu, Krzysztof patrzył na misę z pieczonymi gołąbkami, puchary z winem, pomyślał o młodej kobiecie na górze — i poczuł gorycz. On sam zrezygnował z takich rozkoszy na rzecz bractwa, które umierało, bo ludzie bardziej dbali o swe apetyty niż o Boga. Przypomniawszy sobie liczne dwory, które odwiedził podróżując po Europie. Widział w nich starożytne skarby, które niszczały, bo ich cel popadł w zapomnienie. Kiedy aleksandryjczycy uciekli na Cypr, postanowili się rozdzielić dla większego bezpieczeństwa. Krzysztof rozumiał teraz, jak szalona i fatalna w skutkach była to decyzja. Rozdzielając się, osłabili zakon. W cypryjskim klasztorze, stanowiącym największe zgromadzenie, było ich zaledwie dwunastu — dwunastu starzejących się i niedołężnych mężczyzn, zajętych bardziej dolegliwościami trawiennymi niż księgami.

Nie wspomniawszy o tym Alarykowi, w którym widział ostatnią szansę dla zakonu. Wyprawa do Ziemi Świętej natchnęłaby aleksandryjczyków świeżym wigorem. Gdybyż tylko zdołał na nią namówić tego tępaka...

— Wybacz, braciszku, ale moja pani czeka. Bądź mym gościem; jedz, pij, niczego ci nie zabraknie. Porozmawiamy jutro albo może pojutrze... — dodał mgliście Alaryk.

— Ależ mój panie... Lecz rycerza już nie było.

Alaryk nasłuchiwał przez chwilę pod masywnymi drzwiami, a nie słysząc żadnego dźwięku wyobraził sobie piękną Margot we śnie, jej gęste rzęsy spoczywające na białych policzkach...

W komnacie panował półmrok. Okna, w które wprawiono naoliwiony pergamin, osłonięto okiennicami przed deszczem. Rozwieszane na ścianach opony wyszywane w sceny z Biblii chroniły nieco przed ciągnącym od murów chłodem, lecz płomienie grubych świec tańczyły w przeciagu. Suknie Margot leżały na cedrowej skrzyni przy łożu, a na nich wysadzany klejnotami sztylet, z którym nigdy się nie rozstawała. Zastony łoża były zaciągnięte. Alaryk rozsunał je z okrzykiem:

— Niespodzianka, kochanie!

Ale to Margot przygotowała mu niespodziankę. Leżała naga, jej długie splecione włosy rozrzucone były na poduszce, a obok, tak samo nagi, spał jego brat Baldwin.

Nikt później nie potrafił stwierdzić, co dokładnie się wydarzyło, a już najmniej sam Alaryk, bo na widok tych dwojga czarna mgła przesłoniła mu oczy, a prawica ożyła własnym życiem, chwytając leżący na skrzyni sztylet. Co lub kogo chciał nim przeszyć? Nie wiedział. Jeśli jednak celował w poduszkę, to mu się udało, bowiem Margot i Baldwin, wyrwani nagle ze snu, potoczyli się w dwie strony łoża na czas, by ocalić życie.

Nie na długo wszakże. Alaryk pognał za nimi z rykiem niczym wściekły bawół. Zaślepiająca go furia przybrała krwisto czerwony odcień. Rzucił się na Baldwina, który miał czelność chwycić za miecz bez słowa przeprosin ani wyjaśnienia. Margot dygotała pod ścianą, osłaniając dłońmi swoją nagość i patrzyła na nich z przerażeniem.

Baldwin miał jedną przewagę — był wypoczęty. Lecz Alaryka napędzała wściekłość. Dźgał raz po raz, choć chybiał, oczy bowiem zasnuł łzami. W końcu odrzucił sztylet i zerwał ze ściany miecz któregoś z przodków. Rękojeść przeznaczona była również dla mężczyzny o sześciu palcach, co pozwoliło Alarykowi wyprowadzać silniejsze, celniejsze ciosy. Zrzucił robę i uderzył na brata, równie nagi jak on.

Stal dźwięczała o stal, płonący w żelaznym koszu ogień rysował na ścianach komnaty wysokie cienie. Margot rzuciła się pomiędzy nich, krzycząc, żeby przestali. Odepchnęli ją jednocześnie. Cios, zasłona i cios; uderzali na przemian, w zapamiętaniu.

Baldwinowi udało się wytrącić bratu miecz. Uchylając się przed pchnięciem, Alaryk znów porwał wysadzany drogimi kamieniami sztylet. Kopniakiem pod ko-

lano zbił Baldwina z nóg. Ten jednak przetoczył się po podłodze, a ostrze Alaryka znów dźgnęło powietrze.

W końcu jednak Baldwin został rozbrojony i przyparty do ściany. Alaryk oburącz uniósł sztylet, szykując się do zadania śmiertelnego ciosu, lecz w ostatniej chwili Baldwin schwycił Margot i zasłonił się nią jak tarczą. Alaryk nie zdążył już zatrzymać ręki; ostrze utkwilo w piersi kobiety z taką siłą, że jego palce oparły się na kościach żeber.

Na twarzy Margot odmalowało się zdumienie. Z mimowolnym wdziękiem wysliznęła się z objęć Baldwina i legła między nimi na podłodze.

Bracia zamarli.

Trwało to jednak tylko chwilę. Z piersi Alaryka wydobył się grzmiący ryk:

— Zabiję cię!!!

Baldwin wypadł z komnaty, znikając za zasłoną tak prędko, że Alaryk przetarł oczy. Runął za nim; w wielkiej sali wpadł na swoich ludzi, którzy zbiegli się słysząc hałas. Zaskoczeni rozstępowali się przed nagim Baldwinem i nagim zakrwawionym Alarykiem, który ścigał go rycząc jak tur i tocząc pianę z ust.

Czyjeś ręce złapały go za ramiona. Baldwin w tym czasie uciekł korzystając z pomocy własnych zaufanych ludzi, którzy pomogli mu wydostać się z zamku, nim Alaryk zdołał podjąć pościg.

W ciągu strasznych dni, które przyszły później, Alaryk nie patrzył wstecz; nie dziwił się swojemu nagłemu atakowi, nie zastanawiał nad tym, dlaczego nie zażądał od brata wyjaśnień ani nie dał mu pola w uczciwym pojedynku. Niepotrzebne mu były wyjaśnienia: teraz przypominał sobie ich ukradkowe spojrzenia przy wieczery, spaceru po ogrodzie, przymilność Margot, gdy mąż wracał do domu po dłuższej nieobecności — znaki tak oczywiste, których jednak nie chciał wcześniej dostrzegać.

— To nie wasza wina, panie — tłumaczyli mu jego przybocznicy. Jak każdy zamożny rycerz, Alaryk utrzymywał na zamku drużynę zbrojnych, ślepo mu wierzących, którzy w czasie pokoju zabawiali się łowami i utrzymywaniem broni w gotowości bojowej. Nigdy jeszcze nie widzieli oni swego pana w tak pożałowania godnym stanie.



— Zabiłem ją własną ręką! — krzyczał.

— Cios wymierzony był w waszego brata, panie.

Żal Alaryka przerodził się we wściekłość i żądzę zemsty.

— Znajdźcie go! To przez niego zabiłem moją ukochaną! Zapłaci za to życiem! Będę go ścigał aż po krańce ziemi!

Brat Krzysztof wtrącił się błagając, by Alaryk zapomniał o swym nieszczęściu i ruszył do Jeruzalem pod sztandarem Chrystusa. Zdobędzie tym sławę i zasługę u Boga.

Lecz Alaryk nie chciał jechać do Jeruzalem. Zamierzał odnaleźć Baldwina i wyzwać go na walkę śmiertelną. Tylko tak mógł oczyścić swój honor.

— Istnieją wyższe cele niż zemsta, panie, a także miłość większa od małżeńskiej czy braterskiej: miłość do Boga. Musisz wyzbyć się tego cielesnego szaleństwa i wziąć krzyż.

Ale rycerz odchodził od zmysłów z rozpaczony i nie chciał słuchać głosu rozsądku.

Krzysztof również był w rozpaczony. Desperacko liczył na to, że Alaryk uda się do Ziemi Świętej. Dopuścił się więc czynu, którym dotąd się nie skalał: skłamał. Robię to dla ocalenia zakonu, przekonywał się w duchu, by odsunąć od siebie prawdziwy powód, dla którego przybył do Valliers, ów mroczny sekret jątrzący mu duszę.

Alarykowi oświadczył:

— Jeśli chcesz, panie, ścigać swego brata, tym bardziej winieneś ruszyć na wschód. Gdzież indziej mógłby się udać Baldwin, jeśli nie tam, gdzie zyska odpuszczenie grzechów?

Sam nawet przez chwilę w to nie wierzył. Baldwin, wiedząc, że brat zechce szukać pomsty, za wszelką cenę będzie unikał ludzi, którzy mogliby go rozpoznać. Pewnie był już nad Kanałem albo płynął do Anglii.

Ale Alarykowi domysł ten zdał się rozsądny. Baldwin cudzołożył z żoną brata i zdradzieckim podstępem doprowadził do jej śmierci. Łajdak będzie szukał rozgrzeszenia w Jeruzalem, papież Urban obiecał je wszystkim, którzy staną pod

sztandarem świętej sprawy.

I tak Alaryk z Valliers udał się wraz z bratem Krzysztofem do Ziemi Świętej, lecz w sercu płonęła mu żądza krwi, a przed sobą widział tylko jeden cel: odnaleźć brata i odebrać mu życie.

\*

Brat Krzysztof ogłosił w rozsiadłej u stóp zamku osadzie, że ktokolwiek ruszy do Jeruzalem, zostaną mu odpuszczone wszystkie grzechy i będzie miał zapewniony wstęp do nieba. Masowy oddźwięk wcale go nie zaskoczył. Życie tych ludzi było brutalne i krótkie — ot, chwilowy epizod ograniczony tajemnicami narodzin i śmierci. Wielką więc wagę przykładali do zbawienia duszy. Odpust zupełny znaczył dla nich więcej niż całe złoto chrześcijaństwa. Pierwsi przybiegli niewolni chłopcy — pozbawieni praw, przykuci do gospodarstw, na których pracowali tak ciężko, że mało który dożywał trzydziestki. Korzystali z okazji, by wyrwać się w świat i zyskać wolność — choćby za cenę życia, skoro gwarantowano im zbawienie. Za nimi ruszyli ci, którzy mieli na sumieniu grubsze grzechy, a także malkontenci, idealisci, ludzie żądni przygód, kobiety pragnące wyzwolić się spod władzy okrutnych mężów lub ojców, jeden zbiegły z klasztoru mnich, a nawet jakiś jednooki żebrak. Alaryk nie zatroszczył się o to, by poznać ich imiona, nie wyposażył ich też tak, jak czynili to inni rycerze. Wszystkie jego myśli zaprzętał ból po utracie Margot, nienawiść i żądza zemsty. Pożałowania godna „armia” Alaryka malowała sobie krzyże na nielicznych hełmach, kaftanach, a nieraz i samych koszulach, żeby się tylko jakoś odznaczyć. Gdy jednak przybyli do Lyonu, gdzie zbierały się wojska, ogarnął ich wstyd, że wyglądają tak nędznie. Część zbiegła pod sztandary innych panów, aby dostać broń i tunikę z naszytym krzyżem. Te co prawda krojono i szyto w pośpiechu, nie prezentowały się więc zbyt zgrabnie, lecz były lepsze niż nic i wyróżniały noszącego je człowieka jako pielgrzyma w świętej misji.

Alaryk jechał na czele tego pstrego, obszarpanego tłumu. Miał na sobie kolczugę, kaptur kolczy i żelazny hełm. U pasa miecz o wygodnej krzyżowej rękojeści przystosowanej do dłoni o sześciu palcach, przy siodle tarczę w kształcie migdała i włócznię z proporcem, który świadczył, że jest on ważną osobą. Znalazł też pozostawiony mu przez ojca aleksandryjski pierścień, duży i dość toporny, z wypisanym mottem, którego nie umiał odczytać. Nie zdołał sobie przypomnieć ani słowa z przysięgi, którą kazano mu złożyć, gdy był chłopcem. Ale to nie miało znaczenia. Nie wybierał się do Jeruzalem po księgi.

Krzysztofa nękały złe przeczucia. Alaryk miał w nosie świętą sprawę, jego du-

sza była rozdarta, a wzrok pałał mściwością. Taka kombinacja musiała doprowadzić do nieszczęścia.

Armia krzyżowców stawała się coraz trudniejsza do opanowania, spora część bowiem doszła do wniosku, że skoro u kresu pielgrzymki czeka ich całkowite odpuśczenie grzechów, to po drodze mogą się nieźle zabawić. Nierząd, hazard i rabunki, a nawet zabójstwa stały się normą. Po drodze przyłączała się do nich biedota, pieszo lub na zaprzężonych w woły wózkach, zwykle taszcząc ze sobą cały swój dobytek. Kiedy stanęli obozem pod Kolonią, szeregi obiegnęła wieść, że pojawił się duch Karola Wielkiego, aby pobłogosławić ludzi idących na Jeruzalem.

Alaryk nie zwracał na to wszystko uwagi. Na każdym postoju jego ludzie sami wyznaczali warty — strzec trzeba było zwłaszcza puszczonego na pastwisko koni — choć o to powinien był zadbać sam rycerz. Alaryk z Valliers wszakże zapomniał o swych obowiązkach. Nie szukał w szeregach innych członków bractwa, choć brat Krzysztof go bardzo do tego namawiał. Żaden zresztą z biorących udział w wyprawie aleksandryjczyków nie tęsknił za współbraćmi. Każdy roił własne sny o bohaterskich czynach i bogatych łupach. Księgi mogły stanowić co najwyżej jego mizerniejszą część.

Alaryk wypytywał o brata w każdym mijanym mieście, wiosce i osadzie. „Znacie może Baldwina z Valliers? Czy ktoś go widział?” Ilekroć nowe oddziały dołączały do pochodu, objeżdżał je, pilnie zaglądając w twarze mijanym ludziom.

Krzysztof, przerażony, że płonąca w sercu Alaryka żądza zemsty nie gaśnie, a przeciwnie, rozpala się coraz silniej, ostrzegł go:

— Czy pomyślałeś o tym, panie, że to ty możesz paść martwy w pojedynku z Baldwinem?

— Nie dbam o to, czy będę żył czy zginę, skoro utraciłem na zawsze to, co miłowałem — usłyszał w odpowiedzi. — Życie i tak już ze mnie uszło. Wino smakuje mi jak woda, mięsiwo jak trociny. W mojej duszy skonowała wszelka radość. Pozostało mi tylko jedno pragnienie, a ugaszę je krwią swego brata.

Dni przeradzały się w noce, noce w tygodnie. Szeregi krzyżowców rosły. Rycerze, którzy jeszcze niedawno najeżdżali swe ziemie, teraz jechali obok siebie, płonąć wspólnym zapałem, by uwolnić grób Chrystusowy z rąk pogan. Dołączały się wciąż nowe grupy, w tym oddziały wystawione przez samego papieża.

Wieść obiegnęła całą Europę i coraz to większe rzesze odpowiadały na święte

wezwanie. Seniorzy i wasale, baroni i diukowie, książęta i rycerze maszerowali razem uzbrojeni w miecze, topory i krucyfiksy.

Zrozpaczony Krzysztof uporczywie próbował nakłonić Alaryka, by ten się ocknął i zaczął zachowywać jak mężczyzna i człowiek honoru. Ale w żyłach rycerza płynęła trucizna. Nie strzygł już brody, nie czesał włosów, chodził w brudnej odzieży. Powoli upodobniał się do jednookiego nędzarza, który włókł się za wojskiem zebrząc o resztki jedzenia. Po jakimś czasie żebrak ów zaczął w umyśle Krzysztofa ucieleśniać beznadzieję ich procesji, bo trudno było ten obszarpańczy pochód nazwać wyprawą wojenną. Niepodobna, by mogli zdobyć tak potężne miasto jak Jeruzalem. Wszyscy jesteśmy jako ten biedak, myślał Krzysztof, przesładowany widokiem ubogiego kaleki, od którego odwróciły się niebiosa. Możemy malować sobie krzyże na tarczach i krzyczeć: „Do Jeruzalem!”, ale w całej różnorodności naszych ciał wszyscy jesteśmy jednookimi żebrakami.

Nocami śnił o Kunegundzie.

W młodości brat Krzysztof rozkochał się w dziewczeczce imieniem Kunegunda, a ona darzyła go równym uczuciem. Ojciec przywiózł ją do klasztoru, by złożyła aleksandryjską przysięgę i otrzymała pierścień. Tam też, w świętych murach, w najgłębszej tajemnicy darzyli się wzajem miłością. Odjeżdżając z ojcem, Kunegunda przyrzekła, że będzie do niego pisać. Ale Krzysztof nigdy nie otrzymał od niej wieści. Mijały dni, miesiące i lata, jego rozpacz rosła, słał do niej dziesiątki listów, na które nie doczekał się odpowiedzi. W końcu jej ojciec powiadomił go, że Kunegunda jest już zamężna i ma jej dłużej nie nękać. Wtedy to właśnie Krzysztof postanowił poświęcić swe życie bractwu i wyrzec się rozkoszy doczesnego świata.

Teraz, po trzydziestu latach, zastanawiał się po co. Mężczyzna winien zdobyć w życiu coś więcej niż stołek w klasztorze, o którym nikt nie słyszał. Podczas gdy światem targały zmienne koleje losu, namiętności i wojny, gdy ludzie oddawali się hulankom, płodzili potomstwo, przeklinali się wzajem i ginęli, brat Krzysztof pleśniał w kamiennych murach wraz ze zmurszałymi księgami, którym służył, i starzejąc się gorzkniał coraz bardziej.

To właśnie był jego mroczny sekret, prawdziwy powód, dla którego poszedł do Jeruzalem.

Alaryk także miał sny. Koszmary, w których raz po raz zabijał piękną Margot. Nadaremnie próbował w nich powstrzymać dłoń, cios nieodmiennie padał, a on

budził się okryty potem i ze zgrozą uświadamiał sobie straszliwą prawdę.

„Zamykam oczy, ale sen nie chce się nade mną zlitować — żalił się Krzysztofowi. — Przez piekące powieki widzę jej urodę, jej włosy, jej usta. Uśmiecha się tak jak wtedy, gdy miałem ją w łożu, a ja znów czuję ogień, który rozpalał się we mnie, gdy gładziłem jej nagie piersi. Nigdy nie pożałowałem jej bardziej niż teraz, gdy wiem, że utraciłem ją na zawsze!”

Krzyżowcy przybyli do Moguncji, gdzie rzeszę pielgrzymów z różnych regionów Lotaryngii, wschodniej Francji, Bawarii i Alemanii zasililo jeszcze ponad piętnaście tysięcy zbrojnych. Stamtąd armia owa, nieprzeliczona niczym ziarna piasku, ruszyła ku Węgrom.

Powitano ich życzliwie, król węgierski udzielił im gwarancji bezpieczeństwa i pozwolił na zakup niezbędnej żywności i paszy. Trzon wielkiej armii rozbił się obozem na równinie nad rzeką, gdzie mieli czekać nadejścia liczniejszych jeszcze posiłków. Obie strony zobowiązały się zachować pokój, Węgrzy bowiem martwili się, iż tak licznej rzeszy zbrojnych nie da się utrzymać w ryzach. Początkowo wszystko układało się gładko, wszelako gdy oczekiwanie na przybycie chrześcijańskich wojsk z południa przedłużyło się do kilku tygodni, ludzie zaczęło ponosić, pili ponad miarę i łamali wszelkie zakazy. Inni wodzowie surowo karali wykroczenia wśród podległych sobie ludzi, lecz Alaryk nie poświęcał swoim ani jednej myśli.

— Ludzie powinni maszerować pod sztandarem, panie

— upominał go Krzysztof — mieć poczucie, że walczą o wspólną sprawę. — Miał ochotę dodać: „Potrzebny im też oddany sprawie wódz”, ale ugryzł się w język.

Chciało mu się płakać, gdy krążąc po rozległym obozowisku widział innych aleksandryczyków, którzy winni przestrzegać najwyższych nakazów cnoty, a którzy zapijali się w sztok, barłoczyli z dziewczkami i dawali się ogrywać w kości prostym żołnierzom. Ponawiał wysiłki, by przypomnieć im o szczytnym celu, ale oni nie dbali o ofiary dawnych przodków, gardzili księgami i słowem pisanym w ogóle. Niektórzy przepędzali go bez pardonu, grożąc obiciem kijami, jeśli znów się pokaże.

Rozzuchwaleni krzyżowcy, uświadomiwszy sobie, że do Jeruzalem jest znacznie dalej, niż im się wydawało, zaczęli grabić Węgrów. Zabierali im wino, zboże,

owce i woły, mordując tych, którzy stawiali opór. Diukowie i nobile zaostrzyli kary, starając się utrzymać dyscyplinę, lecz ludzie Alaryka stawali się coraz bardziej niesforni, agresywni i butni.

Nikt nie wie, jak dokładnie doszło do tragedii. Późniejsze relacje obfitują w sprzeczne ze sobą wersje, bowiem kronikarze — ludzie pióra, którzy wyobrażali sobie, że będą spokojnie siedzieć na skraju pola bitwy i spisywać to, co widzą ich oczy — też zostali zaskoczeni i zanim się obejrzel, musieli ratować życie.

Większość jednak zgadzała się co do tego, iż źródłem nieszczęścia było to, że gwałty i rabunki stały się zwykłą rozrywką znudzonych pielgrzymów. W odwecie Węgrzy napadali tych koczujących na obrzeżach wielkiego obozowiska, zabierali im dobra, wielu też poturbowali. Wodzowie starali się utrzymać spokój powtarzając: „Czyż nie jesteśmy wszyscy chrześcijanami?” Zawarto dość chwiejny rozejm, lecz gdy ludzie Alaryka udali się do miasta, by zakupić potrzebne im towary, rajcy ze strachu zamknęli przed nimi bramy. Rozwścieczeni krzyżowcy zaczęli rekwirować bydło i owce w pobliskich gospodarstwach. Natrafili na opór.

Emocje były coraz gorętsze, obrzucano się nawzajem wyzwiskami.

— Dlaczego nie idziecie do Jeruzalem? — krzyczeli pielgrzymi. — Tacy z was chrześcijanie?

— A dlaczego wy nie idziecie do Jeruzalem? — odkrzykiwali Węgrzy. — Banda złodziei i maruderów!

Żołnierze zbiegali się na pomoc swoim braciom, podobnie część frankijskich i normańskich rycerzy, którzy acz wbrew chęciom, czuli się jednak w obowiązku chronić swoich ludzi. Wywiązały się pierwsze bójki, z miasta wylegli zbrojni, którzy wydając bojowe okrzyki uderzyli na pielgrzymów. Błysnęły dobyte z pochew miecze, w powietrzu zaczęły świstać strzały. Po obu stronach padli pierwsi zabici.

Bój przybierał na sile. Przerażony Krzysztof pobiegł do Alaryka.

— Panie, musisz odwołać ludzi, inaczej nie pozostanie ci żywa dusza.

Lecz Alaryk nie dbał o to.

Każda strona była teraz zdeterminowana, by pomścić krzywdy — prawdziwe i urojone. Jedni i drudzy byli przekonani, że słuszość jest za nimi, toteż nim słońce stanęło w zenicie, bitwa wrzała na całego.

Powietrze wypełniał szcęk broni, krzyki i ohydne mlaśnięcia rozrąbywanych ciał. Krew płynęła strumieniami. Konie rżały przeraźliwie, tratując jeszcze żywych. Strzały brzęczały w powietrzu niczym muchy, łucznicy bowiem wypuszczali serię za serią. Ruszyła na nich jazda z nastawionymi włóczniami. Szeregi zderzyły się z łomotem, trzaskiem i wyciem.

Alaryk ocknął się z apatii, z wychowania bowiem i natury był wojownikiem. Zanim dosiadł boczącego się ogiera, walczący dzielnie Węgrzy zdołali powstrzymać atak. Miażdżeni kopytami koni, ciskali jeszcze włócznie w piersi napastników, a niejeden Frank zginął, gdy nachylał się, by odciąć dłoń powalonemu wrogowi. Smród krwi był silniejszy od smrodu spoconych ciał; zewsząd zlatywało się ptactwo, krążąc coraz większymi chmarami nad polem walki.

Losy bitwy zmieniły się, gdy Węgrzy ujrzeli, że osobny oddział pod wodzą frankijskiego rycerza wdarł się do miasta i sieje śmierć, nie oszczędzając ani kobiet, ani dzieci. Węgrzy rzucili się na ratunek i to był ich koniec. Zostali otoczeni przez jazdę, a łucznicy i włócznicy dopełnili rzezi.

Nikt jednak nie miał zamiaru przerwać krwawej orgii. Masakra trwała w mieście i na równinie. Zabijano każdego, kogo dało się dosięgnąć, także tych, którzy oddawali się w niewolę, roztrzaskiwano głowy niemowlętom. Zarówno krzyżowcy, jak Węgrzy stracili tego dnia wielu ludzi w bitwie, która nie zyskała żadnej nazwy i nie została uwieczniona w kronikach, a która okryła hańbą początek wyprawy znanej później jako pierwsza krucjata.

Wysadzony z siodła Alaryk toczył pojedynczy bój z groźnie wyglądającym Węgrem. W chwili gdy tamten legł pod jego ostrzem, usłyszał nagle okrzyk w mowie Franków:

— Uważaj, panie!

Obrócił się na czas, by zobaczyć, jak jednooki żebrak osłania go własnym ciałem, przyjmując zadany z tyłu cios przeznaczony dla Alaryka.

Zamachowiec, mężczyzna w czerwonej tunice i starodawnym hełmie, widząc przed sobą potężnego rycerza z okrwawionym mieczem, czmychnął.

Gdy kurz zaczął opadać, oczom Alaryka z wolna ukazało się pobojuwisko. Nawykły do rzezi, nigdy nie widział tak ohydnej sceny. Już zleciały się kruki; wydziobywały oczy trupom, a nawet tym, którzy jeszcze nie skonali. Kobiety zawożdząc szukały wśród poległych swoich mężów. Osieroczone dzieci siedziały obok

zwłok zachłystując się płaczem... Czy tak miał wyglądać szczytny cel? Święta misja, do której wzywał papież Urban?

Alaryk miał uczucie, że ciężar spadł mu z piersi, jakby nagle uwolnił się z grubej kolczugi. Serce w nim zakołatało, w żyły wlał się strumień świeżej krwi, wypłukując z nich truciznę. Nagle obudził się z ciężkiego snu. Stojąc wśród zwałów trupów na polu śmierci, Alaryk nigdy dotąd nie czuł się równie żywy.

Odszukał Krzysztofa, który ocalił głowę chroniąc się w namiocie.

— Ciężko zawiniłem, bracie — rzekł. — Zaprzątnięty samolubnymi myślami powiodłem swoich ludzi na rzeź. Mam ten grzech na sumieniu. Nadal chciałbym odnaleźć brata, ale już nie po to, by się mścić, lecz by mu wybaczyć i wzajem prosić go o wybaczenie. Życie jest krótkie i nie można spędzać go w nienawiści. Teraz jestem w rozterce: nie mogę ani iść naprzód, ani wracać. Powiedz mi, co robić, człeku Boży!

W tejże chwili usłyszał, jak ktoś szepcze jego imię.

Idąc za głosem, znalazł konającego żebraka wciąż ściskającego włócznię, która przeszła go na wylot. Kaptur spadł mu z głowy i teraz Alaryk zobaczył to, czego nie widział wcześniej. Płowe włosy żebraka miały taki sam odcień jak jego własne. Nieosłonięte oko miało znany mu kolor bławatków. Alaryk zerwał szmatę kryjącą drugie oko i spojrzał w twarz brata.

— Poszedłem za tobą... — wyrzęził z trudem Baldwin — żeby odpokutować... za to, com uczynił... Chciałem walczyć u twego boku...

— Nie mów nic, bracie... — Głos Alaryka zdławiły łzy.

— Chciałbym móc ci rzec, iż Margot mnie uwiodła, ale to nieprawda. Pożądałem jej. Nie myśl o niej źle... Tak często cię nie było...

Alaryk uniósł go z ziemi, przytulił do piersi.

— Życie żony jest puste, gdy mąż zbyt zasmakował w wojaczce. Szukałem chwały i łupów, a powinienem był okazywać jej więcej względów. Wszyscy troje ponosimy winę za to nieszczęście, a zarazem wszyscy troje jesteśmy bez winy.

— Czy zdołasz mi wybaczyć...?

— Jeśli i ty mi wybaczysz, bracie.



Baldwin skonał. Alaryk uniósł twarz ku niebu i wydał z siebie udręczony skowyt. Zerwał się na nogi, rozglądając się za żołnierzem w czerwonej tunice. Znów dyszał chęcią zemsty. Ujrawszy w oddali zabójcę brata, krzyknął strasznie, wznosił miecz i ogłuszony tętnieniem własnej krwi puścił się w pogoń. Bezbronny Węgier rzucił się do ucieczki.

I nagle...

Oślepiło go jaskrawe światło pochodzące jakby znikąd lub może zewsząd. Alaryk osunął się na kolana, nie wiedząc, co się dzieje. Światło jaśniało coraz mocniej, opływało go i unosiło, stając się całym światem. Czuł się nieważki, wzorem orła szybował w powietrzu, ale pod sobą nie widział nic, ani ziemi, ani ludzi, ani skapanego we krwi miasta. Tylko światło, chłodne i kojące. Nie był jednak sam — wyczuwał obecność innych istot, świetlistych i bezcielesnych, rojących się wokół niego. Nigdy dotąd — ani w zwycięskim boju, ani w ramionach niewiasty — nie czuł takiej radości, takiej rozkoszy!

I wtedy ujrzał... wizję.

Wywarła na nim tak potężne wrażenie, że padł na ziemię, osłaniając głowę ramionami. Posłyszał dochodzący ze światłości głos — a raczej poczuł go, jakby głos nie kierował się do jego uszu, lecz wprost do serca. I serce odpowiedziało: „tak”.

— Tak! — krzyknął.

Światło zmierzchnęło. Alaryk ocknął się z twarzą w pyłe, łkając jak dziecko.

Chwiejnie dźwignął się na nogi i otarł łzy z oczu. Potem odszukał Krzysztofa i rzekł mu:

— W próżności swej wierzyłem, że jestem dobrym rycerzem. Wydałem wyrok na swojego brata za nieprzystojny występki, a nie jestem wszak lepszy od niego! Udałem się na świętą pielgrzymkę nie troszcząc się ani o nią, ani o ludzi powierzonych mej pieczy, okryty grzeszną butą niczym płaszczem. Zapomniałem o cnotach rycerskich. Nie dochowałem przysięgi. Lecz teraz będę czynił pokutę!

Opisał swe widzenie zdumionemu mnichowi. Zaiste od czasów Aleksandra Wielkiego żaden z aleksandryjczyków nie dostąpił wizji światłości Bożej.

— To był cud, bracie! — mówił poruszony. — Głos, który do mnie przemó-

wił, należał do dostojnego kapłana imieniem Filos. Oznajmił mi, że jest moim dalekim przodkiem i że w moich żyłach płynie królewska krew!

— Chwała! — wykrzyknął Krzysztof padając mu do nóg.

— Pojadę do Jeruzalem, lecz nie przez wzgląd na siebie, albowiem teraz wiem, że w przebaczeniu jest źródło odpuszczenia win. Przebaczyłem swojemu bratu i zostałem oczyszczony. Modlę się także, aby wybaczyli mi ci biedacy. — Powiódł wzrokiem po leżących wokół trupach. — Ruszę do Ziemi Świętej w imię wyższego celu. Teraz widzę, że to wszystko musiało się zdarzyć. Zostałem oświecony, pojąłem, że to, co się stało między Margot, moim bratem i mną miało mi otworzyć oczy na samolubny żywot, jaki dotąd wiodłem, i sprowadzić mnie tu, w to miejsce, abym mógł usłyszeć zew do zjednoczenia naszych braci i podjęcia od nowa naszej świętej misji.

W oślepiającym świetle Alaryk ujrzał siebie w pysznym stroju krzyżowca, na wspaniałym rumaku, dzierżącego sztandar i prowadzącego wielotysięczną armię odzianych tak jak on rycerzy. Wiedział, jak się nazwą: Rycerzami Płomienia. Z honorem ruszą do Jeruzalem, wyzwolą święte miasto z rąk pogan i odzyskają święte księgi.

Brat Krzysztof był świadkiem niezwykłej przemiany, jaka dokonała się w rycerzu. Zupełnie jakby światło z jego wizji osiadło mu w duszy i teraz prześwitywało na zewnątrz. Hrabia jaśniał dumą, godnością i poczuciem celu. Wypiękniał jakby, wyprostował się lub może urósł? Jego głos nabierał siły, brzmiał niczym dzwon, przykuwał uwagę. Oto rodził się wielki przywódca, bohater, dla którego ludzie będą ginąć z ochotą.

W obliczu tego majestatu załamał się i wyznał sekret, który zatruwał mu duszę: sam nie był lepszy od najędźniejszego uczestnika tej żalosnej wyprawy. Ustami głosił szlachetne cele, lecz sam folgował własnej grzesznej dumie.

— Byłem zgorzkniały, bo straciłem ukochaną, i tylko dlatego poświęciłem się bractwu. Ale bractwo ginie! Spadkobiercy dawnych rodów porzucają świętą sprawę, nie obchodzi ich cel wytknięty przed tysiąc trzystu laty. Pytają: „Co my mamy z tym wspólnego?”

Kiedy odwiedzałem ich domy i widziałem, jak dostatnio żyją, podczas gdy powierzone ich pieczy bezcenne kodeksy i zwoje zżera pleśń, uzmysłowiłem sobie, że wszystkie me długoletnie wyrzeczenia poszły na marne. Dlatego wszelkie

swe nadzieje złożyłem w tobie, panie. Ale namawiałem cię do wyjazdu nie dla sprawy, a dla siebie; po to, abym mógł umierając powiedzieć sobie: „Nie zmarnowałem życia”. Przedłożyłem własną dumę nad dzieło Boże. Niegodzien jestem, by ci służyć!

Alaryk położył dłoń na głowie płaczącego mnicha.

— Pojedziesz z nami, dobry bracie, jako Rycerz Płomienia, a przyszłe pokolenia będą pamiętać twą ofiarę, cnoty i bohaterskie czyny i wysławiać twoje imię!

Pilno mu było teraz wracać do Francji i zebrać tam wielką armię aleksandryjczyków. Odnajdzie swoich rozproszonych braci i zjednoczy ich, wskrzesi chwałę starożytnych, chwałę samego króla Aleksandra. Szlachetni Rycerze Płomienia ruszą do Jeruzalem, by ocalić słowa błogosławionej Marii Magdaleny i przywieźć je bezpiecznie do słodkiej Francji.

## **Część druga.**

### **ROZDZIAŁ TRZYNASTY.**

Moussa prowadził jak wariat.

Było późno. Konstantine junior odebrał troje gości swego ojca z lotniska i teraz pruć kanarkowo żółtym chevroletem model 1957 przez uśpione ulice Damaszku. Pasażerowie kurczowo trzymali się foteli i modlili o życie.

Jechali w milczeniu przez fantastyczny pejzaż z tysiąca i jednej nocy — fontanny, minarety, tajemnicze zaułki rozświetlone przez Lawrence'a z Arabii. Candice była tu już kiedyś. Wówczas kierowca przez całą drogę zabawiał ją rozmową. Moussa Konstantine powitał ich serdecznie na lotnisku, lecz zaraz potem spoważniał i umilkł. W drodze z terminalu na parking poganiał ich, oglądając się przez ramię, a gdy wsiedli, wcisnął gaz do dechy i popędził przez miasto, jak gdyby ktoś ich ścigał.

Candice czuła, że coś jest nie w porządku. Spojrzała na tył głowy Glenna, któ-

ry siedział obok milczącego Moussy. Czy on także wietrzył kłopoty?

Skręcili na północny zachód w stronę wznoszącej się nad miastem malowniczej góry Kasioun, skapanej teraz w świetle księżyca. Na jej stokach rozciągała się AlMuhadżarin, dzielnica luksusowych willi, których mieszkańcy mogli podziwiać z okien panoramiczny widok miasta. Na zachodzie wznosił się łańcuch górski, na wschodzie zaczynała pustynia ciągnąca się tysiącami mil aż do Oceanu Indyjskiego. Gdzieś na tym pustkowiu była Gwiazda Babilonu.

Mijali ciemne budynki i pozamykane na noc sklepy, meczety, których wieże odcinały się na rozgwieżdżonym niebie.

Opustoszałe ulice tylko z rzadka rozjaśniał pomarańczowy blask latarni. Damaszek nie słychać z nocnego życia.

W końcu Moussa zatrzymał samochód przy krawężniku, rozejrzał się czujnie w górę i w dół alei i pośpiesznie poprowadził pasażerów do bramy w wysokim murze.

Na oświetlonym księżycem dziedzińcu wylewnie powitał ich gospodarz, pan Elias Konstantine. Niski, o beczułkowatym torsie, z ciemnymi łukowatymi brwiami i kompletnie łysą czaszką, w białej bawełnianej koszuli, która efektownie podkreślała jego oliwkową cerę.

— Zapraszam, zapraszam — powtarzał, prowadząc ich spiesznie przez dziedziniec z szemrzącą fontanną i ścianami obwieszonymi pnączem bugenwilli. — Witajcie w moim domu!

Orientalny łuk prowadził do holu wyłożonego marmurową posadzką, która lśniła jak szkło. Konstantine rzekł:

— Szkoda, że poznajemy się w tak smutnych okolicznościach, panie Masters. Znałem i szanowałem pańskiego ojca, niech spoczywa w pokoju.

Wprowadził ich do salonu, którego ściany zdobił rząd wspaniałych ikon. Niektóre były bardzo stare; z drewnianych ram łuszczyły się złote płatki. Widząc, że Candice przygląda się pięknemu malowidłu, przedstawiającemu młodego mężczyznę na gniadym koniu, przebijającego włócznią powalonego wroga, Konstantine wyjaśnił:

— To święty Demetriusz. Wyznajemy najstarszą prawosławną wiarę i jeste-

śmy z tego dumni.

Wnętrze willi stanowiło mariaż tradycji z nowoczesnością. Pomiedzy tureckimi kolumnkami pyszniły się zdobione orientalne meble, ale jeden kąt zajmował komputer, nowoczesny sprzęt stereo i szerokoekranowy telewizor. Pan Konstantine wyznał, że zajmuje się handlem międzynarodowym. Interesy najwyraźniej szły mu dobrze.

— Moja córka za chwilę poda państwu posiłek. Tymczasem — rzekł z powagą — z prawdziwym smutkiem muszę państwu oznajmić, że nie będę mógł was zawieźć do Dżebel Mara.

— Co?! —wybuchnęła Candice. Glenn położył jej dłoń na ramieniu.

— Panie Konstantine, jeśli to kwestia pieniędzy...

— To kwestia bezpieczeństwa — odparł Syryjczyk. — Kiedy kontaktował się ze mną pański ojciec, czasy były spokojniejsze.

W Iraku wrze, a tu zjawiają się jacyś dziwni ludzie, którzy zadają mi pytania. Mam wrażenie, że mój dom jest obserwowany. Nie mogę narażać bezpieczeństwa rodziny. Bardzo mi przykro. Musicie sobie państwo radzić sami.

Glenn, Candice i dopuszczony jednak ostatecznie do spisku Ian wymienili spojrzenia. Wszyscy myśleli to samo: troje Anglosasów na syryjskiej pustyni. Liczyli, że Konstantine zapewni im ochronę. Przeliczyli się.

Do pokoju weszła młoda kobieta niosąc na tacy srebrny imbryk i szklanki, a za nią dwie inne, które podały ser i chleb, jajka na twardo, oliwki, masło, miód i owoce. Ale goście nie byli głodni.

— Czy znajdzie się ktoś inny, kto mógłby nas tam zawieźć?

— Obawiam się, że nie.

— Może przynajmniej powie nam pan, gdzie to jest? — spytał Glenn.

— Dżebel Mara to niewielki łańcuch górski niedaleko Palmyry.

— Ależ tam jest pełno turystów! — wykrzyknęła Candice. Ian jęknął.

— Baskow był tam osiemdziesiąt lat temu. Od tamtej pory przez Palmyrę

przewaliły się rzesze ludzi. A jeśli ktoś z nich znalazł Gwiazdę Babilonu i teraz zdoła ona gzyms kominka w Chempshire? Lub co gorsza, służy jako popielniczka?

Glenn stał zadumany, obracając na palcu złoty pierścień. Candice podejrzewała, że zaraz błysnie swoją odznaką, odwoła się do prawa, spróbuje wywrzeć na Konstantine'a nacisk, może nawet grożąc mu miejscową policją. Zaskoczył ją mówiąc:

— Nie znam pana dobrze, panie Konstantine, ale zakładam, że jest pan człowiekiem rozsądnym i jako taki posłucha pan rzeczowych argumentów.

Konstantine rozłożył ręce.

— Jestem zamożny. Nie potrzebuję pieniędzy.

— Nie proponuję panu pieniędzy. Proszę posłuchać, czego szukamy.

Syryjczyk splótł ramiona i rozsiadł się wygodnie z miną wyraźnie sugerującą, że Glenn strzepi sobie język na próżno.

Glenn opowiedział mu o Duchesnie i znalezionym przez niego kamieniu z tajemniczym napisem oraz o Rosjaninie nazwiskiem Baskow, który w 1920 roku ruszył śladami Duchesne'a w nadziei odnalezienia kolejnych tabliczek.

— Jesteśmy prawie pewni, że Baskow znalazł tabliczki, ale złożony febrą musiał wrócić do Moskwy, gdzie wkrótce potem zmarł. Najprawdopodobniej nie mógł zabrać ze sobą znaleziska, być może było za duże albo zbyt podatne na zniszczenie, a może on sam był śledzony, narysował więc mapę, by bez trudu móc ponownie je odnaleźć. Mapa ta i jedna z tabliczek pozostały w posiadaniu jego rodziny. Najpewniej o nich zapomniano i przeleżały gdzieś w kufrze lub na strychu aż do rozpadu Związku Radzieckiego. Wtedy prawnuk Baskowa umieścił ofertę sprzedaży tych dwóch przedmiotów w czasopiśmie, gdzie zobaczył je mój ojciec.

Mimo że Konstantine starał się zachować obojętność, w jego wąskich czarnych oczach mignęło zaciekawienie.

— I co spodziewacie się znaleźć? Starożytną bibliotekę?

— Mniej więcej. Może raczej archiwum.

— A co to jest Gwiazda Babilonu?

Glenn zmierzył baczny wzrokiem mężczyznę, który tak niedawno wydał im się posłańcem niebios, a teraz rzucał im kłody pod nogi. Zrobił głęboki wdech. Sam nie wiedział, czym jest Gwiazda Babilonu — miejscem, przedmiotem, ruiną świątyni, fenomenem niebieskim czy miarą astronomiczną. Nie mógł przecież wyjawiać, że prowadzą śmiertelny wyścig z człowiekiem, który chce się posłużyć tabliczkami, by sprowadzić koniec świata. Zerknął na złoty grecki krzyż spoczywający na włochatej piersi Syryjczyka.

— To Gwiazda Betlejemska — rzekł.

Candice i Ian wytrzeszczyli oczy. Na szczęście Konstantine nie widział ich min. Coraz bardziej zaintrygowany, pochylił się do przodu i rzekł:

— Jeden z Trzech Mędrców pochodził z Babilonu. Czy tabliczki mogą zawierać spisana przez niego relację o narodzinach Zbawiciela?

— Taka jest nasza teoria. Konstantine wydał wargi w zadumie.

— Macie przy sobie tę mapę?

Glenn obrócił się do Candice, która wydobyła mapę z torebki.

— To jej fotokopia. — Wręczyła mapę Syryjczykowi, spoglądając z osłupieniem na Glenna.

Konstantine przez dłuższą chwilę studiował mapę z marsem na czole.

— Nic mi nie mówią te znaki.

— Nam też nie. Zakładamy tylko, że to duże X oznacza lokalizację Gwiazdy Babilonu.

Syryjczyk wstał.

— Muszę zadzwonić w parę miejsc.

Kiedy wyszedł z pokoju, Candice fuknęła oburzona:

— Okłamałeś go!

— Niezupełnie. Gwiazdę Betlejemską rzeczywiście nazywa się też Gwiazdą Babilonu, no i nie da się wykluczyć, że tabliczki mogą zawierać raport jednego z

Trzech Króli.

— Skłamałeś.

— Jeśli człowieka nie da się zmotywować pieniędzmi, można posłużyć się religią — odparł sucho, wskazując ikonę świętego Demetriusza, o której Konstantine mówił z taką czcią.

— Ruszamy tuż przed świtem — oznajmił po powrocie gospodarz. — Zbyt niebezpiecznie jest podróżować nocą.

Candice z ulgą powitała okazję, żeby się trochę przespać. Zaprowadzono ją do kobiecej części domu. Ian i Glenn także udali się na spoczynek.

Miasto jeszcze spało, kiedy półprzytomni napełnili żołądki mocną kawą i placzkami pita z daktylami, a potem wsiedli do żółtego chevroleta Moussa i ruszyli w drogę. Niebo na wschodzie dopiero zaczynało różowieć.

Konwój składał się z trzech samochodów. Konstantine i jego goście siedzieli w pierwszym, którym kierował Moussa. Pozostałe dwa wiozły kanistry z benzyną, zapasowe koła, paski klinowe i inne części zamienne. Między Damaszkiem a Palmyrą była tylko jedna stacja benzynowa, a potem będą musieli zjechać z bitego traktu. Na pustyni zaś, jak rzekł ponuro Konstantine, awarie są częstsze i dokuczliwsze niż wielbłądzie muchy.

Zjechali w dolinę wąskimi uliczkami dzielnicy bogaczy, mijając otoczone murami ogrody, eleganckie mauzolea, uśpione kawiarnie. Dojechawszy do rzeki, ruszyli wzdłuż szeregu budynków rządowych, ambasad, luksusowych hoteli i kompleksu uniwersyteckiego. Na szerokim bulwarze ruch był niewielki, parę zaprzężonych w osły wózków wlokło się na targ.

Za mostem, na wysokości potężnego gmachu Muzeum Narodowego, który groźnie majaczył w półmroku, zadzwonił telefon komórkowy Konstantine'a.

Po krótkiej wymianie zdań kupiec stwierdził lakonicznie:

— Jadą za nami. — Oстрыm tonem wydał jakieś polecenie do telefonu i kazał Moussie skrócić na najbliższym skrzyżowaniu.

Moussa ostro szarpnął kierownicą i ruszył w dół aleją An Nasr w stronę głównej poczty i postoju taksówek, teraz opustoszałego. Na chodniku byli tylko jacyś



chłopi taszczący skrzynki z żywymi kurami. Pozostałe dwa samochody pojechały prosto, ale podejrzany różowy dostawczy nissan bez tablic rejestracyjnych i świateł skręcił w ślad za nimi.

— Jedź szybciej — mruknął Konstantine obracając się, żeby wyrzeć przez tylną szybę.

Moussa docisnął pedał gazu, ale ścigający ich samochód również przyspieszył i wkrótce nadrobił dystans. Glenn i Candice spojrzeli w tył. Wnętrze furgonetki było ciemne, nie sposób było stwierdzić, ilu ludzi skrywa.

Przed nimi zamajaczyły wieże starego miasta.

— Gazu! — rzekł Konstantine, wpierając się ręką w deskę rozdzielczą. Pasażerowie z tyłu uczepili się oparcie foteli.

Wpadli w labirynt krętych, często ślepych zaułków, gdzie staroświeckie zdobione balkony chyliły się ku sobie z obu stron wąskich uliczek, przetykanych tu i ówdzie ciemnymi pustymi bazarami. Niedaleko stąd biegła ulica Prosta, gdzie dwa tysiące lat temu przybysz z Tarsu imieniem Szaweł dostąpił objawienia.

Moussa starał się zgubić „ogon”, skręcając pod najdziwniejszymi kątami, zawracając i klucząc po uliczkach tak wąskich, że ryzykował odrapanie lakieru z obu boków. Opony jęczały, samochód chybotął się na licznych dziurach w jezdni.

Nissan trzymał się tuż za nimi.

— Czego oni chcą? — krzyknął Ian, kiedy chevroleta podrzuciło na wyboju tak mocno, że wszyscy uderzyli głowami o sufit. — Zatrzymajmy się, to się dowiemy!

— Oni nie chcą z nami rozmawiać — warknął w odpowiedzi Konstantine z marsem wściekłości na czole.

Dotarli do wschodniego krańca starego miasta, gdzie na wystawach sklepowych leżały chrześcijańskie ikony, figurki, modlitewniki. Nagle w świetle reflektorów zobaczyli tuż przed sobą starca w długiej galabii, prowadzącego osła.

Moussa nacisnął klakson. Candice zakryła oczy, Ian krzyknął. Chevrolet zatoczył się ostro, wjechał na wyboisty chodnik, uderzył w pusty stragan, rozrzucając deski i płyty dykty, po czym z trzaskiem wylądował znów na jezdni.

Obejrzeni się. Furgonetka powtórzyła ten sam manewr, o włos mijając starca, który stał jak wryty na środku ulicy.

Minęli rzymską bramę, potem cmentarz. Na moście Moussa znów mocno przyspieszył; pasażerami rzuciło gwałtownie, gdy pełnym rozpędem wjechał w wąskie uliczki na drugim brzegu. Kolejne meczety, kościół, puste rondo, które Moussa przejechał nie zwalniając, by jak błyskawica minąć stadion olimpijski i w końcu wypaść na główną szosę wiodącą do Hims, Aleppo i Bagdadu. Różowa furgonetka przez cały czas siedziała im na ogonie. Ruch był niewielki, musieli jednak wyprzedzać ślamazarne ciężarówki, skutery i od czasu do czasu minibusy. Zarzucało nimi w tę i nazad, ale nissan trzymał się jak przyklejony.

Na prostym odcinku Moussa wcisnął gaz do dechy i chevrolet wystrzelił do przodu. Po chwili wszakże furgonetka znów zaczęła ich doganiać.

Konstantine zaklął kolejno po grecku, po arabsku, a w końcu — całkiem płynnie — po angielsku.

— Do diabła z tym — mruknął nagle Ian, sięgnął do trzymanego pod nogami chlebaka i wyjął zeń pistolet.

— Rany boskie! — krzyknęła Candice. Ian opuścił okno i wychylił się na zewnątrz.

— Zwariowałeś? — wrzasnął Glenn.

— Przestrzele im oponę.

— Zabijesz kogoś! — Glenn szarpnął go do środka. Broń wypaliła, kula przeszła przez dach chevroleta.

Strzał wystraszył kierowcę ścigającej ich furgonetki. Szarpnął kierownicą i gdy zdał sobie sprawę, że wpada w poślizg, zbyt gwałtownie skontrował, do reszty tracąc kontrolę nad pojazdem. Przy dużej prędkości koło zahaczyło o wyrwę, samochód podbiło do góry i zaczął koziołkować. Zrobił kilka obrotów, nim wreszcie znieruchomiał, lecz gdy przerażeni widzowie myśleli, że to już koniec, rozległ się stłumiony huk i furgonetkę objęła kula ognia. Jeszcze przez długą chwilę słychać było krzyki uwieczonych wewnątrz ludzi.

Wiekowy pergamin drżał w dłoni Jessiki Randolph, gdy studiowała średnio-wieczny dokument pod jaskrawym słońcem Morza Śródziemnego.

List nie miał żadnego związku z poprzednimi nabytkami Philona, dla którego w ciągu minionych lat nabywała głównie pisma o treści religijnej. Zastanawiała się, dlaczego tak mu na nim zależy.

— O to ci chodziło, prawda? — spytała Terry Leslie, właścicielka jachtu, podając Jessice kryształową lampkę napełnioną szampanem. Tydzień wcześniej spotkały się w salonie tego samego jachtu, wyposażonym w stylowy bar i pluszowe sofy, z drzwiami wychodzącymi na obszerny pokład rufowy. Tam, na stole przeznaczonym pierwotnie na mapy i locje, Jessica rozłożyła plan muzeum w Melbourne. Pewien bogaty kolekcjoner przekazał muzeum swoje zbiory, wśród których skatalogowano jedenastowieczny list podpisany przez Rajmunda z Tuluzy. Philo Thibodeau chciał go mieć.

Terry uważnie przestudiowała plan, na który naniesiono sieć oświetleniową i przebieg linii zasilania, tablice rozdzielcze, przewody wentylacyjne, awaryjne źródła prądu, czujniki i monitory. W załączniku rozpisany został system ochrony budynku i harmonogram patroli. Następnie Terry zagłębiła się w raport dotyczący samego budynku, zwracając uwagę na takie kwiatki, jak „nieotwieralne okna z tworzyw węglowych”, „patrole z psami na terenie obiektu”, „czujniki dotykowe”. Muzeum nie żałowało środków na ochronę.

„Bułka z masłem!” — prychnęła wówczas lekceważąco i tydzień później dostarczyła towar.

— Właśnie o to. — Jessica uśmiechnęła się teraz do włamywaczki, którą dzięki rozmaitym nocnym eskapadom stać było nie tylko na tę szpanerską łajbę, ale także willę w Hiszpanii, apartament w Hollywood i tabor luksusowych samochodów.

— Mam na koncie pięćdziesiąt sześć włamań i wszystkie udane

— oznajmiła z dumą w głosie Terry. — Nigdy mnie nie złapią

— zaśmiała się, wiedząc, że policja poszukuje mężczyzny. Jessica przebiegła oczyma pismo, mozolnie tłumacząc w myśli średniowieczną łacinę na angielski. W roku 1048 Rajmund z Tuluzy pisał do arcybiskupa o swoich podejrzeniach dotyczących tajemnego heretyckiego stowarzyszenia, mającego na celu przechowanie bluźnierczych pogańskich pism do dnia, w którym Antychryst upomni się o władzę nad światem. Rajmund wspominał też o jakiejś twierdzy w Pirenejach.

Dlaczego Philo tak się uparł, żeby mieć ten list?

To nie ze względu na sam list, pomyślała, tylko na jego treść. Informację o tajnym stowarzyszeniu.

Rozpoznaje się ich po pierścieniu ognistym... — pisał Rajmund.

Pierścień ognisty?... Aureola? Nie! Raczej pierścień z płomienistym ornamentem, taki sam, jaki Philo nosi na prawej ręce!

Czy on także jest członkiem stowarzyszenia?

Zielone oczy Jessiki ukryte były za ciemnymi szklami i tylko zmarszczka, która zarysowała się na gładkim czole, zdradzała, że w głowie kobiety szaleje burza myśli. To był nieoczekiwany podarunek od losu. Uświadomiła sobie, jak cenny jest ten list — nie dla Thibodeau, lecz dla niej.

Chciała zdobyć Philona, z nim u boku napawać się władzą i bogactwem. Kiedy trzy lata temu zmarła Sandrina Thibodeau, Jessica ujrzała swoją szansę. Philo był teraz wdowcem, jego żona nie stała jej już na drodze. Ale Philo nie patrzył na Jessicę tak jak inni mężczyźni. Uwodzicielskie starania pozostawały bez efektu. Postanowiła więc uciec się do innych środków. Pierwotny plan zakładał, że kupi go Gwiazdą Babilonu. Niestety nie powiódł się — zdobycie artefaktu zależało teraz od Candice Armstrong i Glenna Mastersa. Trzeba go więc było zastąpić planem awaryjnym.

List Rajmunda świetnie się do tego nadawał.

Jessica uśmiechnęła się do siebie. Nauczyła się jeszcze w dawnych czasach — zanim zmieniła sobie piersi, nos i nazwisko; w czasach, gdy musiała zadowalać się byle ochłapami i bardzo się starać, by o krok wyprzedzić gliny — że sprytny oszust zawsze ma dodatkowy plan w zanadrzu. Jeśli nie powiedzie się plan „B”, trzeba sięgnąć po plan „C”.

Zdobędzie Philona. Uczyni to wszelkimi dostępnymi środkami, nawet gdyby miała się posunąć do zbrodni.

## ROZDZIAŁ CZTERNASTY.

Philo wiedział, że policja Los Angeles chce go przesłuchać na okoliczność śmierci Johna Mastersa. Niewiele go to wzruszało. Nigdy go nie znajdą, a nawet jeśli, i tak będzie już za późno.

Siedział w szklanym salonie otoczonym przez niebo. Gigantyczny apartament wznoszący się trzydzieści pięter nad miastem Houston był niedostępny z parteru. Windy — jedna prywatna Philona i druga dla służby — zaczynały bieg tutaj i kursowały tylko w górę. Philo dostawał się tu helikopterem. Jeśli gliny obserwują wejście do budynku w nadziei, że tam go zdybią, będą długo czekać.

Miał na sobie białe flanelowe spodnie i jedwabną koszulę, również białą. (Philo był zdania, że biel to jedyny kolor odpowiedni dla dżentelmena z Południa.) Jedynym ustępstwem na rzecz różnorodności był bladożółty fular i także chusteczka wetknięta do kieszeni na piersi.

Mieszkanie wyglądało tak samo: białe sofy, dywan, ściany, kwiaty, nawet marmurowy stolik, a właściwie stół do kawy, mierzył bowiem dwa na trzy metry. Idealne tło dla zdobytego niedawno obrazu, wiszącego nad białym marmurowym gzymsem płonącego kominka.

Abstrakcyjne malowidło utrzymane w różnych tonach bieli, żyłkowane błękitem i perłową żółcią, mogło przedstawiać tylko Światłość.

Najwyraźniej Lenora złamała przyrzeczenie wymuszone przez Johna i opowiedziała synowi o tajnym zakonie. Inaczej skąd wiedziałby o Światłości? Chłopak miał talent. Stojąc w jego pracowni, gdy detektyw był w szpitalu, Philo obejrzał sobie wszystkie obrazy i zauważył stopniową ewolucję wizji artysty. Późniejsze płótna, te, na których widać było twarz, zbliżały się już do ostatecznej prawdy. Philo uznał to za znak. Wszystkie elementy stopniowo trafiały na swoje miejsce.

Już wkrótce, Lenoro. Już wkrótce.

Pociągnął łyk starej szkockiej whisky. Był sam — dlatego mógł się napić.

Nigdy nie jadł ani nie pił w obecności innych osób. Nikt nie oglądał go w czasie snu. Nikt nie mógł zobaczyć go w toalecie. To po prostu nie uchodziło człowiekowi obarczonemu świętą misją. Jezus popełnił błąd jedząc i pijąc w towarzystwie swych uczniów. Budził tym ich wątpliwości, sprawiał, że zaczynali się zastanawiać, jak to możliwe, by Syn Boży potrzebował pokarmu lub wina. Nawet

Sandrina nigdy nie widziała Philona przy jedzeniu. Ostatni posiłek w towarzystwie spożył podczas pikniku z Lenorą w dniu, który zmienił jego życie na zawsze.

Jeszcze raz spojrzął na polaroidowe zdjęcie, które mu dostarczono. Glenn Masters i Candice Armstrong na lotnisku, czekający na wejście do samolotu. Nie podejrzewali, że ktoś ich fotografuje. Akurat patrzyli na siebie i to spojrzenie zostało uwiecznione na kliszy. Z wierzchu gniew, irytacja, zniecierpliwienie — każde z nich było złe, że to drugie jest obok. Ale spod tej warstwy biło rodzące się pożądanie; tęsknota tak jeszcze świeża, że nieuświadomiona. Pewnie i on tak wyglądał, nim zdał sobie sprawę, że kocha Lenorę.

Myślami wrócił do dnia, gdy zrobił pierwszy krok na drodze ku swemu przeznaczeniu.

Z początku myślał, że jest naga. Stoi nago w strumieniu i obmywa swe białe ciało. Ale kiedy podkradł się bliżej, zobaczył, że ma na sobie cienką, długą do kostek koszulę niemal w tym samym odcieniu co skóra. I wcale się nie kąpała, tylko nabierała w dłoń wodę ze strumienia, unosiła nad głowę i pozwalała jej ściekać pomiędzy palcami. Spadające krople migotały jak brylanty.

Kiedy obszedł ją wkoło, żeby się lepiej przyjrzeć, stwierdził, że jest w jego wieku, ma około piętnastu lat. Co dziwne, jej twarz urzekła go nawet bardziej niż smukłe długonogie ciało o wąskich biodrach i małych, wysoko osadzonych piersiach. Oczywiście nie miał zamiaru się jej pokazywać. Co z tego, że jego rodzice należeli do elity finansowej i towarzyskiej Houston, skoro Philo był niski, pulchny i miał puciołowatą, upstrzoną piegami twarz. Dziewczyny nie są ślepe, toteż albo go wyśmiewały, albo w ogóle nie zwracały na niego uwagi. Nie zniósłby pogardy ze strony tej pięknej wróżki. Niestety, pod stopą trzasnęła mu gałązka. Fiołkowe oczy przeszukały las, znalazły Philona i uwięziły go swym spojrzeniem.

Wyszedł na brzeg.

— Ten las jest nawiedzony.

— Wiem. Woda nie spada tak, jak powinna. Chyba prawa fizyki działają tu inaczej. — Zarumieniła się i dodała: — Będę fizykiem.

Philo przełknął ślinę z wrażenia. Był rok 1948 i dziewczęta nie marzyły o karierze fizyka. Był nią jednak tak oczarowany, że z równym zachwytem przyjąłby wieść, że zamierza pracować w kopalni węgla.

Wiedział, kim była. Nazywała się Lenora Rousseau, jej ojciec także był aleksandryjczykiem o rodowodzie równie starożytnym i szacownym jak rodowód Philona.

— Może i jesteśmy demokratycznym bractwem — powtarzała mu często matka — i żaden członek nie stoi wyżej od innych, ale pozostaje faktem, że pośród nas jest tylko kilku, którzy mogą prześledzić swoje pochodzenie do początku naszej ery, tak jak my. Jesteś potomkiem w prostej linii najwyższego kapłana Filosa i księżniczki Artemizji. Nie zapominaj, że przewyższasz ich wszystkich.

Lenora była tu po raz pierwszy; przywieziono ją na obrzęd inicjacji. Philo został mu poddany przed rokiem, w dniu swoich czternastych urodzin. Chętnie zofiarował się z pomocą.

— To nic straszego — rzekł. Jego murujący się głos zawiódł i zaczął się łamać pod spojrzeniem tych fiołkowych oczu. — Trochę postu i medytacji, kilka pytań, a potem przysięga wierności i zachowania tajemnicy.

Po jej złożeniu adept wtajemniczany był w ezoteryczną wiedzę starożytnych i uświadamiany w zakresie dziejowej misji aleksandryjczyków. Ale Philo na razie o tym nie wspomniał. Lenora musiała najpierw złożyć przysięgę.

Dziewczyna spojrzała w wodę opływającą jej stopy.

— Ileż tu kamieni! — powiedziała kapryśnie. — Chyba nigdy nie dojdę na brzeg!

Brzeg oddalony był o pół kroku, ale Philo podał jej rękę. Spojrzała mu prosto w oczy, docierając spojrzeniem do najdalszych zakątków jego drżącej duszy.

— Jesteś taki dworny, mój rycerzu!

Złożyła chłodną moką rękę w jego spoconej z podniecenia dłoni, a on z galanterią pomógł jej wyjść na brzeg, nie mogąc oderwać oczu od prześwitujących przez koszulę różowych sutek. Okryta płaszczem długich wijących się włosów wydała mu się wróżką nie z tego świata. Czuł się przy niej brzydki i niezdarny, wstydził się swego prowincjonalnego teksaskiego akcentu.

Lenora jednak nie wyśmiała go ani nie potraktowała jak powietrze. Nazwała go rycerskim. W tejże chwili Philo przysiągł sobie, że całym swym życiem udowodni, iż jest jej wart.

W ciągu następnych lat podrośł zaledwie o dwa cale. Aby zrekompensować sobie mizerną posturę, postanowił popracować nad stylem, ale kogo miał naśladować? Jego ojciec był cichym, słabym człowiekiem wybranym na męża przez władczą kobietę ze względu na swe geny i majątek. Całe dni poświęcał kolekcji znaczków i jak tylko mógł, unikał żony. Nie nadawał się na wzorzec dla dorastającego chłopca.

Philo nie musiał szukać daleko. Zaimponował mu Robert E. Lee, słynny generał konfederacki z lat wojny secesyjnej, uważany podówczas za najprzystojniejszego mężczyznę i najdoskonalszego dżentelmena Południa. Lee przegrał wojnę, ale zrobił to z klasą. Wyrażając nadzieję, że wojenne krzywdy pójdą w zapomnienie, a Północ i Południe wspólnie stworzą silną zjednoczoną Amerykę, stał się świetlanym przykładem dla wielu południowców. Ucieleśniał sobą najwyższe rycerskie i męskie cnoty. Jak twierdził, prawdziwego dżentelmena z Południa znamionują umiarkowanie, opanowanie, poczucie obowiązku i honoru, szczerłość, uprzejmość, wzgląd na innych, odwaga, galanteria wobec dam i głęboka wiara. Philo przyjął to za swój katechizm i codziennie starał się umacniać w sobie te cechy. Nawet później, gdy zmuszony był zabijać, zawsze czynił to ze współczuciem i szacunkiem wobec ofiar, upewniając je, że Bóg — w którego sam nie wierzył — wszystkich przyjmie do swego światła.

Robert E. Lee nazywany był „ostatnim rycerzem”. Philo, potomek krzyżowców, też tak o sobie myślał.

Tylko w jednym się nie zgadzał ze swoim idolem. Lee powiedział: „W Biblii zapisano rzeczy, których nie umiem sobie wyjaśnić, przyjmuję je wszakże jako nieomyłne Słowo Boże, wierzę bowiem, iż nauki Pisma są natchnione Duchem Świętym”. Tu generał się mylił. Bóg nie istniał, a zatem nie mogło istnieć „słowo Boże”.

Philo pracował nad swoją mową, usuwając z niej naleciałości teksaskiego slangu, nad swymi manierami, nawet pozycją, w jakiej trzymał głowę podczas rozmowy. Kultywował w sobie arystokratyczny wygląd i tolerancyjną filozofię. Uczył się pilnie, zbierał najlepsze noty i dyplomy. Wszystko dla Lenory, fiołkowo okiej nimfy, która nazwała go swym rycerzem.

Od spotkania w dolinie widywali się rzadko; zwykle na przyjęciu w domu kogoś z członków bractwa rozsianych po całym świecie. Lenora mieszkała w Kalifornii, on w Teksasie. Myślał jednak o niej bez przerwy; każde jego przedsięwzięcie, każdy oddech jej był poświęcony. Kiedy myślał o przyszłości, widział ją u



swego boku.

W swym nowoczesnym białym apartamencie Philo przypomniał sobie słowa, które kiedyś napisała do niego Lenora. Zachował ten list, choć znał go na pamięć:

Mój drogi Philonie, z upływem eonów my, ludzie, dorastamy. Kiedy Bóg nas stworzył, byliśmy dziećmi. Dowodzą tego dane nam przez Niego prawa. Pierwsze dotyczyły moralności: prawa Hammurabiego, Mojżesza, Konfucjusza — reguły, wedle których mieliśmy żyć. Teraz, gdy dojrzeliliśmy, Bóg odsłania przed nami znacznie bardziej zachwycające prawa rządzące fizyką, astronomią, światem liczb. Codziennie czytamy w gazetach o cudownych odkryciach nauki. Bóg przygotowuje nas do niesłychanej zmiany paradygmatu. Jesteśmy w przededniu cudu...

Zawsze go zdumiewały i poruszały jej odniesienia do Boga, chociaż aleksandryjczycy nie wierzyli w jego istnienie. Lenora była wszakże bardziej skomplikowana. Namiętnie głosiła Światłość i niewielu spośród tych, którzy zdryfowali w jej złotą orbitę, nie uległo jej czarowi. Taka właśnie kobieta była mu przeznaczona.

Obawiał się tylko, że na przeszkodzie stanie mu Batszeba Thibodeau.

Ludzie bali się matki Philona. Nie tylko dlatego, że plasowała się na samym szczycie drabiny społecznej południowych stanów i jej zaproszenie lub jego brak determinowało sukces lub porażkę towarzyską. Ludzie bali się jej, bo rozmawiała z duchami zmarłych. „Ktoś musi ich pocieszyć” — mawiała. I duchy jej słuchały, tego Philo był pewny. Gdy Batszeba zabierała głos, słuchał każdy.

Była to wielka dosłownie i w przenośni kobieta o imponującym drzewie genealogicznym sięgającym dwa tysiące lat wstecz. Jej biedny nieważny małżonek mógł wywieść swój rodowód zaledwie do „Mayflower”. Batszeba sprawowała rządy przysłowiową żelazną ręką. A centrum rządzonego tak wszechświata stanowił jej jedyny syn — Philo.

Rodzice dali jej na imię Jimmynell, ale uznała je za „zbyt teksaskie i w ogóle idiotyczne”. Przybrała imię Batszeby, żony Dawida i matki Salomona, ponieważ od dzieciństwa Biblia stanowiła fundament jej myśli i działań. Również od dzieciństwa Batszeba wiedziała, że wyrośnie na kobietę, z którą trzeba się będzie liczyć.

Jej biblijna imienniczka zręcznymi intrygami wprowadziła syna na tron Izraela. Dla Batszeby Thibodeau to było mało. Wiązała ze swym synem znacznie ambit-

niejsze plany.

Od najmłodszych lat Philo wiedział, że jest przeznaczony do rzeczy wielkich. Jedno tylko go dziwiło: skoro rodzice nie wierzyli w Boga, po co w każdą niedzielę chodzili do kościoła i dlaczego kazano mu się uczyć Biblii na pamięć? Batszeba powtarzała, że pewnego dnia zrozumie. Istotnie w dniu swej Aleksandryjskiej inicjacji — miał wtedy czternaście lat — zrozumiał.

Dokładnie w dniu dwudziestych pierwszych urodzin otrzymał dyplom z pierwszą lokatą na uniwersytecie stanowym. Matka ucałowała go w czoło, pogładziła po włosach i szepnęła mu do ucha: „Pamiętaj, że masz w żyłach królewską krew, synku. Królewską krew”.

Był więc gotowy, by zająć należne mu miejsce jako pan i władca Aleksandryjczyków — pierwszy w ciągu dwudziestu trzech stuleci istnienia bractwa. Z Lenorą Rousseau u boku.

Sądził, że matka sprzeciwi się temu związkowi. Zaskoczyła go: dała mu swe błogosławieństwo i zachęciła, by oświadczył się jak najszybciej. Owego lata zaprosił więc wybrankę na piknik, podczas którego planował poprosić ją o rękę.

— Philo — powiedziała w pewnej chwili — ustawiłeś mnie na piedestale, do którego nie dorosłam. Jestem tylko kobietą, mam swoje słabości i wady. Nie sprotam wyobrażeniom, jakie masz o mnie.

Jej skromność dopełnia jeszcze ideału, pomyślał, padając przed nią na kolana.

— Lenoro, jesteś moją chwałą, światłem, które oświecila mi drogę. Jesteś radością mojej duszy.

— Ale czego ty ode mnie oczekujesz?

— Błagam, abyś została moją panią, byś pozwoliła mi tobie służyć i chować cię w moim sercu, abym mógł wszystkie swoje myśli i uczynki poświęcić tobie.

— Wybacz, Philo. Jestem już zaręczona.

— Też jest fizykiem? — spytał wtedy, choć nie obchodziło go, kim jest tamten mężczyzna. W najgłębszym zakątku jego duszy zasyczała iskra, i zamiast zgasnąć, rozpalila się podsycana wicherą szalejącą w jego duszy.

— Studiuję archeologię Bliskiego Wschodu.

Płomienie strzeliły wyżej. Tym jednym zdaniem Lenora nadała rywalowi kształt i cel. Philo patrzył na pozostałości po pikniku: okruszki chleba, pestki oliwek, skórki z pomarańczy i puste butelki po wodzie sodowej — świadectwo, że spożyli razem posiłek. Nagle uświadomił sobie, że już nigdy nie zdoła dzielić chleba z bliźnim.

— Proszę, życz mi wszystkiego najlepszego — powiedziała z błagalnym wyrazem fiołkowych oczu.

— Życzę ci wszystkiego najlepszego — odparł, bo tak właśnie powiedziałyby generał Lee, dżentelmen, który nigdy nie uzewnętrzniłby niskich uczuć, a już zwłaszcza w obecności damy. Philo przegrał, lecz wzorując się na Robercie E. Lee, miał zamiar przyjąć porażkę z godnością.

Kiedy jednak wracał do domu swoją alfą romeo, otrzymaną od rodziców za dyplom magna cum laude, w jego duszy szalał pożar. Gniew i rozczarowanie miały w nim niewielki udział. Najbardziej paliła go potrzeba odwetu na Lenorze, zranienia jej, przysporzenia jej tyleż bólu, ile ona mu sprawiła. A tego zrobić nie mógł. Choć to z jej powodu trawiły go ognie piekielne, nie miał prawa jej obwiniąć. Ona była niewinna, nieskazitelna, czysta.

Czuł jednak, że musi uwolnić ogień ze swojej piersi, inaczej pochłonie go, spopieli, zniszczy. Ktoś musiał zapłacić za jego krzywdę.

Ojciec jak zwykle był w swoim gabinecie, pochylony nad Maserem oglądał przez lupę maleńkie prostokąty papieru w takim skupieniu, jakby pracował nad lekarstwem na raka. W rzeczywistości był zwykłym darmozjadem, który odziedziczył cały swój majątek i nigdy w życiu nie skalał się żadną pracą. Kiedyś był przystojny; po dwudziestu latach u boku niezrównanej Batszeby posiwiiał i zwiądł.

Batszeba rozmawiała ze zmarłymi w swoim studio — a ściślej mówiąc, wydawała im polecenia. Nigdy nie mógł zrozumieć, skąd w matce ta potrzeba, by komenderować duchami. Podejrzewał, że może się to wiązać z jej starożytną genealogią, świadomość której sprawiała, że czuła się nieśmiertelna. To zaś jeszcze wzmagalo poczucie wyższości, jakie żywi mimowolnie czują wobec zmarłych.

Philo zawędrował do głównego salonu i stanął przed kominkiem patrząc na wiszące nad nim duże płótno, budzący grozę obraz ucieczki kapłanów z płonącej Biblioteki. Zerwał go z haka. Ciężka rama roztrzaskała się na podłodze. Kopnął ją wraz z płótnem do kominka i nareszcie poczuł satysfakcję. Zrobił to jeszcze raz, i

znowu. Z oczyma nabiegłymi krwią wściekle kopał namalowane postacie, bo nie mógł kopnąć Lenory.

Płótno zaczęło się palić. Złapał za ramę i pociągnął je po dywanie, a potem dalej, do kolejnych pokoi, zostawiając za sobą tłący się ślad. Przekreślił klucz w drzwiach gabinetu, potem zrobił to samo w sali seansów matki. Wszędzie wokół widział ogień, czerwony jak krew. Kiedy noc rozdarł wrzask pierwszych syren pożarniczych, odpowiedział mu wrzask z zamkniętych na klucz pokoi. Przed domem zebrał się tłum przerażonych sąsiadów, a Philo wciąż jak w transie kroczył przez korytarze, siejąc za sobą ogień.

Zatruty dymem, z oparzeniami drugiego stopnia wylądował w szpitalu, gdzie w spowodowanych przez ból majakach spacerował pod ramię z Jezusem Chrystusem.

Kiedy miał dziewięć lat, Batszeba zabrała go raz na staroświeckie „okadzanie” w wielkim namiocie rozbitym na peryferiach miasta. W siarczanych oparach wędrowny kaznodzieja ciskał groźby piekła i potępienia na spocone głowy słuchaczy. Batszeba uwielbiała takie imprezy, twierdziła bowiem, że zmarli chętnie biorą w nich udział (Bóg natomiast, jak udowodniała później kaznodziei, nie był na nich obecny). Słuchając kazania, Philo zastanawiał się, czy Jezus mówił teksaskim slangiem. Kiedy leżał w śpiączce i miliony przypalonych zakończeń nerwowych tańczyło mu pod bandażami taniec świętego Wita, gdy morfina płynęła mu w żyłach, a mózg unosił się we własnej owodni wypełnionej halucynogenami, Philo spotkał Jezusa nad jeziorem Genezaret i przekonał się, że istotnie mówi on teksaskim slangiem. Jezus rzekł do niego: „Dobra robota, synu, ale nie myśl, że teraz już będziesz mógł pierdzieć w stołek. Bóg na ciebie czeka. Nie każesz mu chyba czekać wiecznie, nie? A na odchodne powiem ci jeszcze coś o tej laluni, z którą chciałeś się ochajtać”.

Leżał w śpiączce przez trzy dni. Gdy odzyskał przytomność, lekarze powiedzieli mu, że o mało nie umarł. Mylili się. Umarł.

I został wskrzeszony.

Podobnie jak Jezus, Philo poniósł męczeńską śmierć i przez trzy dni przemierzał otchłanie, by następnie zostać przywróconym do życia i rozpocząć nową wielką podróż.

Różnica między nim a jego sławnym poprzednikiem — myślał, czując jak

krw tętni mu w żyłach z odnowioną siłą — polegała na tym, że Jezus został ochrzczony zwykłą wodą. On, Philo, przeszedł chrzest ognia. Dowodem jego odkupienia i przemiany były włosy. Gdy zdjęto bandaże z oczyszczonego przez ogień dwudziestoletniego ciała, okazały się śnieżnobiałe.

Philo wiedział, że to znak.

Czekało go wielkie dzieło, droga ku wielkości i ku Bogu. Lenora to rozumiała. Bóg pobłogosławił ją darem jasnowidzenia i właśnie dlatego, dla świętej misji Philona, złożyła najwyższą ofiarę.

Jezus mu to wytłumaczył. Lenora stała zbyt wysoko, by poślubić pielgrzymą, człowieka, który nie dotarł jeszcze do celu. Ponadto mając lotny i przenikliwy umysł, wcześniej niż on spostrzegła, że Philo jest Wybrańcem i nie wolno stawać mu na drodze. Dlatego też poświęciła się wychodząc za człowieka, którego nie kochała. (Musiała wyjść za męża; mąż zapewniał jej opiekę i powszechny szacunek.) Teraz rozumiał, co w rzeczywistości znaczyło jej „Nie”. Mówiła mu: „Połączę się z tobą, Philo, ale jeszcze nie teraz. Teraz bym ci tylko przeszkadzała. Będę z Johnem Mastersem, dopóki nie wzniesiesz się dostatecznie wysoko, a wtedy do ciebie przyjdę”.

Nie czuł już nienawiści do Mastersa — raczej współczucie, bo ten biedak wyobrażał sobie, że Lenora go kocha. Philo przyrzekł sobie, że kiedy trzeba będzie go usunąć, postara się, by nie cierpiał.

Leżąc jeszcze w szpitalu przyjął wizytę sztabu radców prawnych, od których się dowiedział, że został spadkobiercą olbrzymiej fortuny. Prócz pękatyh kont w różnych bankach odziedziczył także przynoszące wysokie zyski przedsiębiorstwa, cenne nieruchomości, pliki akcji oraz wysokie odszkodowanie z ubezpieczeń na życie obojga rodziców. Te bogactwa niewiele dla niego znaczyły. Wiedział przecież, że pewnego dnia będzie miał w ręku cały świat.

Straż przeprowadziła śledztwo i orzekła, że przyczyną pożaru były iskry z kominika. Rzecznik, który podpisał raport, z zadowoleniem odnotował wpływ stu tysięcy dolarów na swoje tajne konto.

Przygotowując się do objęcia finansowego imperium i zarazem rozpoczynając swą dziejową misję, Philo z pewnym zdziwieniem oglądał żałobne miny krewnych i znajomych państwa Thibodeau.

Owszem, ponieśli męczeńską śmierć po to, aby ich jedyny syn mógł zstąpić do

piekieł i ulec chwalebnej przemianie, a po trzech dniach zmartwychwstać do nowego życia. Należało się raczej z tego cieszyć. Zwłaszcza zaś przez wzgląd na Batszebę Thibodeau — teraz mogła pomiać zmarłymi osobiście.

Otrząsając się ze wspomnień, Philo odstawił szklanę i ponownie wziął do ręki zrobione na lotnisku zdjęcie. Nożyczkami starannie rozciął je wzdłuż, przytrzymując w palcach połowę z młodym Mastersem. Drugą połowę zaniósł do kominka i cisnął w płomień. Patrzył, jak Candice Armstrong w falbaniastej spódnicy i różowej bluzce czernieje, zwija się i obraca w popiół. Symboliczna śmierć, która wkrótce się urzeczywistni.

Potęga ognia! pomyślał w ekstazie.

Potem podszedł do telefonu, wybrał numer i wysłuchał raportu o straszliwym wypadku na przedmieściach Damaszku.

Kolejny znak. To, że tamci ludzie także zginęli w ogniu, to znak, że nadchodzą Dni Końca.

Wzdrygnął się z podniecenia. Już wkrótce, Lenoro...

Wkrótce cały świat pozna rozkosz ognia.

## **ROZDZIAŁ PIĘTNASTY.**

Byli zagubieni na pustkowiu.

— Przez tego Johna Wayne'a nie wiemy nawet, gdzie jesteśmy — mruknął Glenn, z przymrużonymi oczyma spoglądając w stronę, gdzie wschodziło słońce. Nad jałową syryjską wyżyną wstawał dzień.

— Powinniście mi być wdzięczni — sarknął Ian, zapalając papierosa. — Gdybym nie wystrzelił, ci dranie by nas złapali i sprzedali w niewolę. Oddaj mi pistolet.

— Idź do diabła.

— Przypominam, że to moja własność...

— Przestańcie wreszcie! — krzyknęła doprowadzona do ostateczności Candice. Klócili się od chwili, gdy Konstantine wysadził ich z samochodu i zawrócił do Damaszku. — Musimy wymyślić sposób, jak się dostać do Palmyry!

Obrócili się do niej i obaj pomyśleli to samo: „Jak ona ślicznie wygląda, kiedy się złości”.

— Masz jakiś pomysł? — spytał uprzejmie Ian. — Nie możemy wrócić na szosę, gdzie szukają nas jacyś wariaci. Moglibyście się zemścić.

Wszyscy troje przypomnieli sobie płonąca furgonetkę i dobiegające z niej krzyki.

Konstantine się wściekł. „Byłem chyba szalony, że dałem się na to namówić — rzekł, kiedy przejechawszy dostatecznie długi kawałek drogi, by upewnić się, że nikt więcej za nimi nie jedzie, skręcili z szosy i zatrzymali się w oliwnym gaju. — Wiedziałem przecież, że ryzyko jest zbyt wielkie. Wracamy do Damaszku.”

Trójka Anglosasów uparła się jednak, że musi dotrzeć do Palmyry.

„Nie mogę was tam zabrać” — odparł twardo.

Próbowali go przekupić, ofiarowali hojną nagrodę, ale obaj Syryjczycy widzieli wóz w płomieniach, a krzyki ofiar wciąż dźwięczały im w uszach. Moussa wypakował ich bagaże z chevroleta i usiadł z powrotem za kierownicą. „Musimy myśleć o rodzinie” — rzekł ojciec wsiadając za nim do auta. W chwilę później już ich nie było.

Glenn niechętnie zgodził się z Ianem.

— Powinniśmy się trzymać z dala od głównej trasy. Kumple tych ludzi... — tych spalonych żywcem ludzi, przemknęło mu przez myśl — będą nas szukać.

I jeśli stoi za tym Philo, będzie ich cała armia. Nikomu nie mogli zaufać. Musieli wymyślić jakąś inną strategię.

— Niech to jasny szlag — wymamrotała Candice, złapała swoją torbę i zniknęła za kępą krzewiastego grochu. Posłyszeli dźwięk rozpinanego suwaka i szelest przerzucanych ubrań. Tajemniczym czynnościom towarzyszyły pełne irytacji westchnienia. Kiedy po chwili Candice wyszła zza krzaka, zamiast lekkiej sukienki

miała na sobie długie spodnie i ciemnogrnatową bluzkę z długim rękawem, zapiętą aż po szyję. Zarzuciwszy na ramię torbę i plecak bez słowa pomaszerowała prosto ku szosie, na której zaczynał się już ruch. Stała na poboczu i zaczęła machać

— Boże drogi! — jęknął Ian. Glenn już biegł w tamtą stronę. Za późno. Zbliżający się samochód zahamował gwałtownie i stanął tuż przed Candice.

Jak się okazało, pasażerami nie byli żądni ich krwi zabójcy, lecz czterej bracia, którzy wracali do domu po sprzedaniu ładunku oliwek na targowisku w Damaszku. Weseli młodzi ludzie dokonali cudów zręczności, by upchnąć w rozklekotanym mercedesie troje dodatkowych pasażerów wraz z bagażem.

— Ahlan wa sahan! — zawołali, kiedy samochód ruszył, buksując kołami w piachu. — Witajcie w Syrii!

— To było szaleństwo! I szczyt bezmyślności! — burknął Glenn usiłując obrócić się tak, by móc zgromić Candice wzrokiem. Na tylnym siedzeniu było dość ciasno, bo prócz czwartego brata jechały z nimi także pakunki.

— Załatwiłam wam przejazd, nie? — odmruknęła kącikiem ust. — Gdyby nie ja, siedzielibyście tam z Ianem aż do skończenia świata.

— Nie ma się pani czym chwalić — prychnął i uwolnił ściśniętą rękę, chcąc ją położyć na brzegu oparcia, ale tam też nie było miejsca, ręka więc ostatecznie spoczęła na ramieniu Candice.

Zatrzymali się w wiosce oddalonej o siedemdziesiąt mil od Palmyry, gdzie podjęto ich obiadem, nie przyjmując odmowy. Czterej młodzi Syryjczycy chwalili się ze śmiechem, że wioska w ogóle słynie z braci, w tym bowiem właśnie miejscu Kain zabił Abla. Pozostałe rodzeństwo w liczbie pięciu siostr wyniosło na dwór miski z jajkami na twardo, jogurt, chleb i oliwę, a także ponieważ okazja była wyjątkowa, zabito kurczę i upieczono je specjalnie dla gości. Gospodarze nie znali angielskiego, toteż Ian tłumaczył ożywioną rozmowę na wszystkie tematy począwszy od filmów z Jackiem Chanem — bracia byli jego wielbicielami — a skończywszy na amerykańskiej obecności wojskowej na Bliskim Wschodzie. Ta ostatnia nie wpłynęła bynajmniej na serdeczny stosunek do gości, wszyscy bowiem rozumieli, że obywatele mają nikły wpływ na to, co czynią rządy.

Uczta odbywała się na podwórzu, w cieniu wielkiej sykomory. Obok spały zwinięte w pyle psy, a grupki dzieci podkładały się nieśmiało, by obejrzeć przyby-



szów. Trójka obcokrajowców co rusz oglądała się niespokojnie na drogę łączącą wioskę z główną szosą.

Ale nikt ich tu nie szukał, w końcu więc, po tysiącach uścisków i podziękowań i gwałtownych zaprzeczeniach, że wstyd byłoby brać pieniądze za gościnę, podróżni ruszyli w dalszą drogę. Tym razem wiózł ich zardzewiałą ciężarówką sympatyczny starszy rolnik z synem.

Wiedząc doskonale, co ciekawi turystów, przewieźli ich wokół wznoszącej się na wzgórzu fortecy Omajjadów, a potem zrobili jeszcze przystanek na słodką herbatę i kruche babeczki z orzechami, oblewane miodem.

Nieoczekiwanie z pustyni wyrosły ruiny Palmyry, złociste w promieniach zniżającego się już słońca. Patrząc na nie, łatwo było sobie wyobrazić miasto w czasach jego świetności pod rządami wojowniczej królowej Zenobii. Wieśniacy wysadzili ich w centrum „nowego” miasta Tadmur, odmówili przyjęcia zapłaty i życzyli im szczęścia.

Szczęście jednak najwyraźniej się od nich odwróciło, przekonali się bowiem, iż w pełni turystycznego sezonu nie ma mowy o znalezieniu noclegu.

— Jest jeszcze pole namiotowe — mruknął Glenn, gdy znużeni weszli do klimatyzowanego holu ostatniego hotelu.

Candice powstrzymała się od wytknięcia, że nie mają namiotu. Widziała tak zwany „kemping” na tyłach hotelu. Nie było tam nawet toalety, a ona rozpaczliwie marzyła o kąpieli.

Recepcjonista hotelu „Lotos” kłaniał się przepaszająco, powtarzając to, co słyszeli gdzie indziej. Nie ma wolnych pokoi. Za drobną opłatą mogą rozgościć się w ogrodzie, gdzie inni młodzi turyści rozkładali już śpiwory.

— A te? — spytała Candice widząc kilka kluczy tkwiących jeszcze w przegródkach.

— Ci goście jeszcze nie przyjechali, proszę pani, ale mają rezerwację. Opłaconą z góry — dodał znacząco recepcjonista.

Candice rozejrzała się po holu zapchanym turystami i bagażem, zatrzymała wzrok na mężczyźnie, który spał na sofie z plecakiem pod głową. Sięgnęła do torby i wydobyla z niej rulon amerykańskich banknotów.

— Gdyby jeden z tych pokoi się zwolnił, proszę go dla mnie przytrzymać — powiedziała.

Wynajęli kierowcę, który miał ich zawieźć do Dżebel Mara. Planowali odwiedzić tamtejszych Beduinów w nadziei, że ktoś jeszcze pamięta o wykopaliskach Baskowa. Od tamtej pory minęło zaledwie osiemdziesiąt lat, mogły przetrwać pogłoski i opowieści.

Kiedy zostawili za sobą pozłociste ruiny, kierowca wskazał ciemniejszą plamkę na równinie.

— To ich obozowisko — rzekł dobrą angielszczyzną. — Koczują szukając wciąż nowych pastwisk dla swoich stad. Oczywiście teraz wielu naszych Beduinów osiadło na stałe w jednym miejscu.

Nawet jednak ci, którzy osiedli piętnaście mil na północ od palmyreńskiej oazy, wciąż na wzór przodków mieszkali w namiotach z czarnej koziej wełny. Zbliżywszy się, podróżni ujrzeli wtuloną w zagłębienie gruntu grupkę namiotów różnej wielkości, wejściami obróconych ku zawietrznej. Mężczyźni siedzieli w cieniu paląc fajki wodne i grając w tryktraka, dzieci i psy uganiały się wokół, a kobiety zerkały nieśmiało spoza uchylonych zasłon.

Na ich powitanie wyszedł wysoki, dostojnie wyglądający mężczyzna w zachodniej marynarce założonej na galabiję i czarno-białej chuście osłaniającej głowę i ramiona. Przedstawił się jako szejk Abdul i zaprosił gości do swego namiotu.

Ian rozpoczął z nim rozmowę po arabsku, wyjaśniając, iż celem ich wizyty jest sprawdzenie pewnej starej historii. Candice patrzyła w dal na postrzępiony grzbiet górski wznoszący się na tysiąc stóp i w tym płaskim kraju nazywany „dżebel” — górą. Serce biło jej jak szalone. Czy to możliwe, by Gwiazda Babilonu była tuż, na wyciągnięcie ręki?

Wchodząc do namiotu ujrzeli odbiornik telewizyjny ustawiony na wielbłądzim siodle. Przewody biegły do znajdującego się na zewnątrz generatora. Siedzący na wełnianych dywanach mężczyźni na ich widok powstali i skłonili się uprzejmie. Większość ubrana była w galabiję, ale dwóch najmłodszych miało na sobie dzinsy i przypięte do pasków telefony komórkowe.

Obwieszona złotem kobiety w jaskrawych żółtych i czerwonych sukniach podały herbatę i owsiane ciastka, po czym czmychnęły za wełnianą zasłonę oddzielającą męską część namiotu od kobiecej.

Zanim przeszli do konkretów, Glenn poprosił Iana, by spytał gospodarzy, czy ktoś nagabywał ich już o Dżebel Mara — na przykład rudowłosa kobieta albo siwowłosa Amerykanin z białą brodą. Okazało się jednak, że są pierwszymi cudzoziemcami, jacy odwiedzili obozowisko od ubiegłej jesieni.

Ian oznajmił, że pragną odnaleźć miejsce, w którym trzy lub cztery pokolenia temu prowadził badania cudzoziemski przybysz nazwiskiem Baskow. Szejk wysłuchał go z uwagą, po czym zaczął się naradzać ze swymi ludźmi. Z biegiem lat opowiadane przy ogniskach podania zmieniają się, obrastają zmyślonymi nieraz ozdobnikami, aż trudno spośród nich wyłuskać pierwowzór. W tym jednak wypadku jądro dawnej opowieści się zachowało: chodziło o zbzikowanego cudzoziemca, który kopał na pustyni w poszukiwaniu starych kamieni.

Ian, który starał się na bieżąco tłumaczyć dyskusję, rzekł:

— Mamy szczęście. Znają tę historię.

Przerwał mu jeden ze starców, który odezwał się nagle, wyrzucając z siebie z podnieceniem potok słów.

Na twarzy Iana odbiła się konsternacja. Zadał staruszkowi kilka pytań. Inni także włączyli się do rozmowy, gestykułując z rozmachem. W końcu Ian obrócił się do towarzyszy i rzekł:

— To nie jest Dżebel Mara Iwana Baskowa.

— Jak to? — Wszystkie nadzieje Candice nagle zgasły. — Przecież mówiłeś, że znają tę historię.

— Tak, ale mówią, że to nie było tutaj. Jest jeszcze jedna Dżebel Mara.

— Jeszcze jedna? Czy wiedzą gdzie? — Glenn wydobył z kieszeni plecaka mapę Syrii. Mężczyźni nachylili się nad nią potrząsając głowami, marszcząc czoła, spierając się i wybuchając śmiechem. Smagłe palce wskazywały rozmaite miejsca odległe od siebie o setki mil. Stopniowo jednak, w miarę jak każdy z nich drapał się po głowie wyłuskując z pamięci niezbędne szczegóły, jak odrzucano niepodobieństwa i przyjmowano tylko możliwe lokalizacje, obszar zaczął się zacieśniać i w końcu szejka rzekł z dumą:

— Tu!

Oczywiście na mapie nie było nazwy „Dżebel Mara” — to byłoby zbyt proste.

— A niech to — mruzczał Ian. — Wygląda na to, że musimy jechać drogą wiodącą z Palmyry na południowy wschód, tuż za Wadi Awarid skrócić na południe i jechać tak przez kilka mil zostawiając słone jeziora Al-Rutajma po stronie wschodniej, ale nie omijając ich całkowicie. Tu — puknął palcem w dużą pustą plamę na mapie — jest Wadi Raisa. Mówią, że w pobliżu odnajdziemy Dżebel Mara.

— Na pewno? — Mina Glenna wyrażała powątpiewanie, Ian wzruszył ramionami.

— A któż to może wiedzieć? — Z zafrasowaną miną dodał półgłosem: — Mówią, że to bardzo pustynny, niegościnnie region.

Jeśli w ogóle napotkamy tam ludzi, będą to dezercerzy albo rozbójnicy.

Recepcjonista powitał Candice wylewnie, mówiąc, że nagle zwolnił się jeden pokój. Pozostawiwszy Iana w barze na parterze, a Glenna w drodze na najbliższy komisariat policji, Candice poszła się rozgościć.

Pokój był duszny. Otworzyła drzwi na balkon, żeby wpuścić trochę świeżego powietrza, po czym skierowała się do łazienki. Zdjęła plaster z szyi. Rana goiła się dobrze, zostawiła ją więc odkrytą.

Wróciwszy do pokoju rozpakowała torbę. Miała ze sobą zbiór hebrajskich tekstów wraz z przekładem, bo urywek o żonie astronoma był po hebrajsku. Tyle przynajmniej zdołała ustalić przed wyjazdem: zapis na kamieniu Duchesne'a był w rzeczywistości szyfrem odpowiadającym starożytnemu alfabetowi hebrajskiemu. Między stronicami książki trzymała złożoną fotokopię ryciny znaleziska.

Pomyślała o nieoczekiwanym spotkaniu z Mildred Stillwater na szpitalnym korytarzu. Opublikowany przez nią przed czterdziestu laty zbiór tekstów źródłowych do dziś był zasadniczym narzędziem dla archeologów i biblistów. Ale gdzie ona sama podziewała się przez te wszystkie lata?

Wszyscy ci dziwni ludzie zgromadzeni w szpitalu... Czy naprawdę przyszli złożyć hołd szanowanemu koledze, czy też już gnali tropem Gwiazdy Babilonu?

Wyszła na balkon. Gęstniejący zmierzch miał zapach jaśminu i kapryfolium kwitnącego w ogrodzie; jagnięcia pieczonego na otwartym ogniu; parzonej czarnej

kawy, a także zapach piasku i rozgrzanych kamieni „narzeczonej pustyni”. Miasta karawan i szlaków handlowych, gdzie zderzały i mieszały się kultury. Miasta, które wzięło swoją nazwę od tysiąca palm kołyszących nad nim zielonymi koronami. Ludzie żyli tu ponad tysiąc lat wcześniej, nim Rzymianie przywieźli im swoich bogów i prawa.

Unosząc twarz i poddając ją muśnięciom wiatru, Candice zamknęła oczy przenosząc się do innego świata. Wyobraziła sobie oazę tak, jak wyglądała wiele wieków temu — rzemieślników i kupców zachwalających swoje towary, przystojnego rzymskiego centuriona na szlachetnym rumaku...

Ktoś zapukał w otwarte drzwi.

Odwróciła się, lecz zanim zdążyła wrócić z krainy marzeń, do pokoju wszedł centurion — wysoki, w hełmie z piórami, lśniącem kirysie i szkarłatnym płaszczu. U pasa miał miecz, symbol władzy.

— Pomyślałem, że może panią zaciekawić, co na razie ustaliłem — rzekł przekraczając próg i zmarszczył brwi. — Nie powinna pani zostawiać drzwi otwartych.

Centurion zniknął i jego miejsce zajął Glenn Masters, w czarnych spodniach i niebieskiej drelichowej koszuli zamiast płaszcza, ale równie przystojny i równie władczy. Znów mówił jej, co powinna, a czego nie powinna robić.

— Przeprowadziłem dyskretne rozpoznanie w mieście. Nikt nie wybierał się do Dżebel Mara, nie wynajmował przewodnika ani samochodu. Nikt też nie wypytywał o Baskowa ani o Gwiazdę Babilonu.

Wyszedł za nią na balkon. Palmy daktylowe odcinały się ostro od mroczniejącego nieba, na którym zaczęły się pojawiać pierwsze gwiazdy. Candice zbliżyła się do balustrady i cofnęła gwałtownie.

— Co się stało? — spytał.

— Mam lęk wysokości.

— To zaledwie pierwsze piętro.

— Jak dla mnie o jedno za wysoko. Dostaję zawrotów głowy nawet wtedy, gdy zadzieram nosa.

Uśmiechnął się rozbawiony, lecz po chwili na jego twarz powrócił zwykły z troskany wyraz. Pewnie zastanawiał się, co dalej — jak dostaną się do właściwego Dżebel Mara.

— Znajdziemy kogoś, kto nas tam zawiezie — pocieszyła go, jak gdyby wystarczyło po prostu wezwać taksówkę.

Ale Glenn wcale o tym nie myślał. Miał ochotę namalować Candice w blasku księżyca. Utkwił wzrok w ruinach. W gęstniejącym mroku Palmyra ze swoimi ulicami i kolumnadami zaskakująco przypominała współczesne miasto.

— Byłem na miejscowym posterunku policji i złożyłem raport w sprawie samochodu, który ścigał nas z Damaszku. Nakreśliłem im nasze położenie. Będą zwracać uwagę na ludzi, którzy mogliby iść naszym tropem. Rano odwiozą panią na lotnisko.

Candice gwałtownie obróciła głowę.

— Co?!

Podszedł do niej.

— Powiedziałem im, że ścigam przestępcę, a pani jest w niebezpieczeństwie. Zgadzą się ze mną, że powinna pani opuścić to miasto tak szybko i dyskretnie, jak to tylko możliwe.

— Nie miał pan prawa!

— Miałem.

— Nigdzie nie jadę.

Dlaczego wciąż zaskakiwał go jej głos? Kobieta o jej urodzie powinna mówić dźwięcznym sopranem rodzącym się w smukłej szyi, o, właśnie tam, gdzie wyrzeźbiona w szlachetnym kamieniu bogini strzegła rany po nożu.

— Wynająłem samochód z kierowcą — rzekł Glenn. — O świcie wyjeżdżam na pustynię.

— Jadę z panem.

— Nie.

— Wobec tego wynajmę inny samochód.

— I pojedzie pani sama?

— Od początku byłam zdecydowana jechać sama.

Nie potrzebuję, żeby ktoś mnie niańczył, pomyślała. Owszem, bała się, ale co z tego?

— Proszę posłuchać — odezwała się. — Nie możemy sobie pozwolić na stratę czasu. Pański ojciec powiedział, że Philo Thibodeau planuje Armagedon. Czy możemy wykluczyć, że użyje Gwiazdy Babilonu jako pretekstu, by wysadzić świat w powietrze?

— Tym bardziej powinienem jechać sam.

— Tym bardziej powinnam jechać razem z panem!

— Wykluczone. Policja uprzedziła właścicieli samochodów, żeby żaden nie ważył się zabrać pani w podróż. To małe miasto i wieści rozchodzą się szybko, zwłaszcza jeśli pochodzą od władz.

— Jak może mnie pan ot tak porzucić!

— Nie porzucam pani. Oddaję panią pod opiekę policji. Muszę przemieszczać się szybko. Sam.

— Mówi pan tak, jakbym była inwalidką lub zgoła kamieniem młyńskim!

— Do licha, Candice! — Złapał ją za ramiona i mocno potrząsnął. — Nigdy bym sobie nie darował, gdyby coś ci się stało! Ile twoim zdaniem kobiet mam jeszcze oplakiwać?

Umilkła. W jego głosie brzmiała wściekłość, lecz spojrzenie miał błagalne. Czowała, jak oczko sygnetu, zazwyczaj obróconego do wewnątrz dłoni, wbija jej się boleśnie w ciało; miała wrażenie, że wytrawi na skórze trwałe ślad, pierścień ognia, którym naznaczy ją na zawsze.

— Proszę mi wybaczyć — rzekł po chwili porucznik, wracając do oficjalnego tonu, i cofnął rękę.

Stali w milczeniu, nie znajdując właściwych słów. Nagle, patrząc ponad ra-

mieniem Glenna, Candice dostrzegła pośród ruin znajomą postać w hawajskiej koszuli.

— Hej! — zawołała.

— Co?

— To on! — wykrzyknęła i nagle znikła z pokoju.

Glenn wybiegł za nią na korytarz. Była już na schodach; zbiegł do holu i zobaczył Candice niknącą w drzwiach na taras, gdzie goście hotelowi jedli właśnie kolację. Nim dopadł do drzwi, rozplynęła się w mroku.

Klnąc cicho pod nosem, pobiegł dalej.

Pościg zaprowadził Candice pomiędzy wznoszące się w niebo kolumny, schody prowadzące donikąd, do zrujnowanych łaźni, w których kiedyś kąpali się bogacze, i nisz mieszczących ongiś posągi bogów. W końcu dotarła przed dawny ołtarz ofiarny. Wokół kręciło się jeszcze wielu turystów, słyhać było rozmowy, śmiechy, błyskały flesze.

Zobaczyła plamę hawajskiej koszuli niknącą za rogiem. Pobiegła tam, lecz mężczyzna rozplynął się w mroku. Przystanęła, wytezając słuch. Pochwyciła odgłos niedalekich kroków. Po chwili ucichł, lecz nagle znów się rozległ. Candice ruszyła jego tropem zapuszczając się coraz głębiej w labirynt kolumn, pozbawionych okien izb, kruszących się arkad. Tu już nie było turystów, tylko duchy.

— Wyjdź i pokaż się, tchórze! — krzyknęła. Echo zwielokrotniło jej głos. Obejrzała się. Sanktuarium świątyni zasłaniało hotel, nie słyszała już muzyki ani głosów, jedynie poświstywanie wiatru. Podniosła duży kamień i słysząc szmer, rzuciła się za najbliższy łuk. Wpadła wprost na Glenna.

— Widział go pan? — wysapała bez tchu.

— Powoli! W którą stronę poszedł?

— Nie wiem. Musimy się rozdzielić — powiedziała, już gotowa biec dalej.

Glenn położył jej dłoń na ramieniu.

— Będzie bezpieczniej, jeśli pozostaniemy razem.



Ale Candice wywineła mu się i ruszyła w swoją stronę, oczekując, że on pójdzie w drugą. Ta kobieta ma mentalność buldożera, pomyślał. Impulsywna i uparta, na dodatek głucha na głos rozsądku.

— Chwileczkę! — Chwycił ją za rękę. — Co dokładnie pani zobaczyła?

— Człowieka, który mnie napadł. To był on: łysiejący na czubku, z końskim ogonem i w tej samej koszuli w niebieskie palmy.

— Widziała pani jego twarz?

— Tak, patrzył wprost na mnie. Glenn zamrugał oczyma.

— Widział panią?

— Tak! Stał tam i... O, nie!

Oboje równocześnie zerwali się do biegu przez ruiny i na przełaj przez hotelowy taras, po raz drugi płosząc jedzących kolację gości. Przeskakując po dwa stopnie wbiegli na piętro. Zastali drzwi do pokoju Candice tak, jak je zostawili — otwarte na oścież.

— Czego brakuje? — Glenn natychmiast zaczął przeszukiwać pokój, otwierając szafy i szuflady, jak gdyby był u siebie.

Odgadła natychmiast. Brakowało fotokopii kamienia Duchesne'a, którą trzymała w książce Mildred Stillwater. Teraz nie będzie w stanie przetłumaczyć tabliczek, jeśli je znajdą.

— To była prowokacja — stwierdziła ponuro. — Celowo wywabił mnie z pokoju, aby jego wspólnik mógł przeszukać moje rzeczy.

— Gdzie mapa?

Na szczęście mapa była wciąż w plecaku.

Glenn zerknął na zegarek, rozdarty pomiędzy chęcią natychmiastowego wyjazdu do Dżebel Mara, a pozostania i dopilnowania, żeby Candice pod eskortą dotarła do samolotu. Candice chciała tylko jednego — dopaść złodzieja, choćby miała przewrócić do góry nogami całe miasto. Ale przez Palmyrę przewalały się tłumy turystów. Byłoby to szukanie igły w stogu siana.

Widząc nachmurzoną minę Glenna, bąknęła:

— Proszę nic nie mówić. Wiem, co pan sobie myśli.

— Nie, nie wie pani.

— Myśli pan, że spieprzyłam sprawę przez to, że działałam bez zastanowienia.

— W porządku, przyznaję: zgadła pani.

— A zatem — powiedziała, opierając ręce na biodrach

— wiedzą, gdzie jesteśmy, i pojedą za nami do Dżebel Mara. Co teraz?

— Po pierwsze to ja jadę do Dżebel Mara. Pani wraca do Los Angeles. Pod żadnym pozorem nie pozwolę pani dłużej się w to mieszać.

— Postaram się działać z większym namysłem.

— Nie jest pani do tego zdolna i doskonale pani o tym wie. Rzuca się pani na oślep.

— Mógł uciec!

— Uciekł, prawda?

— Dobry Boże, czy naprawdę nie możemy się normalnie dogadać?!

— Wieża kontrolna lotniska w Damaszku prosi, żebyście rozmawiali nieco ciszzej. Nie słyszą swoich pilotów — odezwał się Ian, stając nieoczekiwanie w drzwiach. Przyjrzał się zacierzewanym oponentom i wyszczerzył zęby w uśmiechu. — Mam przyjemność zakomunikować wam dobrą nowinę. Najałem gości, którzy zawiozą nas do Dżebel Mara. — Uśmiechnął się jeszcze szerzej.

— No? Może by mi tak ktoś podziękował?

Mówiono o niej zwykle po prostu „organizacja”. Francois d'Orleans pracował dla niej niemal dwadzieścia lat, kawał czasu, ale i tak nie pamiętał, kiedy właściwie została nazwana Międzynarodową Organizacją Policji Kryminalnych. Nazwa nie była zbyt wygodna w użyciu, o wiele częściej posługiwano się skrótowcem służącym jako adres telegraficzny — Interpol — i tak już zostało.

Interpol prowadził wiele wojen — z przestępczością zorganizowaną, handlem narkotykami, przemytem broni. Francois jednak nie miał z tym nic wspólnego. Tabliczka na drzwiach wiodących do jego biura brzmiała: „Interpol — Qeuwes d'art volees”. Tropił złodziei dzieł sztuki.

Praca stanowiła dla niego sens życia. Nigdy się nie ożenił i nie mając rodziny poza dalekim kuzynem w Marsylii, poświęcał jej każdą wolną chwilę. Dziś, choć dochodziła już północ, siedział spowity obłokiem dymu z gauloise'ów i pijąc mocną kawę czytał raport, w który wprost trudno było uwierzyć: z jednego z paryskich domów wyniesiono w biały dzień liczną kolekcję autentycznych mebli z epoki Ludwika XV — sofy, krzesła, szafy, biurka... Potrząsnął głową nad niesłychaną zuchwałością tego czynu.

Zbiegiem okoliczności ofiara kradzieży okazała się utytułowanym politykiem, stąd też sprawę przekazano Francois, który był czymś więcej niż policjantem — był dyplomata. W jego specjalności to konieczne. Dzieła kultury są nieraz źródłem ostrych spiek, zwłaszcza gdy w grę wchodzi kwestie religijne albo bohaterowie narodowi.

Francois posiadał też inne uzdolnienia. Agenci Interpolu twierdzili, że jest wszechwiedzący. Nie chodziło tylko o to, że był wykształconym historykiem sztuki. Wiedzę o sztuce Francois miał we krwi, wyssał ją z mlekiem matki, która była kustoszem Luwru. Nawet gdyby zamierzał zająć się zawodowo czym innym, nie mógłby. Zresztą nigdy nie chciał. Kochał dzieła sztuki. Darzył je opiekuńczą, macierzyńską miłością. Ale jego prawdziwym darem była fotograficzna pamięć. Koledzy śmiali się, że jest lepszy od komputera; ilekroć pytali go o cokolwiek, odpowiedź Francois była szybsza i dokładniejsza.

D'Orleans odłożył raport o skradzionych meblach, odchylił się do tyłu i roztarł sobie mięśnie karku. Przydzielili tę sprawę Reverdy'emu, Anglikowi o mentalności buldoga, który nigdy się nie poddaje. Sam Francois nie pracował już w terenie, a wyłącznie przy biurku; miał najwyższe stanowisko, jakie można było piastować w organizacji, wyjąwszy fotel w Zgromadzeniu Ogólnym albo Komitecie Wykonawczym. Oba te gremia stawiały jednak człowieka na świeczniku, a Francois wołał uniknąć rozgłosu. Było to konieczne ze względu na jego prawdziwe zajęcie, o którym Interpol nie wiedział.

Faks brzęknął i zaczął szumieć. Francois podszedł do niego z nadzieją. Oczekiwał raportu na temat Jessiki Randolph. Krążyły plotki, że Jessica ostrzy sobie ząbki na jedenastowieczny list, który został niedawno podarowany muzeum w

Melbourne. Z pewnością nie skradnie go osobiście; ta kobieta nigdy nie brudziła sobie ślicznych rączek. Wynajmie kogoś. Francois był prawie pewny, że wie kogo.

Jak się jednak okazało, raport nie traktował o seksownej pani marszand.

Znana działaczka Amnesty International Britta Buschhorn złożyła doniesienie o napaści na jej mieszkanie we Frankfurcie i rabunku notatek jej męża. Władze niemieckie uznały autograf Buschhorna za skarb kultury narodowej i przekazały sprawę Interpolowi z adnotacją „pilne” i klauzulą najwyższej ważności.

Francois odłożył raport i wyjął świeżą paczkę gauloise'ów. Przypalił jednego złotą zapalniczką. Potem ujął raport, przytknął róg do płomyka i patrząc, jak pożera kartkę, upuścił ją do kubelka na śmieci. Francois d'Orleans, potomek bocznej linii rodu królów Francji wywodzącej się od młodszego brata Ludwika XIV, potarł ręką czoło. Pierścień na jego dłoni, kwadratowy rubin w obwódce złotych jęczyczków, zamigotał odblaskiem ognia.

## **ROZDZIAŁ SZESNASTY.**

Ogień pomagał mu się skoncentrować.

Philo skupiał uwagę w jądrze płomienia, zgłębiał jego duszę. Choć nikt nie oskarżył go jawnie o spalenie żywcem rodziców, po pogrzebie krążyły różne plotki. „Obsesja tego młodego człowieka na punkcie ognia jest nienormalna” — mówili ludzie. Kolega ze studiów nazwał go kiedyś w żartach piromanem. Tydzień później znaleziono jego zwęglone ciało we wraku samochodu. Odtąd nikt już w ten sposób nie żartował.

Philo także z tym skończył. Jego droga była drogą prawości, mesjanicznym powołaniem. Nie powinien jej znaczyć szeregiem zwęglonych trupów. Istniały inne środki perswazji — a także usuwania przeszkód. Wypracowawszy je, prędko doszedł do potęgi.

Ale ogień pozostał żywiołem dającym mu życie, podobnie jak wszystkim alek-

sandryjczykom — olbrzymiemu zakonowi oplatającemu cały świat, skupiającemu pozornie zwykłych ludzi związanych przysięgą starszą niż przesłanie Jezusa Chrystusa. W każdej z rezydencji Philona płonął żywy ogień — na kominku, świeczniku, w lampce oliwnej — przypominając mu o jego świętej misji i o dniu, w którym on i Lenora staną ramię w ramię w oślepiającej jasności Boga.

Tu jednak płonął najświętszy dla niego ogień. Pośród tysięcy świec gorejących w świątyniach całej planety ten był szczególny.

Przychodził tu codziennie i czerpał siłę z rozmów z kobietą, którą kochał prawie przez całe życie i którą będzie kochał całą wieczność.

— Ludzie się mnie boją, najdroższa. — Cichy głos mężczyzny stojącego samotnie pod słoneczną mozaiką z drogich kamieni budził cienie ech wśród marmurowo-kryształowych ścian.

— Dlaczego? Jestem człowiekiem dobrej woli. Jestem dżentelmenem. Mam gołębie serce. A jednak ludzie się mnie boją.

Pokręcił białą głową jakby w zadziwieniu nad meandrami ludzkiej psychiki. Wydawać się mogło, że im jest życzliwszy, tym większe budzi przerażenie.

Wrócił myślą do ostatniej rozmowy z Lenorą, dwadzieścia lat temu. Mówili o jej synu. Za kilka miesięcy kończył osiemnaście lat i Lenora planowała wprowadzić go do bractwa.

Zanim się pożegnali, Philo jak zawsze wyraził jej swą miłość i oddanie. Odpowiedziała: „Philo, Kocham cię jak brata i przyjaciela, lecz to John jest panem mego serca. Nigdy go nie zdradzę”.

Za to podziwiał ją najbardziej. Że potrafiła zachować pozory mimo tak wielkiego poświęcenia — żyła przecież z mężczyzną, którego nie kochała. Ujął jej twarz w dłonie i rzekł czule: „Moja dzielna aktoreczka. Nawet przede mną trzymasz fason”.

Były to ich ostatnie—jakże cenne! — słowa. Później telefon, w którym ktoś — nie pamiętał już kto — mówił, że Lenora nie żyje, została zabita, uderzona w głowę jakimś cholernym młotkiem. Philo oszalał z rozpaczy tak potwornej, że przekląby Boga, gdyby Ten istniał.

Potem przyszło mu do głowy, że Lenora żyje. Pogrzeb był udawany, a John

Masters go oszukał, chcąc zatrzymać żonę tylko dla siebie. Szukał jej po całym świecie. Ilekroć ujrzał kobietę choćby tylko podobną, tropił ją, a zarazem bał się doścignąć, bo w głębi pustego, obolałego serca czuł, że to nie ona. Ostatni raz przeszedł prawie milę, kiedy nagle zatrzymał się przed frontonem hotelu „Jerzy V” w Paryżu i uświadomił sobie, że pogrzeb odbył się naprawdę. Lenora nie żyła.

Nadal szukał, lecz tym razem sensu, celu w życiu. Szukał go na bulwarach nowoczesnych metropolii i w wąskich zaułkach starych miasteczek, w lepiankach i wieżowcach ze stali i szkła, na pustyni i na szczytach gór. Pytał mędrców i idiotów, pytał każdego, kto mógłby mu udzielić odpowiedzi na pytanie: „Dlaczego?”

Pewnego dnia ocknął się w gęstym tłumie na brzegu Gangesu — do dziś nie wiedział, w jaki sposób się tam znalazł. W garniturze, krawacie i długim czarnym płaszczu wszedł wraz z hordą półnagich ludzi w wody świętej rzeki, czując, jak muł i gnój osiadłe na dnie życiodajnego ciekłu Indii wlewają mu się do włoskich skórkowych półbutów. I nagle przepełniła go dziwna moc, pozwalająca mu przeniknąć rzeczy ukryte. Lenora nie zginęła bez celu, zaświtało mu w myśli.

Stojąc po kolana w wodzie świętej rzeki Philo poznał ów cel.

Zanim wrócił do domu, do swej żony Sandriny, która nigdy o nic go nie pytała, wstąpił do Tadž Mahal. Właśnie myślał, że taki pomnik byłby godny Lenory, gdy weszło dwóch podpitych australijskich turystów.

— Patrz, brachu — odezwał się głośno jeden z nich, mącąc błogi spokój mauzoleum — Tadž Mahal: największy wzwód, jaki facet kiedykolwiek miał dla baby.

Jego kolega ryknął śmiechem jak osioł.

Philo śledził ich aż do nędznego hotelu, w którym się zatrzymali, zapamiętał numer pokoju i wrócił nocą, kiedy obaj mocno spali, nadużywwszy piwa. Gdy ocknęli się około drugiej w nocy, stwierdzili, że są skrepowani: jeden rozkrzyżowany na łóżku, obnażony od pasa w dół, drugi przywiązany do krzesła.

— Obraziliście pamięć damy w miejscu jej wiecznego spoczynku — rzekł cicho Philo ukryty w cieniu. — Potrzebna wam nauczka, abyście w przyszłości szanowali groby. Jeden z was poniesie karę, drugi będzie na nią patrzył; to powinno wystarczyć, żebyście obaj zapamiętali. Oto doktor Banardzi; jest chirurgiem. Nie próbujcie nic mówić, bo możecie się udławić tamponami, które macie w ustach. Doktora Banardzi nie obchodzi, kim jesteście, skąd pochodzicie ani dlaczego

przyjechaliście kalać świętości jego kraju. Zapłaciłem mu sto tysięcy dolarów, aby zapobiegł dalszemu przekazywaniu genów człowieka, który nie ma szacunku dla kobiet.

Przez otwarte okiennice z podwórza sączyła się muzyka; jakiś mężczyzna śpiewał tęskną pieśń w języku hindustani, akompaniując sobie na sitarze. W powietrzu unosił się zapach kadzidła z drzewa sandałowego. Operacja została przeprowadzona szybko i sprawnie, przy miejscowym znieczuleniu. Młodzieniec na krześle zwymiotował i zemdłał, gdy doktor Banardzi usunął pierwsze jądro. Ocknął się w chwili, gdy lekarz instruował kolegę, w jaki sposób ma sikać przez słomkę.

A potem Philo wrócił do kraju i zbudował własny pomnik na cześć ukochanej.

Za plecami posłyszał delikatne chrząknięcie. W drzwiach kaplicy stał Rossi. Mężczyzna ze znamieniem był jedyną osobą, której Philo dał prawo wstępu na tę uświęconą ziemię.

Kiedy zdał sobie sprawę, że jest nowym mesjaszem, uznał, że potrzebni mu apostołowie. W przeciwieństwie do Jezusa, który jego zdaniem miał nadmierne wymagania, Philo zdecydował się na trzech.

Musiał ich wybrać spośród aleksandryjczyków, którzy z oddaniem wierzyli w świętą sprawę. Musieli być nieżonaci i nie związani w żaden inny sposób, inteligentni i wykształceni; ponadto w ich żyłach musiała płynąć najczystsza krew. Pierwszy wybraniec miał dość zaskakujący rodowód — był potomkiem samego brata Krzysztofa, który towarzyszył Alarykowi i Rycerzom Płomienia do Jerozolimy. Chociaż Krzysztof nigdy nie ożenił się z matką swego syna — uważano, że w ogóle nie był świadom ojcostwa

— fakt, że Kunegunda też była aleksandryjką, czynił dziecko prawym spadkobiercą tradycji. Rossi był w posiadaniu listów Kunegundy do Krzysztofa, w których pisała, że urodziła mu syna. Wszystko wskazywało na to, że owe listy nigdy nie dotarły do adresata — przechwyciła je rodzina Kunegundy i przeleżały w rodzinnym archiwum do czasu, gdy odnalazł je Rossi. Mimo to wszystkim pierwotnym synom dawano odtąd na imię Krzysztof. Na wezwanie Philona Christopher Rossi porzucił lukratywną praktykę lekarską i poszedł za nim. Jego wiara w sprawę

— i w Philona — była tak silna, że gotów był dla nich zginąć. Drugiego, na-

zwiskiem Peter Mbutu, Philo znalazł w Nairobi.

W żyłach tego Kenijczyka płynęła krew starożytnych władców Etiopii. Mbutu zrezygnował z teki ministra środowiska i zasobów naturalnych Kenii i przyłączył się do świętej misji.

Trzeci, potomek starego rosyjskiego rodu, okazał się niewypałem. Opętany manią wielkości, bardzo prędko zaczął sobie roić, że to Philo powinien służyć jemu. Problem został rozwiązany, gdy wiozący go prywatny odrzutowiec z całą siłą uderzył w zbocze hawajskiego wulkanu.

Philo z pytającą miną odwrócił się do Rossiego, który świadom, że przerywa mu wizytę u Lenory, z szacunkiem czekał przed wejściem do kaplicy.

— Telefon do pana. — Rossi podał mu aparat gestem, w którym nie było ani krzty służalczości. Był arogancki i próżny; pysznił się pochodzeniem od wielkiego Krzysztofa, który odegrał tak ważną rolę w zjednoczeniu Aleksandryjczyków. Philo podziwiał w duchu jego butę i przekonanie, że jest lepszy niż cała reszta ludzkości, oczywiście z wyjątkiem pana, któremu służył.

Na ten telefon Philo czekał od dawna. Dzwonił specjalista od bomb. Rozmowa była krótka.

— Jak prędko może pan zainstalować urządzenia w wyznaczonych miejscach?

— To nie jest taśmowa produkcja. Mechanizmy są delikatne. Kładł pan nacisk na dokładny czas eksplozji. Proszę dać nam tydzień.

Za siedem dni będzie miał w rękach Gwiazdę Babilonu, o ile Glenn Masters i Candice Armstrong wykonają swe zadanie. Oddał aparat Rossiemu, odprawił go gestem i wrócił do Lenory.

Czterysta lat temu pewien sułtan stracił swą umiłowaną żonę, która zmarła w połogu. Rozpaczał za nią tak bardzo, że postanowił wznieść jej najpiękniejszy grobowiec na świecie. Tak powstała budowla o kopułach, łukach i wieżycach z białego marmuru, idealnie powielonych w tafli leżącego u jej stóp jeziora. Widząc ją, Philo pomyślał: „To pomnik godny Lenory”.

Budowa Tadż Mahal trwała dwadzieścia dwa lata i pracowało przy niej dwadzieścia tysięcy ludzi. Mauzoleum zaprojektowane przez Philona — kryształową kaplicę ozdobioną szlachetnymi metalami i kamieniami, ukrytą za wysokim mu-



rem w patrolowanym przez strażę prywatnym parku na peryferiach Houston — wzniosła setka ludzi w ciągu trzech lat. Stworzenie tego pomnika nie przyniosło odpowiedzi na dręczące go pytania, ale dało mu ukojenie. Przychodził tu, by pokrzepić swoją duszę. Tu nie było turystów, nikt nie profanował pamięci Lenory błyskiem fleszów ani niewybrednymi uwagami. Tylko on miał wstęp do sanktuarium. Nie wiedział o nim nawet John Masters ani jego syn. Mogli sobie odwiedzać brzydki grób na publicznym cmentarzu i roić, że oddają honor żonie i matce. Tylko Philo złożył jej hołd, na jaki zasługiwała.

Nawet Sandrina nie wiedziała o istnieniu tej kaplicy.

Potrzebował żony, by opędzić się od kobiet i skupić na swojej misji. Przypuszczał, że Magdalena pełniła tę samą rolę u boku Jezusa. Otrząsnąwszy się po tragicznym pożarze i wykrystalizowawszy w sobie wizję swego świętego powołania, Philo postanowił się ożenić. Przejrzał listę potencjalnych kandydatek i zdecydował się na Sandrinę Smith, piękność w białych gronostajach i różowych brylantach, atrakcyjną, choć w rzeczywistości zimną i ambitną. Po odpowiednio długich zalotach obejmujących wystawne obiady, wyprawy do teatru i opery, na rodeo i pikniki, a także przyjęcia w posiadłości gubernatora oraz w Białym Domu, przygotował się, by nakreślić przed nią swe plany nie pozostawiając cienia wątpliwości. „Sandrino Smith — zamierzał powiedzieć

— pragnę pojąć cię za żonę. Nie mogę cię pokochać, bo moje serce należy do innej, ale będę cię szanował i otaczał opieką i zawsze będę u twego boku. Otrzymasz moje pieniądze, nazwisko i pozycję społeczną. Dam ci też dzieci. Przy mnie będziesz wiodła szczęśliwe i dostatnie życie.”

Owego wieczoru, gdy już, już miał się oświadczyć, Sandrina powiedziała:

— Mam wrażenie, Philo, że chcesz poprosić mnie o rękę. Powiem krótko: zgadzam się. Ale musisz wiedzieć, że cię nie Kocham i nie pokocham. Będę ci okazywać szacunek i urodzę ci dzieci. Poza tym seks mnie nie pociąga i oczekuję, że będziemy sypiać osobno. Rozumiem, że masz swoje potrzeby. Wymagam tylko, żebyś był dyskretny i nigdy nie doprowadził do sytuacji, która mogłaby być dla mnie krępująca.

Całe Houston orzekło, że tworzyli idealną parę.

Ich małżeństwo funkcjonowało zgodnie z obopólnymi oczekiwaniami, a gdy u Sandriny wykryto raka, Philo ujrzał w tym znak, że nadchodzą Dni Końca. Zabrał

ją ze szpitala mówiąc, że lepszą opiekę będzie miała w domu. Otrzymał wskazówki co do chemioterapii, ale odstawił przepisane leki, wstrzykiwał Sandrinie roztwór fizjologiczny i podawał placebo. Robił tak dla jej dobra. Gdy Lenora powróci, dla Sandriny nie będzie już miejsca u jego boku.

W dniu, w którym kryształowa kaplica została ukończona

— siedemnaście lat temu, rok przed ślubem z Sandriną — Philo odesłał wszystkich: robotników, ochroniarzy i asystentów, i stanął w pokorze pod błyszczącą przejrzystą kopułą. Zapalił znicz. Płomień chybotął się i pląsał w złotej czarze, rzucając odblaski na marmurowy ołtarz i kolumnadę. Philo nie mógł oderwać oczu od rozżarzonego żółtego jądra. Jaśniała w nim dusza płomienia. Poczuł jego ciepło, wciągnął w płuca aromat wonnego olejku, który karmił ogień. I usłyszał głos matki, który rzekł do niego: Zmarli nie odchodzą. Czyżbyś o tym zapomniał?

Krzyknął głośno; jego głos przetoczył się echem pod sklepieniem ze szkła i złota. Upadł na kolana, nieczuły na ostry ból przeszywający mu nogi w zetknięciu z zimną twardą posadzką. Zadrżał. Spojrzał na oślepiające słońce przenikające szklany sufit.

Oczy zapiekły go od łez. Jak mógł zapomnieć, że życie trwa nadal po śmierci i pewnego dnia znów spotka się z Lenorą?

Ale kiedy? krzyknęło jego udręczone serce. Miał pięćdziesiąt lat. Czy ma przeżyć drugie tyle cierpiąc w osamotnieniu?

Upadł w przód, rozkładając ramiona na wypolerowanym marmurze jak ksiądz leżący krzyżem przed wyświęceniem, i płakał, aż posadzka była mokra od łez.

Lenoro, Lenoro!

Życie na tej ziemi bez niej było puste i pozbawione sensu.

I nagle w myślach zamajaczył mu fragment wiersza, widmowy szept upióra, który kusi i szydzi:

*Powiedz duszy mej zbolalej, czy w Edenie szczęścia, chwały*

*Znajdzie dziewczę, które biały zwie Lenorą anioł stróż,*

*Dziewczę święte, słodkie, które zwie Lenorą anioł stróż?*

*Kruk mi odrzekł:*

*Nigdy już!\**

— Nie! — krzyknęła jego udręczona dusza. — Nigdy już?!

Thukł pięściami w posadzkę, aż zaczęły krwawić. I nagle postłyszał słowa: Nie płacz, kiedy ci, których kochasz, odejdą, albowiem wrócą do ciebie. Kroczą oni przez chmury i nie ustaną aż do dnia, gdy znów zstąpią na ziemię; dnia, w którym Pradziad-Który-Stworzył-Wszystko-połączy się ze swoimi dziećmi.

Chór głosów należał do Indian Topaz z południowej Kalifornii. Plemię wymarło, ale zapis ich wierzeń spoczywał bezpiecznie w prywatnym archiwum Philona.

Do ich śpiewu przyłączyły się inne głosy: Zapisane jest w księdze Daniela, że ci, którzy śpią w prochu ziemi, obudzą się do wiecznego życia.

Pod sklepieniem jego czaszki sopran i barytony wyśpiewywały dźwięcznie: Ja jestem zmartwychwstaniem i życiem; kto we mnie wierzy, choćby i umarł, żyć będzie...

W głowie mrowiło go i piekło, jakby skwierczał w niej ogień. Różne głosy zderzały się, nakładały i łączyły w idealną harmonię. Krzyknął, żeby przestały, ale odpowiedziały mu słowami Konfucjusza: Traktuj duchy zmarłych tak, jakby były przy tobie obecne... i świętego Augustyna:

W dniu Wskreszenia materia naszych ciał znów się połączy. Bóg wszechmogący zbierze wszystkie cząsteczki pożarte przez ogień lub dzikie zwierzęta i te, które rozsypały się w proch, i pozwoli nam znów przywdziać cielesne powłoki...

W jego płonącej, udręczonej głowie podniosła się kakofonia okrzyków. To aleksandryjczycy strofowali go z Tamtej Strony, tak jak ongiś Batszeba strofowała zmarłych. Marek i Julia, Teodoryk i Wilhelm, hrabia Tuluzy, lord Rosslyn, Egil Duńczyk, Mary MacLeod, Andrzej z Chartres, Karol Brynmorgan — recytowali mu święte teksty zebrane przez zakon, przypominając mu, w co ma wierzyć.

— Przestańcie! — krzyknął, zasłaniając uszy rękami.

Harmider ucichł. Ale w zapadłej ciszy pozostał jeden głos, poety Yeatsa, który szeptał:

I wspomnij, jak wielu kochało uśmiech łagodny i jasny, Kochało — szczerze

lub złudnie — czar, co radość twą zdołał, Lecz jeden człowiek miłował duszę wędrowną w tobie... \*<sup>2</sup>

Philo wstrzymał oddech. Zamrugał oczyma, przed którymi miał gładką tafłę marmuru. Słowa odbiły się echem i powoli ucichły. Dusza wędrowna...

I nagle to do niego dotarło. Ot, tak. Jak gdyby wpadające do kaplicy promienie słońca wypaliły mu w czaszce maleńki otwór, przeniknęły przez kość do szarych komórek, a potem do siedliska jego świadomości. Przez cały czas wiedział, dlaczego Lenora musiała umrzeć — aby był wolny i mógł się cały poświęcić świętej misji na tej ziemi. Ale zapomniał o tym, że gdzieś tam Lenora czeka i kiedyś do niego wróci.

Owego dnia, siedemnaście lat temu, usiadł na podłodze z głową wciąż rozpaloną, ale już ucichła. Ochłonawszy spojrział wprost w słoneczne promienie i zobaczył wypisane w nich pytanie: „Dlaczego muszę czekać?”

Wstał, czując przepelniającą go nową energię. Jego mięśnie, ścięgna i nerwy zdrząły od jej impulsu. Skóra i włosy ożyły, jakby zmartwychwstał po raz drugi.

Lenora umarła po to, aby poprowadzić go tą ścieżką. Wiedział już, co musi zrobić. Jak ma to zrobić, dowiedział się czternaście godzin później z pożółkłych stron trzystuletniej książki. Przepowiednie Nostradamusa, siódma centuria, czterowiersz osiemdziesiąty trzeci.

Teraz, po siedemnastu latach niezmordowanego dążenia do celu, gdy Gwiazda Babilonu wkrótce miała dostać się w jego ręce, gdy konstruktor bomb stroił już swe pirotechniczne cuda, jego chwała wkrótce zajaśnieje pełnym blaskiem. Oto świat ujrzy, jak spełnia się przepowiednia renesansowego astrologa.

## ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY.

---

<sup>2</sup> \* *W. B. Yeats, Kiedy już siwa twa głowa, przełożył Zygmunt Kubiak.*

Glenn zastanawiał się, czy powiedzieć Candice, co wyczytał w dzienniku matki.

Nad rozległym syryjskim płaskowyżem wstawał brzask, wyłuskując z ciemności ciągnące się dziesiątki mil wokół pustkowie. Candice spała na tylnym siedzeniu pontiaka. Ich samochód prowadzący, toyota landcruiser, miał awarię i teraz wynajęci w Tadmurze kierowcy starali się go naprawić, Ian im kibicował, palił i gawędził z nimi po arabsku.

Wymknęli się pospiesznie z miasta pod osłoną nocy, upewniwszy się, że tym razem nikt za nimi nie jedzie. Syryjczycy prowadzili oba samochody, a pasażerowie w tym czasie zażyli nieco bardzo im już potrzebnego snu. Obudzili się, gdy pojazdy stanęły na skraju drogi, Ian wysiadł, żeby rozprostować nogi i zapalić papierosa. Glenn przesiadł się do przodu i otworzył dziennik swojej matki. To, co przeczytał, wstrząsnęło nim.

Candice powoli otworzyła oczy. Zobaczyła nad sobą sufit samochodu z obdarzą zwisającą tapicerką. Przechyliła głowę i mrużąc oczy popatrzyła na Glenna.

— Gdzie jesteśmy?

Boże, pomyślał, ten głos! Głęboki i jakby unurzany w miodzie, był nieco ochrypliwy i jeszcze bardziej uwodzicielski, gdy budziła się ze snu.

— Toyota się zepsuła — wskazał przez przednią szybę.

Candice usiadła i rozejrzała się. Brzask oświetlał pustą jałową równinę rozciągającą się od horyzontu po horyzont. Na szczęście wznoszące się w pobliżu skupisko dziwnie uformowanych głazów pozwalało dyskretnie załatwić intymne sprawy. Kiedy wróciła, Glenn podał jej butelkę z wodą, chleb i ser.

Zauważyła, że ma cienie pod oczami, jakby w ogóle nie spał. Potem spostrzegła dziennik, który trzymał na kolanach. Coś w nim wyczytał, pomyślała. Coś niedobrego.

— Znalazłem tu kilka ustępów, które odświeżyły mi pewne sprawy — zaczął, gdy Candice usadowiła się z podwiniętymi nogami na tylnym siedzeniu, z apetytem pałaszując kanapkę. — Sam nie wiem, czy zwyczajnie o nich zapomniałem czy rozmyślnie usunąłem je z pamięci — rzekł z wysiłkiem. — Mam wrażenie, że rodzice należeli do tajnego stowarzyszenia.

Candice znieruchomiała z kromką chleba uniesioną w pół drogi do ust.

— Tajne stowarzyszenie? Coś takiego jak masoni albo różo-krzyżowcy?

— Pamiętam, że matka opowiadała mi o tajnym bractwie kapłanów, którym udało się ująć z pożaru Biblioteki Aleksandryjskiej. W jedenastym wieku ich potomkowie wzięli udział w pierwszej krucjacie, zwąc się Rycerzami Płomienia. Myślałem wówczas, że to bajka, ale teraz mi się zdaje, że mówiła o prawdziwych wydarzeniach. Ten pierścień — odwrócił dłoń, ukazując oprawny w złoto rubin — oznacza przynależność do bractwa.

— A jaki był jego cel?

— Nie wiem. Matka pisze w dzienniku, że ojciec zabronił jej mi o tym mówić. Miała poczekać, aż skończę osiemnaście lat. Zginęła wcześniej.

— Czy to ma coś wspólnego ze Światłością?

Spojrzał na nią z uwagą. Blask, który ujrzał, kiedy odpadł od skały i leciał w dół, przekonany, że zginie... Czy to była wizja, czy wspomnienie? Jeśli matka opowiadała mu o Światłości, może jego owładnięty trwogą mózg wrócił do lat dzieciństwa i wyłuskał z pamięci wyobrażoną ilustrację jej słów? Może to ją starał się później odtworzyć na płótnie?...

— Jestem pewien, że mają jakiś cel — powiedział. — To nie jest zwykły towarzyski klub. Chcą coś osiągnąć, nie wiem tylko co. — Potrząsnął głową. — W tej chwili bardziej martwi mnie co innego.

Postanowił się tym z nią podzielić. Musi uświadomić jej powagę sytuacji, może wtedy zdoła ją nakłonić do wyjazdu.

— Philo mnie przeraża — odczytał na głos. — Widzę u niego objawy narastającej manii. Sandrina ich nie dostrzega albo nie chce dostrzec. Do czego to doprowadzi? Mam powody podejrzewać go o pewne czyny. Boję się o nich mówić. Nie mogę dać znać na policję, bo w ten sposób zdekonspirowałabym zakon. Nie mogę też podzielić się swoimi obawami z Johnem, bo Philo stanowi między nami temat tabu. Innych członków bractwa nie biorę nawet pod uwagę; darzą Philona cziłą nieomal boską. Biedna Mildred jest w nim zakochana bez pamięci, poświęciła wszystko, by żyć w jego cieniu. Muszę więc zachować swoje myśli dla siebie. Mam nadzieję, że gdy Glenn przejdzie inicjację, razem zdołamy powstrzymać Philona, jestem bowiem przekonana, że zamierza on wykorzystać Światłość dla urze-

czywistnienia własnych diabolicznych planów.

Glenn umilkł. Jeśli stan psychiczny Philona budził obawy dwadzieścia lat temu, to jak jest teraz?

— Pogrzebałem trochę w przeszłości Philona — rzekł. — Jego rodzice zginęli w nie do końca wyjaśnionym pożarze. Krążyły później pewne plotki, ale niczego nie udowodniono.

— Myśli pan, że on to zrobił? Spalił żywcem własnych rodziców? — Candice zadrżała. — Ale jeśli planuje masową zagładę, na co mu gliniane tabliczki Baskowa? — Znow przesła jej przez głowę natrętna myśl, że Gwiazda Babilonu nie jest zabytkiem przeszłości, a nowoczesną bronią, piekielną machiną o niewyobrażalnej mocy. — Nadal nie wiemy, do jakiej przepowiedni Nostradamusa odnosił się w liście pański ojciec. Czy udało się panu znaleźć ten czterowiersz?

Glenn potrząsnął głową.

— Wszystkie źródła, do jakich udało mi się dotrzeć, zgodnie stwierdzają, że siódma centuria ma tylko czterdzieści dwie strofy.

— Może profesor pomylił numer centurii?

— Też o tym pomyślałem. Ale żaden czterowiersz oznaczony numerem osiemdziesiątym trzecim nie ma w tym kontekście sensu. To ślepa uliczka.

Przypomniał sobie kłótnię, którą słyszał pewnej nocy przed dwudziestu laty. Jeden mężczyzna groził drugiemu. Pani Quiroz powiedziała, że ojciec został zepchnięty ze schodów. Czy Philo po tylu latach przybył spełnić swą groźbę? Ale dlaczego teraz?

Bo teraz John Masters wpadł na trop Gwiazdy Babilonu.

Glenn przymrużył oczy spoglądając na zachód, w kierunku, z którego przybyli. Ciekawe, czy wysłannicy Philona już tu jadą, wyciskają najwyższe obroty z silników, żeby ich dopaść.

Obrócił się na wschód. Albo Philo już wie, gdzie jest Gwiazda Babilonu, i czekają na miejscu. Glenn miewał do czynienia z bandziorami; raz musiał stawić czoło sześciu w wąskim zaułku, ale jeśli Philo przyśle dwudziestu, stu? Co wtedy?

Spojrzał na Candice przypominając sobie, jak w Palmyrze malował w wy-

obraźni jej księżycowy portret. To niesamowite, że człowiek, który nigdy w życiu nie narysował nawet kreski, nagle chwyta za pędzel i przelewa na płótno swoją duszę. Próbuje uchwycić Światłość. Być może chciał malować Candice Armstrong dlatego, że też jaśniała własnym światłem.

— Dlaczego nie chce się pani wycofać z tej eskapady? — rzekł ze znużeniem.  
— Philo to psychopata, niepodobna przewidzieć, co zrobi.

— Mam pozwolić, by stawił mu pan czoło sam?

Wysiadła z samochodu i przeciągnęła się w porannym wietrzyku. Wrócić do Los Angeles, do domu i bezpieczeństwa, do Pusi i przytulnej chatki w górach... Do lukratywnej posady w San Francisco, jeśli oczywiście Reed da jej drugą szansę. Zejść z drogi wariata, który planuje dokonanie masowej rzezi... Pragnęła tego ponad wszystko na świecie.

— Zostaję — oznajmiła.

Mimo woli poczuł dla niej podziw. Nie można jej było zarzucić tchórzostwa, miała w sobie wolę walki. Przydałaby mu się taka w wydziale. To dlatego ojciec ją wezwał. Jeśli ktokolwiek mógł odnaleźć Gwiazdę Babilonu, to właśnie Candice Armstrong.

Doleciał ich triumfalny okrzyk: „Dżalla!” Obrócili się, zobaczyli Iana machającego do nich radośnie. Awaria została usunięta.

Ale kiedy ich kierowca wrócił do pontiaka, miał zafrasowaną minę.

— To nie jest dobry znak — rzekł wskazując widnokrąg na zachodzie, gdzie przez pustynię toczyła się potężna burza. Błyskawica przeszła skłębioną masę chmur, z oddali dobiegł groźny pomruk grzmotu.

Spiesznie udali się w dalszą drogę. Wytrawni kierowcy zręcznie omijali dziury w asfalcie, aż ten się skończył, i z równą wprawą ruszyli dalej zwirowym traktem. Candice ponownie zagłębiła się w myślach.

Kiedy znajdą tabliczki, Glenn przekaże je rządowi Syrii. Wcześniej miała nadzieję, że będzie je mogła zatrzymać na tyle długo, by je przetłumaczyć. Ale teraz klucz Duchesne'a przepadł. Nie zdoła go odtworzyć z pamięci.

Oczyrna duszy ujrzała znów mężczyznę w hawajskiej koszuli, który stał pośród



ruin i spoglądał wprost na nią.

Patrząc wstecz musiała przyznać, że była to aż nazbyt oczywista przynęta. Powinna była cicho ostrzec Glenna, razem wykradliby się z pokoju — zamykając go wprzód na klucz — wytropiliby tamtego, złapali go i wydusili z niego odpowiedź na kilka pytań. Ale nie, ona musiała od razu rzucić się w pogoń jak wściekły nosorożec.

Skąd brała się w niej ta impulsywność? Jeden z przyjaciół podsunął jej kiedyś myśl, że podświadomie torpeduje własne wysiłki zmierzające do osiągnięcia sukcesu. Na przykład sprawa Fairclotha. Być może istotnie mogła załatwić to zręczniej, dyskretniej, innymi drogami — tak, żeby wszystko nie skrupiło się na niej. Ale dlaczego ktoś, choćby nawet podświadomie, miałby niweczyć własne szanse na sukces?

Bo strach przed porażką jest w tobie silniejszy niż nadzieja — podszeptała jej wewnętrzny głos.

Patrzyła na uciekającą w tył równinę zaskakującą tu i ówdzie łąnem dzikich kwiatów, na chmury sunące majestatycznie przez wiecznotrwały nieboskłon i w surowym pustynnym świetle ujrzała samą siebie wyraźniej niż kiedykolwiek.

Nie była w stanie przebić osiągnięć swojej matki, więc bała się nawet próbować.

Zamknęła oczy. Proszę cię, Boże, pomyślała, spraw, żeby te tabliczki tam były. Pozwól mi je znaleźć i spełnić obietnicę daną umierającemu, przywożąc je do kraju. Spraw, żeby tym razem, tym jednym jedynym razem mi się udało.

Glenn myślał, że zasnęła. Patrzył na jej głowę opartą na zagłówku fotela, zamknięte oczy. Nie był zadowolony z rozwoju wydarzeń. W Tadmurze mógł jej zapewnić policyjną ochronę, mógł ją zmusić do powrotu. Ale właśnie wtedy w drzwiach pojawił się Ian, obwieszczając z triumfem: „Nająłem gości, którzy zawiozą nas do Dżebel Mara. No? Może by mi tak ktoś podziękował?”

Wdzięczność była ostatnią rzeczą, jaką wówczas czuł. Nie miał wyboru: musiał zabrać ją ze sobą. I oto tkwił z nią w głuszy nie będąc pewnym jutra ani nawet tego, co go czeka za godzinę, i starając się nie myśleć o pistolecie Iana, który wciąż miał przy sobie. Broń zdawała się mu ciążyć, popychać o krok dalej w stronę tego, czego się tak obawiał — nieuchronnej przemocy.

Jechali teraz ledwie widocznym szlakiem przez pustynię. Nie było tu ludzi — nawet Beduinów, maruderów czy rozbójników. Widzieli tylko gazy, szakale i zające, i ogromne stada przelotnych ptaków, które zrywały się pomiędzy traw. Dążyli wciąż na wschód, zostawiając cywilizację daleko za sobą. Ogarnęło ich poczucie wyobcowania i osamotnienia — zwłaszcza gdy zaczęli zdawać sobie sprawę, jak bezbronni w istocie są na pustyni, jak zależni od telefonów, paliwa i współczesnych gadżetów. A jeśli zepsują się oba samochody naraz albo skończy paliwo? I na domiar złego wyczerpie akumulator satelitarnego telefonu Iana? Każde z nich wyobrażało sobie w duchu, jak czuł się tu Baskow osiemdziesiąt lat temu.

Po pewnym czasie wyjechali na płaską kamienistą równinę urozmaiconą tu i ówdzie sterczącymi ku niebu powykręcanyimi skalnymi paluchami. Dziwaczne formy geologiczne zdawały się być pamiątką po jakimś burzliwym wulkanicznym dramacie, który rozegrał się tu przed milionami lat. Wszyscy z ożywieniem zaczęli się rozglądać, byli już bowiem w rejonie wskazanym przez szejka. W południe zobaczyli pierwszy znak terenowy — grupkę urwistych skalnych szczytów ni stąd, ni zowąd wystających z równiny, jakby zasadziła je tam ręka olbrzyma. Nieoczekiwany widok zrobił na nich wrażenie. Zatrzymali się i wysiedli, sięgając po lornetki.

Patrząc na skalisty grzbiet, Candice zastanawiała się, czy ponosi ją wyobraźnia czy naprawdę nawet wiatr zawodzi tu żałośniej.

— To musi być Dżebel Mara — rzekł Glenn. — Wygląda dokładnie tak, jak opisał ją szejk Abdul. Ale nie zgadza się z mapą Baskowa.

Wsiedli z powrotem do samochodów i jechali dotąd, aż znaleźli się u podnóża wielkiego skalnego masywu, który wznosił się trzysta metrów wzwyż i ciągnął w obie strony niczym grzbiet dinozaura. Rozglądali się w milczeniu. Równie dobrze mogliby być na księżycu, tak surowy otaczał ich pejzaż. Tu i ówdzie kępa roślinności z trudem utrzymywała się przy życiu w zagłębieniu, gdzie po deszczu zbierała się woda. Lecz poza tym otaczała ich nieorganiczna, wroga pustka.

Próbowali ustalić swoje położenie na mapie Baskowa, lecz na próżno. Żadne z jego oznaczeń nie zgadzało się z ukształtowaniem terenu.

Od południa wapienny płaskowyż przecinało suche koryto wadi, kończące się u podnóża góry.

— To nie ma sensu — rzekł Glenn śledząc jego bieg przez lornetkę. — Woda spływa z południa, ale gdzie uchodzi?

Przepatrzyli całe południowe zbocze piętrzącego się nad nimi wzniesienia, ale nie zdołali rozwiązać zagadki, gdzie wody przyboru uchodzą z wadi. W końcu jeden z kierowców znalazł to miejsce, obwieszczając wszem wobec triumfalnym: „Dżalla!” Ruszyli biegiem w jego stronę.

W skale była szczelina tak nieznaczna, że należało patrzeć pod odpowiednim kątem, żeby w ogóle ją zauważyć. Ponieważ była za wąska dla samochodów, postanowili iść pieszo. Syryjczycy zatrzymali się w miejscu, gestykulując gwałtownie.

— Nie chcą tam wejść — przetłumaczył Ian. — Mówią, że góra jest nawiedzona. Złe miejsce. Boją się.

— Dobra, powiedz im, niech tymczasem rozbiją obóz — zdecydował Glenn.

Zagłębili się między skały, brnąc w chłodnym piasku poznaczonym śladami skorpionów i węży. Po chwili ciemność zamknęła się za nimi, odcinając ich od świata tak kompletnie, że musieli wymacywać drogę w krętym tunelu. Glenn objął prowadzenie; od czasu do czasu zatrzymywał się, nasłuchując. Candice czuła dreszcze pełzające po plecach. Wyobrażała sobie całe kłęby jadowitych węży i stada tarantul.

— Uwaga na głowy! — odezwał się Glenn. Jego głos odbił się od niewidocznego stropu.

Zamykający pochód Ian nie zareagował w porę i boleśnie wyrznął o skalny występ.

— Mam nadzieję, że to przejście dokądś prowadzi — wymruczał w ciemności. — Nie chciałbym zostać pogrzebany żywcem.

I nagle zobaczyli światło.

— Dobry Boże! — wykrzyknął Ian, kiedy wynurzyli się z powrotem w jasny dzień.

Góra była pusta w środku. Ku niebu otwierała się długa na kilka mil dolina, której strome brzegi najeżone były ostrymi iglicami. To tu wpływały wody staro-

żytnego wadi, które w ciągu tysiącleci wyrzeźbiły ten niesamowity wąwóz.

Nie był to jednak zwykły wąwóz. Spod zalegającego jego dno piasku wyzierał kamienny bruk. Tu i ówdzie leżały zwalone przed wiekami kolumny. Osypujące się łuki wieńczyły biegnącą środkiem aleję. A po obu stronach ziały wycięte w skalnych ścianach otwory — drzwi i okna. Pomiedzy nimi pędził ze świstem wiatr, niosąc drobiny pyłu, uderzając na przemian to ciepłym, to chłodnym powiewem i wyjąc niczym stado potępionych duchów. Przybyszom odebrało mowę. Stali w osłupieniu, wytrzeszczając oczy.

Znaleźli zaginione miasto.

## ROZDZIAŁ OSIEMNASTY.

- Zupełnie jak Petra, tylko mniejsze — westchnął Ian. — Bez wątplenia naba-tejskie.

— Nigdy nie słyszałam o tym miejscu — powiedziała Candice, wciąż oszo-łomiona.

— Czeka! — Ian strzelił palcami. — Wiem, co to jest. No jasne! Dzebel Mara nie może być historyczną nazwą. Po arabsku te słowa znaczą „zła góra”; nazwano ją tak na długo po opuszczeniu miasta, gdy zapewne uznano je za przeklęte albo zamieszkane przez duchy. To musi być Dedana, starożytny węzeł komunikacyjny. Babilońskie karawany przechodziły tędy w drodze do Palmyry i dalej nad Morze Śródziemne.

— Miasto wykute w skale. — Glenn przypomniał sobie puebla Arizony i No-wego Meksyku. Tu także cała osada została wykuta w litej skale, wycięte w urwi-sku stopnie prowadziły do półek służących jako progi domostw wpuszczonych w lico góry.

Wspięli się nieco wyżej i przyświecając sobie latarką zaczęli zaglądać do pu-stych prostokątnych izb o nagich kamiennych ścianach, na których nie zachowało się nic poza wyskrobanym dawno temu napisem: "Ja żyłem tu — Philippe Ago-ustin, 1702".

— Jak myślicie, znajdziemy gdzieś autograf Baskowa? — zaśmiał się Ian.

Tamci nie odpowiedzieli. Szli dalej w milczeniu przez wymarłe miasto, odkrywając budowle, które niegdyś mogły być stajniami, karczmami, świątyniami nieznanych bogów. Znaleźli nawet wtulony w zbocze góry amfiteatr z wieloma rzędami kamiennych ław.

Kiedy dotarli do końca, Glenn zrozumiał, dlaczego nigdy nie słyszeli o tym miejscu. Dedana została obrabowana do czysta przed wieloma wiekami, nie zostało tu nic cennego, nawet dla archeologów. Opowieści o duchach odstraszały ludzi, którzy nie odważyli się już tu zamieszkać.

Ale co z Gwiazdą Babilonu?

W dali nad płaskowyżem szalała pustynna burza. Głuchy odgłos dobiegł do ukrytej doliny, każąc poszukiwaczom spoglądać w bezchmurne niebo i zastanawiać się, dlaczego słyszą grzmot. Glenn głowił się jednak nad inną zagadką.

— Którędy odprowadzali wodę? — zapytał po raz kolejny, przypominając sobie wadi kończące się przy wlocie do wąwozu.

Ruszyli z powrotem przez rozpadlinę, uświadamiając sobie, że przed wiekami była to droga wjazdowa do miasta, i wyszli na płaskowyż. Osłaniając oczy przed żarem słońca zajrzeli do koryta. Tym razem dostrzegli to, czego nie widzieli wcześniej: wysoki wapienny rant tworzący naturalny zbiornik, w którym musiała się zbierać woda deszczowa. Starożytni mieszkańcy Dedany podwyższyli go tworząc tamę przegradzającą łożysko i zbudowali sztuczne kanały odprowadzające wodę sprzed bram miasta wokół góry. W piasku widać było fragmenty rynien i rur, wyciosanych przed wiekami przez ludzkie ręce.

— Patrzcie — rzekł Glenn przykucając, żeby odgarnąć piach z kamiennej rynny wiodącej do granic miasta. — Zbudowali kanały burzowe, które musiały napełniać wykute w skale zbiorniki. Z pewnością w zimie cierpieli na nadmiar wody, a w lecie na jej brak. Gromadząc wodę, rozwiązywali oba te problemy.

Candice kiwnęła głową i zawróciła w stronę szczeliny.

— Gdzie pani idzie? — zagadnął ją Glenn.

— Poszukać Gwiazdy Babilonu. Dopiero południe, mamy sporo czasu.

— Najpierw trzeba założyć bezpieczne obozowisko i ustalić kolejność wart. Musimy go pilnować.

Potrząsnęła głową, wzięła się pod boki. Ciemne włosy wymknęły się spod spinki i tańczyły na wietrze.

— Gwiazda Babilonu nigdzie sobie nie pójdzie — powiedział Glenn z irytacją. Podziwiał ją, ale zaczynał go już męczyć jej upór. Miała nad nim zbyt silną władzę, potrafiła bez trudu zburzyć spokój jego ducha. Zastanawiał się, czy jest tego świadoma.

- Chyba że jest to pani nie na rękę, bo oczekuje pani wizyty amanta w hawajskiej koszuli — dodał złośliwie.

— No dobrze. Ma pan rację — przyznała z ociąganiem.

W czasie ich nieobecności Syryjczycy wybrali na obóz płaskie wzniesienie — było to konieczne w rejonie narażonym na gwałtowne wylewy — osłonięte od tyłu stromym zboczem góry. Ewentualni goście musieliby podejść od zachodu, a 180-stopniowy widok roztaczający się z obozu dawał czas na przygotowanie się.

Kierowcy rozbili namioty dla badaczy — sami zamierzali spać w samochodach. Rozpalono ognisko, wyciągnięto prowiant, zaparzone kawę. Chwilę pogawędzili przy ognisku, po czym ustalono kolejność wart. Candice także chciała stać na straży, ale mężczyźni ją przegłosowali i musiała się poddać. Glenn upewnił się, że wciąż ma przy sobie pistolet Iana.

Na zachodnim nieboskłonie słońce rozprysło się na pęk czerwonych i złotych strun przeszywających wiszące nisko obłoki. Na wschodzie niebo raz po raz rozjaśniało się blaskiem niewidocznych błyskawic. W dali mruczał grzmot, a wiatr pędził przed sobą strzępy burzowych chmur. O zmroku spadł przelotny deszcz, który wkrótce ustąpił pod naporem wiatru. Księżyc wzeszedł na oszałamiająco czystym niebie. Chłodny powiew wachlował pustynię, susząc źdźbła traw. Pustynia umilkła, podróżni zapadli w sen.

Poranek wstał jasny i kryształowo przejrzysty. Niebo zdobiły postrzępione białe obłoczki, nad obozowiskiem polatywał ze śpiewem skowronek. Noc minęła spokojnie; stojących na warcie mężczyzn nie niepokoiły żadne hałasy ani zjawy. Co ważniejsze, w zasięgu wzroku nie pojawił się też żaden pojazd.

Po kawie i posiłku wrócili do opustoszałego miasta.

Szli główną aleją przyglądając się fasadom domów, w których mieszkali ongiś kupcy, artyści, żołnierze, nierządnicze i politycy. Towarzyszył im stale pomruk odległej burzy. Choć wiedzieli, że miasto jest wymarłe, mieli niesamowite uczucie, że z ciemnych ziejących otworów obserwują ich czyjeś oczy.

— Dlaczego ani Duchesne, ani Baskow nie wspomnieli nigdy o ukrytym mieście? — zastanawiała się na głos Candice.

— Żeby nikt nie odkrył tabliczek — odparł Ian. — Obaj zamierzali tu wrócić.

Przeszli całą długość doliny, nim wreszcie za głównym placem, gdzie wciąż stały smukłe kolumny, za fontanną, teraz wypełnioną piaskiem, znaleźli miejsce, którego szukali.

Wyróżniało się spośród innych zagruzowanym wejściem i topornie wyskrobany w skale znakiem: pięcioramienną gwiazdą.

Wspięli się po kamiennych schodach i z marszem na czołach przyglądali się stercie ułamków skalnych. Jak okiem sięgnąć, i w lewo, i w prawo, czarne otwory ziały niczym gigantyczne usta. Ale to wejście zostało zawalone. Czyżby Baskow ponownie zakopał znalezisko?

Zaczęli pospiesznie uprzętać rumosz, świadomi uciekającego czasu. Kierowcy dostali polecenie, by stanęli na straży u wylotu wąwozu i wszczęli alarm, gdyby ktokolwiek się zbliżał.

Serce Candice łomotało pospiesznie, zachłannie; jak w transie odgarniała kamienie. Nareszcie dowiedzą się wszystkiego: czym jest Gwiazda Babilonu, dlaczego Philo Thibodeau nie cofnie się przed zbrodnią, żeby nią zawładnąć, i co miał na myśli profesor Masters mówiąc o „totalnej zagładzie”.

Ostatni głąz potoczył się w dół, poczuli krótki przewiew i dał się słyszeć głuchy szelest osypującego się do wewnątrz piasku.

Dokopali się.

Drzwi domu wyglądały jak wejście do miniaturowej kopalni złota. Połamane, niedopasowane kolumny podpierały poprzeczną belkę.

— To pewnie robota Baskowa — skonkludował Glenn. — Kazał swoim ludziom ściągnąć tu kawałki kolumn, żeby podeprzeć nadproże. Jest pęknięte.

— Nie wygląda zbyt stabilnie — zauważył Ian.

— Dziwne... — zadumała się Candice wodząc palcami naokoło brzegów dziury wybitej ongiś przez Baskowa.

— Cegła — potwierdził Glenn. — W innych wejściach jej nie było, prawda?

— Nie.

Starożytne drzwi zostały zamurowane, najwyraźniej w zamierzonych czasach. Ceglany mur wyraźnie nie pasował do kamiennej ościeżnicy. Duchesne i Baskow wybili w nim otwór na tyle duży, by mógł się przecisnąć przezeń człowiek.

Ian podał Candice latarkę i powiedział:

— Proszę, moja droga. Ostatecznie to tobie przypada chwała odkrywcy.

Candice wzięła latarkę, zawahała się i podała ją Glennowi.

— Profesor zostawił Gwiazdę Babilonu tobie.

Glenn wziął latarkę i stając przed niewielkim otworem poświecił do środka.

— Co widzisz? — spytał z podnieceniem Ian myśląc o Howardzie Carterze i jego słynnym stwierdzeniu: „Widzę tu cuda!”

Ale Glenn odparł:

— Tylko ciemność.

Poszerzyli otwór wybijając cegły, które tkwiły tu zapewne od dwóch tysięcy lat. Candice pomagała z zapalem, sapiąc z wysiłku, z twarzą umazaną kurzem i potem. Zanim mogli wreszcie wygodnie wejść do środka, słońce stało już w zenicie nad ich głowami.

Pomieszczenie było niewielkie i najwyraźniej stanowiło jedyną izbę tego domostwa.

— To musiało być coś w rodzaju czynszowej kamienicy — stwierdził Ian. — Ludzie mieszkali w jednoizbowych mieszkaniach.

— Widzicie jakieś tabliczki? — przerwała niecierpliwie Candice.



Powietrze pachniało kurzem i pleśnią, a może po prostu osadem minionych wieków. Trzy żółte krążki światła z latarek krążyły po ciemnej izbie, wyławiając z półmroku skorupy, które mogły, lecz nie musiały pochodzić z tabliczek. Na niektórych widać było parę znaków, jakby wprawki lub notatki. Ale zbioru, z którego pochodziły kamień Duchesne'a i tabliczka Baskowa, nigdzie nie było widać.

— Tu jest jedna! — krzyknął Ian tak entuzjastycznie, że kurz posypał się ze stropu. — Baskow musiał ją przeoczyć!

Candice już była przy nim, oświetlając latarką prostokątny kawałek gliny pokryty klinowatymi znakami szyfru Duchesne'a. Wyjęła zza paska miękki pędzel i delikatnie omiotła tabliczkę z piasku. Serce biło jej mocno.

— Muszę ją sfotografować. Potrzebuję czegoś, co pokazałoby skalę.

Ian podał jej swój zegarek. Kiedy nachyliła się z powrotem, zegarek wymknął jej się z roztrzęsionych rąk i spadł prosto na tabliczkę, która na oczach zdumionej winowajczynie rozsypała się w proch.

— Dobry Boże — jęknął Ian. — Jak to się stało? Candice była bliska płaczu. Nie zdążyła nawet zrobić zdjęcia.

— Nie ruszajcie się — powiedział nagle Glenn takim tonem, jak gdyby chciał ich aresztować. Powiedli wzrokiem za światłem jego latarki, a gdy zobaczyli to, co on, ich oczy rozszerzyły się ze zdumienia.

Pod ścianą leżał ludzki szkielet.

— Czyżby to był grób? — bąknęła zdumiona Candice.

— Bez sensu — mruknął Ian, kolejno oglądając ściany.

— Czekaście, a to co?

W wapieniu wyskrobane były jakieś znaki. Candice przyjrzała im się uważnie.

— Wygląda jak pismo hebrajskie albo może aramejskie... Ian, potrafisz to odczytać?

— Aramejskie — orzekł Hawthorne. — Babilon... jest... tu...

— tłumaczył z wahaniem, wodząc palcem wzdłuż napisu. — Nie. „Z” Babilo-

nu. Coś z Babilonu jest tutaj.

— A pierwsze słowo? Czy tam jest napisane „gwiazda”?

— Nie rozumiem go. Znaki nie są... — Odwrócił się do Candice. — Masz przy sobie ten glosariusz?

— Został w plecaku, w bagażniku. Zaraz wracam! — wykrzyknęła i znikła, zanim Glenn zdążył za nią zawołać, żeby była ostrożna.

Wróciła z plecakiem przewieszonym przez ramię, po drodze już wertując pośpiesznie książkę.

— Nie mogę go znaleźć — powiedziała, wchodząc do izby.

— Tego pierwszego słowa w ogóle tu nie ma.

— Musi znaczyć „gwiazda” — upierał się Ian. Co innego mogłoby stać przed „z Babilonu”?

Candice uważnie przyjrzała się wrytym znakom, przyświecając sobie latarką.

— Bo to nie jest hebrajskie słowo, tylko perskie — powiedziała. — Iw istocie oznacza gwiazdę.

— Tu jest Gwiazda Babilonu! — rzekł triumfalnie Ian i rozejrzał się wokół. — Ale gdzie? Nie widzę nic, co przypominałoby gwiazdę. Czyżby Baskow zabrał ją ze sobą?

— Na samym początku jest jeszcze jakaś krecha — wtrącił Glenn. — Czy to coś znaczy?

— Skaza w kamieniu — rzekł lekceważąco Ian.

— Racja! — wykrzyknęła Candice badając napis przez szkło powiększające. — To znak, który poprzedza imię własne, nie zauważyłam go. Dlatego pierwsze słowo jest w innym języku.

To nie rzeczownik pospolity, tylko imię. — Z rozszerzonymi oczyma odwróciła się do swoich towarzyszy. — Estera. Estar znaczy gwiazda.

— Tu jest Estera z Babilonu — powtórzył Glenn. — Baskow błędnie przetłu-

maczył inskrypcję. Gwiazda Babilonu to nie przedmiot, symbol ani miejsce. To osoba.

— A to jest jej grób — dodał Ian.

Stali w milczeniu patrząc na szkielet. W końcu Glenn odezwał się:

— Nie sędzę, żeby to był grobowiec.

— A cóż by innego?

— Moim zdaniem to jednak wnętrze mieszkalne... — Snopem światła latarki omiółł pokrytą pyłem posadzkę. — Spójrzcie, ile tu skorup. Te wszystkie misy i dzbanki...

— Wyprawka na życie pozagrobowe — stwierdził Ian. — To obiekty symboliczne, nie przewidziane do realnego użytkowania.

— Nawet piec?

— Oczywiście! W grobowcach znajdują się podobizny najrozmaitszych sprzętów.

— Ten był używany. — Glenn skierował latarkę na poczerńiały od sadzy otwór. — A tu... — przeniósł promień — było okno.

W gładkiej ścianie znaczył się drugi, mniejszy prostokąt obrobionych cegieł.

— Faktycznie. — Candice przypomniała sobie inne izby przy tej ulicy. Każdemu wejściu towarzyszył pusty otwór okienny. Zastanawiała się, dlaczego właśnie Estera z Babilonu pozostała na wieki w swoim domu.

— Nie wiemy nawet, ile lat ma ten szkielet—zauważył Glenn. — Może tylko kilkaset.

Dosłownie w tej samej chwili Ian znalazł lampę.

— Niewiarygodne — powiedział z podnieceniem. — To jest grecki wyrób! Jak wiecie, pierwsze lampy były po prostu miseczkami z zanurzonym w oleju knotem. Stopniowo zaczęto je robić coraz głębsze. Grecy wymyślili całkowicie zamkniętą lampę, z której dzięki temu nie wylewał się olej, taką jak ta. Ich kolejnym wynalazkiem...

— Można je jakoś datować? — przerwał mu niecierpliwie Glenn.

— Pojawiły się w piątym wieku przed Chrystusem. Znajdowano je przede wszystkim w Grecji i południowych Włoszech. To, że ta lampa zawędrowała tak daleko, dowodzi stałych kontaktów handlowych...

— Chcesz powiedzieć, że ta lampa ma dwa i pół tysiąca lat?

— Candice uniosła brwi.

— Plus minus sto. Bez wątpienia.

— Co jeszcze nie dowodzi — wtrącił Glenn — że dwa i pół tysiąca lat temu zamurowano tu nową lampę. Mogła być używana Bóg wie jak długo.

— Nie tak znów długo — skontrował Ian. — Po pierwsze lampy, podobnie jak inne ceramiczne naczynia, łatwo się tłuką. Najlepiej zachowane pochodzą z grobowców, gdzie oczywiście nie były używane. Ale żeby miały przetrwać parę wieków? Wykluczone. Poza tym w okresie hellenistycznym garncarze zaczęli je zdobić geometrycznym ornamentem. Zmienili też nieco skład gliny, żeby produkt był trwalszy. Ówczesni ludzie, tak jak dzisiaj, wyrzuciliby starą lampę i kupili sobie nowy modny wzór.

— Nie wiemy tego na pewno. — W Glennie odezwał się detektyw. — Nie wolno nam wyciągać pochopnych wniosków.

— Znaleźliśmy lampę i tabliczki pokryte pismem klinowym

— wtrąciła Candice. — Oraz napis aramejski. Wiemy, że pismo aramejskie zaczęło wypierać klinowe w okresie perskim, około siódmego wieku. Możemy roboczo przyjąć, że to mieszkanie, czy cokolwiek to było, zostało zamurowane mniej więcej w tym okresie. A zbiega się to z niewolą babilońską narodu żydowskiego, jednym z koników pańskiego ojca... — Candice spojrzała na Glenna. — Czy mam rację?

— Ojciec poświęcił życie badaniom trzech okresów z Biblii: wyjścia z Egiptu, panowania Salomona oraz niewoli babilońskiej. Pani, doktor Armstrong, pomogła mu rozwiązać kwestię Salomona. Pozostają dwa. A ponieważ jesteśmy dość daleko od Morza Czerwonego... — Glenn zawiesił głos.

— Tylko co ta kobieta — bąknęła cicho Candice, świecąc latarką na zmursza-

łe kości — miała wspólnego z niewolą babilońską?

— I czy to ona jest ową Esterą — dodał Ian — o której mówi napis na ścianie?

Wszyscy troje spojrzeli na siebie pytająco i stali chwilę w zadumie, obserwując cienie pełznące leniwie po ścianach zamurowanej komnaty wraz z ruchem słońca. Znaleźli Gwiazdę Babilonu, lecz natknęli się na kolejną zagadkę.

Musieli wyjść na zewnątrz, bo w izbie zrobiło się duszno. Z ulgą wciągnęli w płuca czysty, pachnący słońcem wiatr, który dał przez dolinę. Czuli potrzebę oczyszczenia płuc z kurzu i śmierci.

Ian zapalił papierosa.

— A więc to miałyby być żona astronoma, wspomniana w tekście Baskowa?

Candice, niezbyt przekonana, potrząsnęła głową, układając sobie coś w myślach.

— Daty się nie zgadzają. Profesor sugerował, że rozwiązanie tajemnicy znajduje się w grobowcu Nakhta. Nakht był astronomem, ale żył tysiąc lat wcześniej. Co mogłoby go łączyć z tą kobietą? Nie mam pojęcia.

Ian pospiesznie zdeptał niedopałek i wrócili do izby. Candice zaczęła robić zdjęcia, kładąc przyniesioną linijkę obok kolejnych przedmiotów i starając się niczego już nie zniszczyć.

— Chciałbym wiedzieć — mruknął Ian oglądając nadtłuczoną lampę — dlaczego pochowano ją tu, a nie w normalnym grobie?

— Może umarła na zakaźną chorobę? — wysunęła przypuszczenie Candice fotografując pokryty znakami pisma kawałek ceramiki. — I nikt nie chciał dotykać ciała. — Spojrzała na Glenna, który siedział w kucki głęboko zamyślony. Nawet w półmroku widać było zmarszczkę rysującą mu się między brwiami. — Co pan tam ma? — spytała.

Wskazał prawą dłoń szkieletu. Między kostkami palców leżał kawałek żelaza.

— Myślę, że porównanie tego ze znakami na ścianie dowiodłoby, że jest to narzędzie, którym wykonano napis.

Candice przyklęknęła obok. Wyglądało to tak, jakby kobieta ścisnęła rylec w

dłoni do ostatnich chwil.

— Pewnie napisała te słowa tuż przed śmiercią. Może wiedziała, że nie przeniosą jej do normalnego grobu. Może w mieście były już podobne przypadki, gdy ofiary epidemii zamurowywano tam, gdzie padły. Nie chciała spoczywać beziemiennie.

Ale Glenn miał inną teorię. Podeszedł do ściany, w której ongiś było okno, i poświecił latarką. Potem podniósł stłuczoną miskę i obrócił ją w dłoniach. W końcu powiedział:

— Te dzbany i misy nie są symboliczne, bo było w nich jedzenie. Osad na ściankach jest ledwie dostrzegalny, zatem musiało zostać spożyte.

— Grabarze urządzili sobie ucztę — skwitował Ian. — To się bardzo często zdarzało. Żywność przeznaczona dla zmarłych zjadana była przez ludzi, którzy kopali grób.

— To po co lampy?

— Symboliczne, jak już mówiłem.

— One też były używane. I to długo.

— Co w tym dziwnego? — wtrąciła Candice. — Ustaliliśmy już, że było to normalne wnętrze mieszkalne, zanim zostało przekształcone w grób. Estera używała tych przedmiotów za życia.

Glenn poświecił na zamurowane okno wydobywając z cienia to, czego dotąd nie spostrzegli.

— Widzicie te cegły? Jest na nich mniej kopcia niż na ścianach, ale nie powinno go być w ogóle. Lampa musiała się palić jeszcze długo po zamurowaniu izby.

— Chce pan powiedzieć, że Estera została zamurowana żywcem? — Candice ze zgrozą spojrzała na misy i dzbany, które nagle nabrały koszmarnego znaczenia. — Ale po co w takim razie zostawili jej pokarm i wodę?

— Może po to, żeby dłużej się męczyła — mruknął Glenn nachmurzony. — To mogła być kara.

— Albo ofiara — szepnęła Candice. Przyklęknęła na jedno kolano i miękkim pędzlem z wielbłądziego włosia omiotła z kurzu przedmioty zagrzebane w nim przez wieki. Światło padło na pędzle, rysiki, czarki, na których dnie pozostał czarny osad. — Może zamknięto ją tu, żeby coś napisała?

— To bez sensu — zauważył Ian. — Jeśli chcieli ją do tego zmusić, to nie przez zamurowanie żywcem. I jak potem wydostaliby tabliczki?

— Może nie chodziło o to, żeby zmusić ją do pisania — poddał Glenn — ale żeby ją powstrzymać. Może Estera pisała coś zakazanego i żeby ją ukarać, zamknięto ją wraz z bluźnierczymi tekstami?

Zamilkli. Jeśli Estera istotnie została pogrzebana żywcem, jaki czyn popełniła? Co takiego zawierały jej tabliczki, że poniosła tak straszliwą karę? I dlaczego zapisane były szyfrem?

Profesor Masters napisał: Użyje jej, by czynić zło. I to zło największe, prawdziwy Armagedon...

Candice przerwała milczenie:

— Skoro tabliczek tu nie ma, możemy uznać, że Baskow je zabrał, nim zachorował.

— Ukrył je — dodał Ian — i narysował mapę. Wszystko jasne: mapa nie przedstawia Dedany, tylko nową kryjówkę. Próbowaliśmy jej użyć w niewłaściwym miejscu.

Wyszli z izby na słońce. Glenn zatrzymał się, aby jeszcze raz spojrzeć w głąb tajemniczej izby wykutej w skale. Na obrzeżach jego świadomości majaczyła irytująca myśl, że coś przeoczyli. Coś związanego z uwięzieniem Estery. Coś ważnego...

Wpadł na to wreszcie, gdy byli już u wylotu szczeliny. Przystanął i obejrzał się w dolinę zasłaną ruinami.

— Idźcie — rzekł. — Ja chcę jeszcze coś sprawdzić. Wspiął się ponownie do zamurowanego wejścia i stał w nim

przez chwilę, wyobrażając sobie, co tu zaszło. Czuł, że popełnił błąd wracając, zaczynały w nim bowiem wrzeć gniew i smutek, które dotąd umiał trzymać w ry-

zach. Emocje wymykały mu się spod kontroli. Instynktownie winił za to Candice Armstrong.

Gdy się odwrócił, zobaczył, jak Candice wspina się ku niemu po zasłanych gruzem schodach. Jej ciemne włosy błyszczały w słońcu.

— Gdzie Hawthorne? — spytał, kiedy dotarła na górę.

— Poszedł obejrzeć mapę Baskowa. Czemu pan wrócił?

— Przypomniałem sobie, jak się robi takie gliniane tabliczki.

— Bierze się kawałek gliny, rozpląszcza i nadaje mu z grubsza prostokątny kształt, a potem rylcem wyciska się na nim znaki i wypala lub wystawia na słońce, żeby wysechł.

— No właśnie. A jeśli tabliczki schną w pomieszczeniu?

— Nie są dostatecznie trwałe. Słońce wypieka glinę, która twardnieje. W przeciwnym wypadku rozsypałyby się w proch. — Oczy Candice rozszerzyły się. — Naturalnie! Tak jak ta, którą przeoczył Baskow!

— Została zapisana, lecz nie wypieczona na słońcu — dokończył Glenn. — Może dlatego Baskow jej nie zabrał. Pozostaje pytanie, dlaczego zabrał resztę, i nadzieja, że tamte nie uległy zniszczeniu. Wróciłem, bo nie dawało mi to spokoju. Teraz bardzo wyraźnie widzę taką scenę: Estera samotna, zamurowana w izbie, która stała się jej grobem, wie, że umrze, ale jest tak oddana swojej sprawie, że nawet w obliczu nieuchronnej śmierci nie przestaje pisać.

Obrócił się i wszedł z powrotem w chłodny mrok komory.

— Nie próbowała się stąd wydostać — stwierdził rzeczowo, oglądając ściany okiem eksperta kryminalistyki. — Nie ma tu śladów przemocy, poza jedną inskrypcją żadnych rys na ścianach, niczego, co świadczyłoby, że stawiała opór. Najzwyczajniej w świecie wróciła do swoich tabliczek i podjęła pracę.

Podszedł do okna, przesunął ręką po rzędach cegieł wyobrażając sobie, jak się musiała czuć widząc, że piętrzą się coraz wyżej, aż w końcu całkiem odcinają światło dnia.

Candice podeszła do niego.



— Teraz sam pan rozumie — powiedziała cicho — że trzeba zabrać te tabliczki do Stanów. Syryjskie władze umieszczą je w byle jakim magazynie, a znając ich biurokrację można się spodziewać, że przez kilkadziesiąt lat nie ujrzą ich ludzkie oczy, podobnie jak to było ze zwojami znad Morza Martwego.

Ale Glenn umocnił się tylko w swym postanowieniu. Nie przyjechał tu tropić zabójców Estery, tylko mordercę swego ojca. Posłyszał jakiś dźwięk.

— Co to było?

— Profesor wiedział, co mówi — nie ustępowała Candice. — Jeśli znajdziemy tabliczki, a potem wypuścimy je z rąk, Philo bez trudu je przejmie. Jest dostatecznie bogaty, by przekupić nawet wysokich urzędników.

— Zdawało mi się, że coś słyszałem. — Candice zagradzała mu drogę do drzwi. Coś za nimi było, może niegroźne zwierzę szukające pożywienia, ale i tak powinien to sprawdzić.

— Proszę, Glenn... — Candice błagalnie wyciągnęła do niego rękę. — Niech się pan zgodzi!

W tej samej chwili nastąpił zawał.

Nagły potężny łoskot. Wysoki zgrzyt pękającego nadproża. Ogłuszający ryk kamiennej lawiny, gdy zawaliła się część stropu i wyższe piętra zjechały w dół.

Światło znikło, pozostali w całkowitej ciemności.

## **ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY.**

Usiedli, dławiąc się kaszlem przy każdym oddechu. W powietrzu było gęsto od pyłu. Glenn zapalił latarkę.

— Jesteś cała?

Pokiwała głową. Twarz miała bladą i ściągniętą.

Glenn zaczął badać zawałisko. Nie wyglądało to dobrze. Od wyjścia mogło ich dzielić nawet parę metrów gruzu, a popękany, nachylony strop w każdej chwili groził runięciem im na głowy.

— Co się stało? — miodopłynny głos Candice tym razem drżał.

— Pęknięte nadproże nie wytrzymało.

— Chyba nas zaraz odkopią, nie? Glenn rozkaszał się przysłaniając usta.

— Może, jeśli Ian zdoła ich namówić, żeby weszli do doliny. Zawsze mogą powiedzieć, że się boją, bo czyha tu zło, przed którym nas zresztą ostrzegali, więc jesteśmy sami sobie winni — sapał, usiłując ostrożnie wyjąć większy kamień z rumoszu, ale zaklinował się na amen.

Candice zaczęła wołać pomocy.

— Szkoda gardła — odezwał się Glenn. — Nie usłyszą. Ogarnęła ich zgroza. Zostali pogrzebani żywcem jak Estera

z Babilonu. Glenn zaczął metodycznie opukiwać ściany.

— Czego szukamy?

— Wyjścia.

Spojrzała na niego jak na wariata. Byli uwięzieni w kamiennej pułapce. Wszystkie domostwa w tej górskiej osadzie miały tylko jedno drzwi i jedno okno. Nie było tu przejść między izbami, strychów ani piwnic. Ale Glenn wciąż stukał rytmicznie, słysząc tylko głuchą odpowiedź twardej skały.

— Pomóż mi — mruknął.

— Gdyby było tu jakieś wyjście, skorzystałaby z niego Estera.

— Może wtedy go nie było.

— Nie rozumiem.

— Pukaj. I nasłuchuj, czy gdzieś nie ma pustej przestrzeni.

Znalazła jakiś kamień i zaczęła pukać. Nasłuchując, uświadamiała sobie z wol-

na, że powietrza nie starczy im na długo, a baterie latarek też wkrótce się wyczerpią. Opukała cal po calu północną ścianę, coraz szybciej, coraz bardziej gorączkowo. Miała uczucie, że izba się kurczy, ściany zaś zwierają wokół niej coraz ciśniej.

I nagle: puk! Inny, płytki dźwięk.

— Cofnij się — rzekł krótko Glenn i przez dłuższą chwilę badał to miejsce w świetle latarki. — Woda rozpuszcza wapień, a przy zawale słabsze miejsca popękały. Mamy szansę — wyjaśnił.

Wrócił do zawaliska i podniósł z posadzki spory głaz. Z całych sił zaczął nim walić w ścianę, odłupując z niej drobne kawałki. W końcu po czasie, który wydał im się wiecznością, spod rąk Glenna ustąpił większy fragment skalny. Poczuli wiew stęchłego powietrza.

— W czasach Estery nie dało się tędy uciec. To kanał burzowy. Wówczas mógł być pełen wody.

Kanał był wąski.

— Zmieścimy się? — spytała Candice.

— Tak, chociaż będzie ciasno.

Musieli iść na czworakach. Glenn prowadził, torując drogę w pokładach namułu zgromadzonego przez wieki. Minęli jeden zakręt, potem drugi, pełznąc jak ślepe krety w czarnej pustce. Candice miała wrażenie, że dźwiga na plecach ciężar całej góry. Powietrze było ciężkie i cuchnące.

— Gdzie jesteśmy? — spytała przerażona, że będą błądzić w kółko w labiryncie tuneli. — Straciłam poczucie kierunku.

— Posuwamy się cały czas na wschód.

— Tak? — Wcale nie miała takiego wrażenia. — A co tam jest?

— Ten tunel musi mieć ujście. Przypuszczalnie otwiera się na zboczu góry.

Ręka, którą się podpierała, ujechała spod niej i Candice zdała sobie sprawę, że jest mokra.

— Glenn? — bąknęła niepewnie. — Ten tunel jest mokry. Płynęła nim woda. I to całkiem niedawno!

Nie odpowiedział.

Dotarli do rozszerzenia, z którego rozbiegały się trzy odnogi na różnych poziomach. Gdy Glenn się wyprostował, żeby osiągnąć najwyższego, zaprotestowała:

— Czy nie powinniśmy iść w dół?

— Lepiej pod górę — odparł krótko.

Zrozumiała dlaczego: w niższych tunelach wciąż była woda.

Podciągnął się do otworu i podał jej rękę, której się kurczowo uczepiła. Wywindował ją za sobą. Popęzła za nim dalej bez słowa, wiedząc tylko jedno: idąc wciąż w górę gotowi wylądować na samym szczycie wzniesienia.

— Co to? — spytała nagle. Góra zadrzała. — Trzęsienie ziemi!

Lecz nie było to trzęsienie ziemi, a coś jeszcze gorszego.

— Woda — rzekł Glenn. — Szybko!

Pochodziła z gór wznoszących się daleko na południu. Po niedawnej burzy strumienie ulewnego deszczu spłynęły wyschniętymi korytami potoków do głównego łożyska, którym przybór popędził na północ, wprost na ukryte miasto. Tu impet nurtu wepchnął go w uczynione ludzką ręką tunele, dziurawiące masyw.

— Widzę światło... — wysapał Glenn. — Wylot musi być niedaleko.

Drżenie przybrało na sile i nienaturalny ryk wypełnił tunele, jakby ścigała ich potworna bestia. Mieli uczucie, że pękną im bębunki. Wilgotność gwałtownie wzrosła; Candice gotowa byłaby przysiąc, że już brodzi w wodzie.

Rzeka zaczynała ich doganiać.

Tunel kończył się wylotem na wschodnim zboczu góry, dostatecznie szerokim, by mogli w nim stanąć. Pod nogami mieli pionowe skalne urwisko. W dole, bardzo daleko, pustynną równinę.

Ryk nasilał się. Glenn szybko ocenił sytuację. Nie daliby rady tędy zejść, musieli zatem wspiąć się wyżej. Po prawej stronie, jakiś metr od wylotu, rozpoczął się wąski skalny gzyms.

— Trzymaj się!

Zaciskając palce na skalnych występach przedostał się na półkę, strącając spod nóg drobne kamyki, i wyciągnął rękę do Candice.

— Daj mi rękę.

— Nie mogę!

— Musisz. Prędko!

Tunel dygotał jak w gorączce, hałas był ogłuszający. Stopy Candice zaczęła już opływać woda. Widok przepaści ją sparaliżował. Stała przywarta do ściany, z zaciśniętymi powiekami.

— Nie mogę!

— Nie patrz w dół. Złap mnie za rękę. No już!!! Wyciągnęła ramię, chwycił je i z wysiłkiem wciągnął ją na

półkę. W chwili gdy stanęła obok niego, z tunelu trysnął gwałtowny gejzer. Strumień wody bił poziomo w powietrze, a potem się łamał i łukiem spadał na piach u podnóża góry.

Candice kurczowo tuliła się do Glenna. Góra trzęsła się, jakby chciała ich zrzucić. Piach i drobne kamyki sypały się w dół, wąła półeczka przestała być bezpiecznym schronieniem.

Pęd wody osłabł, potem zamarł. Góra znieruchomiała, ale Candice wciąż dygotała jak liść. Kiedy wreszcie dała się namówić na otwarcie oczu, zobaczyła pokrytą kropelkami potu szyję Glenna, a tuż za nią gładką skalną taflę. Nie potrafiła zapomnieć, że za plecami ma tylko olbrzymią pustą przestrzeń.

— Wszystko w porządku? — spytał Glenn.

Pokiwała głową, nie mogąc wydobyć słowa przez zaciśnięte zęby.

— Musimy wspiąć się wyżej.

Przyjrzał się skale. Miejscami całkiem pionowa, gdzie indziej nieco nachylona, ale były w niej szczeliny i nierówności, które można było wykorzystać jako uchwyt lub stopień.

— Wejdziemy na szczyt i zejdziemy z drugiej strony — rzekł. — Teraz słuchaj uważnie: nie stawaj na palcach. Niech możliwie jak największa część stopy przylega do podłoża. Patrz, gdzie się chwytam, i wykorzystuj te same miejsca.

Żeby dosięgnąć pierwszego uchwytu, cofnął rękę, którą obejmował ją w pasie. Candice zakreśliło się w głowie, poczuła, że leci w tył.

— Trzymaj się!!! — krzyknął Glenn, podpierając ją. Uchwyciła się niewielkiego skalnego występu.

Zaczęli pełznąć w górę, cal po calu. Glenn naprowadzał ręce Candice na bezpieczne chwytaki. Oddałby w tej chwili wszystko za linę i haki.

Spojrzał na nią. Wiatr gwałtownie szarpał jej włosy. Czasem nieruchomiała i musiał ją namawiać, żeby ruszyła z miejsca. W pewnej chwili stopa ześliznęła jej się z występu; krzyknęła przeraźliwie, usiłując się go złapać. Na szczęście zdążył ją chwycić za rękę. Plecak zsunął jej się z ramienia i wylądował na mokrym piasku, daleko w dole.

— Nie rozstawiaj tak łokci! — zawołał, przekrzykując wiatr, który porywał jego słowa. — Ręce masz pod niewłaściwym kątem. Patrz, jak ja to robię, i staraj się mnie naśladować.

Ale wzrok Candice utkwiony był w dali ponad jego ramieniem. Na jej twarzy malowało się przerażenie.

— Boże...

— Co? — Odwrócił się. Zobaczył, że horyzont szybko przemieszcza się w ich kierunku.

— To burza piaskowa. Idzie prosto na nas!

Podjęli wspinaczkę. Nawałnica zbliżała się szybko, czarne chmury toczyły się z grzmiotem, rozświetlane zygzakowatymi smużkami błyskawic. Wiatr się wzmógł, grożąc, że oderwie ich od ściany. Candice gorączkowo obmacywała skałę, przestawiała nogi spuszczać w dół lawiny drobnych kamyczków.

— Nie tak nerwowo! — krzyknął Glenn. — Nie walcz z górą! Oprzyj się na niej, pozwól, żeby ci pomogła!

Candice siłą woli opanowała panikę, która gnała ją wzwyż. Zatrzymała się i całym ciężarem oparła o skałę, przyłożyła policzek do szorstkiej powierzchni wdychając przedwieczny kurz. Wiatr targnął nią raz i drugi, chcąc unieść ją ze sobą, lecz wtuliła się w górę jak w objęcia kochanka, ufna, że jej nie zawiedzie. Nagrzane słońcem skały tchnęły ciepłem, które wnikało w jej skórę, kojąc strach. Zamknęła oczy, jej oddech zwolnił. Te gigantyczne kamienne bloki, wytrawione przez wiatr i czas, zdawały się teraz starymi przyjaciółmi, silnymi i pewnymi jak wielkie dęby, które otaczały jej dom w Malibu. Dawały opiekę, nie trzeba było się ich bać. Poczwała, że zdoła iść dalej.

Dotarli do miejsca, w którym Glenn zobaczył nad sobą tylko gładką skałę pozbawioną jakichkolwiek większych rys. Nie mógł się cofnąć, bo poprzedni stopień oberwał się pod nim. Tkwili na omiatanym wiatrem licu góry, a gwałtowna burza nadciągała wprost ku nim.

I nagle usłyszał okrzyk:

— Widzę chwyt!

Candice sięgnęła wzwyż, zacisnęła dłoń na występie skalnym, podciągnęła się do góry, znalazła pewne oparcie dla stóp i podała mu rękę. Przetrawersował do niej i nagle znaleźli wspólny rytm, jakby przez całe życie wspinali się razem. Prowadzili na zmiany; Candice poruszała się teraz zupełnie inaczej, zręcznie i pewnie, z twarzą zwróconą ku niebu, jak gdyby w czerwieniejących chmurach widziała skarb, który przypadnie jej w nagrodę, jeśli pierwsza dotrze na szczyt.

Nawałnica doścignęła ich w chwili, gdy wciągali się na grań. Zahaczyła ich tylko skrajem; mocny podmuch sieknął im w twarze gęstą mżawką, a potem lekceważąc Dedanę pognał dalej, żeby pastwić się nad płaskowyżem.

Stanęli na szczycie. Słońce schodziło właśnie za ognistą kurtynę, namaszczając świat czerwienią i żółcią. Odprowadzały je czarne burzowe chmury o złoconych podbrzuszach.

Candice klapnęła bezwładnie na ziemię. Oczy miała rozszerzone, usta otwarte, twarz trupio bladą i ściągniętą.

— Już dobrze — pocieszył ją, rozumiejąc, jak się teraz czuje. Widział już ta-

kie objawy u początkujących alpinistów: ulga, że przeżyli, i osłabienie po silnym szoku. A także panika, gdy już człowiek sobie uświadomi, jak jest wysoko. Wielu po pierwszej próbie nigdy nie wracało w góry. — Weź mnie za rękę.

Ani drgnęła. > — Nic ci nie grozi — tłumaczył, przypominając sobie jej opowieść o Wielkiej Piramidzie. Zareagowała tak, jak przewidywała, tyle że tu nie było helikoptera, żeby ją ściągnąć. — Musimy zejść na dół — rzekł, biorąc ją za rękę. — Nic ci się nie stanie. Będę cię mocno trzymał.

Znaleźli wygodne zejście, wykute w skale dwa tysiące lat temu przez konstruktorów systemu wodnego Dedany.

W obozie nie zastali ani toyoty, ani wynajętych kierowców. Nie było także Iana, choć jego chlebak leżał na fotelu pontiaka. Pobiegli z powrotem do doliny we wnętrzu góry, gdzie Ian gorączkowo odwalał gruz blokujący wejście do domu Estery. Krew ciekła mu z rany na czole.

— Mój Boże! — wykrzyknął na ich widok. — Wydostaliście się!

— Co się stało?

— Nie wiem. Byłem w obozie. Któryś z tych drani zdzielił mnie w łeb i tylko tyle pamiętam. Kiedy się ocknąłem, już ich nie było. Zabrali wszystko: wodę, żywność, telefon, wasze plecaki, moje pieniądze i czek podróżny. Nawet zegarek — dodał żałośnie, unosząc na dowód rękę. — A, i jeszcze kluczyki do pontiaka. Jesteśmy uziemieni. Nie mamy nawet jak wezwać pomocy.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY.

Wbrew obawom Iana nie było aż tak źle. Plecak Candice, który miała ze sobą w domu Estery, leżał nietknięty na piasku u stóp urwiska. Plecak Glenna przepadł, ale dokumenty i pieniądze miał przy sobie, w zapinanej na zamek kieszeni spodni. Kluczyki do pontiaka również ocalały, bo wyjąwszy z bagażnika książkę Mildred Stillwater, Candice przez roztargnienie wetknęła je wraz z książką do plecaka. W bagażniku był jeszcze spory zapas wody, chleb, ser i daktyle.



— Świetnie! — ucieszył się Ian. — Mieliśmy szczęście w nieszczęściu.

Ruszyli przez pustynię w kierunku Wadi Raisa. Glenn prowadził, Candice siedziała z tyłu z przymkniętymi oczyma, wystawiając twarz na pustynny wiatr wpadający przez otwarte okno. Teraz, pozostawszy sami, czuli się jeszcze bardziej bezbronni. Mogli stanowić łatwy łup dla bandytów, dezertarów i wszelkiej maści złoczyńców ukrywających się na pustkowiu wzdłuż irackiej granicy. Niebezpieczeństwo groziło im także od zachodu: dwaj kierowcy niechybnie poinformowali swego zleceniodawcę, gdzie pozostawili pasażerów, a także o tym, że poszukiwacze znaleźli Gwiazdę Babilonu i lada moment odnajdą tabliczki.

Przed opuszczeniem Dżebel Mara przespali się jeszcze, na zmianę trzymając wartość, Ian upominał się o swój pistolet, ale Glenn stanowczo odmówił jego oddania. Noc zakłóciły dziwne, jakby psie wycia; drapieżniki upolowały gazelę i rozwłóczyły krwawe resztki stanowczo zbyt blisko obozowiska, by podróżni mogli patrzeć na to ze spokojem. Glennowi znów śniła się gwałtowna kłótnia, która miała miejsce przed dwudziestu laty, po pogrzebie matki. Jeden z mężczyzn krzychał: „Zabiję cię!”, a drugi mówił coś o krwi. Ojciec czy Philo Thibodeau?

Zerknął w lusterko, w którym odbijała się Candice. Działo się z nią coś niedobrego. Od dramatycznego epizodu na Dżebel Mara prawie się nie odzywała. Zalamana się na szczycie; możliwe, że do tej pory nie zdołała się otrząsnąć ze strachu. Bywał już świadkiem tak długotrwałego szoku. Sam go przeżył po upadku, w czasie którego widział Światłość. Zastanawiał się później, czy zdoła pokonać w sobie strach przed górami. Postanowił wziąć byka za rogi, zaatakował Górę Świętej Heleny i wspinał się na sam wierzchołek.

W miarę jak słońce dźwigało się na niebo, równina jaśniała. Przypominała teraz suche morze płowych traw sięgające aż po krańce świata.

— To tutaj — rzekł Glenn. — Jesteśmy nad Wadi Raisa.

— Ciągnie się aż po horyzont — zauważyła Candice, gdy stanęli nad wyschniętym korytem.

Ian z nachmurzoną miną mierzył wzrokiem głęboki wąwóz wcięty w wapienny płaskowyż. Efemeryczna rzeka miała źródła hen na południowym wschodzie i biegła na północ, gdzie w porach przyboru wlewała swoje wody do Eufratu.

— Baskow równie dobrze mógł zakopać tabliczki tu, jak sto mil dalej — burknął.

Pozostawiwszy pontiaka na wzniesieniu i na wszelki wypadek dokładnie go zamknąwszy, zeszli w głąb wąwozu i ruszyli piaszczystym dnem, rozglądając się uważnie.

— Czy przyszło wam na myśl — odezwał się Ian — że tabliczki mogły zniknąć z kryjówki? Chowając znalezisko, Baskow był poważnie chory. Co miałyby powstrzymać jego ludzi od tego, by natychmiast odkopać tabliczki i sprzedać je na czarnym rynku?

— W ciągu osiemdziesięciu lat ktoś by o nich usłyszał — rzekł Glenn, przypatrując się samotnemu sokołowi, który krążył wysoko nad ich głowami. — Trafiłyby do muzeum albo prywatnej kolekcji.

— To jak ich przekonał, żeby zostawili je na miejscu?

— Może uciekł się do magii i obłożył je klątwą. Albo obiecał ludziom mnóstwo pieniędzy, kiedy wróci.

— Albo ich pozabijał.

Glenn zatrzymał się i spojrzał na niego. Oczy Iana były niewidoczne za ciemnymi szklami.

— Dlaczego miałyby ich zabijać? — spytał powoli.

— Bo to najlepsza gwarancja, że tabliczki pozostaną nietknięte. No, chyba że ukrył je sam, bez pomocy, i to tak, że nie znalazłaby ich nawet mysz. — Ian przyślonił dłonią oczy i spojrzał na ciągnące się kilometrami dno wadi. — Mam przecucie, że spędzimy tu resztę naszych dni.

— Niekoniecznie — odezwała się nagle Candice, wskazując ręką dość osobliwy widok: dziesięć metrów nad ziemią od ściany urwiska odcinał się schludny rząd zardzewiałych beczek po benzynie. Na jednej z nich dał się jeszcze odczytać zblakły napis: Anglo-Persian Oil Company.

— Tak na samym początku nazywała się firma British Petroleum — stwierdził Ian. — Te blaszanki mają co najmniej osiemdziesiąt lat!

— Naprawdę myślisz, że w owych czasach udało mu się dojechać tu samochodem? — mruknął z powątpiewaniem Glenn.

Pozostawione na pastwę żywiołów blaszanki zostały wypełnione piaskiem,

który służył jako balast. Po jego usunięciu Glennowi i Ianowi udało się wywindować beczki na brzeg wadi. W jednej był otwór. Candice poświeciła tam latarką i zobaczyła metalową skrzynkę. Upewniwszy się, że w beczce nie ma żadnych kłajających lokatorów, ostrożnie sięgnęła do wewnątrz, wyjęła znalezisko i położyła je na ziemi. Była to stara skrzynka narzędziowa, której pokrywa przyrdzewiała na amen.

Glenn wyjął wojskowy nóż i zaczął podważać wieko.

— Pewnie po tych przenosinach są porozbijane w drobny mak — mruknął ponuro Ian. — Suszona na słońcu glina nie jest zbyt trwała.

Ale kiedy Glenn uniósł pokrywę, Ian zakrzyknął:

— Dobry Boże!

— Były w koszyku — zauważyła Candice, delikatnie wyjmując ze skrzynki pęk zetlałych włókien. — Estera musiała przechowywać w nim tabliczki. Dodatkowo Baskow owinał je w ubrania. Są niewiarygodnie dobrze zachowane.

Patrzyli z podziwem na prostokątne kawałki gliny zapisane przed dwoma tysiącami lat pismem kobiety, która przypłaciła to okrutną śmiercią.

Choć zgodzili się, że będą trzymać wartość na zmianę, Glenn zwlekał z przekazaniem pałeczki Ianowi. Słyszając kroki zbliżające się kamienistą ścieżką wiodącą na pagórek, z którego miał doskonały widok na zalaną światłem księżycą pustynię, niechętnie obrócił głowę i mruknął:

— Wytrzymam jeszcze godzinę.

Ale to nie był Hawthorne. Zobaczył Candice niosącą ostrożnie dwa kubki.

— Ian zrobił kawę — powiedziała podając mu jeden, po czym przysiadła obok na kamieniu, opierając łokcie na kolanach i tuląc swój kubek w dłoniach.

— Wyczytałaś coś w tych tabliczkach? — spytał.

Rosyjski teolog poprzekładał kruche gliniane tabliczki warstwami odzieży, toteż mogli ostrożnie unieść pierwszą warstwę na płócienną koszulę. Pod spodem była druga ułożona dla odmiany na białym jedwabnym szalu. Kiedy i tę wyjęto, spotkała ich niespodzianka: na dnie była jeszcze jedna warstwa, już nie tabliczek, lecz kawałków glinianych naczyń różnych kształtów i rozmiarów, zapisanych tu-

szem zwykłym semickim alfabetem. Czyżby Estera spisała dwie historie?

— Niestety — powiedziała cicho Candice bojąc się zdradzić ich obecność, choć na pustkowiu nie było widać żywej duszy — bez klucza do szyfru nie jestem ich w stanie przetłumaczyć, Ian bada te skorupy, które były pod spodem. Może rzuca trochę światła na nasze znalezisko.

Napiła się kawy, wpatrując się w ciemną bezkresną równinę.

— Jak twoje kolano?

— Kolano? Spojrzała na niego.

— Mówiłeś, że przestałeś się wspinać z powodu kontuzji kolana. Ale na Dzebel Mara świetnie sobie radziłeś.

— Ty też. Nad podziw.

Zamilkł, spodziewając się, że Candice zechce mówić o swoim lęku wysokości. Ona jednak zmieniła temat.

— Jeszcze w Los Angeles zauważyłam, że nawet na służbie nie nosisz przy sobie broni — powiedziała, wskazując pistolet, który trzymał na kolanach.

— Wolę rozmawiać, niż strzelać.

— Nie przeraża cię to, że ocierasz się o przemoc? Codziennie, pomyślał. Bez przerwy.

— Och, nie zawsze jest tak źle... — Kącik ust wygiął mu się w uśmiechu.

— Przypomniało ci się coś śmiesznego? Opowiedz! — poprosiła, popijając kawę.

Glenn też skosztował i stwierdził w duchu, że aczkolwiek Hawthorne ma pewne wady, to jednak kawę parzy wyśmienitą.

— Zanim dostałem awans, byłem zwykłym „krawężnikiem”, patrolowałem ulice. Pewnego dnia dostaliśmy z kumplem zgłoszenie, że przy Chatsworth dzikie zwierzę biega po ulicy. Co było zrobić, jedziemy. To teren rolniczy. Na środku jezdni zobaczyliśmy wielkiego kozła, który rzeczywiście miał dość groźną minę. Po długich bojach udało nam się w końcu złapać go na linkę. Ciągniemy go do

wozu, a jakiś przechodzień pyta: „To panowie nie chodźcie już z psami?”

Oboje wybuchnęli śmiechem. Potem zaległa cisza.

— Co teraz? — zapytała Candice.

Wiedział, co ma na myśli.

— Mamy to, co chce mieć Philo, a on wie, gdzie jesteśmy.

— Spojrzał w rozgwieżdżone niebo, podświadomie oczekując, że zobaczy obniżające lot śmigłowce i wyskakujących z nich uzbrojonych mężczyzn w mundurach. A potem Philona, który wysiada z kokpitu i najspokojniej wyciąga rękę po tabliczki.

Nic z tego nie rozumiał. Był prawie pewien, że zastanie tu Philona albo przynajmniej jego ludzi. Czyżby przestało mu zależeć na tabliczkach?

— Może spodziewa się, że zawieziemy je do Damaszku

— poddała Candice.

Istniała taka możliwość, toteż nie upierał się już, żeby oddać znalezisko Syryjczykom. Od początku nie miał racji. Jak słusznie zauważyła Candice, bogactwo Philona otwierało drzwi sejfów i usypiało wzrok strażników. Nie mógł dopuścić, by relacja Estery wpadła w jego ręce.

I nie tylko ona.

Wciąż widoczna na szyi Candice szrama pozwoliła mu w końcu zrozumieć coś, czego nie rozumiał wcześniej. Facet w hawajskiej koszuli nie zabił jej w Los Angeles, bo zakazał mu tego Philo. Potrzebował Candice, jej archeologicznego nosa, żeby znalazła tabliczki. Teraz, gdy zostały odnalezione, Candice przestała być potrzebna. Można ją już było sprzątnąć.

Miał więc pod opieką dwa cenne i delikatne skarby.

Pociągnął łyk gorącej mocnej kawy. Jego niepokój narastał. Coś tu nie grało. Analizując w pamięci ostatnie czterdzieści osiem godzin uświadomił sobie, że zbyt łatwo wydostali się z Palmyry. Czy Philo zastawił pułapkę?

— Glenn... — odezwała się Candice. — To tajne stowarzyszenie, do którego

należeli twoi rodzice... Czy zdołałeś ustalić, czym się zajmowało?

Glenn wziął ze sobą na warte oprawny w szmaragdowy jedwab dziennik matki. Czytał go, dopóki było dostatecznie jasno.

— Z tego, co tu wyczytałem, wynika, że to jakaś organizacja religijna. Poza tym trudno mi cokolwiek powiedzieć.

— Mówiłeś, że matka nie była religijna.

— Bo nie była. Przynajmniej nie w tradycyjnym sensie. Rodzice nigdy nie chodzili do kościoła. Nie nauczyli mnie nawet pacierza.

Zapalił latarkę, otworzył dziennik i podał go Candice. Odłożywszy pusty kubek na ziemię, oparła tomik na kolanach i zaczęła czytać:

Śmierć nie istnieje. W naszych ciałach pulsuje ta sama energia, która budowała światy, a pierwsze prawo termodynamiki świadczy, że energii tej nie można stworzyć ani unicestwić. Jej kwantum we wszechświecie jest stałe. Osławione równanie Einsteina:  $E=mc^2$  dowodzi, że energia i materia są wzajemnie wymienne, to również daje podstawę do twierdzenia, że ich łączna ilość we wszechświecie się nie zmienia. Co się dzieje z energią tych, którzy żyli ongiś? Nie mogła zniknąć, musi więc gdzieś być...

Glenn dopił kawę przyglądając się Candice. Czytając, mimowolnie muskała końcem palca swoją kameę. Powiódł wzrokiem wzdłuż różowej wstążki związanej na karku na kokardę — zauważył to dopiero teraz, gdy miała upięte wysoko włosy. Wyglądało to subtelnie, staroświecko, kobieco...

Candice zagryzła dolną wargę. Nagle przyszło mu do głowy, że chętnie by ją pocałował.

Zerwał się, wetknął pistolet za pasek.

— Lepiej się prześpij. Na pewno jesteś zmęczona.

— Jestem — powiedziała z nutką zdziwienia w głosie. Spodziewała się, że mocna kawa ją orzeźwi. — Ty pewnie też.

Poczuł, że ciężą mu powieki. Stłumił ziewnięcie. Musi być przytomny, nie wolno mu zasnąć, musi obmyślić dalszą strategię, jak użyć tabliczek jako przynęty, jak złapać Philona...

Kierowcy zostawili w pontiaku dwa śpiwory. Jeden zajęła Candice, układając się przy ognisku w miejscu osłoniętym przez głązy. Kiedy Ian przyszedł zluźnić Glenna, ten nie opierał się, tylko zabrał pistolet ze sobą i rozwinął drugi śpiwór po przeciwnej stronie ogniska.

W nocy ocknął się nagle. Było zimno, pustynia drzemała w mroku i ciszy. Zobaczył sylwetkę Iana na wzniesieniu, wpatzonego w mrok. Wyplątał się z ciepłego śpiwora i walcząc z sennością podkradł się do pontiaka. Wewnątrz, na przednim siedzeniu, leżała metalowa skrzynka z testamentem Estery. Kluczyk wciąż tkwił w stacyjce.

Obejrzał się przez ramię na śpiącą Candice. Wpadł mu do głowy tylko jeden sposób, by ochronić i ją, i tabliczki.

Philo czuł przez skórę, że będą kłopoty, nim jeszcze wstał, by wygłosić mowę.

Na tyłach sali bankietowej awanturował się Ygael Pomeranz. Dwóch ludzi Philona bezskutecznie próbowało go uspokoić. Musiał interweniować osobiście, dlatego skrócił przemówienie do minimum.

W sali zgromadziło się pięćset osób, wśród których aleksandryjczyków było ledwie kilku. W skupieniu słuchali słów człowieka, któremu przed chwilą wręczono najbardziej prestiżową nagrodę stanu Teksas za działalność humanitarną. Zapłacili po tysiąc dolarów za zaproszenie, by móc oddychać tym samym powietrzem co powszechnie podziwiany filantrop Thibodeau, który właśnie ufundował nowe skrzydło dla szpitala Świętego Judy. Nagradzając gorącą owacją jego krótkie i tchnące skromnością przemówienie, kobiety w wieczorowych sukniach i mężczyźni we frakach nie widzieli starszego pana, który szarpał się z ochroną przy wejściu.

Philo skłonił się lekko oklaskującym go z podwyższenia politykom i członkom rady nadzorczej szpitala, zszedł z mównicy i przeprosił na chwilę, gestem dając znak ochronie, by wprowadziła Ygaela do pokoju obok.

— Jedną ręką dajesz pieniądze na szpitalu, a drugą kradniesz święte księgi! Zaiste jesteś grobem pobielanym, Philo!

Rossi postąpił krok w jego stronę.

— W porządku — rzekł szybko Philo. — Zostaw nas samych. Drogi Ygaelu, czymże zasłużyłem sobie na te słowa?

Ygael Pomeranz miał na sobie jarmułkę i tałas pod czarnym płaszczem. Ten sześćdziesięcioośmioletni mężczyzna był wybitnym kabalistą i mistykiem, byłby też słynnym rabinem, gdyby wierzył w Boga.

— Wiem, co wyprawiasz, Philo. I nawet mnie nie pytaj, skąd to wiem.

— Nie miałem zamiaru — odparł Philo chłodno.

— Nabywasz książki dla siebie, ale jak! Przez kradzież! Zadajesz się z przemytnikami i rabusiami grobów. Stosujesz wymuszenia i szantaż. I to od lat! — Posepna twarz Żyda spochmurniała jeszcze bardziej. — To doprawdy niegodne ciebie, Philo.

Ygael wywodził się od żyjącego w szóstym wieku talmudysty, co czyniło go poważanym i wpływowym członkiem bractwa, człowiekiem, z którego zdaniem liczyli się inni. Pomimo to Philo zbytnio się nie przejął. Ygael wiedział sporo, ale nie słyszał o bombach, tego mógł być pewien.

— I zamierzasz poinformować o tym pozostałych?

— Owszem, jutro po weselu mojej córki. To bezprecedensowy skandal! W całej historii bractwa nigdy nie wydarzyło się coś takiego. Nie możemy cię wykluczyć, Philo, ale odtąd będziemy ci się pilnie przyglądać. A skradzione skarby trzeba natychmiast zwrócić prawowitym właścicielom.

— I ujawnić nasze istnienie?

— Zrobi się to dyskretnie. Francois d'Orleans ...

— Mówiłeś mu już?

— Porozmawiam z nim jutro. Najpierw pobłogosławię córkę i jej męża.

Wstał spokojnie i obszedł stół dokoła.

— Jestem głęboko zaniepokojony, przyjacielu. Dotarły do ciebie fałszywe lub przesadzone plotki. Ale tym, co mnie martwi, nie jest ich wpływ na moją reputację. Mam wrogów, nie wstydzę się do tego przyznać, któryż bogaty człowiek ich nie ma? Najbardziej rani moje serce fakt, że ty, stary przyjacielu, dajesz wiarę tym plotkom.

Philo położył dłonie na ramionach starca i spojrzał mu w oczy.



— Ygaelu, przede wszystkim jesteś moim bratem. Wolałbym dać odciąć sobie rękę, niż cię skrzywdzić, a przecież skrzywdziłbym i ciebie, okradając bractwo. Pogłoski, które do ciebie dotarły, na pewno dadzą się jakoś wytłumaczyć. Zależy mi tylko na twoim spokoju ducha, czy mi wierzysz?

Ygael został uwieczony przenikliwym spojrzeniem Philona, jego sugestywnym głosem, jego magnetyzmem.

— Nie mogłem uwierzyć własnym uszom... — Teraz jego głos nie brzmiał już tak pewnie. — Powiedziałem: „Nie, Philo by się do czegoś takiego nie zniżył”. Ale pokazano mi dowody, Philo, dowody!

Philo przymknął oczy, jego głos opadł do szeptu:

— Wyhodowaliśmy zmije na własnym łonie, drogi bracie. Atakowano nas od siedemnastu stuleci. Czyż nasi pradziadowie nie musieli ratować życia, gdy płonąła wielka Biblioteka? Wówczas także rzucono na nich oszczerstwa i ohydne potwarze. I dziś musimy mieć się na baczności.

Żrenice Ygaela rozszerzyły się i załśniła w nich łza, gdy wspomniał, jak jego zacnego przodka torturowano w Jerozolimie. Tak, aleksandryjczycy od wieków mieli wrogów i musieli być czujni.

— Chwalmy imię Boże — rzekł cicho Philo zaciskając palce na ramieniu Ygaela. Starzec poczuł ciepło przenikające ubranie, skórę i mięśnie i rozlewające mu się w żyłach. Znow był całkowicie pod urokiem Philona.

— Niech będzie pochwalone — odszepnął.

Uścisnęli się i Ygael poprosił o wybaczenie. Kiedy wyszedł, Philo wrócił do sali bankietowej. Zebrani goście znow powitali go owacją na stojąco.

Nazajutrz Ygael Pomeranz padł martwy w tańcu na weselu swojej córki. Dla weselników był to szok, ponieważ Ygael cieszył się doskonałym zdrowiem. Koroner orzekł atak serca i nie wszczynał dalszego śledztwa. Gdyby nawet to zrobił, analiza krwi i tak by nie wykryła trucizny, jaką przyprawiono w lampce Ygaela szampana Tattinger Brut Rose, rocznik 1993, w cenie trzystu dolarów za butelkę.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY.

Obudził ją aromat parzącej się kawy i nieubłagany skwar lejący się z nieba. Candice przetarła oczy i zamrugała. Słońce było już wysoko. Spała tak długo? Dlaczego Ian i Glenn jej nie obudzili? Czuła się otumaniona, nie wypoczęta. Mocna kawa powinna postawić ją na nogi.

Kiedy jednak wypełzła ze śpiwora i chwiejnie dźwignęła się na nogi, zobaczyła, że ognisko dawno już wygasło. Zapach kawy był tworem jej wyobraźni.

Zmarszczyła brwi i ponownie przetarła oczy, osłaniając je przed kłującym wiatrem. A gdzie samochód? Rozejrzała się za Glennem i Ianem, wołając ich sennym jeszcze głosem, lecz choć pusty płaskowyż ciągnął się aż po horyzont, nigdzie nie było ich widać. Jedynie na południu zobaczyła tuman kurzu. Wojskowy dżip zmierzał wprost ku obozowisku.

201

Kiedy Jessica Randolph miała piętnaście lat, ojciec zamknął ją w komórce zapowiadając, że nie wyjdzie, dopóki nie odnajdzie Boga. Po czterech dniach bez jedzenia i picia zaczęła majaczyć; Bóg jawił jej się w postaci ojca. To go zadowoliło.

Nazywała się wtedy Ruby Frobisher i była biedną dziewczyną ze slumsów, z którą chłopcy robili, co chcieli, bo wierzyła w ich obietnice. Kiedy mając szesnaście lat i grzbiet ciągle siny od ojcowskiego pasa uciekła z domu, przysięgła sobie, że już nigdy nie pozwoli żadnemu mężczyźnie się do siebie zbliżyć.

Przez kilka lat borykała się z nędzą, nim zmodyfikowała nieco swe postanowienie; doszła bowiem do wniosku, że mężczyźni — bogaci i wpływowi mężczyźni — mogą się jednak przydać. Posłużą jako stopnie w jej wspinaczce na szczyty. Nieco tylko inny był powód krótkiego romansu, jaki ucieła sobie z Ianem Hawthorne'em. Imponował jej lordowski tytuł i błękitna krew płynąca w jego żyłach. Szybko wszakże zdała sobie sprawę, że Ian dąży wprost ku samozagładzie.

Philo Thibodeau był zupełnie inny.

Przyczyną, dla której zapragnęła go zdobyć, nie był jego wielki majątek, powiązania z rządem, wpływy w gospodarce i finansach kraju. Pociągała ją emanująca zeń moc, charyzma, rzadko spotykana nawet pośród ludzi na wysokich stanowiskach. Taką właśnie magnetyczną mocą ducha dysponował Jebediah Frobisher, jej ojciec. Uwolniwszy się z jego orbity, prędko wpadła w sferę przyciągania Philona. Powtarzała sobie, że czyni to z własnej woli, ponieważ chce mieć udział w jego potędze. Udało jej się przekonać siebie samą, że prócz siwych włosów obdarty, gburowaty kaznodzieja z Kentucky i budzący podziw swymi manierami milioner z Teksasu nie mają ze sobą nic wspólnego.

Gdy utrzymywała się z oszustw i wyłudzeń, stopniowo dochodząc do coraz większej wprawy i coraz wyższych zysków, perfekcyjnie opanowała wiedzę o mowie ciała. Obserwując wyraz twarzy rozmówcy, ton jego głosu, potrafiła niemal czytać mu w myślach i dar ten mówił jej teraz, że Philo coś zamierza. Oczy mu płonęły, ciało zdawało się napięte do ostateczności. Wyglądał jak finansowy baron planujący przejęcie potężnego segmentu rynku. Tak samo zachowywał się ojciec Jessiki, kiedy oczekiwał Drugiego Przyjścia Chrystusa i codziennie otwierając drzwi spodziewał się ujrzeć w nich Pana.

Ale co konkretnie planował Philo i jego tajne stowarzyszenie, tego nie umiała dociec. Przeprowadziła dyskretne rozpoznanie wśród marszandów — większość z nich znała osobiście. Lista nabytków Philona wprawiała ją w konsternację.

Były wśród nich przepowiednie Indian Hopi, najstarsza wersja „Słów czarnego łosia”, tajne kazania Paramahansy Yoganandy... Przypowieści Jana VII, przelane na pergamin jego własną ręką... Dwunastowieczna księga objawień pióra Hildegardy z Bingen... Prywatna kolekcja pism Tomasza Mertona.

Rzeczy, o których nie wiedziała, że istnieją. I wszystkie co do jednej dotyczące spraw wiary.

Jessica uznała, że czas wprowadzić w życie plan „B”. Dlatego znajdowała się teraz u stóp twierdzy wspomnianej w liście Rajmunda z Tuluzy.

W wiosce ostrzegano ją, żeby nie zapuszczała się w pobliże zamku. Czai się w nim zło, mówiono; mnisi czczą Szatana. Ciekawe, dlaczego miałyby to ją odstraszyć, pomyślała; ostatecznie cały świat oddaje cześć diabłu. Podobno na drodze była zaporą. I co z tego? Wszystkie zapory da się jakoś ominąć. I strażnicy. To martwiło ją najmniej; miała ukrytą przy sobie broń, o czym pirenejscy wieśniacy nie mogli wiedzieć.

Błękitne lamborghini pięło się pod górę; opony piszczały na ostrych zakrętach serpentyny prowadzącej ku wyniosłej przełęczy. Chłodny wiatr rozwiewał rude włosy Jessiki. Dębowe lasy i brzozowe zagajniki zostawały w tyle, droga wiodła coraz wyżej ku szczytom, coraz dalej od cywilizacji. W końcu Jessica dostrzegła wieże sędziwej fortecy wtulonej pomiędzy otaczające ją wierzchołki. Uśmiechnęła się z zadowoleniem.

Wkrótce pozna sekret Philona Thibodeau.

Na widok dżipa Glenn ruszył biegiem. Candice została sama w obozie!

Poobijany wojskowy samochód z dużą prędkością gnał przez piaski, ślizgając się przy każdym skręcie kierownicy. Siedziało w nim trzech mężczyzn w mundurach, uzbrojonych i wyraźnie gotowych na wszystko. Ich trasa wiodła wprost na obóz; nie było mowy, żeby go nie dostrzegli.

Wdrapał się na głazy i przywarł do ziemi. Gdzie jest Candice?

Dżip zahamował wznosząc tuman kurzu, który na chwilę go oślepił. Mężczyźni rozmawiali po arabsku.

Jeden z nich kopnięciem rozrzucił wygasłe ognisko. Rozglądali się bacznie, mrużąc oczy pod słońce. Glenn usłyszał podniecone głosy, triumfalne okrzyki. Coś znaleźli. Boże, tylko nie ją! Wspiał się wyżej, równocześnie sięgając po pistolet, lecz broni za paskiem nie było.

Chwilę później zobaczył, czym się tak ekscytują. Znaleźli w piasku jego pistolet, musiał go zgubić. Ale gdzie się podziały śpiwory?

Wtedy zobaczył Candice wciśniętą pomiędzy głazy. Zaciągnęła tam swój plecak i oba śpiwory. Żołnierze krążyli po obozowisku szukając dalszych skarbów. Wiatr unosił włosy Candice, powiewały jak flaga. Lada moment ktoś ją zauważy.

Glenn zaczął się pocić. Musi zejść, odciągnąć ich od jej kryjówki. Wątpił, by jego amerykańska odznaka policyjna mogła ich onieśmielić. Cal po calu przesunął się na wierzchołek głazu, nie spuszczać wzroku z będącego najbliżej dowódcy patrolu. Niechcący trącił dłonią kamyk, który spadł na piasek. Glenn wstrzymał oddech. Candice spojrzała w górę i zobaczyła go. Była bardzo blada. Gestem nakazał jej, by nie ruszała się z kryjówki.

Wiatr nagle ucichł i zapadła cisza. Zrobiło się gorąco, pot ściekał po twarzy

Glenna strumykami. Syryjczyk był już prawie przy Candice. Jeśli się odwróci, zobaczy ją.

Glenn podniósł się i zanim tamten zdołał zarejestrować szmer, skoczył z głazu, swoim ciężarem zbijając tamtego z nóg. Potoczyli się po piasku, wrywając sobie broń. Pięść Glenna wystrzeliła w przód i trafiła żołnierza w szczękę. Rozległ się chrzęst, mężczyzna zwiotczał i znieruchomiał. Glenn nie zdążył się już podnieść. Pozostali dwaj rzucili się na niego, zwlekli go z nieprzytomnego towarzysza, pchnęli pod skałę i zaczęli okładać. W tejże chwili rozległ się kolejny trzask; to jeden z żołnierzy krzyknął głośno, złapał się za głowę, zrobił chwiejny krok i osunął się na ziemię.

Trzeci odwrócił się gwałtownie, lecz za późno, by uchylić się przed kolbą karabinu, którą Candice wyrznęła go w twarz tak mocno, że stracił kontakt z podłożem, zanim upadł.

— Nic ci nie zrobili? — zawołała, biegnąc do Glenna.

Przyciągnął ją do siebie i mocno pocałował. Upuściła karabin, zarzuciła mu ręce na szyję i przywarła do niego rozpaczliwie, bez tchu.

— Myślałam, że mnie zostawiłeś! — rozszlochała się głośno.

Ujął jej twarz w dłonie, zanurzając palce we włosach i pragnąc, by ta chwila trwała wiecznie.

— Jak mógłbym cię zostawić! Tropiłem ślady opon. Ian zwiął. Zabrał tabliczki.

— Och, nie!

Jeden z żołnierzy odzyskał przytomność i jęcząc sięgnął po karabin. Glenn kopnięciem usunął broń poza jego zasięg, złapał śpiwory, wrzucił je do dzipa i chwycił Candice za ramię

— Prędko!

Włączył stacyjkę i wcisnął gaz do dechy. Nim zdążyli się dostatecznie oddalić, Arab doczołgał się do karabinu i wycelował. Kula z brzękiem rykoszetowała na drzwiach samochodu. Glenn prowadził zygzakiem, wzniecając tumany pyłu. Kolejna kula bzyknęła im koło uszu, ale w końcu, podskakując na kamieniach i krza-

kach, odsadzili się na bezpieczną odległość. Glenn jednak nie zwolnił. Żołnierze mogli wchodzić w skład większego oddziału, a wołał nie natknąć się na ich kolegów.

— Nie mogłem zrozumieć, dlaczego Philo nie próbował odebrać nam tabliczek! — zawołał przekrzykując ryk silnika. — Ostatniej nocy, we śnie, przyszło mi na myśl, że Ian jest jego szpiegiem. Wyjąłem więc kluczyki z pontiaka i schowałem do kurtki, którą miałem pod głową. Byłem pewien, że nikomu nie uda się ich wydostać nie budząc mnie. Niestety, byłem w błędzie. Zasnąłem, a kiedy się obudziłem, Iana już nie było.

— Dlaczego się nie obudziłeś?

— Ten sukinsyn nas uśpił.

— Co? — Candice raptem przypomniała sobie wczorajszą kawę.

Dżip uderzył w duży kamień, wyrzuciło ich w powietrze i ze stękiem opadli z powrotem na fotele.

— Dokąd jedziemy? — krzyknęła.

— Ślady prowadziły na północ. Miejmy nadzieję, że złapiemy Iana, zanim ktoś inny złapie nas!

Będzie miała nad nim władzę. Jeśli zagrozi mu, że ujawni jego tajne stowarzyszenie, będzie musiał przyjąć jej warunki.

Jessica zaśmiała się, wiatr porwał śmiech z jej otwartych ust. Niebieski sportowy samochód mknął pod górę błyszcząc w słońcu jak szafir. Wieśniacy twierdzili, że nic nie zdoła skłonić mnichów do otwarcia bramy. Nikomu się to dotąd nie udało.

Plan Jessiki był prosty, lecz niezawodny. Strach otwiera wiele bram, a ona wiedziała, czego mężczyźni boją się najbardziej.

Kiedy ujrzała strome dachy pokryte czerwoną dachówką, łukowate okna i okrągłe wieże romańskiego zamku, przypomniały jej się bajki czytane w dzieciństwie, w których dzielni rycerze ratowali księżniczki z paszcz smoków. Długo i bezskutecznie śniła o tym, by piękny i silny rycerz przyszedł jej na ratunek. W końcu złożyła sobie obietnicę, że sama będzie dostatecznie silna, by obronić się

przed złem. Jej dziecinne marzenie jednak się spełniło. Philo Thibodeau nie był co prawda piękny i nie nosił lśniącej zbroi, ale ją ocalił.

Zwolniła.

Tu, jeśli wierzyć Rajmundowi z Tuluzy, w starym zamku zbudowanym przez krzyżowców, miał swą siedzibę zakon zwany Rycerzami Płomienia. Mnisi osiedli w nim przed dziewięciuset laty i co było najbardziej fascynujące, wciąż tu żyli.

Podjechała pod bramę i dyskretnie sprawdziła, czy pistolet umocowany pod spódnicą się nie wysunie.

— Halo? Czy mógłby mi pan pomóc? — zawołała swoją doskonałą francuszczyzną. — Zgubiłam się. Jadę do Boncourt.

Furtian siedział w budce wartowniczej, która wyglądała na dwieście lat, ale wyposażona była w terminal komputerowy i mnóstwo elektronicznego sprzętu. Kiedy mnich wyszedł z budki, zaskoczył ją jego wygląd. Miał na sobie długi biały habit ze szkaplerzem, na nogach sandały, długie włosy i brodę, a na piersi dziwny złoto-czerwony emblemat, przypominający wieniec języków ognia. Taki sam jak na pierścieniu Philona.

— Przykro mi, madame — powiedział. — Musi pani zawrócić.

Jessica wysiadła z samochodu.

— Jechałam do Boncourt, ale chyba źle skręciłam. Czy mogłabym skorzystać z telefonu?

Obrzucił spojrzeniem jej sylwetkę i nagle zeszywniał, stał się czujny. Stary jak ludzkość lęk przed tajemnicą narodzin działał bez wyjątku na każdego mężczyznę. W obecności ciężarnej kobiety tracili rezon.

— Bardzo mi przykro — wybąkał. — Musi pani wrócić tą samą drogą.

Podeszła bliżej i jego niepokój wzrósł. W swoim czasie Jessica nabrała wielu ludzi na numer z brzuchem.

Miała do perfekcji wyćwiczony charakterystyczny kolebiący się krok, gesty rąk odruchowo osłaniających dziecko.

— Czy mają tu państwo telefon?

— Nie, nie! — Uniósł ręce. — To klasztor, tu nie ma telefonu. Proszę zawrócić.

— Och! — wykrzyknęła.

— Co się stało?

— Mam bóle! To za wcześnie! Pomocy! Na jego twarzy odbiła się zgroza.

— Nie może pani tu wejść!

Jessica przycisnęła rękę do brzucha, zgniatając przygotowany woreczek z wodą, która pociekła jej po nogach.

— Ja rodzę! — krzyknęła histerycznie.

Furtian spiesznie zadzwonił po pomoc i chwilę później nadbiegli inni mnisi w białych szatach. Położyli ją na staroświeckich noszach i prawie biegiem ponieśli przez pochyły dziedziniec do budynku. Jej krzyk zwabił do okien zaskoczone twarze.

Niesiono ją kamiennymi korytarzami, pod łukami nadproży, otwierano przed nią ciężkie drewniane drzwi, które strzegły ciszy. Pomieszczenia wyglądały, jakby rzadko ich używano. Mieszkało tu niewielu mnichów. Czyżby tajemniczy zakon już wymierał? Chyba że klasztor był przykrywką dla zupełnie innej działalności. Co dziwne, nie było tu krzyży. Mnisi nie nosili różańców. W całym zamku trudno się było doszukać jakichkolwiek symboli chrześcijaństwa.

Położyli ją w infirmerii, na pryczy zaścielonej czystą, pachnącą krochmalem pościelą. Jessica miała wrażenie, że przeniosła się w czasie: nagie kamienne ściany, stary drewniany kredens, butle i słoje jakby wprost ze średniowiecznej apteki. Zacisnęła wilgotne palce na dłoni felczera i zobaczyła odrazę w jego oczach. Rzucił się do umywalki, zdarł z palca złoty pierścień i zaczął skrupulatnie szorować ręce. Potem wyszedł zadzwonić po śmigłowiec, który przewiezie ją do najbliższego szpitala.

Kiedy wrócił, prycza była pusta; leżała na niej tylko poduszka, której z pewnością wcześniej tu nie było. Kobieta zniknęła, a wraz z nią jego pierścień.

— Dlaczego stanęliśmy?

Glenn wyrznął pięścią w kierownicę.



— Paliwo się skończyło. Dalej musimy iść pieszo.

Znajdowali się w samym środku wielkiej pustki, zamieszkaney tylko przez słońce, wiatr i schowane w piasku węże. I co gorsza, wojskowe patrole. Bez słowa wyjęli z samochodu śpiwory i plecak. Pozostała w nim już tylko jedna butelka wody. Jedzenie dawno się skończyło.

W milczeniu ruszyli przez pustynię kierując się na północ.

Błękitne lamborghini pruło w dół krętą górską drogą; rude włosy Jessiki powiewały na wietrze jak bojowy sztandar. Wciąż kręciło jej się w głowie po dokonanym w zamku odkryciu.

Wymknąwszy się z infirmerii, zwiedziła szereg korytarzy i pomieszczeń. W każdym znalazła to samo: książki. Zwoje, manuskrypty i inkunabuły, także listy. Wiedząc, że mnisi będą jej szukać, nie nachylała się nad każdym wyeksponowanym tekstem. Jeden wystarczył.

Zatkało ją tak, że omal nie dała się przyłapać, zastygła jak słup soli nad zabezpieczonym pomiędzy dwiema taflami szkła papirusem. Dołączony był do niego napisany na maszynie angielski i francuski przekład aramejskiego oryginału. Nagłówek brzmiał: Zaginione zakończenie Ewangelii według świętego Marka.

Ocknąwszy się, biegiem wypadła z klasztoru, wskoczyła do samochodu i ruszyła z piskiem opon na łeb, na szyję, zanim mnisi zdolali ją dogonić. Mijała drzewa, pasące się kozy i wiejskie chaty, ale przed oczyma miała tylko wypisany na maszynie tekst, jakby ktoś rozpalonym żelazem odcisnął go w jej mózgu: Badania C14, w podczerwieni, ultrafiolecie i analiza grafologiczna potwierdzają przypuszczalną datę +/- 40 r. n.e.

Nigdy nie słyszała o tym dokumencie. Najstarszy znany fragment Ewangelii był pięćdziesiąt lat młodszy. Ten spisano zaledwie dziesięć lat po Ukrzyżowaniu!

Czuła dreszcz grozy, a równocześnie miała ochotę krzyczeć z podniecenia. Teraz już wiedziała, co planuje Philo — ni mniej, ni więcej, tylko globalną dyktaturę. Nieznane zakończenie ewangelii Marka, jeśli jest autentyczne, rzuci Kościół katolicki na kolana. A to będzie dopiero początek...

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI.

Brnęli przez księżycowy krajobraz, gdzie iglice żółtawych skał sterczały z żółtego piasku pod skalanym tą samą barwą niebem, które wyglądało, jakby nigdy już nie miało odzyskać dawnego błękitu.

— Niczego nie podejrzewałam! — rozpaczała Candice popijając mały łyk z manierki. — Łudziłam się, że dostatecznie znam Iana.

— Skąd mogłaś wiedzieć?

— To nie kierowcy zawalili wejście, prawda? — Spojrzała na Glenna. — To Ian.

— Najprawdopodobniej im zapłacił, a potem odesłał ich do Palmyry.

— Żeby mógł sprzedać tabliczki Philonowi — dodała cierpko, rozgoryczona zdradą człowieka, którego uważała za kolegę. Wzdrygnęła się, słysząc upiorny świst pustynnego wiatru. Lenora Masters pisała w swym dzienniku: Philo mnie przeraża. Widzę u niego objawy narastającej manii. A profesor ostrzegał: Nie pozwól, by zawałdnął Gwiazdą Babilonu. Użyj jej, by czynić zło. I to zło największe... Zaszifrowany tekst tabliczek miał drugorzędne znaczenie. Istotne było to, że Philo w swym obłędzie uważał je za konieczne do urzeczywistnienia jego chorego planu. A plan ów zakładał... co? Zniszczenie kuli ziemskiej?

Glenn patrzył, jak Candice zaciska usta. Z napięciem wpatrywała się w odległą dal pustej jałowej równiny. Bała się.

A potem przypomniał sobie pocałunek, jej ciało przyciśnięte do jego ciała...

Poprawiając zarzucone na ramię śpiwory, odezwał się lekko:

— Pora na kolejną policyjną anegdotkę. Niejaki Sammy Blanco był podejrzany o napad z bronią w ręku. Byliśmy prawie na sto procent pewni, że jest winny, ale on twierdził, że w tym czasie był w kinie. Urządziliśmy więc konfrontację w nadziei, że rozpoznają go świadkowie. Wiesz, jak to wygląda, prawda? Zawsze jest kilku ludzi do wyboru. Kiedy więc instruowałem ich, że mają po kolei występować do przodu i mówić: „Dawaj forszę, bo dostaniesz kulę w łeb!”, biedny Sammy nie wytrzymał i zawołał z oburzeniem: „Nie mówiłem takich głupot!”

Candice wybuchnęła serdecznym śmiechem.

— No dobrze — rzekł Glenn przyglądając jej się spod oka. — Teraz twoja ko-

lej. Chętnie usłyszę jakiś dowcip archeologiczny.

— Archeolodzy to bardzo poważni ludzie i rzadko mają poczucie humoru. Chociaż... czekaj, właśnie mi się coś przypomniało. To prawdziwa historia, choć niechętnie się do niej przyznaję. W czasie studiów pracowałam na wykopaliskach w Gizie. Odślanialiśmy wioskę budowniczych wielkiej piramidy Cheopsa. Pomiedzy szczątkami ceramiki znalazłam jakiś dziwny przedmiot, niewielki, o niespotykanym kształcie i zabarwieniu. Nie umiałam dociec, do czego mógł służyć. Nosiłam go przy sobie przez kilka dni w nadziei, że nagle mnie oświeci i zaimponuje szefowi wykopalisk. Ponieważ jednak nic mądrego nie przyszło mi do głowy, w końcu poszłam do szefa i z dumą pokazałam mu niezwykle znalezisko, przyznając, iż nie wiem, co to jest. Miałam w duchu nadzieję, że muzea świata będą się o to bić! Szef obejrzał mój skarb, oddał mi go i mówi: „To, moje dziecko, jest skamieniała psia kupa”.

Cienie się wydłużyły, słońce zapadło za widnokrąg i wkrótce na pustynię zakradła się noc. Prawie natychmiast zrobiło się zimno, lecz nie było z czego rozpałić ogniska. Zgodzili się, że nie będą zatrzymywać się na nocleg. Postój jeszcze powiększy przewagę Iana. Narzucili śpiwory na plecy i poszli dalej.

Candice rozpamiętywała namiętny pocałunek Glenna. Zaskoczył ją, gdy gwałtownie przyciągnął ją do siebie i wpił się ustami w jej usta. Czy znaczyło to, że...

Glenn spoglądał na księżycowy krąg mieniący się tysiącem odcieni bieli i kości słoniowej na cętkowanym gwiazdami ciemnofioletowym tle pustynnej nocy. Żałował, że nie ma przy sobie farb. Spojrzał na Candice. Z profilu jej blada twarz wyglądała jak kamea. Cóż to byłby za obraz!

## OGÓLNOŚWIATOWA POGOŃ ZA ŚWIĘTYMI TEKSTAMI TYBETAŃSKIEGO BUDDYZMU.

Ten wydrukowany wielkimi literami nagłówek w „Los Angeles Times” bynajmniej nie ucieszył Philona Thibodeau. Dowiedziawszy się o brakujących księgach, już był na ich tropie, kiedy wścibski reporter rozdmuchał całą sprawę. Teraz gotów ich szukać każdy amator.

Dlatego też Philo zmienił strategię i siedział teraz w kabinie śmigłowca kołyszącego się nad zboczami Himalajów. Pod brzuchem śmigłowca przesuwały się tarasowe ogrody, mniejsze wierzchołki, łąty śniegu, aż wreszcie wylądował na dziedzińcu buddyjskiego klasztoru położonego trzy i pół tysiąca metrów nad po-

ziomem morza. Roztaczający się stąd widok na okryty śniegiem masyw Everestu zapierał wprost dech. Drewniane budynki pomalowane były w jaskrawe podstawowe barwy przemieszane z kolorami ziemi, jak zwykle w Himalajach. Wyróżniały je charakterystyczne flagi modlitewne. Ta pustelnia ustrzegła się jeszcze najazdu zagranicznych turystów, toteż pobierający tu dopiero naukę chłopcy w kasztanowatej barwy szatach pożerali oczyma lądujący śmigłowiec.

Kiedy śmigło przestało się kręcić, na dziedziniec wyszła otulona w szynszyle Jessica. Jej rude włosy tańczyły na wietrze. Ocieśniła ręką oczy przed słońcem, patrząc, jak Philo zeskakuje na kamienne płyty. To było coś nowego. Philo nigdy dotąd nie mieszał się do jej transakcji.

— Lama nie chce się rozstać z księgą — powiedziała, kiedy do niej podszedł.

— Sam z nim porozmawiam. Weź mój helikopter, ja wrócę drugim. I zrób coś w sprawie listu Rajmunda z Tuluzy. Muszę go mieć.

Wsiadając do śmigłowca obejrzała się jeszcze. Philo kroczył przez dziedziniec w obstawie swych nieodłącznych towarzyszy. Zaniepokoił ją jego ton. Czyżby wiedział, że już ma ten list? Zganiła się w duchu za paranoiczne domysły.

Kiedy helikopter poniósł ją w dolinę, Philo dał znak załodze drugiego śmigłowca. Zaczęli wyladowywać skrzynie opatrzone nalepkami: „żywność” i „leki”.

Lama nosił tytuł rinpocze, co znaczy „drogocenny”. Określa się tak ludzi, którzy poprzez naukę i praktyki duchowe osiągnęli wysoki stopień świadomości. Będąc naczyniem dharmy, ten rinpocze był ponadto tulku, inkarnacją istoty zaawansowanej na drodze do doskonałości, która praktykowała miłosierdzie i wyrzeczenie się siebie przez wiele kolejnych wcieleń. W tradycyjny sposób należało go powitać trzykrotnie bijąc przed nim czołem o ziemię. Philo podał mu rękę.

Obok lamy stali jego przybocznicy, by mu służyć, a także by strzec go przed nadmiernym natręctwem gościa, lama bowiem nie okazywał swoich pragnień i przenigdy by nie wyraził swego niezadowolenia, nawet gdyby rozmówca zmęczył go śmiertelnie. Kiedy usługujący mnich podał herbatę, Philo spytał:

— Czy to prawda, że był tu Jezus?

Lama skinął lśniąca, wygoloną głową. Miał zaledwie dwadzieścia trzy lata.

— Tak. Było to dwa tysiące lat temu — odparł zniekształconą obcym akcen-

tem angielszczyzną. — Przygotowywał się do podjęcia swojej świętej misji.

— I czytał wasze święte teksty?

— Tak. Poznał traktat o świetle Bożym, spisany w księdze zatytułowanej Jaśniejący blask, który spływa z niebios. Potem poniósł święte przesłanie do Jerozolimy.

Zapadła cisza. Za ścianą chłopcy recytowali lekcje, a rinpocze wpatrywał się w różaniec modlitewny, który trzymał w dłoniach. Po chwili dodał:

— Te księgi nie są na sprzedaż.

— Mogę je przynajmniej zobaczyć?

Świątynia to miejsce, w którym człowiek może zetknąć się z najwyższym aspektem swej natury; gdzie otwiera się na żyjącego w nim Buddę i dopuszcza do uszu głos prawdy. Philo przybył tu zawrzeć transakcję.

Kiedy Chiny Ludowe najechały Tybet, wiele klasztorów spłonęło, wielu mnichów poniosło śmierć. Z sześćdziesięciu pięciu tomów świętego dzieła pozostało tylko kilka. Dotąd wiedziano o siedmiu; ten był ósmy. Kolekcjonerzy przetrząsali cały świat, by

go zdobyć.

Papier był półprzezroczysty jak skrzydło ważki, ale zdumiewająco silny i jedwabisty w dotyku. Nie zszyte ze sobą karty pokrywał spisany czarnymi znakami tybetańskiego pisma dyskurs o oświeceniu. Philo był zdecydowany go zdobyć.

— Będę z tobą szczery, rinpocze. Widzisz, te święte księgi zostały opisane w gazetach i teraz mnóstwo ludzi poluje na resztę zbioru. Niektórzy z poszukiwaczy będą mieli mniej skrupułów niż ja. Przyjdą tu, będą się starali przekupić mnichów, może nawet skraść księgi. Ja przywiozłem wam cenne dary. Kiedy otworzysz te skrzynie, wytrzeszczysz oczy ze zdumienia. Jest w nich żywność i leki, koce i lampy, generatory prądu elektrycznego... Wiem, że takie rzeczy są wam potrzebne. Jesteście tu oddaleni od świata.

Lama nie zaprzeczył. Mnisi też mają potrzeby, jak każdy człowiek. Odparł jednak:

— Księga musi tu pozostać.

Philo rozejrzał się. Klasztor był bardzo stary.

— Nie wiem, czy wasze księgi są tu bezpieczne — powiedział.

— Jesteśmy dobrze chronieni — odparł spokojnie lama.

— Czy mogę więc mieć do ciebie, czcigodny, uniżoną prośbę? W razie gdyby ta księga kiedykolwiek opuściła klasztor, przeniesiona przez was lub, Boże ucho-  
waj, na skutek kradzieży, daj mi znać.

— Księga nie opuści tego miejsca.

— Czy mam na to twoje słowo?

— Tak.

— Zatem już się pożegnam. — Philo podał mu rękę. — Podarunki oczywiście  
zostawiam jako znak mojej dobrej woli.

Śmigłowiec uniósł się w górę; mali nowicjusze z zadartymi głowami machali  
na pożegnanie. Philo też do nich pomachał. Kiedy klasztor został z tyłu, rzekł do  
Rossiego:

— Teraz.

Rossi wcisnął guzik. W czterech rogach dziedzińca równocześnie eksplodowa-  
ły cztery olbrzymie kule ognia. Budynki natychmiast zajęły się płomieniem. Roz-  
ciągnięte w szerokich uśmiechach usta chłopców rozwarły się krzykiem zgrozy.  
Philo przyglądał się pożodze, nie zwracając uwagi na poparzonych i płonących  
ludzi, wijących się z bólu malców, na których starsi mnisi własnymi ciałami pró-  
bowali ugasić ogień. Interesował go tylko zasięg działania bomb, które jego ludzie  
rozmieścili w klasztorze w czasie, gdy on gawędził z lamą.

W ciągu paru minut zaścielające dziedziniec płonące ciała znieruchomiały. Na  
gorejących budynkach runęły dachy, zaczęły się walić ściany. Jęzory ognia unosi-  
ły w górę popiół, a poczerńnięte kartki starożytnych ksiąg wirując wzlatywały pod  
niebo.

— Doskonale — rzekł Philo z zadowoleniem.

Kiedy śmigłowiec zawrócił w dolinę, zadzwonił telefon satelitarny.

— Mamy tabliczki, proszę pana — powiedział głos na drugim końcu linii.

Świetnie, pomyślał Philo. Ale już następne słowa zwarzyły mu humor:

— Zgubiliśmy tych dwoje.

— Znajdźcie ich — powiedział ostro. — Armstrong zostawcie na pustyni, tylko tak, żeby już nie wróciła. Mastersa przywieźcie do mnie.

Odda tej kobiecie przysługę. Śmierć na pustyni to wymarzony koniec dla egipologa. Glenn był mu potrzebny. Plan nie powiedzie się bez niego.

Philo Thibodeau musiał złożyć ofiarę.

Słońce wstało nad szarym, płaskim światem. Glenn i Candice bez słowa brnęli na północ z oczyma utkwionymi przed siebie, jak gdyby siłą woli pragnęli zmateriałizować jakąkolwiek ludzką osadę. Byli śmiertelnie wyczerpani, spragnieni, głodni. Bolały ich nogi i plecy, ale szli dalej.

W południe spoza chmur zaczęło blado prześwitywać słońce. Pomagając Candice przejść przez wąską rozpadlinę, Glenn zauważył, że patrzy gdzieś poza niego, marszcząc w zadumie czoło.

— Co to? — spytała.

Obrócił się. Ciemniejsza plamka na niezmiernym płowym pustkowiu.

— Wielbłąd? — zaryzykował. Jak się okazało, był to pontiak.

Resztkami sił dobiegli do samochodu. Obok leżał na piasku Ian Hawthorne, wpatrując się w niebo szklistymi, martwymi oczyma. Glenn nie nachylał się nawet, by sprawdzić puls.

— O mój Boże... — Candice ciężko oparła się o samochód, nagle wyzuta z sił.

Nieopodal leżał drugi trup — zwłoki mężczyzny w hawajskiej koszuli. Miał w plecach dwie dziury po kulach.

— Hawthorne nie miał broni. — Glenn rozejrzał się wokół. Albo to jakaś piętrowa intryga, albo facet z kucykiem został sprzątnięty przez swego mocodawcę. Ciekawe, czy ten trzeci wciąż tu jest, pomyślał z niepokojem. — Musimy stąd zmykać — rzekł, zaglądając do samochodu. W stacyjce nie było kluczyków. —

Ten, kto ich zabił, mógł się spodziewać, że tu trafimy, i wróci dokończyć robotę. Musimy znaleźć kluczyki.

Candice wzięła się w garść i zajrzała do samochodu. Glenn w tym czasie przyszukiwał chlebak Iana.

— Tabliczki zniknęły! — zawołała.

— Ale Ian zachował przy sobie te. — Pokazał jej ceramiczne ułamki z drugim zapisem. — Jest też telefon. Niestety, bateria zdechła.

— To na pewno Philo! — zaciętrzewiła się Candice. — Był wtedy w szpitalu; musiał podsłuchać, jak Ian proponuje mi pomoc. Skontaktował się z nim i przekupił go, żeby zdawał mu raporty z naszych poczynań.

— Jedziemy. — Glenn namacał kluczyki w kieszeni Iana.

— Glenn...

— Co takiego? — obrócił się.

— Nie możemy ich przecież tak zostawić.

Glenn spojrział na ciała, westchnął i wyjął z bagażnika saperkę.

— Mógłby żyć — rzekł Glenn, patrząc na świeże groby — gdyby tylko nie był taki chciwy...

Candice nie chciała mówić o Ianie. Wciąż widziała jego otwarte martwe oczy. Było jej żal, ale przede wszystkim czuła wściekłość, Ian ją zdradził, naraził ją i Glenna na niebezpieczeństwo. Minie wiele czasu, zanim zdoła mu przebaczyć.

Kiedy wrzucili chlebak Iana na tylne siedzenie samochodu, wypadła zeń niewielka koperta. Była w niej mikrokaseta z nalepką „Ubezpieczenie”.

— Wygląda jak zapis z automatycznej sekretarki — rzekł Glenn obracając ją w palcach.

— Ian miał zwyczaj nagrywać swoje rozmowy — powiedziała Candice.

— Po co woził to ze sobą?



Oboje odgadli powód: jako zabezpieczenie transakcji. Gdyby nabywca tabliczek chciał się wycofać, Ian miał nagranie na dowód umowy. Ciekawe, czy kiedy będą mogli odtworzyć kasetę, rozlegnie się z niej głos Philona Thibodeau?

— Co teraz? — spytała Candice sadowiąc się na miejscu pasażera.

— Jedziemy prosto na wybrzeże, do pierwszego lepszego portu, gdzie spróbujemy oczarować jakiegoś szypra. Chyba najlepsza byłaby Latakia — dodał, studiując mapę.

— To daleko?

— Trzysta mil. — Glenn uruchomił silnik.

— Glenn, na drodze możemy napotkać patrole wojskowe, zapory, Bóg jeden wie, co jeszcze. Mogą nas zatrzymać, zażądać dokumentów, przesłuchiwać, a nawet zamknąć za przemyt lub szpiegostwo!

— Mamy pieniądze. Łapówka czyni cuda.

— A potem? Jeśli nawet znajdziemy statek? Dokąd się udamy? Nie mamy przecież pojęcia, dokąd Philo zabrał tabliczki.

To prawda, pomyślał Glenn dodając gazu. A świat jest cholernie wielkim stogiem siana...

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI.

*Południe Francji, rok 1534.*

Młody medyk wyglądał na człowieka, który umie dochować tajemnicy.

Helena była o tym przekonana. Z żywym zainteresowaniem przyglądała się pięknemu nieznanemu z jedwabistą brodą barwy bursztynu i pełnymi wyrazu

oczyna. Podobnie jak inni mieszkańcy Agen wiedziała o nim niewiele poza tym, że jest człkiem uczonym, nosił bowiem czerwoną togę akademika i płaski biret. Pacjenci wyrażali się o nim serdecznie, był bowiem niepodobny do innych przedstawicieli swej profesji, ludzi wyniosłych i surowych, którzy truli chorych lekami albo wykrwawiali ich niemal na śmierć. Michał cierpliwie wysłuchiwał opowieści o bolączkach swych pacjentów i przepisywał im słodkie leki, które nie tylko goiły, ale i koiły. Konkurenci, tracąc zyski, sarkali, że praktykuje sztuki diabelskie. Niejeden zwracał się do hierarchów Kościoła z donosem, iż młody medyk sprzyja protestantom, co w oczach wielu było gorsze niż kult samego Szatana — nic jednak nie udało się mu zarzucić. Michał chodził w laurze przykładnego katolika, któremu Bóg sprzyja.

Osiemnastoletnia Helena podejrzewała, że prawda nie jest aż tak prosta.

— Jak się czuje moja matka, panie? — spytała, zaglądając do sypialnej komnaty.

— Znacznie lepiej, łaskawa panno — odparł Michał, zapinając torbę z medykamentami. — Dałem jej lek, po którym będzie mogła zasnąć.

Dolegliwości piersiowe tradycyjnie kurowano miodunką, zwaną też płucnym zielem, bo jej liście kształtem przypominały płuca. Ale Michał stosował niecodzienną metodę — inhalacje z naparą liści mięty pieprzowej, który wypełniał cały dom mocnym aromatem. Gdy inni medycy zawiedli, on dokonał cudu — macocha Heleny oddychała lżej niż kiedykolwiek od lat.

Medycyna jednak to nie tylko zioła. Każdy wykształcony doktor wart swego tytułu posiłkował się astrologią. Także Michał nie poprzestawał na obsłuchaniu serca chorego, zbadania jego temperatury, koloru ciała i nasilenia bólu. Pracowicie wykreślał horoskop pacjenta, obliczając położenie i bieg planet w kole zodiakalnym, ich wzajemne aspekty, tranzyty i cykle, ustalając naroża domów astrologicznych, z których najważniejszym był ascendent — znak zodiaku wznoszący się nad horyzontem w chwili narodzin człowieka. Baczną uwagę poświęcał też nawrotom księżyca, będącym jednym z astrologicznych narzędzi predykcji. Na podstawie uzyskanych danych określał rokowania pacjenta i wybierał najlepszą kurację.

\*

Patrząc, jak Michał zbiera swoje narzędzia i wykresy, Helena z przyjemnością syciła oczy widokiem tego przystojnego mężczyzny, który niedawno pojawił się w

jej życiu. Ubierał się modnie, jak zamożni szlachcice, w mocno wywatowany na ramionach kubrak — a jednak nie mogła oprzeć się wrażeniu, że gdyby go zdjął, wciąż mógłby imponować szerokimi ramionami, które zawdzięczał wyrobionym mięśniom, a nie sztuce krawieckiej. Miał wysokie czoło, długi prosty nos i oczy, które zaglądały prosto w duszę. W czasie, który u nich spędził, zauważyła, że z natury jest małomówny. Był to człowiek, który wiele myślał, ale rzadko się odzywał.

Najbardziej właśnie intrygowała ją jego tajemniczość. Skąd pochodził? Czy miał jakąś rodzinę? Często obserwowała go ukradkiem, gdy wychodził wieczorem do ogrodu i patrzył na nocne niebo. Cóż tam widział pośród gwiazd, komet i zmieniającego się księżyca? Nosił masywny złoty pierścień, lecz kiedy raz głośno zwróciła nań uwagę, ku jej zdumieniu odruchowo zakrył pierścień drugą dłonią i zaczerwienił się, jak gdyby przyłapała go na zdradzie.

Czując na sobie jej wzrok, Michał podniósł głowę i spojrzał ku drzwiom. Serce natychmiast skoczyło mu do gardła.

W ciągu krótkiego pobytu w tym domu, w którym traktowany był jak gość, nie jak sługa, zdążył poznać i polubić Helenę. Nim jeszcze podała mu datę swych narodzin, sam odgadł, że jest spod znaku Ryb. Była piękna i trochę go przerażała.

— Matka panny musi teraz odpocząć — rzekł, chcąc przerwać niezręczną ciszę. Spojrzenie Heleny trzymało go na uwieży, z trudem odwrócił wzrok. Zastanawiał się, czy już nie pora opuścić to miasto i ruszyć w dalszą wędrówkę.

Poprowadziła go wąskimi schodami na parter domu, gdzie huczący w kominie ogień przyjemnie rozpraszał wiosenny chłód, a gospodarz oczekiwał ich przy stole z ciepłym chlebem, tłustym kozim serem i winem.

Ojciec Heleny był zamożnym człowiekiem, którego stać było na to, by ubierać żonę i córkę we florenckie jedwabie i próbować kosztownych nowinek — jak choćby mięsa zwanego „indykiem” ptaka, którego Hiszpanie przywieźli z Nowego Świata. Jedli go wczoraj na wieczerzę, pan domu stwierdził jednak, że się nie umywa do dobrze przyrządzonej gęsiny. Okolice Agen słynęły z uprawy śliw wyjątkowo szlachetnej odmiany sprowadzonej z Lewantu przez krzyżowców. Rodzina Heleny miała ich olbrzymie sady, suszone tu owoce sprzedawano w całej Europie, zaś w rozległych piwnicach dojrzewało powoli słodkie śliwkowe wino. Uzyskany dochód starczał na widelce o rękojeściach z macicy perłowej, okna z prawdziwego szkła i świece, które nie były z łoju, lecz droższego pszczelego wo-

sku o znacznie przyjemniejszym aromacie.

W całym tym dostatku rodzina żyła jednak spokojnie i skromnie. Leżąca w komnacie na górze dama była trzecią żoną gospodarza — poprzednie dwie zmarły w połogu. Z dzieci pozostała przy życiu tylko Helena. Pomimo to kupiec nie narzekał na swój los. Zwierzył się Michałowi, że jeśli nawet owdowieje po raz trzeci, w okolicy jest dość młodych i majątnych niewiast gotowych objąć pieczę nad jego domem i ogrzać mu łożę. Uważał bowiem, iż w świecie, w którym niemal co drugie dziecko umiera w pierwszym roku życia, mężczyzna nie powinien skąpić swego nasienia.

Wieczorami z przyjemnością prowadzili długie dysputy, w których roztrząsali na przykład celowość przełożenia Biblii na język narodowy dla gminu albo zalety powieści komicznej zatytułowanej „Gargantua” w porównaniu z poprzedzającą ją „Pantagruellem” — powiastki te, niesłychanie popularne w całej Europie, we Francji umieszczone były na indeksie ksiąg zakazanych. Dziś rozmawiali o religii.

— Dla naszej Świętej Matki Kościoła nadeszły ciężkie czasy. Reforma wisi w powietrzu — zauważył pan domu, nalewając wina do pucharów. — Na północy Luter piętnuje praktyki księży, w Anglii król Henryk zrywa z Rzymem po to, by mógł rozwieść się ze swoją żoną, wrze nawet fakultet teologii paryskiego uniwersytetu. Wszędzie słyhać głosy pełne niezadowolenia. A co ty o tym sądzisz, przyjacielu?

Michał nie potrafił wyczytać z jego oczu, czy jest stronnikiem Lutera czy szpiegiem Inkwizycji mającym nadzieję schwytać heretyka. W ciągu zaledwie siedemnastu lat od chwili, gdy Marcin Luter przybił swoje tezy na drzwiach kościoła w Wittenberdze, fala wolnomyślicielstwa niczym pożar objęła całą Europę i nadal nie sposób jej było stłumić. Kościół sięgał po coraz ostrzejsze środki, toteż ludzie bali się mówić, co myślą. Bezpieczniej było trzymać język za zębami. Odpowiedział więc:

— Jestem uczonym, panie. Pokładam wiarę w gwiazdach i moich lekach.

Nieprzenikniony wzrok gospodarza zatrzymał się na medyku o chwilę za długo. Widząc to, Helena podniosła się i spytała:

— Może przejdziemy się po ogrodzie, panie? Wieczór jest taki piękny.

Gdy wyszli z ciemnej sieni do ogrodu oświetlonego rześnistym blaskiem księżyca, Helena spostrzegła, że czoło Michała pokrywa warstewka potu. Przestraszy-

ła się, czy nie jest chory. Dopiero po chwili pomyślała: „To przez tę rozmowę o Kościele i protestantach”. Czyżby przystojny młody lekarz był sympatykiem reformacji?

Jej podejrzenia, że Michał ukrywa jakiś sekret, były słuszne. Nie wiedziała jednak, iż jest on znacznie bardziej dlań groźny, ryzykował bowiem oskarżenie nie tylko o herezję, lecz i o czarnoksięstwo. To był powód, dla którego wędrował od miasta do miasta, nigdzie dłużej nie zagrzewając miejsca. Helena nie domyślała się nawet, że pragnąc odkryć jego tajemnice, naraża go na śmiertelne niebezpieczeństwo.

Michał chętnie by się zwierzył tej uroczej dziewczeczce, złożył swoją duszę w jej delikatnych dłoniach. Nie ośmielił się tego uczynić. Śledzili go agenci Świętego Oficjum, podążając za nim wszędzie, gdziekolwiek kierował kroki.

Było wszakże coś, czym mógł się z nią podzielić. W księżycowym ogrodzie pełnym zapachów wiosennego kwiecia mówił jej o pasji, która przepęniała mu serce. Oczy mu błyszczały, głos dźwięczał ożywieniem, a niespożyta energia buchała zeń niczym ciepło z piecyka.

— Żyjemy w nowych czasach, moja panno. Florentyńczycy nazywają je rinascita, odrodzeniem, albowiem budzimy się do nowej świadomości. Świat łaknie wiedzy, poszukuje nowych prawd, chce zrozumieć to, o czym przedtem nawet nie myślał. To nie przypadek, że ludzie tacy jak Luter kwestionują praktyki Kościoła. Zważ, panno, nie jestem protestantem, ale przecież Bóg dał nam rozum i wolną wolę, czyż nie? Wątpić i dysputować jest rzeczą słuszną. Odkryto wszak nowe lądy, nowe rasy ludzkie... — Urwał raptownie, widząc, że Helena wpatruje się w niego szeroko otwartymi oczyma. Chciał mówić dalej, zwierzyć jej, że urodził się w cieniu przeznaczenia i przemierza świat szukając odpowiedzi na pytanie, jaki cel Bóg mu wyznaczył. Ale zdumienie malujące się na jej twarzy zamknęło mu usta. Zbyttno się zagalopował.

Michał mylnie odczytał wyraz twarzy dziewczyny. Zaniemówiła i zeszywniała nie ze zgorzenia ani strachu, lecz z podniecenia. Nigdy dotąd nie spotkała mężczyzny o takiej sile ducha. To odkrycie przyprawiło ją o zawrót głowy. Wzięła więc lutnię i zaczęła grać, podśpiewując wysokim czystym głosem, który przywodził na myśl srebrną przedzę. Jej piosenka trafiła Michała prosto w serce, przesywając je słodkim bólem. Gdybyż wolno mu było pokochać tę urzekającą istotę...! Polubił Agen i jego mieszkańców; chętnie by się tu osiedlił. Ale jego demony nigdy na to nie pozwolą. Wkrótce będzie musiał ruszać dalej, nim ktoś odkryje je-

go tajemnicę.

Było późno; świeca wypaliła się już prawie do końca. Michał pochylał się nad stołem zasłanym wykresami i obliczeniami. Szukał odpowiedzi.

Cienie znów po niego przyszły.

Ta klątwa prześladowała go od dzieciństwa. Nachodziły go znieca; znajdowały w samotności i wśród ludzi, a wtedy nie mógł jeść, pić ani spać, dopóki nie rozszyfrował ukrytego przesłania. Nauczył się już dawno, że klucz do rozwiązania tkwi w gwiazdach, gdzie zapisane są wszystkie odpowiedzi.

Sięgał więc teraz na zmianę to po astrolabium, to po kątomierz, to kompas, zapisując rysikiem wyniki obliczeń i przeszukując zmieniające się wciąż niebo.

Złowieszczy Mars wszedł w znak Wodnika.

Michał krzyknął głośno. Tragedia, przed którą ostrzegaly go Cienie, miała się dokonać jutro. A Helena padnie jej ofiarą.

Zerwał się na nogi i począł niespokojnie krążyć po komnatce na poddaszu, zalamując ręce. Co ma robić, co robić? Jeśli ostrzeże Helenę, wszyscy będą później pytać: „Skąd wiedział?” Mógłby rzec, iż ujrzał zły omen w gwiazdach, lecz podejrzeń i tak nie zatrze. Nie mógł przecież powiedzieć im o Cieniach.

Borykał się z tym dylematem dotąd, aż poczuł się chory ze zmartwienia i doszedł do wniosku, że ma tylko jedno wyjście. Pospiesznie spakował swój dobytek i zniósł go do stajni; osiodłał konia i założył uprzęż jucznemu osłu, by o świcie, gdy tylko otworzą bramy, opuścić miasto.

Nie po raz pierwszy tak umykał, na pewno też nie ostatni. Cienie przeganiały go z miejsca na miejsce skazując na życie w ciągłym poszukiwaniu, w samotności, bez przyjaciół, bez rodziny, bez miłości.

Wchodząc spiesznie do domu zawahał się. Nie może tak odjechać, musi ostrzec Helenę — nawet jeśli miałby przypłacić to życiem.

Dźwięk był tak cichy, że Helena początkowo uznała go za chrobot myszy. Lecz po chwili, otwarłszy oczy w ciemności, uświadomiła sobie, że wyrwało ją ze snu pukanie.

Uchyliła drzwi i wystraszyła się na widok Michała ubranego jak do podróży.

— Nie idź rano na targ, panno — szepnął.

— Dlaczego?

— Błagam, nie pytaj, bo nie mogę ci tego wyjawić. Przynajmniej tylko, że zostaniesz w domu aż do południa.

— Ależ, panie, co rano chodzę na targ. Ojciec będzie się dziwił.

— Wymyśl jakąś wymówkę. Błagam — powtórzył.

Skąpe światło gwiazd wpadające przez otwarte okno sypialni oświetlało jego twarz, bladą i okrytą potem. Oczy miał dzikie, przerażające, ale było w nich błaganie. Poczowała, jak jej serce wyrywa się do tego nieznajomego, który obudził w niej żywą istotę.

— Pomyślę nad tym — obiecała.

Michał wrócił do siebie, gdzie spędził bezsenną noc prosząc Boga, by dziewczyna usłuchała przestrogi.

Helena udała, że boli ją głowa, i wysłała służkę samą po codzienny chleb i mięsiwo. Tymczasem zajęła się robótką, w duchu przeżywając wciąż od nowa nocną wizytę Michała. Była bliska uznania, że to wszystko się jej przyśniło, gdy nagle posłyszała krzyki na ulicy. Wyjrzała na zewnątrz. Ludzie biegli po Michała. Koń zaprzężony do ciężkiego wozu nagle poniósł, opowiadali ze zgrozą. Zaczął miotać się po targowisku, tratując ludzi. Kilkoro zginęło, inni mieli połamane kończyny, krew płynęła rynsztokiem. Pilnie potrzebny był medyk!

Nie zastali go w domu, wyszedł już wcześniej zabierając ze sobą maści, bandaże i leki.

On wiedział, uświadomiła sobie Helena.

Wrócił dopiero wieczorem. Przez cały dzień opatrywał rany i zestawiał kości. Zmarło w sumie siedmioro ludzi. Na szczęście Heleny nie było pośród nich.

Wyczerpany usiadł w ogrodzie, by odpocząć. Przycupnęła obok blada i drżąca, wciąż nie mogąc się otrząsnąć ze strachu, że o włos uniknęła śmierci.

— Nazywam je Cieniami — powiedział zmęczonym głosem. — Nachodzą mnie, kiedy najmniej się tego spodziewam, i napełniają wiedzą, a właściwie sil-

nym przeczuciem rzeczy przyszłych. Nie wiem, skąd przybywają, ani jak się przed nimi schować, bo zawsze mnie odnajdują. Mam to od urodzenia, ale nie prosz, bym ci to wytłumaczył, bo nie potrafię. — Spojrzał na nią. — Na dodatek jestem Żydem, Heleno. Muszę się strzec Inkwizycji.

Nadeszła już pora na to wyznanie. Nie winiłby Heleny, gdyby wstała i wyszła. Ale dziewczyna wciąż siedziała u jego boku. Czekwała.

— Kiedy miałem dziewięć lat, moja rodzina pod przymusem przyjęła wiarę katolicką. Jako przechrzzczeńców pilnie nas obserwowano, zwłaszcza mnie, gdy rozpocząłem studia medyczne w Montpellier. W trakcie nauki udałem się na prowincję, by nieść pomoc ofiarom zarazy. Udało mi się ocalić tylu ludzi, że gdy wróciłem do Montpellier, zażądano ode mnie wyjaśnień odnośnie do niecodziennych metod i leków, jakimi się posługiwałem. Ponieważ nie znaleziono w nich nic zdrożnego, ja zaś dowiodłem, że mam zdolności, pozwolono mi dokończyć studia. Ale wokół moich nowatorskich teorii zrobił się za duży huk, w końcu więc musiałem wyjechać. Gdziekolwiek się pojawię, jestem solą w oku uczonych mężów Kościoła. Ale tu, w Agen — dodał, pozerając ją wzrokiem — znalazłem życzliwość i przyjaźń. Także w tobie, Heleno.

Zabrakło jej tchu.

Michał śmiało ujął ją za rękę i podjął z uczuciem:

— Już Chaldejczycy za czasów Abrahama wiedzieli, że układ gwiazd ma dobry lub zły wpływ na poszczególne fazy życia człowieka, a czasem może całkiem odmienić jego losy. Jeśli to prawda, a mocno wierzę, że tak właśnie jest, moje gwiazdy po eonach niebieskiej tułaczki musiały się znaleźć w takim położeniu, że mą duszę wypełnia dziś miłość i rozkosz, o jakich nigdy nie śmiałem nawet marzyć.

Poczuł, że jej dłoń drży w jego dłoni.

— Tobie tylko wyznam mój najtajniejszy sekret. Przez całe życie czułem się powołany do czegoś szczególnego, wykraczającego poza doświadczenie zwykłych ludzi. Nie potrafię jednak tego nazwać i boję się, że umrę, zanim zgłębię postawiony przede mną cel. Czy sądzisz, że grzeszę próżnością mówiąc, że to nie przypadek, iż urodziłem się właśnie w naszych czasach? Musiała być po temu jakaś przyczyna, lecz ja jej nie znam. Czyżbym miał się minąć ze swoim przeznaczeniem?



Helena się uśmiechnęła; w jej oczach zatańczyły wesołe iskierki.

— Znam twoje przeznaczenie, Michale. Ujrzałam je w chwili, gdy spotkaliśmy się po raz pierwszy. Bo trzeba ci wiedzieć, że ja też mam swoje sekrety.

Sekrety! Rozkoszne, niewinne dziecko!

— Zwierz mi je więc, moja panno, abym mógł z miłością piastować je w swym sercu.

Pochyliła głowę, przypatrując mu się spod długich rzęs, i odrzekła:

— Najpierw będziesz musiał się ze mną ożenić.

Po ślubie pojechali razem do zamku w Pirenejach, wzniesionego przez przodka Heleny — Alaryka z Valliers, krzyżowca i zjednoczyciela tajnego zakonu aleksandryczyków. Jako małżonek Heleny Michał także otrzymał pierścień z wygrawerowanym mottem:

Fiat Iwc, wzbogacony od czasów Alaryka płomienistym ornamentem. Nosił go wraz z pierścieniem, który dostał od ojca i ongiś ukrywał przed Heleną; pierścień ten był własnością jego dziadka, rabina, i nosił inskrypcję w języku hebrajskim. Gdy usiany cętkami słońca wąski leśny trakt rozszerzał się na tyle, że mogli jechać konno obok siebie, Helena opowiadała mu o Alaryku i Rycerzach Płomienia; o tym, jak w 1099 roku zmiotli Saracenów z murów Jeruzalem, i jak przywieźli do Francji listy Marii Magdaleny i wiele innych bezcennych pism, dla których Alaryk zbudował tę fortecę. Od tamtej pory członkowie bractwa poświęcili się zwożeniu pełnych mądrości ksiąg z całego świata.

— I co z nimi robią? — spytał zaciekawiony Michał.

— Strzegą ich.

— Ale do czego ma służyć wasz zbiór?

Kiedy liczny orszak zatrzymał się na odpoczynek, aby rozprostować kości i napoić konie oraz juczne muły, usiedli oboje z boku, dzieląc się chlebem i ostrym dojrzałym serem. Wtedy to Helena wyjawiała mu prawdziwy cel aleksandryczyków.

Michał początkowo był wstrząśnięty, później zrodziły się w nim wątpliwości. Zachował je jednak dla siebie, a będąc człowiekiem praktycznym, zauważył rze-

CZOWO:

— Jeśli na tym w istocie polega wasza misja, nie wystarczy tylko zbierać i przechowywać księgi. W ten sposób nie osiągniecie celu. Wszystkie te święte pisma trzeba czytać, tłumaczyć, badać i szukać w nich ukrytych znaczeń. Tylko wówczas działanie uwieńczone zostanie powodzeniem.

W Chateau de Dieuvenir mieszkało czterdzieści troje mężczyzn i kobiet, którzy poświęcili życie starożytnym księgom powierzonym ich pieczy. Michał nie był przygotowany na to, iż zobaczy bezcenną skarbnicę ludzkiej wiedzy. Wyobrażał sobie kilka półek z niewieloma woluminami. Tymczasem pokazano mu olbrzymie sale wypełnione hermetyczną i okultystyczną spuścizną minionych wieków, traktatami astrologicznymi Chaldejczyków, tajemnicami Hetytów, zapomnianą mądrością Babilonii. Patrząc z zachwytem na zgromadzone w tym miejscu dzieła człowieczego umysłu i Boskiego natchnienia, poczuł, że znajdzie w nich wyjaśnienie prześladowających go Cieni.

Bractwo przestrzegało zasady równości; głos każdego członka miał taką samą wagę. Uwagi Michała znalazły więc posłuch i po krótkiej dyskusji postanowiono wprowadzić je w życie.

— Jesteście strażnikami pokłosa przeszłości, lecz zamknięte latami w skrzyni ziarno stęchnie; musicie je zasiać i zebrać plon, który przekażecie przyszłym pokoleniom — argumentował.

Nastąpiły więc zmiany. W zamku zapanował nowy duch; wszyscy ożywieni rzucili się do pracy, pokazano im bowiem, że są czymś więcej niż powiernikami prawdziwych słów.

Szperając w przepastnym archiwum, Michał znalazł w nim istne skarby. Czytając słowa niemieckich mistyczek — Hildegardy z Bingen: W czterdziestym i trzecim roku mego żywota pobłogosławiona zostałam wizją niebiańską, a ujrzałam w niej Światłość bez granic... oraz Matyldy z Magdeburga: W potokach światła skąpany jest Bóg nasz... — uświadomił sobie, że większa część zebranych dzieł traktuje o świetle.

— Alaryk nazwał swoje doznanie Światłością — wyjaśniła mu Helena. — W świetlistej wizji zobaczył przyszłą wielkość rycerskiego zakonu, który miał założyć.

Michał zadrżał z nadziei. Może ta Światłość zdoła rozproszyć jego Cienie?

— Jakie to uczucie? — spytał.

— Nie wiem. Podobno Światłość przychodzi do każdego z nas, lecz rzadko: raz, najwyżej parę razy w życiu. Jezus też jej doświadczył w czasie Przemienienia.

Michał gorąco pragnął ujrzeć taką wizję. Czuł, że znajdzie w niej dla siebie ratunek.

— Michale! Michale! — chłopiec obiema piąstkami bębnił w drzwi. — Matka zachorzyła! Musicie do niej iść!

Helena poruszyła się u boku męża, a Michał odrzucił pierzynę i spuścił nogi z łóżka.

— Musisz iść? — zamruczała. Noc była zimna; tak miło tuliło jej się do męża we śnie. Było to jednak pytanie retoryczne: Michał nigdy nie odmówił wezwaniu do chorego.

Otworzył okiennicę i wyjrzał na dół.

— Kto tam?

— Jaś od piekarza! Mama jest chora!

— Dobrze, nie wrzeszcz już. Idź do domu i powiedz ojcu, że zaraz do was przyjdę.

Michał zamknął okno. Kiedy się ubierał, Helena poszła zajrzeć do młodszego dziecka.

Przeżyli razem pięć lat w kochającym się stadle. Helena urodziła dwoje dzieci, mieli własny dom i powodziło im się dobrze. Michał nastawiał złamane kości, usuwał katarakty, przepisywał balsamy, wywary i napary; czasem nawet rwał zęby. Nosił proszki i zioła w rożkach przywieszonych do pasa, w torbie zaś — ostre krzyżowe nożyczki nowego typu, dzięki którym wycinanie włosów i zszywanie ran było znacznie łatwiejsze. Ale przede wszystkim czytał z gwiazd.

W wolnych chwilach studiował księgi przywiezione z zamku. Dwukrotnie w ciągu roku odwiedzał pirenejską fortecę, która stała się teraz prężnym ośrodkiem badań. Uczeni pracowali nad zebranymi tekstami, weryfikowali je i katalogowali, badali i dokonywali przekładów, aby zakon przewyższył mądrością wszystkie inne na świecie. Jednakże trzymali swą wiedzę w tajemnicy, w kraju szalały bowiem

religijne zamieszki i coraz więcej głosów krytykowało Kościół, ten zaś oddawał cios za cios.

Żona piekarza miała gorączkę i leżała jęcząc. Kiedy Michał zsunął z niej przykrycie, doznał wstrząsu: na szyi sterczały krwawo czerwone wrzody. Dalsze badanie ujawniło opuchnięte węzły pod pachami i w pachwinach. Patrzył na nie ze zgrozą.

Czarna Śmierć przysłała do Agen.

Dżuma rozpanoszyła się szybko i brutalnie. Nie minął tydzień, gdy wszystko się rozprzęgło: zarażone domy barykadowano, chorych porzucano w przytułkach, zmarłych grzebano we wspólnych dołach. Michał pracował bez ustanku. Zwykłym sposobem było przyżeganie dymienie rozpalonym żelazem, co sprawiało pacjentom niewyobrażalny ból, lecz bynajmniej nie powstrzymywało choroby. Michał wymyślił własną kurację. Wierzył, że zaraza przenosi się przez powietrze, dlatego ważne jest, by wciągany do płuc oddech był czysty. Kręcił pigułki z trocin, kłączy kosaćca, goździków i sproszkowanego kwiatu różanego, rozdawał je mieszkańcom Agen i przykazywał trzymać w ustach.

Był zrozpaczony. Zajrzał w gwiazdy i ze zgrozą ujrzał pięć planet w znaku Skorpiona. Wyraźnie zapowiadały nadejście plagi. Jak mógł to przeoczyć?

Wkrótce śmierć zawładnęła całą Akwitanią. Ojcowie porzucali zarażonych synów. Księża nie chcieli wysłuchiwać spowiedzi. Klasztory wymarły. Ciała pozostawiano w pustych domach, bo nie było nikogo, kto zapewniłby im chrześcijański pochówek.

Zaraza uderzała i zabijała w mgnieniu oka. Michał zapisał w swym dzienniku: Bywa, że ofiary spożywają śniadanie na tym świecie, a obiad już na tamtym.

Prócz samej epidemii przerażały go jeszcze jej możliwe skutki. Kiedy Czarna Śmierć przeszła przez Europę w roku 1348 zabijając miliony, mordowano Żydów w przekonaniu, iż to oni sprowadzili zarazę, choć Żydzi przecież także umierali na dżumę. Teraz dżuma wróciła; znów potrzebny będzie kozioł ofiarny.

Już na samym początku Michał zakazał Helenie wychodzić z domu, dopóki mór nie wygaśnie. Miała nie otwierać okiennic, palić kadzidło w dzień i w nocy, a przede wszystkim trzymać w ustach pigułkę i dbać, by to samo robiły dzieci.

Mijały dni i tygodnie, aż w końcu plaga zaczęła się wycofywać z Agen. Trupy

spalono, ludzie starali się zacząć życie na nowo. Jedna trzecia mieszkańców miasteczka zmarła. Połowa kobiet owdowiała, wiele dzieci straciło oboje rodziców. Michał, wyczerpany i zarośnięty, wrócił do domu po długiej nieobecności. Helena powitała go w drzwiach. Pocałował ją w policzek, a ona bez słowa obnażyła szyję. Zobaczył na niej trzy ciemnoczerwone dymienice.

Nie zdołał ich ocalić.

Najpierw, trzy dni po jego powrocie, zmarła Helena, później synek, a na końcu niemowlę. Został sam z trzema martwymi ciałami, gdy na ulicach ludzie świętowali koniec epidemii.

Jego obłąkańcze wycie odstraszało sąsiadów, pewnych, że Michał postradał zmysły. W końcu jednak niektórzy przypomnieli sobie, jak niósł im pomoc kosztem własnego snu i spokoju, toteż wyważyli drzwi i siłą wyrwali mu z objęć ciało Heleny. Szamotał się z nimi, krzyczał, i dopiero gdy przemocą włali mu do gardła jeden z jego nasennych wywarów, uspokoił się i mogli zanieść zwłoki na nowy cmentarz na skraju miasta.

W ciągu następnych tygodni Michał snuł się po domu jak pokutujące widmo; nie wychodził na zewnątrz, miał majaki, rozmawiał z ludźmi, których już nie było. W miarę jak jego obłąd się przedłużał, ludzie stopniowo przestali mu współczuć, a zaczęli się go bać. Dżuma odeszła, teraz trzeba było znów składać kości i leczyć dzieci z gorączki, a Michał nie chciał tego robić. Co to za lekarz, mówili sąsiedzi, a inni dodawali: nie potrafił wyleczyć nawet własnej rodziny! Kurowali się więc sami domowymi sposobami lub korzystali z usług wędrownych medyków. Teść, nasłuchawszy się plotek, chciał go pozwać przed sąd o zwrot wiana Heleny. W końcu oskarżono go o bluźnierstwo za rzuconą mimochodem krytykę brązowej figurki Maryi Dziewicy. Argumentacja Michała, że chodziło mu o kwestie estetyczne i że bluźniercą jest rzemieślnik, który przez nieumiejętność lub niedbalstwo szpeci wizerunek Matki Bożej, została odrzucona i wezwano go na rozprawę do Tuluzy.

Postanowił uciec pod osłoną nocy.

Gdy pakował swe księgi, by na zawsze opuścić dom, w którym zaznał krótkich chwil szczęścia, nagle zmarł. Przypomniawszy sobie butne przechwałki Aleksandryjczyków, że nie wierzą w Boga.

To dlatego umarła Helena i dzieci! Bóg pokarał Michała za sprzymierzanie się

z bezbożnikami, za lekturę pogańskich pism. W żalu i gniewie zgromadził wszystkie księgi, które przywiózł z zamku, zrzucił je na stertę na podwórzu i podpalił. Łzy płynęły mu po policzkach, wsiąkały w rudawą brodę. Przeklinał swój los, Boga i gwiazdy. Wygrażał niebiosom pięścią, krzycząc na planety i księżyc, i wszystkie ciała niebieskie, że są okrutne i podstępne. A gdy stos się rozpałił i płomienie buchnęły wysoko, nagle jakby chłodny powiew rozgarnął żar i objął Michała. Płonął bruk dziedzińca, ściany domu, kwiaty w ogrodzie, lecz ogień ten nie był gorący. Michał nie czuł bólu, przeciwnie, spokój i radość, jak gdyby bujał w kojącym obłoku. Jego oczy wypełniły się obrazami rzeczy niewiarygodnych; miast z wieżami ze szkła, dziwnych wozów pędzących szerokimi drogami, latających machin, ludzi oglądających obrazy pojawiające się znikąd.

Czuł wokół siebie obecność niewidzialnych istot, które szeptały mu do uszu tajemnice, i pojął, że pokazują mu przyszłość.

Gdy odzyskał przytomność, dom i ogród wciąż stały, tylko na podwórzu dymiły resztki spalonych ksiąg. Zrozumiał, że dane mu było wejrzeć w Światłość. Pojechał wprost do zamku, żeby pożegnać Aleksandryjczyków i prosić ich o wybaczenie za ciskane na nich klątwy i zniszczone księgi.

Bracia i siostry ostrzegli go, by nie był zbyt wylewny, albowiem nie wszyscy gotowi są uznać dar proroczy za pochodzący od Boga; wielu widzi w nim podstęp Szatana.

Opuściwszy ich, ruszył w drogę, szukając odpowiedzi w światłach niebios. Opisał swoje wizje w dzienniku, który trzymał w ukryciu.

Wciąż wierzył, że prawda zapisana jest w gwiazdach, czymże bowiem są gwiazdy, jeśli nie światłością? I tak błąkał się po całym kraju przez kilkanaście lat, bez domu ni rodziny, bez przyjaciół, wędrując w poszukiwaniu czegoś, czego nawet nie umiałby oblec w słowa, gdyby mógł mówić o tym z kimkolwiek nie narażając się na miano bluźniercy i czarnoksiężnika.

Aleksandryjczycy dali mu księgę zatytułowaną *De mysteriis Egiptorum*, w której zawarte były wytyczne do magicznych praktyk. Z tego rzadkiego dzieła nauczył się rzucania uroków, czytania w myślach oraz przywoływania przewodników ze sfery astralnej. Zyskał także wiedzę o mocy kryształów i magii zawartej w pewnych substancjach i roślinach. Najczęściej jednak posługiwał się księgą dla wywoływania pomniejszych okruchów Światłości, w których widział przyszłość. Oprowadzały go po niej niewidzialne dusze Arystotelesa i Platona, wielkich lumi-

narzy przeszłości, którzy w tym człowieku epoki odrodzenia widzieli swego duchowego spadkobiercę. Michał zapisywał swoje objawienia, ale ponieważ wciąż żył w strachu przed prześladowaniami, trzymał je w tajemnicy. Za to Cieni już się nie lękał, Światłość bowiem rozjaśniła ich mrok.

W roku pańskim tysiąc pięćset pięćdziesiątym czwartym, po wielu przygodach i odkryciach, Michał osiedlił się we francuskim mieście Salon, gdzie poślubił Annę Ponsart Gemelle i spłodził z nią sześcioro dzieci.

W noc poślubną zwierzył jej swoją tajemnicę i pokazał dzienniki.

— Jestem w rozterce, najdroższa — rzekł. — Muszę spisywać te wizje dla potomności, ale boję się zostać potępiony jako czarownik.

Anna zauważyła mądrze:

— Ludzie bystrzy, o przenikliwych umysłach, nie będą mieli wątpliwości, że twoja wiedza pochodzi od Boga, nie szatana. Dlatego oblecz przepowiednie w formę wierszowanych zagadek. Ci, którzy zasługują na oświecenie, będą mieli dość rozumu, by je rozwiązać.

Michał zredagował więc i wydał pierwszą z szeregu ksiąg, które miały go rozślawić w całej Europie.

Zawarł w nich odkryte przed nim wizje przyszłości. Ową pierwszą księgę poprzedził przedmową skierowaną do swego syna, Cesara:

Przepowiednie te zostały mi zesłane mocą Bożą, nic bowiem nie dzieje się bez woli Tego, którego dobroć jest tak wielka, iż jasnowidzenie spływa na nas niczym promienie słońca, niesione przez najsubtelniejszy żywioł ognia.

Miałem ongiś w rękach wiele ksiąg, które były ukryte przez wieki. Cisnąłem je w ogień, a gdy ten je pożerał, z płomieni trysnęła światłość jaśniejsza od błyskawicy, ogarniając mój dom niby nagłym pożarem. I zobaczyłem, że w dalekiej przyszłości, gdy planeta Mars dobiegnie końca swego cyklu, świat zginie w pożodze wznieconej przez anioły ognia zesłane przez naszego Stwórcę. Przyjmij więc, synu, ten dar kochającego ojca.

Michał de Nostre-Dame. Salon, w pierwszym dniu marca A.D. 1555.

Jedną z przepowiedni Michał wyłączył ze zbioru przeznaczzonego do obiegu,

dotyczyła bowiem tylko małej grupki ludzi. Przesłał ją aleksandryjczykom z pirenejskiej warowni, ostrzegając ich, że przyjdzie dzień, gdy jeden z nich rozszyfruje osiemdziesiątą trzecią strofę siódmej centurii i odkryje przepowiedzianą w niej przyszłość.

## Część trzecia.

### ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY.

Sybilla Armstrong w nowej ciasno skreconej trwałej ondulacji, którą obnosiła, jakby chciała wszystkim dowieść swej niespożytej energii, rozglądała się po swym królestwie. Modernistyczny dom z lat pięćdziesiątych, który właśnie nabyła za małą fortunę, panował na szczycie wzgórza wznoszącego się nad Los Angeles. Sybilla spojrzała z góry na światła miasta i zwróciła się do córki:

— Co jest najważniejsze w życiu, Candy?

Poważna licealistka uniosła głowę znad opracowania dzieł starożytnych egipskich mędrców, nieco zaskoczona tym filozoficznym pytaniem, tak niezwykłym w ustach matki. Gotowa już wysnuć wniosek, że osiągnięcie pewnego poziomu bogactwa pozwala człowiekowi zwrócić uwagę na wartości duchowe, szykowała się do zacytowania jakiejś mądrej maksymy z czytanej właśnie książki, gdy zniecierpliwiona czekaniem Sybilla wykrzyknęła:

— Sukces! Tylko to się liczy, Candy, nic innego!

Nie, mamó — pomyślała teraz Candice patrząc przez okno na nieskończoną pustynię. Mylisz się. Nie tylko.

Glenn oderwał wzrok od szosy i zerknął na nią. Odkąd pozostawili za sobą grób Iana, prawie się nie odzywała. Benzyny starczyło im do Palmyry, gdzie za-tankowali, kupili prowiant i ruszyli główną drogą na zachód. Candice wciąż milczała. Znał powód jej milczenia. Jego zdaniem powinna to z siebie wyrzucić, lecz to do niej należał wybór czasu i miejsca.



Podniosła głowę, jakby czując na sobie jego wzrok. Okno było opuszczone, jej włosy tańczyły na wietrze.

— Przykro mi z powodu Iana — powiedziała — ale podejmując tę grę, sam wystawił się na śmiertelne ryzyko.

Glenn czekał. Wiedział, że nie nad tym dumiała.

— Twój ojciec powiedział kiedyś, że szukam własnej duszy

— odezwała się po chwili, zapatrzona w cętkowaną tu i ówdzie palmowymi oazami płową równinę rozciągającą się aż do horyzontu, gdzie czekało na nią ciemnobłękitne niebo. Jadąca przed nimi cysterna wypuściła kłęb czarnych spalin. — Miał rację. Przez całe życie szukałam czegoś, w co mogłabym uwierzyć, ale szukałam w książkach, w innych kulturach, innych epokach. Nigdy nie próbowałam szukać w sobie. A w Dżebel Mara... — urwała.

Glenn zręcznie wyprzedził cysternę i dodał gazu.

— Wiem, że na Dżebel Mara śmiertelnie się przeraziłaś

— rzekł cicho. — Widywałem to u początkujących alpinistów. Wielu po powrocie na dół już nigdy nie odważyło się na wspinaczkę. Nic dziwnego...

— Nie chodzi mi o strach. — Potrząsnęła głową. — Tym, co mnie sparaliżowało, nie był atak paniki. Nie potrafię tego wyjaśnić. Cały czas staram się to jakoś zanalizować, ubrać w słowa. Glenn, to było... ekstatyczne. A zarazem mistyczne. Czy rozumiesz z grubsza, co chcę przez to powiedzieć?

Spojrzał na jej twarz obramowaną przez pustynię barwy lwiego futra pod chmurnym niebem. Czekoladowobrazowe włosy tańczyły na wietrze, jakby żyły własnym życiem. Pustynia podkreślała urodę Candice, nadawała jej inną jakość. Tu jest na swoim miejscu, pomyślał Glenn. W wyobraźni malował już jej portret: tytanowa biel skóry złamana surową sjeną, palona umbra tęczę odbija się we włosach, usta muśnięte karminem...

— Czułam się tak podniośle, tak... tak radośnie, jak nigdy dotąd — ciągnęła. — Nie chodzę do kościoła, nie wiem, jak to jest, gdy wiara unosi ludzkie serca do Boga. Ale wtedy, na szczycie, miałam przez chwilę wrażenie, że tak właśnie wygląda Bóg.

— Nazywają to ekstazą wspinacza — bąknął, zaskoczony jej niespodziewanym zwierzeniem.

Candice czuła, że takie wyjaśnienie nie wyczerpuje sprawy, lecz nie potrafiła znaleźć właściwych słów; jej przeżycie było zbyt osobiste. Nurtowały ją teraz tysiące pytań, jak gdyby zachód słońca nad Dżebel Mara otworzył na oścież drzwi jej duszy. Skąd się wzięliśmy? I po co? Dokąd zmierzamy? Być może takie właśnie pytania prowadziły ludzi do wiary, być może zadawali je Bogu w modlitwie.

Jej ukochani Egipcjanie z pewnością stawiali je już przed wiekami. Spokój malujący się na twarzy Neferetiti wydawał się świadczyć, że znalazła odpowiedź. Ale Candice nie miała żadnego doświadczenia w sprawach ducha, nie wiedziała, od czego zacząć.

— To nie wszystko... — mrużąc oczy zapatrzyła się przez okno na skupisko przydrożnych lepierek; pranie schło rozwieszone na sznurkach, dzieci grzebały w piachu. — To, co powiem, zabrzmi... no, pomyślisz pewnie, że mi odbiło, ale kiedy sparaliżowało mnie tam, na urwisku, kiedy powiedziałeś, żebym nie walczyła z górą...

Czekał. Dzieci machały im z pobocza.

— Byłam sztywna ze strachu, ale poddałam się górze i znalazłam odwagę, żeby wspinać się dalej.

— Pamiętam.

— Glenn... Miałam uczucie, że ktoś jest tam ze mną.

Pokiwał głową. Miał takie samo uczucie, kiedy spadał w Światłość. Jak gdyby ktoś przez cały czas był u jego boku, powtarzając, że wszystko będzie dobrze. Nigdy nikomu o tym nie opowiadał.

Candice pograżyła się z powrotem w zadumie, a Glenn tylko sięgnął po jej dłoń i uścisnął ją mocno na znak, że rozumie.

Pustynia ustąpiła miejsca kwitnącym sadom, gajom cytrynowym, polom kukuzydzy i wysokim rzędom cyprysów. Jadąc przez porośnięte lasem góry wdychali żywiczny zapach, a gdy zjechali z gór na nadmorską równinę, mieli na wprost siebie zachodzące słońce.

Latakia była pięknym starym miastem o wspaniałych parkach, w których rosły dorodne palmy i oleandry. Pontiak włączył się w sznur samochodów posuwających się nadbrzeżnym bulwarem. Mijając port zobaczyli stojące na redzie wielkie statki handlowe, promy dążące do nabrzeży pasażerskich, żeby wypuścić tam ludzi, a także żaglówki, kutry i wszelkie mniejsze jednostki pływające ściągające do portu przed nocą. Pomiedzy magazyny i olbrzymie silosy wciśnięte były budynki mieszczące posterunek celny, straż graniczną i biuro informacji turystycznej, czyli te, które Glenn najbardziej chciał ominąć. Starannie wymalowane strzałki kierowały pasażerów zmierzających na Cypr, do Bejrutu, Aleksandrii i portów Maghrebu na północne nabrzeże, Glenn postanowił więc rozpocząć zwiad od nabrzeża południowego.

Pozostawił Candice w hotelu „Meridien”, gdzie było pełno zagranicznych turystów i przesiadująca w barze Amerykanka nie zwracała niczyjej uwagi. Z pewnym trudem zdołał jej wytłumaczyć, że lepiej będzie, jeśli załatwi to sam. Oprócz sporej ilości gotówki sprawa wymagała daleko posuniętej dyskrecji.

— Nie wiem, ile czasu mi to zajmie — powiedział. — Jeśli zrobi się późno, wynajmij pokój na noc. Znajdę cię.

— Glenn... — zaczęła, biorąc go za rękę. Wyraz jej oczu dopowiedział mu resztę.

— Będę ostrożny — obiecał i wyszedł.

Ku jej zaskoczeniu i uldze wrócił już po godzinie.

— Dobre wieści. Znalazłem szypra, który nas zabierze. Płynie do Southampton, gdzie pomoże nam zejść na ląd. Jak twierdzi, woził już pasażerów w podobnych okolicznościach.

— To znaczy?

— Rozumie, że z powodów osobistych wolimy ominąć posterunek graniczny i komorę celną, niż kłopotać się zbędnymi papierkami, tracić czas na uzyskanie wiz i tak dalej... Zaokrętuujemy się dziś wieczorem, po zmroku. To drobnicowiec, dość spory, ale jest tylko jedna kajuta pasażerska i... — zawahał się.

— Co z tego?

— Co prawda kapitan Stavros zapewniał mnie o swej dyskrecji, wydaje się

jednak bardzo towarzyskim i rozmownym człowiekiem. Zapłaciłem mu górę pieniędzy za to, żeby nie zadawał pytań, lecz to chyba po prostu leży w jego naturze. Chciałem nam zapewnić odrobinę spokoju, no i...

— No i? Co mu powiedziałaś?

— Że... — Glenn oblał się rumieńcem. — Że jesteśmy w podróży poślubnej.

— Witam, witam! — zagrział tubalnym głosem Stavros, miażdżąc im dłonie w serdecznym uścisku. Był to tęgim mężczyzną w kapitańskiej czapce naciągniętej mocno na gęste czarne włosy. Bujna czarna broda sięgała mu aż po wypolerowane mosiężne guziki marynarskiej kurtki. Chociaż statek żarła tu i ówdzie rdza, szyper wyglądał kwitnąco, podobnie jak dwaj odziani w śnieżną biel oficerowie, również Grecy.

Był już późny wieczór. Marynarze z „Ateny” spotkali się z nimi w odludnym zakątku kei i zaprowadzili ich na statek, który miał długość połowy boiska do futbolu i birmańską załogę pod greckim dowództwem.

„Atena” płynęła z Syrii, skąd — jak szczegółowo opowiedział im kapitan — wiozła oliwki, figi i daktyle, do Grecji po kolejną partię oliwek, następnie do Włoch (też po oliwki), Hiszpanii (po wino) i z tym wszystkim do Southampton, gdzie opróżniała ładownie i brała w rejs powrotny jedwab, angielskie herbatniki i parasole.

— Cóż za umiłowanie przygód! — wykrzyknął kapitan, gestem nakazując majtkowi zabrać bagaże. Marynarz był Birmańczykiem jak reszta załogi; miał na sobie długi po kostki sarong. — Kiedy znajomy wspomniał mi o parze obieżyświatów, pomyślałem o mężczyznach, bo tacy zwykle bywają moimi pasażerami. On jednak napomknął o damie — świdrujące oczka zerknęły na Candice — uznałem więc, iż będę miał do czynienia z parą smarkatych autostopowiczów. Ale żeby małżeństwo! I to w podróż poślubną... No, no! — Puścił do nich łobuzerskie oko i uśmiechnął się, błyskając złotem spośród garnituru śnieżnobiałych zębów. — Postaramy się nie przeszkadzać państwu w sam na sam.

Pstryknął palcami i ukazał się steward w białym uniformie.

— Ten człowiek zaprowadzi państwa do kajuty i będzie dbał o waszą wygodę w czasie rejsu.

Kajuta była skromnie urządzona i ciasna, ale czysta. Znajdowała się w niej tyl-

ko jedna wąska koja, ale dało się też spać na sofce. Prócz nich stała tu malutka toaletka, stolik i krzesło. Przyrdzewiały bulaj nie dawał się otworzyć.

— No, kochanie — powiedział Glenn, gdy steward skierował się do wyjścia — wychodzi na to, że mamy prawdziwy apartament dla nowożeńców.

Candice roześmiała się i raptem umilkła. Kiedy drzwi się zamknęły, w kajucie nagle zabrakło miejsca.

— Będzie mi... — zaczęła, zamierzając powiedzieć, że będzie jej potrzebny stolik do rozłożenia kawałków ceramiki, bo rejs potrwa kilka dni, wykorzysta je więc, żeby przetłumaczyć zapiski; w końcu po to wyruszyli z Los Angeles i dotarli aż tutaj, żeby spełnić przyrzeczenie dane jego ojcu, przekonać się, dlaczego Philo szuka tabliczek i złapać mordercę. To były fakty, o których powoli już zapominała, bo tyle się zmieniło i zmuszona była walczyć z całkiem nowymi uczuciami, które nią targaly. Dlatego chciała powiedzieć o tym wszystkim na głos, ale zabrakło jej tchu. Glenn, wysoki i męski, zdawał się wypełniać kajutę bez reszty.

Od pocałunku w Wadi Raisa wciąż czuła na ustach dotyk jego warg.

— Będę spał na sofie — rzekł zdławionym głosem.

Podczas gdy dostawca punkt po punkcie wyłuszczał szczegóły dotyczące bomb, myśli Philona krążyły zupełnie gdzie indziej.

Jessica dowiedziała się o zamczysku w Pirenejach. Nie był zaskoczony. Wyczuwał jej narastające zaciekawienie jego zakupami, jego życiem prywatnym. Mimo że współpracowali od tak wielu lat, nadal wiedziała o nim bardzo mało. Miała jednak okazję przeczytać list Rajmunda z Tuluzy, porównać go z poprzednimi nabytkami Philona, które także przeszły przez jej ręce, być może zagadnąć paru innych marszandów i bez trudu dodać dwa do dwóch. Zwłaszcza że w liście była mowa o pierścieniu, a Jessica widziała go na palcu Philona.

Wiedział, że się w nim kocha. Kobiety łatwo ulegały jego urokowi. Wyczuwały w nim charyzmę, męskość i nie mogły mu się oprzeć. Jak biedna Mildred Stillwater. Ale ich nadzieje były próżne — nawet teraz, gdy Sandriny już nie było. Philo czekał na Lenorę.

Zaprzątało go pytanie, co ma zrobić z Jessicą. Logiczna odpowiedź brzmiała: skoro ją stworzyłeś, możesz ją zniszczyć. Ale czy to konieczne? Służyła mu dobrze i mogła jeszcze posłużyć. Aż do końca. Nie wiedziała przecież ani ona, ani

nikt inny, że koniec jest bliski.

Technik wskazał coś na schemacie, mechanizmy uzbrajania ładunków, jak twierdził. Ale Philo cofnął się myślą do dnia sprzed siedemnastu lat, gdy narodziła się „Jessica Randolph”. Nie interesowało go, jak zbudowana jest bomba, tylko jak ją odpalić.

Siedział wówczas w restauracji. Nie poszedł tam jeść. Trzy lata wcześniej po raz ostatni widział tam Lenore, gdy planowała wprowadzenie swojego syna do bractwa.

Kelner postawił przed nim wykwintny posiłek, którego Philo nie tknął. Przysłuchiwał się rozmowie przy sąsiednim stoliku. Wywnioskował z niej, że mężczyzna i kobieta są sobie obcy. Randka w ciemno? prostytutka i jej klient? Wyglądała kosztownie. Zaczął słuchać uważniej. Znała się na sztuce — trochę. Miała też trochę ogłady i trochę wykształcenia. Niezbyt udolnie udawała angielski akcent. Potrzebowała sporo szlif, żeby zmienić się w brylant.

Pomyliła Cezanne'a z Degasem. Jej towarzysz nie zwrócił na to uwagi.

Philo starał się powrócić do swoich wspomnień, lecz dziewczyna przy sąsiednim stole mimowolnie go intrygowała. Miała w sobie coś — w pochyleniu głowy, ruchach dłoni... Naturalny zaczątek piękna. Była perłą schowaną w muszli małża.

Po jakimś czasie para wstała i wyszła, a Philo wrócił do swoich wspomnień.

Kobieta pojawiła się dziesięć minut później, zmartwiona, że zgubiła pierścionek. Szukali go kelnerzy, kierownik sali, siedzący w pobliżu klienci — nigdzie go nie było. Zaoferowała hojną nagrodę za jego znalezienie, podając swój adres w luksusowym hotelu.

Philo poszedł do toalety i wcale się nie zdziwił, gdy niemal tuż za nim wszedł jakiś mężczyzna, bardzo podniecony, który oznajmił mu, że znalazł ów bezcenny pierścionek na podłodze przy drzwiach damskiej toalety.

— Bardzo mi się spieszy — powiedział. — Jeśli da mi pan, powiedzmy, pięćset dolarów, dam panu pierścionek i sam będzie pan mógł się upomnieć o znalezione.

Philo wyjął rulon banknotów spięty platynową spinką. Na jego widok tamtemu oczy wylazły z orbit. Ofiarował mu cały plik pod warunkiem, że zaprowadzi go do

dziewczyny.

— Nie wiem, o czym pan mówi!

Philo przeszył go na wylot stalowym spojrzeniem, łatwo docierając do płytkiego wnętrza tego drobnego oszusta. Nie musiał już nic więcej mówić.

Pojechali do nędznego motelu, w którym łatwowiejnej ofercie nigdy by nie przyszło na myśl szukać właścicielki cennego pierścionka. Na widok gościa dziewczyna wpadła we wściekłość.

— Proszę mi wybaczyć to najście — rzekł Philo swoim dżentelmeńskim tonem, który zawsze wywierał na ludzi łagodzący wpływ. — Mam dla pani propozycję. Bardzo hojną propozycję. Chciałbym skorzystać z pani usług.

— Nie jestem dziwką.

— Zapewniam panią — Philo położył rękę na sercu — że moje intencje są czyste. Chodzi o zwykłą transakcję handlową. Czy możemy pomówić w cztery oczy?

Szacowała go wzrokiem przez trzy sekundy. Najwyraźniej właściwie oceniła jego status finansowy, bo powiedziała:

— Dan, zostaw nas samych.

— Podobno pracujemy razem?

— Powiedziałam: wyjdź.

Mężczyzna wodził wściekłym spojrzeniem od dziewczyny do Philona; w końcu obrócił się na pięcie mruczając pod nosem:

— Szmata!

Dłoń Philona spoczęła na jego ramieniu.

— Proponuję, żeby przeprosił pan za tę uwagę. Mężczyzna parsknął pogardliwie.

— Proszę przeprosić tę damę — powtórzył spokojnie Philo.

— Ona nie jest damą.

— Dla dżentelmena każda kobieta jest damą.

— A jak nie przeproszę?

— Będzie pan tego żałował.

— Też coś! — prychnął mężczyzna. — No dobra, Ruby, przykro mi. — Podszedł do drzwi, otworzył je szarpnięciem i z progu rzucił jeszcze przez ramię: — Przykro mi, że jesteś taką wredną suką. — Potem trzasnął drzwiami i już go nie było.

Philo popatrzył za nim, jakby notował sobie coś w myślach, po czym zwrócił się do kobiety:

— Co jeszcze pani potrafi? — spytał. — Kradzieże kieszonkowe? Wyłudzenia? Falszerstwa?

Wzruszyła ramionami.

— Robiło się to i owo. — Zmrużyła oczy. — Jak pan się domyślił?

— Obserwowałem panią przy obiedzie. Nie miała pani pierścionka.

— Bardzo pan spostrzegawczy. Na czym ma polegać ta transakcja?

— Chciałbym, by reprezentowała mnie pani przy zakupie dzieł sztuki do mojej kolekcji. Oczywiście może pani pośredniczyć także w innych transakcjach pod warunkiem, że nie będą one wpływać na jakość pani pracy dla mnie.

Nazywała się Ruby Frobisher. Philo orzekł, że nazwisko trzeba natychmiast zmienić. Podobnie kolor włosów. Musi popracować nad postawą, manierami, akcentem i stylem ubierania się. On to zorganizuje. Nadał jej panieńskie nazwisko żony Roberta E. Lee, potomkini najlepszego rodu w Wirginii i prawnuczki Marty Waszyngton. Przydało jej nieco arystokratycznego blasku.

Jeśli Jessica kiedykolwiek odkryła, że jej byłemu wspólnikowi, mężczyźnie o nagannych manierach, który nie szanował płci pięknej, nocni goście ucieli język, nigdy nie dała tego po sobie poznać.

Ale teraz...



Handlarz bronią przeszedł do sposobu detonowania bomb i Philo natychmiast poświęcił mu całą uwagę.

— Przy zderzeniu z twardą powierzchnią powłoka pęka i tryska z niej pod ciśnieniem płonący napalm — mówił mężczyzna, który regularnie pośredniczył w podobnych transakcjach na całym świecie. — Poza tą jedną, o której już mówiliśmy, pozostałe bomby reprezentują typ Mk 77 Mod 4, każda zawiera trzysta litrów zmodyfikowanego żeluzynu i pełna waży dwieście pięćdziesiąt kilogramów. Jeżeli bomby zrzucane są z powietrza, podczas zrzutu przewody wysuwają się z bezpieczników, co automatycznie uzbraja bombę. Do instalacji naziemnej będzie panu potrzebny zdalnie sterowany detonator, którego działanie zaraz omówię. Tak czy inaczej wybuch rozpęta piekło. Całkiem dosłownie.

Ale o tym Philo już wiedział. Przetestował ich działanie w tybetańskim klasztorze.

Zdecydował się też, jak postąpi z Jessicą.

## **ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY.**

Stavros od początku żywił pewne podejrzenia.

Ze sterówki mógł dyskretnie obserwować poczynania swoich dziwnych pasażerów. Jeśli tych dwoje to nowożeńcy, stwierdził w duchu, to świat bardzo się zmienił od czasu, gdy on chodził w zaloty do swojej Marii. Pierwszy wieczór na pokładzie mężczyzna spędził sam w okrętowym salonie. Siedział tam dotąd, aż światło w kabinie zgasło. Nazajutrz steward doniósł mu, że spali oddzielnie — kobieta w koi, mężczyzna na ciasnej sofie. Klótnia kochanków? Tak prędko po ślubie?

Faktem jest, że pierwszego dnia na morzu pani czuła się nieszczególnie, a to może być przeszkodą w romantycznych uniesieniach — przynajmniej dla niektórych. Stavros, który spędził czterdzieści lat na morzu i znał wszystkie sposoby na chorobę morską, osobiście zaniósł jej sproszkowany imbir. Pomogło. Ale tego i następnego wieczoru mąż znów siedział w salonie, gdzie kapitan i jego oficerowie

palili cygara i pili ouzo. Poszedł spać dopiero wtedy, gdy kobieta zgasła światło. Czy to jakaś gra? głowił się Stavros. Sekretna umowa, dama czeka w ciemności i tak dalej? Może. A jednak miał nieodparte wrażenie, że mężczyzna czeka, aż kobieta się rozbierze i położy do łóżka, by następnie sam w ciemności zdjąć odzienie i wśliznąć się pod koc na sofie.

Obserwował ich, gdy czasami, z rzadka, spacerowali po pokładzie. Zauważył, że nigdy nie trzymali się za ręce. Rozmawiali cicho, jakby im zależało, by nikt ich nie podsłuchał. Przeważnie kobieta siedziała sama na leżaku oglądając w skupieniu jakieś skorupy. Czasem zaglądała do książki i zapisywała coś na kartce, podczas gdy jej milkliwy małżonek stał przy relingu i patrzył w morze, jakby poszukiwał w nim odpowiedzi na pytanie o sens życia. Albo czytał książkę w zielonej okładce. Wyglądała jak pamiętnik. Chyba ważny, skonstatował w duchu grecki szyper, skoro czytał go tak często i w takim skupieniu.

Stavros zapytywał się w duchu: i co z tego, że nie są naprawdę młodą parą? Nic, odpowiadał sam sobie; tyle tylko że człowiek zaczyna się zastanawiać, po jakie lichy wymyślili tę całą historię.

Glenn stał na pokładzie pod czystym nocnym niebem. Z pomocą kapitana zdołał uruchomić telefon satelitarny Iana Hawthorne'a i pierwszą rzeczą, którą zrobił, była próba odnalezienia ostatniego numeru, pod który dzwonił Ian. Niestety, zawartość pamięci aparatu została skasowana.

Połączył się więc z Maggie Delaney w Hollywood. Pod jego nieobecność to ona prowadziła sprawę śmierci Johna Mastersa.

— Szaleliśmy tu wszyscy z niepokoju! — wykrzyknęła. Jej czysty, wyraźny głos zdawał się spływać wprost z rozgwieżdżonego nieba. — Dlaczego nie dzwoniłeś?

— To długa historia. Jest coś nowego w sprawie ojca?

— Nic. Poza tym nie możemy zlokalizować Thibodeau. Po prostu fizycznie zniknął. Wiemy jednak, że robi dziwne rzeczy. Sprzedaje wszystko co ma, firmy, korporacje, pozbywa się udziałów; kompletnie likwiduje całe swoje finansowe imperium. Atmosfera na Wall Street jest bardzo nerwowa. Wszyscy myślą, że Thibodeau wie coś, o czym reszta świata nie wie. Czy tak jest w istocie, Glenn?

Nie odpowiedział. Przyszły mu na myśl słowa z ostatniego listu ojca: Philo naczytał się Nostradamusa...

— Mam do ciebie prośbę, Maggie: znajdź mi tekst przepowiedni Nostradamusa zawartej w osiemdziesiątym trzecim czterowierszu siódmej centurii. I sprawdź, czy astrologzy notują w tej chwili jakieś nietypowe układy planet.

Oddzwoniła w ciągu niecałej godziny.

— Muszę cię zmartwić, Glenn, taki czterowiersz nie istnieje. A co do astrologów, to zadzwoniłam do działu horoskopów w „Los Angeles Times”. Mówią, że Merkury się cofa przechodząc z Koziorożca do Byka i taki stan potrwa do dwudziestego dnia miesiąca. Księżyc jest w Wodniku. O co tu chodzi, Glenn?

— Mam przecucie — mruknął. — Módl się, żebym się mylił. Z trzaskiem zamknął aparat i spojrzał na światło płonące

w oknie kabiny. Candice jeszcze nie spała, zasiedziała się przy pracy. Miał ochotę tam wejść, zamknąć za sobą drzwi, przemierzyć maleńką kajutę i wziąć ją w ramiona.

Opanował pokusę, podszedł do relingu i zapatrzył się w usiane gwiazdami morze. Nie wróci do kajuty, póki Candice nie zaśnie.

Rozkładając na stole okruchy ceramiki pokryte spłowiałymi czarniawymi znakami hebrajskiego pisma, Candice wyobrażała sobie pochyloną nad nimi Estere. Widziała, jak kobieta czyści kawałki skorup, rozrabia tusz z sadzy, a następnie stawia staranne litery pilnując się, by nie popełnić błędu. Od czasu do czasu unosi głowę, przysłuchując się gwarowi na ulicy. Jak wyglądała? Czy była mała i drobna? Czy była ładna? Czy miała męża i dzieci? Może kochanka?

W swojej pracy Candice nie była zdana tylko na siebie. Korzystała z cennej pomocy kobiety, którą spotkała tylko raz na szpitalnym korytarzu, a która w ciągu minionych dni stała się jej nieodstępną towarzyszką — doktor Mildred Stillwater, pulchnej, o twarzy bez wieku, okraszonej zagadkowym uśmiechem. Ciekawe, co się z nią działo po opublikowaniu książki? Może wyszła za mąż, zajęła się dziećmi i porzuciła studia nad starożytnością? W pokoleniu Mildred archeologia była domeną mężczyzn, zazdrośnie przez nich strzeżoną. Być może ta łagodna kobieta ugięła się pod presją, pogodziła z przegraną i wróciła na swoje miejsce, do kuchni ładnego podmiejskiego domu?

Przypomniał jej się Paul i jego oświadczyzny, choć brzmiały raczej jak rzucona mimochodem propozycja: „Skoro zawodowo i tak jesteś skończona, równie dobrze możesz jechać ze mną do Phoenk. Jeśli chcesz, możemy nawet wziąć ślub”.

Właśnie wtedy przysięgła sobie już nigdy nie wikłać się w żadne związki, poświęcić się pracy i osiągnąć sukces, tak jak osiągnęła go jej matka — bez pomocy mężczyzny. Lecz przysięga ta została złożona, zanim los sprowadził pod jej drzwi Glenna Mastersa i związał ją z nim mocniej, niż uważała to za możliwe. Myślała o nim nawet teraz, badając fragmenty ceramicznych naczyń.

Nagle zamarła.

Na kawałku, który trzymała w ręku, zapisane było: Mój pradziad był pomiędzy tymi, których pojmał w niewolę Nabuchodonozor...

A więc Estera żyła w czasach niewoli babilońskiej! Żydówka na obczyźnie, po zniszczeniu Jerozolimy, pisała w tajemnicy, szyfrem, coś zakazanego. Candice pospiesznie zerknęła do źródeł. Wysiedlenie Żydów trwało od 586 do 538 roku przed naszą erą.

Niech cię Bóg błogosławi, Mildred Stillwater!

Pospiesznie przetłumaczyła ostatni fragment. Musiała je teraz tylko ułożyć we właściwej kolejności. Opowieść Estery z Babilonu nareszcie była gotowa. A w niej być może klucz do zagadki glinianych tabliczek, za które Ian Hawthorne sprzedał duszę.

Rozległo się pukanie i do kajuty zajrzał Glenn. Zaskoczył ją, przecież światło wciąż jeszcze się paliło.

— Wszystko w porządku? — spytała.

— W końcu dodzwoniłem się do komendy. Nie mają żadnych nowych danych w sprawie ojca. — Spojrzał na porozkładane kawałki ceramiki.

— Właśnie skończyłam — podała mu plik arkusików papieru listowego zebranych u kapitana. — Oto historia Estery.

Glenn przysiadł na sofie i zaczął czytać:

Piszę w tajemnicy i w pośpiechu. Zostało mi niewiele czasu. Boję się, że mnie tu znajdą. Jestem ostatnia z rodu. Po mnie zalegnie cisza.

Nazywają mnie Esterą. To nie jest prawdziwe imię. Mojemu perskiemu panu spodobało się mnie tak nazwać, mówił bowiem, że jestem piękna niczym gwiazda. Moje prawdziwe imię niewarte jest wzmianki, jestem bowiem tylko posłanką tej,

która jest większa ode mnie, i to jej imię musi przetrwać.

Mój pradziad był pomiędzy tymi, których pojmał w niewolę Nabuchodonozor. Widzieli, jak nasz król został oślepiony i poprowadzony w łańcuchach do Babilonu. Tu się urodziłam i wychowałam, ale nie jestem córą tego kraju. Mieszkałam pośród wygnanych z ojczyzny Żydów, którzy co dzień modlili się zwróceniu na zachód, w stronę, gdzie ongiś stała nasza Świątynia.

Na długo przed tym, nim Jeruszałaim padła, a nasz lud się rozproszył, wybrano tych, którzy mieli nosić w swoich sercach święte słowa wiary i przekazywać je potomstwu. Jak słowa mężów powierzono mężom, tak mojej przodkini przypadła pieśń Miriam, aby wyryła ją w pamięci i przechowała w sercu. Ta moja daleka poprzedniczka poprzysięgła przekazać pieśń swojej córce, aby czyny naszych przodków nie popadły w zapomnienie.

Persowie uwolnili nasz lud, ale ja nie odzyskałam wolności, przykułam bowiem wzrok mężczyzny, który uczynił mnie swoją niewolnicą i dał mi nowe imię. Nie rozumiał, że jestem ostatnią z długiej linii cór, którym powierzono święte zadanie. Zakazał mi je wypełnić, choć byłam do niego przeznaczona, nim jeszcze przyszłam na świat, podobnie jak moja matka, a przed nią jej matka, i tak aż do pramatki Ewy.

Zbiegłam i jeśli mnie schwytają, zapłacę życiem. Zbiegłam od mego pana nie przez wzgląd na siebie, lecz dla pokoleń, które przyjdą po mnie, i dlatego, że w godzinie mych narodzin moje ciało zostało przeznaczone na naczynie świętej księgi.

Mój pan zechce mnie znaleźć. Umknęłam pośród nocy i przy pomocy przyjaciół dotarłam łodzią w górę rzeki do miasta Mari, skąd ruszyłam na południe szlakiem karawan idących do Jeruszałaim.

Jeruszałaim jest daleko na zachodzie, a ja nie mam już sił. Tu znalazłam schronienie przed zimową słotą, która spowolnia me kroki. Czekać na poprawę pogody, ukryta przed żołnierzami mego pana, spiszę słowa, które zostały wyryte w mojej głowie, jakby wycisnął je ktoś rylcem w miękkiej glinie. Tak samo i ja utrwale je na tabliczkach w imieniu tej, która uczy nas, że Bóg Żywy stworzył nas nie po to, abyśmy szczęśli, lecz byśmy wypełnili swe przeznaczenie; uczy nas także, że i w najciemniejszej godzinie zawsze wszędzie słońce; że Bóg strzeże nas wszystkich, nawet najmniejszego pisklęcia w jajku; że On zawsze przeprowadzi nas suchą stopą przez morze.

Choć spowija mnie ciemność, wkrótce ujrzę światło, powrócę bowiem do Te-go, który jest jasnością. Nie boję się śmierci. Proszę tylko o jedno: ktokolwiek znajdzie te tabliczki i moje nędzne szczątki, niech odszuka moje siostry w Jerusza-laim i przekaże im słowa będące ich dziedzictwem. I powie im, że o nich myśla-łam w ostatnich chwilach życia.

— Pieśń Miriam — powiedział w zamyśleniu Glenn. — Zaginiona księga Bi-blii. Pomięta dlatego, że Estera została uwięziona i zmarła w Syrii.

— Kto zatem jest „żoną astronoma”? Miriam? — Candice pociągnęła nosem. Glenn wniósł ze sobą do kajuty zapach morza. Mimo woli zastanowiła się, czy je-go skóra też ma słony smak. — W Księdze Mojżesza jest mowa o tym, że Miriam była śpiewaczką i tancerką, na pewno grała też na jakimś instrumencie. Ponieważ wiemy, że spotkała się z córką faraona i sprowadziła do niej matkę niemowlęcia, można przypuszczać, że została w pałacu i prawdopodobnie dorastała tam wraz z Mojżeszem.

Miała przed oczyma zapamiętany ze szczegółami barwny fresk z grobowca Nakhta. Nakht był astronomem, a jego żona muzykantką. Czy to możliwe, że ko-bietą z malowidła była w rzeczywistości Miriam, siostra Mojżesza?

— Co takiego może zawierać Pieśń Miriam, że Thibodeau gotów jest dla niej zabić? — zastanowiła się na głos.

Glenn patrzył na swój pierścień.

— O czym myślisz? — spytała.

— Dotąd sądziłem, że stowarzyszenie, do którego należeli rodzice, było czymś na kształt świeckiego zakonu i miało charakter religijny. Stopniowo zaczy-nam sobie przypominać coraz więcej rzeczy, o których dotąd nie pamiętałem. Na przykład to, że aleksandryjczycy są ateistami. Nie wierzą w Boga.

— To po co im zaginiona księga Biblii?

Teraz mógł już z nią rozmawiać o wszystkim. Odzyskał spokój. Ostatnie słowa matki dodały mu sił. Znow był panem swoich

emocji.

Za dwa miesiące pojedę z Glennem do Morven, gdzie zostanie przyjęty do

bractwa. Boję się o niego. Philo popada w coraz większy obłęd.

Czuję, że Glennowi grozi z jego strony niebezpieczeństwo. Co mam robić?

Dziennik kończył się słowami: Philo ma jakieś plany w stosunku do mego syna. Trzeba go powstrzymać.

— Morven to miejsce — powiedział zniecacka. — Nie wiem, gdzie się znajduje, ale jestem pewny, że tam właśnie jest Philo. Stavros mówił, że jutro wpływamy do Salerno. Znajdziemy jakiś sposób, żeby przeszmyglować się na ląd. Polecimy do Anglii samolotem, tak będzie szybciej. Musimy przeszukać mieszkanie Hawthorne'a.

Już niedługo, pomyślał z tęsknotą Philo. Glenn Masters dostąpi najwyższego zaszczytu: zostanie złożony w ofierze świętej sprawie. Możliwe, że z początku będzie się wzdragał, ale ostatecznie jest synem Lenory; już dawno powinien być zostać wprowadzony do bractwa. Gdy tylko Glenn pojmie swoje przeznaczenie, na pewno chętnie odda życie.

Przeszedł się dookoła stołu, na którym Mildred ułożyła tabliczki pod fluorescencyjną lampą. Odszyfrowywała tekst posługując się „kluczem” — fotokopią kamienia Duchesne'a skradzioną Candice w Palmyrze.

Mildred była pełna podziwu dla hojności pani Armstrong, która najpierw przekazała im klucz do szyfru, a potem same tabliczki. Z pewnością wpływ na jej decyzję miał młody Masters, który był przecież jednym z nich.

— Czy to jest to, czego się spodziewaliśmy? — spytał Philo, powściągając zniecierpliwienie.

— O, tak! — odparła z radością. — To skarb! Jeden z najcenniejszych w naszych zbiorach.

Philo zgadzał się z nią. Dla niego jednak tabliczki miały jeszcze większą wartość: były ostatnim brakującym kawałkiem układanki. Praca dwudziestu lat dobiegała końca.

Biedna Mildred. Nigdy nie zadaje pytań, robi, co się jej każe. Wiele lat temu zamierzała wyjść za mąż i zacząć nowe życie. Philo nie mógł na to pozwolić. Jako najlepsza na świecie specjalistka w dziedzinie starożytnych języków Bliskiego Wschodu miała w małym palcu dokładny przebieg ich ewolucji, wszystkie znane

formy i dialekty. Była zbyt cenna, aby ją stracić. Philo potrzebował jej tu, w Morven. Uwiódł ją więc, i to tak skutecznie, że zostawiła narzeczonego przed ołtarzem.

Mildred przerwała pracę i spojrzała na niego wygłodniałym wzrokiem. Jej tęsknota poruszyła czulszą strunę w jego sercu. Ta kobieta poświęciła dla niego wszystko. Wiodła jałowe, wyzute z namiętności życie. Nigdy nie zaznała miłości mężczyzny ani rozkoszy macierzyństwa. Wzruszony jej poświęceniem zrobił coś, czego nigdy przedtem nie robił: ujął ją pod brodę, uniósł ku sobie jej twarz i złożył delikatny pocałunek na jej wargach. Pozwolił chwili trwać nieco dłużej, był to bowiem pierwszy pocałunek, jakiego Mildred zaznała od trzydziestu lat — i ostatni.

Kiedy się wyprostował, spojrzał na nią. Mildred uległa cudownej przemianie: jej oczy świeciły jak dwie gwiazdy; płonęła w nich wdzięczność.

Uśmiechnął się. Taki drobny gest, na dodatek całkiem przyjemny. Mógł sobie pozwolić na hojność. Do Dni Ostatnich zostało już niewiele czasu...

W górze szare niebo, żałobne zawrodożenie wichru, wokół ani żywej duszy, nikogo, nawet ptaka, nawet jednej roślinki. Pustka. Candice brnie przez piach, za każdym krokiem zapadając się coraz głębiej, aż w końcu piach więzi ją po kolana i nie może się już ruszyć. Nieco dalej, pomiędzy nagimi ścianami wadi, leży Glenn na pół zasypany, jedno ramię sterczy w górę z palcami zakrzywionymi jak szpony. Oczy ma otwarte, szkliste i nieruchome. Martwe.

Zaczęła krzyczeć.

Kiedy się obudziła, zdała sobie sprawę, że siedzi na koi, a Glenn trzyma ją w objęciach. Wtuliła twarz w jego nagie ramię.

— Śniło mi się, że umarłeś — szepnęła. Glenn pogłaskał ją po włosach.

Przez bulaj wlewało się srebrzyste światło księżyca.

— Za wcześnie — rzekł kojąco. — Nie mogę jeszcze umrzeć, bo jest mnóstwo rzeczy, które mam do zrobienia. — Zdumiewało go, jaka drobna jest Candice w jego ramionach. Spała w trykotowej koszulce, ale miał wrażenie, że jest naga. — Na przykład koniecznie muszę zobaczyć na własne oczy ten słynny gigantyczny kłębek sznurka, który mają w Kansas.



Usłyszał stłumiony dźwięk i pomyślał, że płacze. Gdy dźwięk się powtórzył, Glenn rozpoznał w nim śmiech.

— A z kolei w Oklahomie — podjął — jest dom zbudowany od początku do końca ze spojlerów od cadillaców.

Cofnęła się i spojrzała na niego błyszczącymi oczyma.

— Pleciesz. O tym kłębku słyszałam, jest w Minnesocie, nie w Kansas. Ale dom ze spojlerów to już sobie wymyśliłeś.

— Jest także kaplica Świętej Tortilli. Nie śmieję się, ja nie żartuję. Znajduje się w Lake Arthur w Nowym Meksyku i przechowują w niej tortillę, na której ukazała się twarz Jezusa. Podobno były już przypadki uzdrowień. Kiedyś wezmę wreszcie urlop i obejrzę sobie wszystkie osobliwości Ameryki.

Candice otarła oczy.

— Próbujesz mnie pocieszyć.

— Próbowałem ci tylko wytłumaczyć, że twój koszmarny sen nie ma podstaw. Mam zbyt wiele planów, żeby już umierać.

Srebrne światło wpadające przez bulaj oblewało muskularne ramiona Glenna; wyglądał jak wyrzeźbiony z marmuru.

— Pojedziesz na tę wycieczkę sam czy potrzebny ci będzie pilot? — Pytanie miało zabrzmieć figlarnie, wypadło zaś słabo, bo Candice z trudem chwyciła oddech. Pożądanie dławiło jej głos.

— Czy ja wiem... A potrafisz składać mapy drogowe?

I nagle oboje zamilkli, bo uświadomili sobie, że to już. Glenn patrzył na niesforne włosy Candice wijące się miękko na ramionach i przysłaniające jedno oko, co nadawało jej senny i bardzo seksowny wygląd. Candice całą sobą chłoneła dotyk twardego męskiego ciała. Czuła pod palcami wypukłą bliznę na łopatkę Glenna, tę z upadku, w czasie którego widział Światłość.

— Gdzie ona jest? — spytał.

— Kto?

Dotknął palcem zagłębienia jej szyi

— Zdejmuję kameę na noc. Wolę spać bez przyzwoitki. Nie cofnął palca, zapatrzony w miejsce, gdzie rodził się jej fascynujący głos. Wyobraził sobie lutnię pełną gorącego miodu. Pochylił głowę i dotknął ustami delikatnej skóry. Candice jęknęła. Objęła go mocniej i przycisnęła usta do jego ucha.

Glenn gwałtownie przygarnął ją do siebie, jego usta szukały jej ust, znalazłszy zaś, zawładnęły nimi na długo.

Nagle poderwał głowę.

— Co się stało? Maszyny statku umilkły. Glenn wciągnął spodnie i otworzył na oścież drzwi kajuty. Na pokładzie roiło się od biegnących marynarzy.

— Co się dzieje? — spytała Candice podciągając koc pod brodę.

Za drzwiami ukazał się Stavros naciągając szelki na mięsiste barki.

— Nic strasznego. Awaria maszyny — wyjaśnił. — To się zdarza. Zaraz naprawimy. — Przeżegnał się szybko i poszedł dalej.

Glenn wrócił do kajuty. Kiedy zamknął za sobą drzwi, zobaczył, że Candice zdążyła włożyć dzinsy i bluzkę.

— Myślałam, że będziemy musieli biec do szalupy — powiedziała.

Patrzyli na siebie z bliska, świadomi, co byłoby się stało, gdyby nie przerwała im awaria silnika. Jak mieli zacząć od nowa? Spod pokładu dobiegały pokrzykiwania, stukoty, szcęk metalu — można było przewidzieć, że Stavros dotrzyma obietnicy i maszyny wkrótce ruszą. Ludzie jednak nie są skonstruowani równie prosto. Naprawić silnik jest znacznie łatwiej, niż odtworzyć romantyczny nastrój. Żadne nie wiedziało, jaki wykonać następny ruch, choć byli głodni siebie i ciała płonęły im z pożądania.

Mieli niesamowite uczucie słysząc wszystko to, co zwykle zagłuszał ciągły szum motorów — poskrzypywania i pojękiwania kadłuba, chlupot wody objijającej się o burty. I stanowiącą tło tych wszystkich szmerów ciszę czarnej morskiej głębin rozciągającej się od brzegów Afryki i Azji po brzeg Europy.

Glenn patrzył na Candice, zastanawiając się, jak udawało mu się dotąd żyć samotnie, bez niej. Obudziła w nim uśpione przez lata zmysły i serce; dała mu też

inny bezcenny dar — zwróciła mu tęsknotę do gór, od których odszedł tak daleko. Teraz chciał wrócić, podjąć wspinaczkę, będącą nie tyle sprawdzianem kondycji fizycznej, co duchową misją. Jak mógł zapomnieć o majestatycznych wyniosłych ścianach Yosemite, o zalegającej wśród nich chłodnej ciszy, ożywianej tylko poświstem wiatru, szczękiem karabinków i stukotem młotka wbijającego hak. Candice wskrzesiła w nim tamte najpodnioślejsze, a na pół już zapomniane doznania.

— Candice... — szepnął, czując, jak jej imię wypełnia mu usta smakiem miodu.

Silniki ożyły. Ze szczękiem i drzeniem zaczęły pracować tłoki; po chwili rytm się wyrównał, obroty nieco spadły i z jednostajnym szumem statek podjął przerwana podróż, kołysząc się łagodnie na falach.

Candice i Glenn wyciągnęli do siebie ręce. Przez bulaj padała na ich twarze łagodna gwiezdna poświata, wystarczająca, by mogli patrzeć sobie w oczy. Resztę musieli poznawać dotykiem — ustami, dłońmi. Glenn roztarł w palcach pasmo włosów Candice, jakby badał jakość cennego jedwabiu; Candice położyła mu rękę na piersi, zapamiętując przebieg twardych mięśni.

Pierwszy pocałunek był zachłanny i szorstki. Wygłodniałe ręce w zapamiętaniu szarpały, zdierały odzież. Palce Glenna zatańczyły na nagiej piersi Candice, która krzyknęła głośno. Padli na kolę; Glenn wpił jej palce we włosy, poznając smak jej ust, szyi, ramion. Przyciskała go do siebie z całych sił, szepcząc: „Tak... tak...”

W rozsrebrzonym księżycem mroku otworzył przed nią swoje poranione serce, uległ przed namiętnością i tęsknotą, po raz pierwszy od lat pozwolił sobie czuć. Ona zaś otworzyła przed nim swoje ciało, tuliła go kurczowo, czując gorący oddech na szyi, pocałunki, które rozpałały w niej ogień. Na przemian szeptali swoje imiona. Glenn muskał wargami jej zamknięte powieki. Poruszali się razem, unisono, jak zrośnięci. Napawała się dotykiem, ciężarem, ciepłem jego ciała.

Łzy ekstazy trysnęły jej z oczu, zadrzała gwałtownie i krzyknęła. Chwilę później jak echo krzyknął Glenn, ale nadal trzymali się w objęciach, przedłużając moment rozkoszy. Tymczasem na nocnym niebie myśliwy Orion ścigał Byka w trwających od początku świata łowach.

Glenn obudził się trzymając Candice w ramionach. Jej powieki zadrzały we śnie i ogarnęła go gwałtowna fala opiekuńczości. Kochając się z Candice czuł się bezbronny jak nigdy — i potężny jak nigdy. Uczyniła z niego dziecko i istotę bo-

ską zarazem.

Chyba oszalał godząc się na to, żeby jechała z nim do Morven. Dwadzieścia lat temu, kiedy miał zaledwie osiemnaście lat, Lenora Masters obawiała się niebezpieczeństwa grożącego synowi ze strony Philona. O ile większe to zagrożenie musiało być dziś!

Nie mógł narażać Candice.

— Przepraszam — szepnął czule, odgarniając pasmo włosów z czoła śpiącej kobiety i pocałował ją w policzek. — Wybacz mi.

Jutro rano, kiedy staną na kotwicy w Zatoce Neapolitańskiej, zapłaci Stavrosowi za bezpieczne dostarczenie Candice do Southampton, a potem opuści statek.

Zobaczą się ponownie, kiedy będzie po wszystkim.

Pokraczna „Atena” kolebała się po oblanych księżycowym światłem wodach Morza Śródziemnego, wioząc figi i daktyle, splecionych kochanków i śpiącą załogę. Kapitan siedział przy radiostacji opisując rozmówcy interesujące przedmioty, które steward wypatrzył dostarczając posiłki do kajuty pasażerów.

— Bardzo stare — mówił cicho. — Zapisane tuszem na kawałkach ceramiki, hebrajskim albo aramejskim alfabetem. Tak, jutro zawijamy do Salerno. Nie ma problemu. Mogę ich na ten czas usunąć z drogi.

Zakończył połączenie i przeciągnął się, bardzo z siebie zadowolony. Woził nie tylko wino i oliwki, jedwabie i parasole. Od prawie dziesięciu lat bogacił się również na zyskowej działalności ubocznej — nielegalnym przemyśle zabytków archeologicznych. Ostatecznie któż zwraca baczniejszą uwagę na wesołych kapitanów zardzewiałych starych łajb?

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY.

— Co to ma znaczyć: „kontrola sanitarna”?! — krzyknął zdenerwowany Glenn.

„Atena" stała na kotwiczowisku w Salerno, czekając na zgodę na podejście do nabrzeża. Egzotyczna załoga uwijała się już w ładowniach, gdy kapitan Stavros mrużąc oczy w słońcu, oznajmił tę nowinę swoim pasażerom.

Greki przepraszająco wzruszył ramionami.

— To się czasami zdarza. Nic nie jestem w stanie na to poradzić. Statek płynący z portu, w którym wystąpiła jakaś zakaźna choroba, musi przejść kontrolę. Jestem pewien, że ograniczą się do obejrzenia książeczek zdrowia.

Glenn i Candice wymienili spojrzenia. Nie mieli książeczek zdrowia.

— I co potem? — spytał Glenn, dziękując niebiosom, że porzucił myśl o zejściu ze statku i pozostawieniu Candice ze Stavrosem.

— Jeśli jesteście państwo zaszczepieni przeciwko tej chorobie, możecie zejść na ląd. Jeśli nie, będziecie musieli przejść kwarantannę.

— Kwarantannę?!

— Zechcą też pewnie przejrzeć bagaże, żeby sprawdzić, czy nie macie ze sobą żywności: owoców, mięsa albo skażonej wody. Jeśli jest to państwu nie na rękę, mogę schować jedną lub dwie torby gdzieś, gdzie inspektor ich nie zobaczy.

Propozycja była kusząca, ale nie mieli ochoty rozstawać się ze swoimi bagażami, zwłaszcza z zapiskami Estery. Poświęcili więc kilka minut na rozważne spakowanie rzeczy, swoich i Iana. Jeśli dojdzie do rewizji, będą musieli coś wymyślić.

Pozostało im czekać. Stali na pokładzie spoglądając bezradnie na wchodzące i wychodzące z portu jednostki — promy i wodoloty, drobnicowce, luksusowe statki wycieczkowe. Obmurowany brzeg z ruchliwymi dokami i kejami wydawał się stąd bardzo daleki. Stado mew okrążyło „Atenę" w nadziei na darmowy pokarm, po czym przeniosło się na rokujący lepsze perspektywy kuter rybacki. Oglądane z morza wybrzeże Amalfi zapierało dech swą urodą. Przycupnięte na wysokiej skarpie urocze wioski zdawały się zawieszane między niebem i morzem o jednokolorowej lazurowej barwie. Ale Glenn i Candice ledwie je dostrzegali. Patrzyli na siebie, rozpamiętując w milczeniu ważką zmianę, która zaszła w ich wzajemnych stosunkach.

Żadne nie wypowiedziało słowa „kocham". Wszystko było jeszcze za świeże,

oszałamiające i przerażające. Gdy spleceni ze sobą leżeli w kołyszącej się ciasnej kajucie, ich serca były unisono, a zmieszane z rozpaczą pożądanie dodawało mocy namiętności. Ale teraz nastał dzień, słońce ich oślepiało, a morski wiatr przenikał do kości; w świeżo rozbudzonej wrażliwości zmysłów czuli się nadzy.

Od nabrzeża oderwała się motorówka z włoską flagą; lawirując wśród licznych statków podpłynęła z warkotem do „Ateny” i zacumowała przy burcie. Po drabinie wspięli się dwaj mężczyźni w schludnie wyprasowanych mundurach khaki.

Po dokonaniu prezentacji Stavros poprosił jednego z mężczyzn do sterówki, gdzie bosman miał udostępnić mu wszystkie wymagane dokumenty sanitarne. Drugi został na pokładzie. Uważnie przejrzał paszporty Glenna i Candice, a oddając je rzekł nienaganną angielszczyzną:

— Czy mogę prosić o państwa książeczki zdrowia? — Wyciągnął gładką oliwkową dłoń.

— W czym problem, doktorze? — zagadnął go Glenn. Zauważył, że choć mężczyzna nosi naszywkę z napisem „medico”, u pasa ma broń.

— Są doniesienia o wybuchu epidemii cholery w zachodnich rejonach Syrii. Kontrolujemy wszystkie statki, które stamtąd wypływają. Muszą państwo mieć świadectwo szczepienia przeciw tej chorobie. W przeciwnym wypadku będą państwo musieli poddać się kwarantannie.

— Jak długo potrwa?

— Kilka dni lub tygodni. To zależy.

— Tygodni?! — wybuchnęła Candice.

Glenn położył jej dłoń na ramieniu i zastanowił się przez chwilę.

— Panie doktorze, kiedy kilka miesięcy temu wybieraliśmy się z żoną do Zairu, zostaliśmy zaszczepieni przeciw appendicitis. To choroba tego samego gatunku co cholera, prawda? Zatem szczepienie przeciw niej powinno nam wystarczyć? — Widząc, że Candice rzuca mu zdziwione spojrzenie, nieznacznie pokręcił głową.

— No.... — medyk zamrugnął oczami — właściwie tak. Ale musieliby państwo

okazać ważne świadectwo szczepienia.

Pożegnawszy się ze Stavrosem i jego oficerami, zabrali bagaże i wsiedli wraz z oficerami służby medycznej do motorówki.

Wkrótce przybili do nabrzeża zatłoczonego pieszymi, samochodami, skuterami i wózkami ulicznych przekupni zachwalających wszelkie dostępne specjały od melonów po pizzę. Sternik wdrapał się na keję, żeby uwiązać cumy, podczas gdy inspektorzy zostali w łódce nie odstępując Amerykanów. Potem jeden z nich eskortował na nabrzeże Candice, drugi Glenna.

Pierwszym, co zauważył Glenn na brzegu, był czarny samochód zaparkowany w przeciwnym końcu nabrzeża. Miał przyciemnione szyby, tak że nie było widać, kto w nim siedzi. Drugim — chłopczyk w krótkich spodenkach i trykotowej koszulce, pchający wózek, na którym piętrzyły się cytryny, brzoskwinie i soczyste żółte śliwki. Zachwalał swój towar piskliwym głosem, wyrzucając włoskie słowa jak karabin w nadziei, że nakłoni jakiegoś spragnionego marynarza lub dokera do zakupu.

Funkcjonariusze trzymając Amerykanów za ramiona poprowadzili ich do samochodu.

— Te owoce wyglądają smakowicie — odezwał się Glenn — a my z żoną nie jedliśmy śniadania.

Eskorta milczała, nie zwalniając kroku.

— Hej, mały! — zawołał Glenn.

Chłopiec natychmiast popchnął skrzypiący wózek w kierunku potencjalnych klientów.

, — Mam tu pieniądze... — Glenn sięgnął do kieszeni na piersi. Nie liczył banknotów, wiedział, że jest ich dość, by pokryć wartość całego towaru wraz z wózkiem. Szybkim ruchem, nim ktokolwiek zdążył zareagować, wcisnął pieniądze w dłoń chłopca i przewrócił wózek prosto pod nogi eskorty. Złapał Candice za rękę i pociągnął ją za sobą nie czekając, aż zaskoczeni „medycy” podniosą się z zasłanego owocami chodnika.

Przyciskając do siebie torby przecięli jezdnię, klucząc pośród jadących samochodów, żeby jak najszybciej zejść tamtym z oczu. Ruszyli biegiem pod górę wą-

skimi stromymi uliczkami nie zwalniając, aż oddalili się na tyle, że mogli uznać, iż zgubili pościg.

— O co właściwie chodziło? — wydyszała Candice, gdy przystanęli w jakiejś bramie, by odpocząć.

— Miałem nieodparte wrażenie, że to nie jest służba sanitarna i wcale nie chcą nas zabrać do ośrodka kwarantanny. Zrobiłem facetowi mały sprawdzian. Appendicitis to zapalenie wyrostka robaczkowego, a więc schorzenie chirurgiczne, nie zakaźne. Prawdziwy lekarz lub nawet felczer by o tym wiedział.

Wyjrzał na ulicę i mrużąc oczy popatrzył w stronę oświetlonego słońcem portu.

— Tym razem Philo omal nas nie dopadł — rzekł, biorąc Candice za ramię.  
— Musimy jak najprędzej dostać się do Londynu.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY.

Philo utrzymywał równe tempo krocząc po taśmie maszyny niczym wojownik idący w bój.

Był spocony po intensywnym treningu w siłowni, ale z przyjemnością czuł energię tętniącą w mięśniach i ścięgnach. Utrzymywał się w formie z determinacją religijnego fundamentalisty. Będąc po siedemdziesiątce miał ciało pięćdziesięcioletka. Musiał zachować młodość i wigor. Czas uciekał. Godzina była już bliska.

Po orzeźwiającym natrysku przebrał się w białą jedwabną piżamę i biały szlafrok i wyszedł na malowniczy taras stylowego drewnianego domu usadowionego na wierzchołku wzgórza. Przyjeżdżał tu co pewien czas, żeby odświeżyć umysł i duszę.

Obrócił się dookoła, napawając oczy widokiem pokrytych śniegiem alpejskich szczytów i trawiastych zboczy, na których pasły się kozice, lesistych dolin pełnych pomniejszej zwierzyny, potoków, w których igrały pstrągi i wreszcie ludz-



kich domów w położonej niżej wiosce. Potem spojrzął w dal i wyobraził sobie inne wioski, a także większe i mniejsze miasta zamieszkałe przez rzesze ludzi — sześć miliardów dusz należących do Philona Thibodeau.

Oczywiście nikt jeszcze o tym nie wiedział. Lecz niebawem ludzkość pozna prawdę. Już wkrótce rozlegną się surmy anielskie i Philo będzie kroczył u boku Boga. Wtedy to spotka się z papieżem i papież ucałuje pierścień Philona.

— Wiem, co zamierzasz.

Obejrzał się. W drzwiach na taras stała Jessica, wysmukła i wiotka w czarnych plisowanych spodniach i kremowej jedwabnej bluzce zebranej w tali. Wiatr unosił jej rude włosy. Przyleciała przed godziną prywatnym helikopterem.

Philo uniósł brew.

— Co mianowicie, moja droga?

Wzdrygnęła się z niesmakiem czując alpejski chłód i cofnęła się do salonu. Była boso, bo z wyjątkiem kuchni wszystkie podłogi „chatki” — w sumie ponad siedemset metrów kwadratowych — wyłożone były od ściany do ściany cudownie miękkimi w dotyku futrami białych niedźwiedzi. Zerknęła na uginający się pod różnymi delikatesami bufet i zastanowiła się, czy Philo nareszcie zje z nią kolację.

— W zamku... — na pozór obojętne spojrzenie Jessiki prześliznęło się po krewetkach, serach i pękających winogronach — ..widziałam parę rzeczy.

Rozmawiali już o jej wyprawie w Pireneje, kiedy Philo zadzwonił z zaproszeniem do swojej „chatki” w górach. Jessica przyznała się, że oszukała strażnika, by dostać się do klasztoru, a znalazłszy się tam, poszła powęszyć. Spodziewała się, że Philo będzie wściekły, lecz stwierdził, iż trudno mu ją winić za żądę wiedzy. Ciekawe, czy będzie tak samo spokojny, kiedy odsłoni karty i przedstawi mu swe ultimatum.

— Co takiego widziałaś? — spytał, przyglądając się tej pięknej, sztucznej i zdradliwej kobiecie.

— Papirus. — Jessica przeniosła wzrok na Philona, żeby sprawdzić, jaka będzie jego reakcja. — W opisie podano, że to najwcześniejsza znana wersja ewangelii świętego Marka. Jest autentyczna?

— Bez wątpienia.

— W najstarszych znanych dotąd rękopisach Marek kończy na ósmym wersecie szesnastego rozdziału. — Jessica wzięła w palce trójkątny kawałek sera cheddar i odłamała z niego kawałeczek. — Na tym, jak Marii Magdalenie ukazuje się anioł przy pustym grobie. Następne wiersze, w których mowa o spotkaniu Jezusa z uczniami w Galilei, są ewidentnie dodane przez późniejszego autora. Aż do tej pory nie wiadomo dlaczego. Tymczasem tekst z zamku podaje prawdziwe zakończenie.

Philo zdjął fajkę ze stojaka, na którym pysznił się rząd meerschaumów.

— Analiza dowiodła bez cienia wątpliwości, że powstał zaledwie około dziesięciu lat po Ukrzyżowaniu — rzekł, rozwiązując kapciuch z tytoniem. — To jedyny tak wczesny dokument na świecie. Wszystkie pozostałe zostały spisane lub przepisane w czasie, gdy nie żył już żaden z uczniów Chrystusa. Jak słusznie wskazałaś, moja droga, współcześni badacze są zdania, że uznana wersja ewangelii Marka jest dłuższa od oryginalnej i pierwotnie kończyła się słowami: i nic nikomu nie mówiły, bo się bały. Konstrukcja zdania w jego oryginalnym brzmieniu wskazuje na użycie dopełniacza, co zanika w większości przekładów. Bały się kogoś, czegoś. Kogo? I dlaczego ewangelia kończy się w pół zdania? Niektórzy sądzą, że Marek zmarł, nim zdołał ją ukończyć. Inni, że zakończenie zostało odcięte, żeby coś ukryć, na przykład wywód, który nie zgadzał się z późniejszą interpretacją Pisma. — Philo skończył nabijać fajkę i ugniół tytoń. — Czytałaś przekład?

— Miałam zaledwie tyle czasu, żeby na niego zerknąć. Ale najważniejsze zapamiętałam: „...bo się bały anioła. Anioł zaś rzekł do nich: "Niewiasty, dlaczego się lękacie? Czyż mnie nie znacie? Spójrzcie na mnie i powiedzcie, kim jestem". Maria Magdalena podniosła głowę i zobaczyła, że w postaci anioła stoi przed nią Jezus, powstały z martwych. Dotknęła ran na jego rękach i nogach oraz rany w jego boku. „A On rzekł: "Idź i powiadaj całemu światu, że zmartwychwstałem". — Jessica uśmiechnęła się i dodała: — Można by się zastanawiać, po co ten sekret? Dlaczego się tego nie ogłosi? — Uniosła smukłą wypielegnowaną dłoń. — Nie, nie mów mi. Sama wiem, dlaczego.

— Doprawdy?

Jessica oderwała część kiści winogron i ułożyła ją na dłoni.

— Podstawą papieżstwa jest fakt, że Piotr był pierwszą osobą, której Chrystus

udzielił pełnomocnictwa, by głosił jego naukę światu — podjęła. — Ale dokument przechowywany w zamku, poprzedzający wszystkie pozostałe, świadczy, że wybrana do tego została Maria Magdalena. Mężczyzną przy grobie nie był ogrodnik ani anioł, jak utrzymują późniejsze ewangelie, lecz Jezus we własnej osobie. Wyobrażasz sobie, co by się działo, gdyby wejść do Watykanu i oznajmić papieżowi, że musi zwołać bezprawnie zajmowany tron, bo od dwóch tysięcy lat należy on do następczyni świętej Marii Magdaleny? A propos, jaka jest żeńska forma rzeczownika „papież”?

Philo obserwował przez chwilę jej chytry uśmiech, nacechowane pewnością siebie ruchy. Wrzucała kolejno winogrona do ust i rozgryzała je z chrupotem.

— Przejdź do rzeczy — zasugerował.

— Wiem, do czego jest ci potrzebna ewangelia Marka i te wszystkie starożytne teksty religijne, które nie tylko ja nabywałam dla ciebie w ciągu minionych lat.

— Tak?

— Do religijnego szantażu — oznajmiła Jessica.

— A to w celu...?

— Przejęcia władzy nad światem. Jeśli masz w ręku religie, masz w ręku wszystko — powiedziała.

— Doszłaś do tego wniosku na podstawie fragmentu ewangelii?

Kolejne fioletowe grono zniknęło między jej wargami, błysnęły białe zęby i odrobina zabarwionej sokiem śliny w kąciку ust.

— Gdy opublikujesz ten fragment, chrześcijanie na całym świecie dojdą do wniosku, że przez dwa tysiące lat robiono ich w konia. A jeśli zaczną kwestionować zmartwychwstanie, co będzie z resztą dogmatów? Założę się, że gdzieś w klasztorze albo w swoim prywatnym sejfie masz podobne dokumenty mogące zmienić treść Koranu bądź też dowieść, że Budda nigdy nie istniał, Kryszna zaś jest tylko postacią z bajki. Wysadzenie z posad największych religii świata wywołałoby niesłychany chaos i anarchię. Przywódcy organizacji religijnych zgodzą się na wszystko, żeby do tego nie dopuścić.

— Bardzo sprytnie, moja droga.

Jessica uśmiechnęła się z zadowoleniem. Szło lepiej, niż się spodziewała. Philo będzie musiał zgodzić się na jej warunki. Rządzić światem... powoli zaczynała przyzwyczajać się do tej koncepcji.

— Wyciągasz interesujące wnioski — rzekł — aczkolwiek całkiem błędne. Owszem, tworzymy tajne stowarzyszenie; nazywamy się aleksandryjczykami. Pozwól jednak, że wyłuszczę ci prawdziwy cel naszego bractwa.

Tak też uczynił. Usłyszawszy o Aleksandrze Wielkim i tajnym kapłaństwie, o spaleniu Biblioteki, o dwóch milleniach nabywania i przechowywania wyjątkowych pism, Jessica osłupiała.

— I to wszystko tylko po to, żeby mieć największy księgozbiór na świecie?

— To dopiero pierwszy etap. Czy kiedykolwiek zastanawiałaś się, moja droga, po co właściwie cię zatrudniłem? Kolekcjonujemy księgi. Ale nie byliśmy w stanie gromadzić zbiorów dostatecznie szybko. Musiałem przyspieszyć tempo; należało zrobić to w sekrecie. Chciałem też dokonać kilku nabytków, których stowarzyszenie by nie pochwaliło, a które były mi potrzebne do własnych celów.

— Jakich celów? — Jessica zmarszczyła brwi. Powiedział jej prawdę, której nie znał nikt, nawet jego zmarła

żona Sandrina. Cichy głos szaleńca wypełniał pokój, mieszał się z trzaskiem złośliwych płomieni w kominku; słowa wypowiedane z eleganckim południowym akcentem kreśliły plan, którego Jessica nawet przez chwilę nie brała pod uwagę; którego nie potrafiłaby sobie wyobrazić. Czuła, jak lodowaty dreszcz strachu pełznie jej po kościach. Philo mówił serio. Ze śmiertelną powagą opowiadał jej o planowanym zniszczeniu.

— Philo — wykrztusiła, kiedy nareszcie umilkł i odłożył na bok nie zapaloną fajkę — ty chyba oszalałeś!

Zesztywniał.

— Nikt nie jest prorokiem we własnym kraju — rzekł zimno. — Jezus to rozumiał. Przez całe życie był to także mój krzyż. Ale już wkrótce świat pozna prawdę.

Do Jessiki powoli zaczynało docierać, jak straszliwą popełniła omyłkę. Dramatycznie nie doceniła Philona. Znała go tyle lat i nie spostrzegła, że ten człowiek

jest groźnym psychopata! Gorączkowo myślała, jak się stąd wydostać i czmychnąć gdzie pieprz rośnie, jak najdalej od niego. W tej samej chwili do pokoju wszedł jeden z jego adiutantów, ten ze znamieniem na twarzy, Rossi.

— Nawiązaliśmy kontakt — powiedział.

Philo przymknął oczy. Kontakt. Ostatni fragment układanki trafił na swoje miejsce. Faza wstępna dobiegła końca, zaczął się etap końcowy.

— Natychmiast wyjeżdżam — rzekł, kierując się do drzwi. Gestem wskazał Jessicę. — Zajmij się tym.

Rossi sięgnął do kieszeni marynarki i wyjął pistolet. Oczy Jessiki rozszerzyły się.

— Philo! Co to ma znaczyć? Przystanął i odwrócił się do niej.

— Zdradziłaś mnie. Zamierzałaś przedwcześnie ujawnić moją świętą misję. Gdybym cię tu w porę nie sprowadził, mógłbym na zawsze stracić szansę połączenia się z Lenorą.

— Z kim?

— Nikt — ciągnął Philo ściągając brwi nad oczyma, w których gorzały błyskawice — nikt nie będzie ingerował w moje przeznaczenie.

Rossi ruszył w jej stronę.

— Philo, nie! — krzyknęła.

— Nie tutaj. — Thibodeau wskazał kosztowne niedźwiedzie futro wyściełające podłogę. — Zabierz ją na taras.

Rossi złapał Jessicę za ramię i brutalnie pociągnął za sobą.

— Nie, Philo! Przysięgam, że cię nie zdradziłam. Philo, nie! — krzyknęła po raz trzeci, jak Piotr zapierający się Chrystusa. Po chwili huk wystrzału przetoczył się po otaczających górach niczym grzmot.

Mieszkanie Hawthorne'a mieściło się w Bloomsbury przy małej uliczce w połowie drogi między British Museum a University College. Schroniwszy się w księgarni naprzeciwko, Glenn i Candice długo obserwowali budynek, aby się

upewnić, że nie wpadną w zasadzkę.

Samolotem dostali się z Salerno do Rzymu, gdzie złapali połączenie do Londynu. Ponieważ ich paszporty nosiły świeże bliskowschodnie stemple, na każdym lotnisku zostali gruntownie odpytani i poddani rewizji osobistej, nim nareszcie pozwolono im przejść. Zwłoka wzmogła ich niepokój i strach, że Philo albo któryś z jego goryli będzie na nich czekał. Ale wszystko zdawało się być w normie. Otworzyli drzwi kluczami znalezionymi w chlebaku Iana.

Candice poczuła się dziwnie, a przede wszystkim smętnie, gdy przypomniawszy sobie jego tragiczny koniec na pustyni. Mieszkanie było zawałone książkami, posążkami, ceramiką, antycznymi monetami. Ściany pokrywały fotografie, oprawione w ramki listy i wycinki z gazet. Ubrania wisiały na krzesłach. Summa życia człowieka w dwóch i pół pokojach.

Na pokładzie „Ateny” odtworzyli kasetę z nalepką „Ubezpieczenie”, ale jakoś była słaba, miejscami w ogóle nie rozumieli słów, przyjechali więc tu w nadziei, że znajdą lepszą wersję zapisu w automatycznej sekretarce. Maszyna była pusta, Glenn wrzucił więc do niej przywiezioną kasetę i nacisnął guzik odtwarzania.

Dźwięk okazał się znacznie lepszy i czystszy niż w telefonie, toteż rozmowy prowadzone przez Iana z Ammanu słychać było wyraźnie. Obstawiał kilka zakładów na wyścigach psów i koni oraz w meczach futbolowych, potem tłumaczył komuś, że wysłał już czek, kogoś innego prosił o dodatkowe fundusze na wykopaliska...

Nagle rozległ się głos Candice: Ian? Tu Candice. Powiedziałeś, że mogę zadzwonić, jeśli potrzebna mi będzie pomoc...

Nadstawili uszu.

Następny dzwonił mężczyzna, ale nie był to głos Philona: Panie Hawthorne, chcielibyśmy, naturalnie odpłatnie, skorzystać z pańskich usług. Jak nam wiadomo, pani Armstrong poprosiła pana o pomoc w wyjeździe do Syrii. Prosilibyśmy, aby towarzyszył jej pan wszędzie...

Ian zgodził się. Po długich targach ustalili cenę.

Będzie pan w regularnych odstępach składać nam raporty przez telefon na numer... — Glenn złapał ołówek i zanotował numer. — Jutro wieczorem, w holu hotelu Al-Qasr przy ulicy Sharifa nasz człowiek wręczy panu trzy rzeczy: kopertę z

połową należności, telefon satelitarny i pistolet.

Ian zaprotestował. W odpowiedzi usłyszał: To na wypadek, gdyby Armstrong sprawiała kłopoty. Milczenie trwało dobrych kilka sekund, po czym rozmowa została przerwana. Chwilę później skończyła się taśma.

— Ian miał mnie zastrzelić? — osłupiała Candice spojrzała na Glenna. — Tylko mnie. Dlaczego nie ciebie też?

Twarz Glenna była posępna.

— Philo pragnie odegrać dramatyczny finał. On chce, żebym go znalazł.

Dwadzieścia lat temu kłócili się dwaj mężczyźni. Mowa była o „ofierze” i o „krwi”. Wiedział teraz, że mówili o nim.

Podniósł słuchawkę i wybrał numer podany Ianowi jako kontaktowy.

— Gospoda Pod Ostem, słucham — odezwał się głos w słuchawce.

— Gospoda? Czy połączyłem się z numerem... — powtórzył numer.

— Zgadza się, proszę pana.

— Czy mógłby mi pan objaśnić, gdzie się znajdujecie?

— To znaczy?

— Jak do was dojechać?

Zanotował podane mu wskazówki, a zakończywszy rozmowę, oznajmił:

— To jest w Szkocji.

Między książkami Iana znaleźli atlas. Glenn zlokalizował nadmorskie hrabstwo w południowo-zachodniej Szkocji. Niedaleko wybrzeża była wyspa podpisana drobnym druczkiem: „Morven”.

Candice spojrzała na Glenna z niepokojem.

— Jak myślisz, co tam znajdziemy?

— Nie wiem. Ale jedno jest pewne: to miejsce będzie dobrze strzeżone.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY.

*Londyn, rok 1814.*

— Musicie mnie wysłuchać! — krzyknął Fryderyk Keyes.

— Desmond Stone planuje otoczyć Morven wieńcem śmiercionośnych pułapek! Paści, sieci, wilczych dołów nabijanych zaostrzonymi palami i sprężynowych stalowych sideł, jakich Kanadyjczycy używają na niedźwiedzie. To nieodpowiedzialne, okrutne i nieludzkie.

— Okrutne i nieludzkie? — powtórzył przeciągle Stone.

— Dajże spokój. Mamy prawo bronić swojej własności. Złodzieje i szpicle zasługują na śmierć.

Spotkali się w jednym z londyńskich klubów, a ponieważ pora była późna, mieli palarnię tylko dla siebie

— A zwykli ludzie? — zaatakował rywala Keyes. Współzawodniczyli ze Stone'em od czasów studenckich, gdy obaj zgłębiali tajniki architektury. — Wycieczkowicze albo przyrodnicy, którzy zapędzą się w pobliże zamku nie mając pojęcia, że są w niebezpieczeństwie? Chyba oszalałeś!

Stone wzruszył ramionami.

— Podczas wojny zdarza się, że giną niewinni ludzie.

— Dla ciebie to jest wojna?!

— Panowie! — wmieszał się, unosząc pojednawczo ręce, starszy dżentelmen o



białych bokobrodach. — Załatwmy to w sposób cywilizowany. Fryderyku, zgadzamy się z tobą, ale niestety: tajemnica i ochrona Biblioteki przewyższa wszystkie inne względy, w tym i bezpieczeństwo turystów lub spacerowiczów, którzy znajdują się na wyspie.

Starszy pan spędził ubiegłe tygodnie na spotkaniach z aleksandryczykami w Anglii i na kontynencie, zbierając ich opinie na temat palącej sprawy zabezpieczenia zbiorów.

— Zaletą planu Stone'a — podjął — jest to, że jest gotowy i można go zastosować od razu. Ty natomiast nie przedstawiłeś jeszcze nawet mglistego pomysłu.

— Potrzebuję czasu.

— Nie ma czasu! Sam doskonale zdajesz sobie z tego sprawę. Wiesz, co się działo, kiedy we Francji wybuchła rewolucja. Nie wiele brakowało, a zamek zostałby odkryty.

Dlatego przenieśliśmy zbiory za Kanał. Czy wyobrażasz sobie, co zrobiłby Bonaparte, gdyby je znalazł? Posłużyłby się nimi, żeby podbić cały świat!

— Nie możemy narażać niewinnych ludzi. Każdy przechodzień...

— Na litość boską, człowieku, podaj jakąś alternatywę!

— Muszę mieć czas...

— Masz dokładnie tydzień. Potem zaczniemy realizować projekt Stone'a.

Kiedy brali z wieszaka kapelusze i laski, Stone rzekł z chytrym uśmiechem:

— Nic nie wymyślisz, Fryderyku. Twoja wena zgasła. Ale Keyes zbudowany był z twardego kruszcu.

— Powstrzymam twój barbarzyński plan, Desmondzie, choćby miało to być ostatnie, co zrobię w życiu.

Była północ. Fryderyk bez pożytku marnował naftę w lampie, biedząc się nad szkicami architektonicznymi. Nadal nie miał żadnego pomysłu, a pozostały już tylko trzy dni.

Ktoś załomotał do drzwi.

— Otwierać! Zaskoczony Fryderyk zerwał się, przewracając kałamarz.

Łomot rozległ się powtórnie.

— Otwierać w imieniu prawa! Fryderyk przekręcił klucz w zamku i otworzył drzwi. Potężny mężczyzna w mundurze bez pytania wkroczył do środka.

— Pan Fryderyk Keyes?

— Tak. O co chodzi, konstablu?

— Zostanie pan postawiony przed sądem. Proszę iść z nami i nie robić hałasu.

Fryderyk patrzył zdumiony na towarzyszący mężczyźnie oddział straży.

— Pod jakim zarzutem?

— Zdrady stanu.

Poczuł, jak kajdany zamykają mu się na przegubach rąk.

Głos sędziego wzniósł się pod sufit zabytkowej, wykładanej dębową boazerią sali Ołd Bailey:

— Fryderyku Keyesie, czy zaprzeczy pan, że w obecności świadków, których tu wysłuchaliśmy, stwierdził pan, że istnieje moc wyższa od Boga i Korony?

Sala ucichła; wszyscy, od adwokatów w białych perukach i czarnych togach, po niesforną publiczność na galerii, zastygli w oczekiwaniu. Sądzone tu zdradę, dlatego proces toczył się w najstarszym i najdostojniejszym z londyńskich przybytków Temidy.

Fryderyk Keyes, stojący w miejscu dla podsądnych, rzekł:

— Jeśli pan pozwoli, milordzie...

— Proszę odpowiedzieć na pytanie. Czy to są pańskie słowa?

— Tak, milordzie.

Na galerii rozległy się okrzyki zdumienia, oburzenia i gniewu. Sędzia walnął

młotkiem w pulpit i marszcząc krzaczaste brwi, zapytał:

— A jakaż to moc? Szatańska?

— Tego nie mogę powiedzieć, milordzie. Sędzia pochylił się do przodu.

— Czy jest pan chrześcijaninem?

— Nie.

— Żydem?

Na galerii rozległy się śmiechy.

— Nie jestem członkiem żadnego kościoła.

— Czy zaprzecza pan świadectwu osób, które dziś tu zeznawały? Czy wypiera się pan tych wywrotowych i bluźnierczych słów?

Fryderyk Keyes wyprostował się i podniósł głos:

— Moje słowa zostały wyrwane z kontekstu, w jakim je wypowiedziałem.

— Ale wypowiedział je pan?

— Tak.

— Świadkowie zeznali, że użył pan słowa „my”. Kim są pańscy współnicy?

— Nie mogę powiedzieć.

— Nie może pan? Mam rozumieć, że odmawia pan odpowiedzi na to pytanie?

Chwila wahania.

— Tak.

Sędzia odchylił się z powrotem do tyłu i rzekł zimno:

— Oto człek bezbożny, który stawia siebie ponad Bogiem i królem. —

Okrywszy czarną tkaniną upudrowaną perukę, dodał: — Czy zanim ogłoszę wyrok, podsądny ma jeszcze coś do powiedzenia?

Głos Keyesa osłabł do szeptu:

— Jestem niewinny.

— Fryderyku Keyesie, został pan uznany winnym zdrady, za którą jedyną karą jest śmierć. Zostanie pan zabrany do więzienia Newgate, gdzie zostanie pan powieszony za szyję. Choć nie wyobrażam sobie, jak zaprzysięgły ateista mógłby oczekiwać miłosierdzia Pańskiego, mam wszakże obowiązek ogłaszając wyrok wypowiedzieć te słowa: Niech Bóg zlituje się nad pańską duszą.

— Sprawy przedstawiają się doprawdy niewesoło — oznajmił swemu lokajowi Jeremy Lamb, oglądając w lustrze świeżo ogoloną twarz — kiedy człowiek jest zmuszony drugi dzień z rzędu nosić ten sam krawat.

— Święte słowa — przytaknął lokaj. Cummings zawsze zgadzał się ze swoim panem, choćby ten twierdził, że czarne jest białe, zależało mu bowiem na posadzie.

Jeremy cofnął się i skrupulatnie obejrzał w lustrze swoją postać. Wypolerowane heskie buty z długimi cholewami, ciemne pantalone, błękitny żakiet i płowozółta kamizelka. Całość robiła miłe dla oka wrażenie. Mając lat trzydzieści sześć, Lamb wiele uwagi poświęcał swojej aparycji. Dobranie stroju zajmowało mu czasem parę godzin. Zwykle też korzystał z usług trzech fryzjerów, z których jeden przystrzygał bokobrody, drugi układał lok nad czołem, a trzeci fryzował włosy z tyłu głowy. Dziś wszakże — w związku z niewesołym stanem spraw — musiał zadowolić się Cummingssem.

— Pokaż mi, jak się ubierasz, a powiem ci, kim jesteś. Nigdy o tym nie zapominaj, Cummings — rzekł Lamb sentencjonalnie i odwrócił się od lustra, gotów na spotkanie dnia, który w zaistniałej niewesołej sytuacji nie mógł mu przynieść nic szczególnie dobrego. Krążyła plotka, że mają im dokwaterować nowego więźnia. Dobrze i to dla zabicia nudy.

Zaledwie siadł do śniadania złożonego z chleba i piwa, gdy zapowiedziany przybysz stanął pod okratowanymi drzwiami. Jak każde urozmaicenie, skupił na sobie uwagę więźniów przynajmniej przez kilka pierwszych minut, co pozwoliło Jeremy'emu spokojnie zająć się jedzeniem. (Wiecznie błagali go o resztki; gdyby miał dzielić się ze wszystkimi, sam umarłby z głodu.) Mężczyzna szarpał się ze strażnikami krzycząc, że jest niewinny, jakby mogło to odnieść jakikolwiek skutek. Kiedy ciężkie drzwi zatrzasnęły się i zgrzytnął rygiel, złapał za kraty w

okienku i dalej dowodził głośno swej niewinności. Pozostali więźniowie oglądali go bacznie, deliberując w duchu, czy warto go okraść czy też się nie opłaci. Z chwilą gdy te decyzje zostały podjęte, w celi znów podniósł się zwykły harmider, psując Jeremy'emu apetyt.

Przyjrzał się nowemu.

Nie był to typowy pospolity przestępca. Jeremy z miejsca poznał w nim dżentelmena, odziany był bowiem we frak, pasiastą kamizelkę i tradycyjne białe spodnie po kolana. Wyglądał jak szlachcic, który wybrał się na przechadzkę, a nie jak nieszczęśnik wtrącony do Newgate, więzienia, które spośród wszystkich na świecie najbardziej przypominało piekło. Zaciekawienie Jeremy'ego wzrosło, gdy okiem znawcy rozpoznał na tamtym ręce krawca z Bond Street, z którego usług sam także korzystał. (Człek ów był mistrzem w swoim fachu, zawsze wiedział, czy ciąć prosto, w poprzek czy ze skosu, aby uwidocznić fakturę tkaniny i doprowadzić kształt stroju do perfekcji.) Lamb zastanawiał się, za co wsadzili tu tego biedaka. Pewnie za malwersację; nie wyglądał na pospolitego złodzieja ani też kogoś, kogo ścigają wierzyciele. Prawdopodobnie czekał na transport do Australii, jak wielu tutaj, choć większość deklarowała, że woleliby dać się powiesić. Po odezwaniu się amerykańskich kolonii Brytania potrzebowała nowych miejsc zsyłki. Wybrano Australię, lecz morska podróż była tak długa i ciężka, że mało kto kończył ją żywym.

Po dłuższej chwili nowo przybyły odwrócił się i ujrzał koszmar, na który go skazano. Na jego twarzy odmalował się szok. A zatem nowicjusz, tak jak Jeremy. On sam, wchodząc tu przed dwoma tygodniami, musiał mieć podobny wyraz twarzy. Piekielny hałas, krzyki, wycie, brud i smród — to wszystko waliło człowieka prosto w twarz, toteż minął dłuższy czas, nim zdołał przywyknąć.

Jeremy zauważył, że przybysz nie ma na nogach kajdan, za pomocą których większość więźniów przykuta była do ścian lub podłogi. Aresztant mógł zapłacić za zamianę ich na lżejsze — nazywało się to lekkim kuciem — lub wykupić się od nich w ogóle, jeśli dostatecznie duża kwota przeszła z rąk do rąk. Zatem istotnie nie był pozbawiony środków. Ojciec Jeremy'ego także, acz niechętnie, zapłacił za to, by oszczędzić synowi dźwigania ciężkiego żelaza.

Nieznajomy nerwowo krążył po celi, uderzając co chwila pięścią w drugą dłoń i mamrocząc coś pod nosem. Potknął się o nogi więźnia siedzącego pod ścianą, przeprosił machinalnie, a gdy tamten nie odpowiedział, spojrział w dół i wtedy uderzyła go dziwna bladość tamtego. Potrząsnął go za ramię. Nieruchomy męż-

czyzna przewrócił się na bok.

— Tu jest trup! — wrzasnął przybysz, rzucając się do drzwi.

— Szkoda gardła. — Jeremy wstał i wyciągnął do niego rękę. — Zabiorą go za dzień lub dwa. Jeremy Lamb, do usług.

Nowy wytrzeszczył oczy na podaną mu rękę, jakby nigdy w życiu nie widział podobnej. Potem uścisnął ją i przedstawił się mocnym, dźwięcznym głosem:

— Fryderyk Keyes.

— Zapraszam pana do siebie, widzę bowiem, że także jest pan przedstawicielem wyższych sfer.

Keyes obejrzał się na okratowane drzwi. Chyba wbrew rozsądkowi się spodziewał, że lada chwila strażnik je otworzy i wypuści go na wolność. Potem z wahaniem przycupnął na skraju jedynej pryczy.

— To jest Cummings — Lamb machnął ręką w kierunku więźnia przykutego łańcuchem do podłogi. — Płacę mu za pilnowanie, żeby nikt mnie nie okradł w czasie snu. Oprócz tego służy mi jako lokaj. Jeśli może pan sobie na to pozwolić, a zgaduję, że tak jest, sugeruję, aby zawarł pan podobną umowę z jednym z tutajszych lokatorów. Pracują tanio i można im zaufać — wskazał długi łańcuch pętający Cummingsa — że niczego stąd nie wyniosą.

Keyes spojrział ze zdumieniem na zajmowany przez Lamba kąt cuchnącej celi. Stała tam drewniana prycha nakryta brudnym siennikiem, skrzynka, na której ustawione były przybory toaletowe, obrócone do góry nogami wiadro służące jako stołek, oraz oparta na ceglach deska, mieszcząca talerze i kubek. Na wbitych w ścianę gwoździach wisiało lusterko i ubrania.

Potem powiódł spojrzeniem po pozostałej części celi, rojącej się od wszy i szczurów. Większość więźniów przykuta była do ścian lub posadzki; niektórzy — nieliczni — mieli własne sienniki i koce. Ci, którzy mogli się swobodnie poruszać, korzystali ze wspólnego wiadra stojącego obok drzwi, reszta leżała we własnych nieczystościach.

Spojrzenie Keyesa zatrzymało się na nieboszczyku.

— To łaska dla tego biedaka — wyjaśnił Jeremy wracając do posiłku. Cum-

mings oblizał usta w oczekiwaniu na resztki jedzenia.

— I tak czekał go strycek. Ale że nie miał rodziny ani przyjaciół, którzy by go dokarmiali, umarł z głodu. Jak słyszałem, tylko czwarta część skazańców dożywa dnia egzekucji. Nowo przybyły obrzucił go pałającym spojrzeniem.

— Czy pan też ma być stracony?

— Na Boga, nie! Odsiaduję tu trzymiesięczny wyrok. Potem mój ojciec wpłaci grzywnę i wyjdę na wolność. Nic by mu nie przyszło z tego, gdyby jego jedyny syn i spadkobierca zgnił w więzieniu.

— Dlaczego się pan tu znalazł? — spytał Keyes znów zerkając na drzwi, co kazało Jeremy'emu przypuszczać, że oczekuje gościa.

— Miałem paskudnego pecha — stwierdził dobrodusznie. — Jadłem właśnie obiad z księciem Beaufort w moim klubie, kiedy dotarła do mnie wieść, że mam zostać aresztowany za długi. Przyjaciel pożyczył mi czterokonny powóz, jechałem przez całą noc i nad ranem dotarłem do Dover, gdzie miałem nadzieję nająć kogoś, kto przewiezie mnie do Francji. Jak pan wie, dłużników nie ściga się poza granice kraju. — Westchnął. — Prawie mi się udało.

— Długi hazardowe?

— Hazard, proszę szanownego pana, jest dla głupców. Ja, jako esteta, mam słabość do ubiorów. Jestem coś niecoś winien każdemu krawcowi i fryzjerowi na Bond Street. Droga mateczka zawsze spłacała me rachunki, ale zmarło jej się w zeszłym roku, a czcigodny ojczulek jest człowiekiem twardych zasad.

— Ojciec nie zgodził się pokryć pańskich długów? — zdziwił się Keyes, nie mogąc uwierzyć, że ktoś skazałby rodzzonego syna na pobyt w tak strasznych warunkach.

— Mój ojciec należy do ludzi, którzy pragną spadkobiercy, ale nie lubią dzieci. Na nieszczęście jedno nie da się załatwić bez drugiego, zmuszony więc był znosić moje siostry i mnie. Jeśli w ogóle widywaliśmy go w dzieciństwie, to wtedy, gdy zbytnim rozbrykaniem nadużyliśmy cierpliwości matki i karał nas za to cieleśnie.

Urwał. Nie zwierzył się już, że robił co w jego mocy, by ojciec był z niego dumny. Zwrócił na siebie uwagę księcia regenta, zdobył miejsce w książęcym

dziesiątym regimencie dragonów, gdzie szybko awansował i w krótkim czasie otrzymał stopień kapitana. Starania poszły na marne — ojciec nie zaszczylił go nawet jednym dobrym słowem. Jeremy zapragnął zrobić mu na złość. Jął się ekstrawagancji, głównie w dziedzinie ubioru, idąc za przykładem pana Brummela. To powinno było zwrócić uwagę starszaka, który wciąż nosił aksamitny surdut ze złotymi guzikami i pudrowaną perukę. Gdy wszakże i to nie poskutkowało, machnął ręką. Tymczasem jednak odkrył, że ten styl życia bardzo mu odpowiada.

— Papa wyraził specjalne życzenie, by zamknięto mnie w celi dla skazańców, a nie z dłużnikami. Stwierdził, że przyda mi się nauczka.

Jeremy zamilkł i odczekał chwilę, lecz nowo przybyły wbrew jego oczekiwaniom wcale nie był skory opowiadać o sobie. Przy bliższym przyjrzeniu się wyglądał zdrowo, a siwiejące bokobrody świadczyły, że już dawno przekroczył czterdziestkę. Był schludny i jako się rzekło, doskonale ubrany. Jeremy odchrząknął i zadał nurtujące go pytanie:

— Czy poczyta mi pan za zuchwalstwo, jeśli spytam, za co pan tu trafił?

Fryderyk przyjrzał się uprzejmemu kawalerowi. Co mu odpowiedzieć? Wpadł w pułapkę zastawioną przez Desmonda Stone'a tak bezradnie, jak gdyby stoczył się do jednego z jego wilczych dołów. Zastawiając ją, Stone wykorzystał bieżącą sytuację polityczną. Trwała wojna, trudności gospodarcze dały asumpt wezwaniom do reform społecznych. Rząd odpowiedział represjami, wprowadzając prawa mające na celu uciszenie niezadowolonych. W sytuacji gdy Anglia walczyła na wielu frontach — w Ameryce, z Francuzami, z hiszpańską flotą — panowała obsesyjna atmosfera podejrzliwości, człowiek musiał trzymać język za zębami, bo każde słowo można było zinterpretować jako zdradę, a wszędzie czaili się donosiciele.

Dwa dni po zebraniu aleksandryjczyków siedzieli wieczorem w klubie. Desmond, rzekomo przeziębiony, nachylił się do Fryderyka i rzekł szeptem, upewniając się w ten sposób, że nie zostanie podsłuchany:

— Prawdę mówiąc, nie rozumiem, dlaczego wciąż tak im zależy, by stowarzyszenie działało w sekrecie. Nie żyjemy przecież w średniowieczu!

A Fryderyk, nieświadomy, że zmierza wprost w pułapkę, odparł:

— Sam wiesz, jak byłoby niebezpieczne, gdyby nasza tajemnica ujrzała światło dzienne. Jesteśmy ateistami, Desmondzie, choć w gruncie rzeczy najbardziej



bogobojnymi z ludzi. Ale winniśmy lojalność potężnej i silniejszej nawet od Korony brytyjskiej. Tego nikt nie zrozumie.

Bawiący w klubie panowie nie byli uczestnikami spisku, lecz po prostu uczciwymi ludźmi, którzy zapytani, powtórzyli wiernie to, co usłyszeli. Fryderyk nie miał do nich pretensji. Winić mógł tylko Desmonda Stone'a — i siebie.

— Zostałem skazany za zdradę — odpowiedział.

Po raz pierwszy w życiu Lamb nie mógł znaleźć słów. Tego człowieka czekała szubienica! Przez chwilę walczył z myślami, po czym rzekł:

— Powinien pan zatem pójść za moim przykładem i przynajmniej uczynić swój pobyt tutaj tak wygodnym, jak to tylko możliwe. Kiedy ktoś przyjdzie pana odwiedzić, proszę powiedzieć, żeby przyniósł pieniądze. Mój ojciec co tydzień przysyła mi przez służącego pewną kwotę, z której pokrywam swoje tutejsze wydatki.

— Nikt nie przyjdzie mnie odwiedzić. — Fryderyk przyglądał się, jak więźniowie obdzierają zmarłego z ubrania.

— Jak to: „nikt”?

— Nikt.

— Ale przecież musi pan mieć jakichś przyjaciół?

— Nie mam przyjaciół.

Ściąganie spodni napotkało przeszkodę, ponieważ jedna noga trupa była przykuta do podłogi. Mężczyźni szarpali i wykręcali stopę. Keyes odwrócił wzrok.

— Będzie pan głodował! — wykrzyknął Jeremy nie zwracając uwagi na tumult w kacie. Widywał tu już podobne sceny. — Strażnik ma obowiązek wydać więzionemu tylko jedną kromkę chleba i jeden kubek wody dziennie.

Keyes spojrział na niego prawie z gniewem.

— Nie mam nikogo.

Litość wezbrała w sercu tamtego tak gwałtownie, że łzy pociekły mu z oczu. Wyjmując chusteczkę, rzekł:

— A więc będzie pan dzielił moje lokum i prowiant. To bardzo niepraktyczne nie mieć w ogóle przyjaciół — orzekł Lamb, który miał ich setki.

Keyes znów miotał się po celi jak tygrys w klatce. Nie spał w nocy, nie chciał jeść, a teraz chodził tam i z powrotem wlepiając wzrok w okratowane drzwi. Poprzedniego dnia stwierdził, że nikt go nie odwiedzi, kogóż więc tak wyczekiwał?

Biedak, pomyślał Lamb przeglądając się w lustrze. (Cummings czesał mu włosy, jak gdyby znajdowali się w ubieralni wytwornego domu przy Mayfair.) Keyes nie został powiadomiony, kiedy odbędzie się egzekucja. Mogło to być dziś, mogło za miesiąc.

— To straszna kara za szczerość — mruknął doń Jeremy, niezbyt głośno, nie chciał bowiem, by z kolei jego słowa zostały wzięte za zdradę. — Zupełnie niedawno mówiłem właśnie do jej wysokości księżnej Yorku... — Jego głos mu zamarł, a oczy wyszły z orbit. — A niechże mnie! — wykrzyknął.

Keyes obrócił się, żeby sprawdzić, co go tak zdziwiło.

— Emma!

Brzoskwiniowo-żółtą zjawę, która zamajaczyła za kratą, zasłoniły od razu ciała przykutych najbliższych więźniów. Rzucili się do okienka wyciągając wychudłe ramiona, żebrząc o pożywienie, jałmużnę, wolność. Nad rozgardiaszem zadudnił krzyk strażnika, który tłukąc kijem w kratę zmusił ich do cofnięcia się pod ścianę. Drzwi zostały otwarte i do cuchnącej celi weszła dama w eleganckiej sukni i zdobionym wstążkami czepku.

— Emmo! — zawołał jeszcze raz Fryderyk, podbiegając do niej. — Powiedziałem ci, żebyś tu nie przychodziła!

— Nie mogłam nie przyjść, Fryderyku. Ja... — urwała. Jej oczy rozszerzyły się z przerażenia na widok przypominających szkielety nieszczęśników jęczących w chorobie i konających z głodu, nagich, brudnych i pogryzionych przez insekty mężczyzn z brodami sięgającymi pasa, błagających o wodę, kromkę chleba, zmiłowanie.

Jeremy szybko wygładził koc na pryczy i Keyes pomógł jej usiąść. Ujął jej ręce i znów łagodnym tonem złażał za to, że przyszła. Dodał jednak, że cieszy ją jego widok.

Emma Venable stanowiła drugi powód, dla którego Keyes trafił do więzienia.

Poznał ją dopiero przed rokiem, choć z urodzenia była aleksandryjką. Bractwo liczyło już teraz tysiące członków rozsianych po całym globie, niepodobna więc było znać wszystkich. Spotkali się na pogrzebie. Rodzice Emmy zginęli z rąk rabusia, który zatrzymał ich powóz na wiejskiej drodze i zażądał pieniędzy albo życia — w końcu zaś zabrał im i jedno, i drugie.

Złapano go i powieszono na najbliższych rozstajach. Ciało pozostało tam przez wiele tygodni jako przestroga dla innych rozbójników.

Później Fryderyk dość często ją widywał i zawiązała się między nimi przyjaźń, która z czasem przerodziła się w głębsze uczucie. Właśnie mieli się pobrać, gdy go aresztowano.

Emma wpadła w oko innemu. Była potomkinią rycerza Alaryka, toteż w bractwie bardzo ją poważano, co czyniło ją świetną partią. Keyes podejrzewał, że Desmond Stone, człowiek, który go posłał do więzienia, chce zapisać się w dziejach stowarzyszenia nie tylko jako architekt systemu obronnego Morven. Miał on większe ambicje: planował objąć władzę i posłużyć się rosnącym majątkiem i potęgą aleksandryjczyków dla własnych celów. Choć bractwo w założeniu było demokratyczne i każdy jego członek był równy pozostałym, nie można było zignorować imponującego rodowodu Stone'a, sięgającego wstecz aż do najwyższego kapłana Filosa — a wiadomo było, że kapłani Biblioteki wywodzili się zawsze z rodu panującego w Egipcie władcy. Z tego powodu wielu aleksandryjczyków szanowało Desmonda bardziej, niż na to zasługiwał. Poślubiając Emmę stworzyłby w łonie bractwa królewską dynastię.

Keyes poważnie się obawiał, że po jego śmierci Stone uwiedzie Emmę albo w inny sposób zmusi ją do małżeństwa.

Jeremy przyglądał się bladej owalnej twarzy młodej damy, jej loczkom zawaśniakowato sterczącym spod czepka, i w duchu modlił się gorąco, by ta zjawiskowa istota okazała się siostrą Keyesa.

— Fryderyku najdroższy, co to za straszne miejsce! Nie mogę znieść myśli, że tu jesteś!

Emma nie wiedziała o zdradzie Stone'a, podobnie jak nie wiedział o niej nikt z aleksandryjczyków. Gdyby Fryderyk powiadomił ich, że jego uwięzienie i skazanie to sprawa Stone'a, w bractwie nastąpiłby rozłam, członkowie zaczęliby się

wzajem podejrzewać, biorąc tę lub inną stronę. Dla dobra wszystkich Fryderyk gotów był zabrać sekret ze sobą na szubienicę.

Emma chwyciła go za obie ręce.

— Pobierzmy się teraz, zaraz, tutaj!

— Nie uczynię cię wdową po zdrajcy ani nie pozwolę, byś wypowiedziała święte ślubowanie w tym potwornym miejscu.

Jeremy ujrzał nagle Fryderyka w zupełnie innym świetle niż poprzedniego wieczoru. Nie był on opuszczonym przez wszystkich nieszczęśnikiem, jak przypuszczał Lamb.

Kiedy powiedział, że nikt go nie odwiedzi, Jeremy wysnuł wniosek, że nie ma przyjaciół, a nie, że zabronił im przychodzić do więzienia. Przyjaciele Jeremy'ego z własnej woli trzymali się z dala od Newgate.

Podziałało to na niego jak kubek zimnej wody. Zawsze postrzegał się jako miłego człowieka, serdecznie witanego, gdziekolwiek się pojawił, zapraszanego na wszystkie przyjęcia. Po raz pierwszy w życiu zrozumiał, że ludzie, których uważał za przyjaciół, nie zasługują na to miano. Dotąd mówił sobie, że wcale ich nie wini. Odwiedzanie więźnia nie jest niczym przyjemnym. A jednak ślicznej Emmie to nie przeszkadzało.

Jego spokój ducha legł w gruzach.

— Najdroższy — mówiła właśnie Emma — Horacy Babcock wybiera się w twojej sprawie do sekretarza stanu, będzie prosił o łaskę dla ciebie.

— Wiem. Miałem nadzieję, że już ją uzyskał. Ale nie obawiaj się, wkrótce będę wolny. Tymczasem, Emmo, muszę opracować plan zabezpieczenia Morven.

— Ależ na to jest za późno! Desmond Stone jest w Morven, rozpoczął już roboty.

— Nigdy nie jest za późno, Emmo. Dopóki żyję, będę zwalczał jego barbarzyński projekt. Przysięgam, że wymyślę jakiś cywilizowany sposób, by ochronić bibliotekę.

— Tam w sali sądowej... och, Fryderyku, jak oni nic nie pojmują! Byłeś taki dzielny, że nie zdradziłeś naszej tajemnicy!

Tu bowiem leżała przepustka Fryderyka do wolności: mógł wyjaśnić, że słowa poczytane za zdradę wcale nią nie były. Ale czyniąc tak, ujawniłby istnienie i cel bractwa.

Cóż za nieznośna ironia! Powierzono mu zadanie zabezpieczenia zbiorów przed złodziejami i szpiegami, a jedyną drogą, by mógł wypełnić to zadanie, było ujawnienie tejże właśnie instytucji, którą miał chronić! Podobnie jak Emma miał jednak nadzieję, że wpływowi aleksandryjczycy wywrą dostateczny nacisk na sekretarza stanu i zostanie ulaskawiony.

Kiedy dzwon wezwał odwiedzających do wyjścia, Fryderyk dał Emmie listę potrzebnych mu rzeczy i nazajutrz rano zjawiała się obładowana papierem i przyborami kreślarskimi, a także prowiantem, kocami i zmianą odzieży dla Fryderyka. Została, przez cały dzień karmiąc ich jajkami na twardo, świeżym chlebem, piwem i płoteczkami. Przyniosła też książki i karty do gry.

W rękawiczkach i czepku swobodnie zajęła miejsce na brudnej pryczy Jeremy'ego, jak gdyby przyszła na herbatkę do znajomych. W czasie gdy Fryderyk robił sobie miejsce na podłodze, żeby rozłożyć papiery, Emma paplała o nowym skandalicznym tańcu, który przywędrował z Wiednia i podbijał Anglię.

— Wyobraź sobie, Fryderyku — szczebiotała z ożywieniem — mężczyzna i kobieta obejmują się w tańcu! I to przez cały czas trwania utworu! Niektóre panie twierdzą, że w zatłoczonej sali balowej uścisk taki łatwo może stać się gorszący! Ale muszę ci wyznać, że sama chętnie spróbuję tego nowego tańca. Może kiedy stąd wyjdiesz...

Jeremy patrzył w nią jak w obraz. A to, co zobaczył w jej oczach, gdy rozmawiała z narzeczonym — coś więcej niż tylko miłość: oddanie i podziw, prawie cześć, jakby Keyes był jej bogiem — przypomniało mu, że na niego nikt tak nigdy nie patrzył, nawet pies.

Kiedy do celi wszedł więzienny kapelan, Fryderyk omal nie zemdlał ze strachu. Codziennie budził się z lękiem, że ten dzień będzie jego ostatnim, a zasypiał w przeświadczeniu, że nazajutrz poprowadzą go na szubienicę. Był więc pewien, że nadszedł jego czas.

Lecz kapelan podszedł do innego więźnia, a gdy ten wstał na uginających się nogach, Fryderykowi zrobiło się wstyd, że odczuł tak wielką ulgę.

Cummings gotował właśnie wodę na herbatę na maszynie spirytusowej dostar-

czonej przez Emmę. Jej wizyty dla wszystkich były błogosławieństwem; także on miał teraz bandażę pod kajdanami i maść na otarcia.

— Odprawiają tu msze co niedzielę — rzekł Jeremy, patrząc w ślad za skazańcem. — Poszedłem tam raz dla rozrywki, ale gwar był taki, że nie było słycać kazania.

Nie dodał, że odprawiano również specjalne niedzielne nabożeństwa dla tych, którzy mieli zostać straceni w nadchodzącym tygodniu. Tam panowała cisza; skazańcy słuchali o wiecznym potępieniu stojąc nad otwartymi trumnami, w których wkrótce mieli spocząć.

— Zresztą — podjął — bardziej niż zbawienie dusz tych owieczek interesują pastora opowieści o ich czynach, które potem sprzedaje wydawcom pamfletów i nieźle na tym zarabia.

Zdumiewające doprawdy, jak bardzo czytelników pociąga świat zbrodni!

Nazajutrz rano, wkrótce po przybyciu Emmy, rozdzwonił się żałobnym tonem dzwon na wieży — znak, że niebawem odbędzie się egzekucja. Więziennym korytarzem szedł strażnik z ręcznym dzwonkiem, którym potrzasał rytmicznie, wykrzykując:

Wy tu, na których zapadł wyrok ziemski, Wkrótce staniecie przed sądem niebieskim. Módlcie się, oto zbliża się godzina, Gdy ukarana będzie wasza wina. Czyńcie pokutę, póki jeszcze pora, By później w piekle znów nie pokutować. A kiedy jutro sądny dzwon zadudni, Niech wasze zbrodnie dobry Bóg odpuści!

Biednego skazańca uwolniono wreszcie z kajdan i wywleczono z celi. Nie stawił oporu, została z niego bowiem tylko skóra i kości. Ale blada jak ściana Emma dostrzegła w jego oczach zdumienie.

— Czym przewinił? — spytała zdławionym głosem.

— Był posłańcem pocztowym. Skradł list zawierający dziesięć funtów — odparł cicho Jeremy. — Podobno oczekiwał na egzekucję przez pół roku.

Emma zaczęła płakać, lecz po chwili zmusiła się do spokoju. Fryderyka nie spotka taki los. Aleksandryjczycy zdobędą dlań ułaskawienie.

Keyes nie sypiał dobrze — w nocy nękały go szczury i koszmarne sny, a

przede wszystkim obsesyjna myśl, że musi powstrzymać Desmonda Stone'a przed wprowadzeniem w życie brutalnego planu ochrony Morven. We dnie krążył tam i z powrotem po wilgotnych kamieniach, rozrzucając butami zgniłą słomę, ignorując jęki i krzyki współwięźniów i nieustającą paplaninę Lamba. Jak zabezpieczyć Morven?

Kiedy przyszła Emma, obaj z Jeremym od razu spostrzegli, że ma zaczerwienione, zapuchnięte oczy. Podskoczyli do niej, troskliwie przeprowadzili ją przez celę i usadowili na pryczy. Nie mogła wydobyć z siebie głosu. Otrzymała wiadomość, że Fryderykowi odmówiono łaski.

Rozplakała się znowu. Fryderyk stał nad nią, a na twarzy malowało mu się silne postanowienie. Desmond Stone używając swego majątku i osobistych powiązań dopilnował, aby prośba o ułaskawienie została odrzucona.

— Emmo — rzekł łagodnie — posłuchaj mnie, idź do domu.

— Nie!

— Proszę cię, najdroższa. Muszę pomyśleć. Stworzyć plan... — Słowa uwięzły mu w gardle. Spojrzał na swoje bezużyteczne szkice. Stone miał rację: nie miał już żadnych pomysłów.

— Nienawidzę tego miejsca — szlochała Emma. — Strażnicy na każdym kroku wciąż żądają pieniędzy. Muszę płacić szylinga, żeby ktoś mnie do ciebie przyprowadził, bo sama nie zdołałabym trafić. Nawet Tezeusz zgubiłby się w tym labiryncie...

Fryderyk znieruchomiał, wpatrując się w nią w osłupieniu.

— Coś ty powiedziała? Podniosła na niego zapłakane oczy.

— Porównałam więzienie do labiryntu Minosa — odparła zdziwiona. — Przecież znasz ten mit.

— Nie szkodzi, opowiedz mi go.

— Ale po co?

— Opowiedz, proszę!

— Egeusz, król Greków, musiał płacić kretańskiemu królowi Minosowi co-

roczną daninę z siedmiu młodzieńców i siedmiu dziewic. Fryderyku, dlaczego chcesz...

— Mów dalej, proszę.

— Nieszczęśników tych sprowadzano do podziemnego labiryntu, w którym mieszkał Minotaur, pół człowiek, pół byk. Ofiary gubiły się w labiryncie, a potwór je pożerał.

— Dopiero syn Egeusza, Tezeusz — wpadł jej w słowo Fryderyk, zapalając się — postanowił zabić Minotaura i sam zgłosił się na ofiarę. Udało mu się zgłodzić potwora, a drogę powrotną znalazł dzięki temu, że przed wejściem do labiryntu uwiązał kłębek uprzedzonej wełny, który rozwijał za sobą!

— Fryderyku...

— Mam! — krzyknął.

Wiedział już, co zrobi, ale miał mało czasu. Musiał zdążyć, zanim przyjdzie po niego kat.

Teraz Fryderyk miał jeszcze większy problem. Wpadł co prawda na pomysł, jak w sposób humanitarny zabezpieczyć bibliotekę.

Ale kto dostarczy plany do zamku Morven? Emma była jedyną osobą, której mógł zaufać, ale Emma była młoda i naiwna. Desmond na pewno śledzi jej każdy ruch. Dając jej plany, Fryderyk wystawi ją na niebezpieczeństwo.

Emma siedziała w celi nad robótką. Miała na sobie jedwabną suknię i nowy czepek, lecz do haftowania zdjęła rękawiczki. Wciąż go odwiedzała mimo sprzeciwów Fryderyka. Inny aleksandryjczyk miał się za nim wstawić do samego premiera i dziewczyna niezachwianie wierzyła, że mu się powiedzie. Oznajmiła narzeczonemu, że będzie przychodzić codziennie aż do dnia, w którym go uwolnią.

Niestety Fryderyk stracił już nadzieję, że tak się stanie.

Głowił się właśnie, co zrobić z planami, kiedy mimochodem podniósł wzrok i zobaczył wyraz twarzy Jeremy'ego Lamba.

I znalazł rozwiązanie drugiego problemu.

Jeremy sam nie wiedział, co ma o nim myśleć. Wszyscy skazańcy z chwilą,



gdy stawało się dla nich jasne, że nie ujdą z życiem, załamywali się i wpadali w apatię. Ale Keyes się nie poddawał. Pracował dzień i noc, rozkładał na brudnej posadzce wielkie płachty papieru, kreślił na nich linie, gryzmolił liczby, zonglował przykładnicami, cyrklami i ekierkami. Ścigał się z czasem — musiał ukończyć projekt, nim poprowadzą go na szubienicę.

Jeremy był skonfundowany. Cóż to za człowiek, który poświęca ostatnie chwile życia na pracę?

Oczywiście rozumiał motywy Fryderyka — miejsce zwane Morven i zabezpieczenie Jakiejś tam kolekcji. Przykład Keyesa podziałał nań otrzeźwiająco. Mając lat trzydzieści sześć Jeremy nie mógł się pochwalić wieloma życiowymi dokonaniami, jeśli nie liczyć zakurzonego patentu oficerskiego i szafy wypchanej kosztowną odzieżą. Kiedy próbował wyobrazić sobie własną przyszłość, widział starzejącego się bufona, którego inni wykpiwają za plecami. Sam znał paru takich. Ale jakież miał wybór? Miałby schować dumę do kieszeni, ukorzyć się przed ojcem i do końca życia pleśnieć jako buchalter w jego kancelarii? Był już za stary, żeby iść na uniwersytet albo uczyć się jakiegoś zawodu. I co koniec końców napiszą na jego grobie? Tu leży Jeremy Lamb — facet, który się dobrze ubierał.

Emma przynosiła im jedzenie, czystą odzież i wieści. Ukończono nareszcie budowę nowego teatru przy Drury Lane; Beethoven wykonał swoją nową symfonię, już ósmą. Pewien szwajcarski podróżnik odkrył wspaniałą egipską świątynię w miejscowości zwanej Abu Simbel. Wszyscy spekulowali, czy panu Champolion uda się odczytać egipską część kamienia z Rosetty.

Ale Fryderyk, zamiast cieszyć się każdą cenną chwilą spędzoną w jej towarzystwie, mówił zwykle:

— Emmo, może zagrasz w karty z Jeremym? Muszę popracować.

Ulegała mu bez słowa.

Innym razem prosił: „Emmo, przynieś trochę tej cudownej maści na rany. Jeremy'ego pogryzł szczur”. Albo: „Musisz koniecznie poczęstować Jeremy'ego twoimi babeczkami z konfiturą. Jestem pewien, że nigdy nie jadł czegoś tak wspaniałego”. A w końcu: „Emmo, opowiedz Jeremy'emu o naszej misji odtworzenia oryginalnego tekstu Biblii”.

Jego kampania była tak subtelna, że ani Emma, ani Jeremy (który nie posiadał się z radości, że tak piękna panna zaszczycą go swą uwagą) nie mieli pojęcia, do

czego zmierza.

— Czyż Biblia, którą znamy, nie jest tą oryginalną? — spytał Lamb zaciękwiony, lecz przede wszystkim upojony towarzystwem niebiańskiej istoty, której twarz, głos, zapach zmieniały więzienne piekło w raj na ziemi.

— W pierwszych latach chrześcijaństwa krążyło wiele relacji i zapisów — odparła — które dzieliły chrześcijan na zwalczające się sekty i powodowały różnice w ich wierze. Uznawszy, że muszą stanowić jedność, zasiedli razem i uradzili, które teksty mają wejść do kanonu, a które nie. Odrzucone pisma ogłoszono hereetyckimi i z czasem zaginęły, jak na przykład ewangelia świętego Tomasza. Aleksandryjczycy poświęcili setki lat na poszukiwania pominiętych apokryfów i ponowne włączenie ich do zbioru.

— Zdumiewające! — wykrzyknął Jeremy, zastanawiając się, skąd tyle mądrości w tej ślicznej dziewczęcej główce.

— Podobnie Stary Testament; też jest niekompletny. Brakuje w nim wielu ksiąg.

— Skoro ich brakuje, to skąd o nich wiemy? — spytał Jeremy zauważając, że jedną z bladofiołkowych tęczówek Emmy zdobi ledwie widoczna czarna plamka.

— Sama Biblia o nich wspomina, na przykład w księdze Jozuego, rozdział dziesiąty, werset trzynasty: - zatrzymało się słońce, i miesiąc stanął, aż się lud pomścił nad nieprzyjacioły swemi.

Azali nie jest to zapisane w Księdze Jashera?\*<sup>3</sup>

Uważamy, że oprócz wspomnianej Księgi Jashera jest osiemnaście innych, które z takiego czy innego powodu nie zostały włączone do Starego Testamentu.

Jeremy pochylił się naprzód, opierając na kolanach splecione, zaciśnięte z emocji ręce. Zachełona jego zainteresowaniem Emma ciągnęła:

— Jesteśmy już bardzo bliscy skompletowania zbioru. Szukamy jeszcze Pieśni Miriam i jednej albo może dwóch ewangelii. Gdy je odnajdziemy, Biblia stanie się

---

<sup>3</sup> \* Współczesne przekłady biblijne podają: „w księdze Prawego” (Sprawiedliwego itp.). Różnica wynika z błędu w pierwotnym przekładzie hebrajskiego tytułu; przymiotnik został w nim odczytany jako imię własne.

kompletna, idealna!

Jeremy błdził wzrokiem po jej czepku przybranym wstążkami i kwiatami. Nigdy go nie zdejmowała, co stało się źródłem jego tajonej obsesji. Wymykające się spod nakrycia głowy kasztanowate loki kusiły go nieznośnie. Miał chęć zerwać czepek i zanurzyć palce w lśniących pasmach włosów, co uwięzione w bezlitosnych splotach czekały na mężczyznę, który je uwolni.

Następnym razem Emma wyjęła niewielką książeczkę.

— Skoro pana to interesuje, panie Lamb, przyniosłam ze sobą ewangelię świętego Tomasza.

Zacząła czytać:

— Rzekli uczniowie do Jezusa: Powiedz nam, jaki będzie nasz koniec? Odrzekł Jezus: Czyście odkryli już początek, by szukać końca? Tam bowiem, gdzie jest początek tam będzie i koniec. Błogosławiony, kto stanie na początku — pozna koniec i nie zakosztuje śmierci. A dalej napisano: Rzekł Jezus: Jeśli pytają was, skąd jesteście, odpowiedzcie im: „Przybyliśmy ze światłości, z miejsca, które jest światłością samą z siebie, która powstała i objawiła się w swych obrazach.”

Kasztanowate loki zdrzały. Jeremy marzył, by ich dotknąć.

— Rzekł Jezus: Ja jestem światłością, która jest ponad wszystkimi. Ja jestem Pełnią, ze mnie wszystko pochodzi i we mnie się zawiera. Rozłupcie drzewo, ja tam jestem. Podnieście kamień, a znajdziecie mnie pod nim. — Emma opuściła książkę na kolana i spojrzała na niego. — I rzekł jeszcze: Wyszędłem z Pierwszej Tajemnicy, która jest tajemnicą ostatnią; która leży u początku wszystkiego, co istnieje. Jest ona bowiem wypełnieniem Pełni, skarbem Światłości...

Zamknęła książkę, mówiąc:

— My także nazywamy ją Światłością.

Jeremy'emu przemknęło przez myśl, że Emma sama jest światłością. Rozjaśniła jego mroczny świat, była dlań promieniem słońca. Zrozumiał, że ją kocha — rozpaczliwie i bez nadziei.

— Proszę mówić dalej — rzekł zdławionym głosem.

— Czeka na nas wielkie cudowne światło, panie Lamb. Zostało to przepowie-

dziane dwadzieścia jeden stuleci temu przez Aleksandra Wielkiego. Bóg przyjdzie do nas w Światłości, jednocząc w niej wszystkich ludzi, tych dawnych i żyjących obecnie. Albowiem ze światła zostaliśmy stworzeni i do światła powrócimy jednocząc się z tymi, których kochaliśmy.

— Jakżebym chciał w to uwierzyć — szepnął, dodając w duchu: „Ukochana!”

— Śmierć nie jest ciemnością, panie Lamb, lecz światłem. Nie jest końcem, a początkiem.

Fryderyk Keyes, pochylony nad swymi planami, podniósł wzrok na kobietę, którą on także kochał, i z wielkim bólem w sercu zobaczył, że jego podstęp działa.

Fryderyk kreślił, a Emma grała z Jeremym w karty, gdy nagle podniósłszy głowę ujrzała ze zdumieniem grupę ludzi za drzwiami. Zaglądali do celi przez kratę i pokazywali palcami, niektórzy się śmiali, inni potrząsali głowami, jakaś dama łkała w chusteczkę.

— Kim są ci ludzie?

— Zwiedzający. Płacą za to, żeby obejrzeć skazańców oczekujących egzekucji.

Emma skoczyła na równe nogi, karty wypadły jej z dłoni.

— Czyście poszaleli, niegodziwcy? — zawołała.

— No, no! — rzekł strażnik. — I czego się panienka złości? Zapłacili pieniądze, to niech se popatrzą. — Zwracając się do grupy oznajmił głośno: — Wieszamy co poniedziałek rano. Każden jeden może przyjść popatrzeć, ino trzeba zapłacić.

A jak kto chce mieć fotel z dobrym widokiem, musi dać dziesięć funtów. Po mojemu warto. Pozwolą szanowne państwo dalej.

Fryderyk przerwał pracę, żeby uspokoić rozdygotaną Emmę.

Odciągnął ją na bok.

— Spokojnie, moja droga, spokojnie — powtarzał półgłosem, głaszcząc ją po dłoni.

Żeby zatrzeć przykry nastrój, zajął ją rozmową. Po chwili jakby mimochodem

spytał, co sądzi o młodym Jeremym. Emma odsunęła się i spojrzała nań badawczo.

— Dlaczego pytasz?

— Ot tak, po prostu byłem ciekaw.

— Dla mnie on nie jest młody.

— Wiesz, co miałem na myśli. Lubisz go?

— Nie jest mi wstrętny, i tyle.

— To więcej, niż może powiedzieć wiele kobiet. W jej spojrzeniu odmalował się szok.

— Fryderyku, do czego ty zmierzasz?

— Moja najdroższa dziewczyno, nie masz nikogo, kto by otoczył cię opieką.

— Mam ciebie.

— Nie będę mógł się tobą opiekować.

— Jestem pełnoletnia! — Emma hardo zadarła podbródek.

— I właśnie o tym mówię. Nie ufam Desmondowi. Chce cię poślubić z paru niegodziwych powodów. Żadnym z nich nie jest uczucie.

— Desmond Stone? — Emma spojrzała na niego z niedowierzaniem. — Ależ nigdy w życiu bym za niego nie wyszła!

Możesz nie mieć wyboru, skonstatował w duchu, ale zmilczał, nie chcąc jej straszyć.

— Co byś powiedziała, gdybym poprosił Jeremy'ego, żeby zaopiekował się tobą po mojej śmierci?

— Fryderyku, nie wolno ci porzucać nadziei! Ujął ją za rękę.

— Emmo, musisz być silna przez wzgląd na mnie, na naszych braci w zakonie

i na całą ludzkość. Kiedy projekt będzie gotowy, chcę, żebyś go zawiozła do Morven i dopilnowała, aby został wykonany. Nie możemy zwlekać z tym do ułaskawienia, którego mogą się nie doczekać. Jeremy wkrótce wyjdzie na wolność. Jedźcie razem. Jeśli tego nie zrobisz, obawiam się, że Światłości zagrożą prywatne ambicje Desmonda Stone'a.

Plany były gotowe.

— Dam te ryciny Emmie — rzekł Keyes do Jeremy'ego. — Zawiezie je aleksandryjczykom. Boję się jednak, że w podróży może jej grozić niebezpieczeństwo. Potrzebny jej opiekun, ktoś, kto będzie jej bronił.

— Ale na miłość boską, dlaczego ja?

— Bo widzę, z jaką miłością i czułością pan na nią spogląda. Wiem też, że Emma darzy pana przyjaźnią.

Jeremy patrzył na niego długo.

— Drogi panie Keyes, pochlebia mi pan. Ale ja bynajmniej nie jestem herosem. Ludzie nie pokładają we mnie zaufania; mówią, że jestem nieodpowiedzialny, lekkomyślny i próżny.

Keyes uśmiechnął się.

— Nie tylko, panie Lamb, nie tylko. Przede wszystkim jest pan dobrym człowiekiem. Kiedy tu przybyłem, podjął mnie pan szczerze i otoczył opieką nie bacząc na własne wygody, sądził pan bowiem, że zostałem opuszczony przez wszystkich. Ofiarował mi pan swą przyjaźń z dobroci serca, a tu, gdzie każdy myśli tylko o sobie, to bardzo wiele. Powtórzę jednak: przede wszystkim widzę, jakim wzrokiem patrzy pan na Emmę. Jest w nim czułość, a nie rozpusta i chęć posiadania, jak w oczach Stone'a, dla którego Emma jest tylko zachcianką. Wiem zatem, że będzie pan dla niej dobry.

Jeremy był w rozterce. Kochał Emmę nad życie, ale Keyes nakładał nań zbyt wielką odpowiedzialność. Emma nigdy nie spojrzy na niego takimi oczami, jakimi patrzyła na Fryderyka. Czy mógłby z nią żyć wiedząc, że duch tamtego zawsze będzie stał pomiędzy nimi?

— Przykro mi to mówić — rzekł — lecz nie jestem człowiekiem, jakiego pan szuka. To wina skazy leżącej w moim charakterze. Ponadto jak mówi przysłowie,

starego psa nie sposób nauczyć nowych sztuczek.

Żałował, że Keyes go o to poprosił. Teraz myśl o tym, że miałby zaopiekować się panną Venable, prześladowała go nawet we śnie. Z wyjątkiem krótkiego pobytu w więzieniu życie płynęło mu bez wysiłku. Spodziewał się, że tak samo będzie po uwolnieniu: znów spotka się z przyjaciółmi, wróci na salony, będzie się bawił jak dawniej. Nie chciał dźwigać brzemienia odpowiedzialności za drugą osobę — zwłaszcza osobkę tak subtelną i delikatną jak panna Emma! Keyes uroił coś sobie, ceniąc go tak wysoko. Nikt aż tak nie cenił Jeremy'ego Lamba, a już najmniej sam Jeremy Lamb. Albo przeciwnie, uważał go za głupca, który da się wziąć na lep pochlebstw? „Jest pan dobrym człowiekiem, panie Lamb.” Bzdury.

Jeremy krążył jak lew pośrodku celi, na przemian wściekły, zrozpaczony, pełen odrazy do siebie i beznadziejnie zakochany, podczas gdy nieświadom jego wewnętrznych zmagania Keyes na klęczkach wykańczał plany architektoniczne rozpostarte na podłodze.

Lamb powiedział sobie twardo, że ma inne sprawy na głowie. Termin jego uwolnienia niebezpiecznie zbiegał się z otwarciem sezonu łowieckiego w posiadłości księcia Norfolk. Musiał jechać na Savile Row i zamówić nową garderobę. Oby jego krojczy był uchwytny, bo w przeciwnym razie...

— A tu, panie i panowie, trzymamy najbardziej zatwardziałych i krwiożerczych zbrodniarzy. Wszystkich ich czeka szubienica albo dożywotnie więzienie. Bądźcie państwo łaskawi podejść i przyjrzeć im się na własne oczy.

Znów zwiedzający. Jeremy dziękował Bogu, że Emma jeszcze nie przyszła. Miał ochotę oblać ich nieczystościami z wiadra.

— Kiedy ten człowiek zostanie powieszony? — rozległ się gładki głos z akcentem wyższych sfer.

Mężczyzna wskazywał klęczącego na podłodze Fryderyka. Jeremy przyjrzał mu się uważniej. Wysoki, smukły, nienagannie ubrany, godnie uniesiona głowa. Ale oczy miał twarde, a wokół ust linie świadczące o okrucieństwie. Jeremy znał takich jak on.

Dlaczego wskazywał właśnie Keyesa?

— Nie wiem, milordzie — odparł strażnik. — Jedno co mogę powiedzieć, to że szubienica rzadko stoi pusta. Sędziowie skazują ich szybciej, niż nadążamy

wieszać. A teraz przejdziemy do części kobiecej, gdzie zobaczą państwo najbardziej osławione londyńskie ladaczniczki...

Grupa ruszyła dalej, lecz wysoki mężczyzna pozostał przy drzwiach patrząc na Keyesa. Usta wykrzywił mu zimny uśmiech. Jakby wyczuwając jego obecność, Fryderyk podniósł wzrok, a wyraz, który przemknął mu po twarzy, sprawił, że Jeremy'emu krew zastygła w żyłach.

Wiedział już, kim jest zwiedzający.

— Już za późno — rzekł wysoki mężczyzna. — Pułapki są gotowe. — Zażył się lekko i ruszył dalej.

Fryderyk nie był w stanie dźwignąć się z podłogi. Jeremy podskoczył, żeby mu pomóc. Twarz Keyesa była szara, oblana potem.

— Stone... — szepnął, kiedy Jeremy przytknął mu do ust kubek z wodą. Stone, człowiek, który go tu wtrącił.

I który pożył Emmy.

— Nie mamy wiele czasu — rzekł pospiesznie Fryderyk. — Jutro pan stąd wyjdzie. Muszę panu zwierzyć pewną tajemnicę.

Widok Stone'a zmienił jego decyzję. Nie mógł dopuścić, żeby słodka Emma dostała się w łapy tego drania.

— Zostałem oskarżony i skazany za zdradę, powiedziałem bowiem, że istnieje moc wyższa od Korony i Boga. Miałem na myśli ludzkość, ale nie mogłem powiedzieć tego sędziom, bo jest to najpilniej strzeżony sekret Aleksandryjczyków.

Jeremy nie rozumiał, o czym tamten mówi. Nie miało to wszakże znaczenia, bo podobnie jak Fryderyk czuł, że wizyta Stone'a zwiastuje rychłą egzekucję. Plany architektoniczne były gotowe, czekały na Emmę, która miała je zabrać do Morven. Fryderykowi pozostało tylko dopuścić Jeremy'ego do tajemnicy. Przez wzgląd na Emmę musiał to zrobić.

— Nie jesteśmy szaleńcami, panie Lamb. Aleksandryjczycy to wykształceni, myślący ludzie, którzy wiedzą, że ludzkość stoi u progu zdumiewającej przemiany. Nowa era przyniesie urodzaj nowych technik, również takich, jakich jeszcze świat nie widział. Parowozy, o których pan zapewne słyszał, używa się bo-



wiem w kopalniach, będą pędzić jak błyskawice, a cały świat pokryje sieć dróg żelaznych. Także statki będą poruszać się szybciej, ludzie zbudują latające maszyny i wymyślą takie środki porozumiewania się, o jakich dotąd nikomu się nawet nie śniło. W roku 1550 matka Shipton prorokowała: „Myśl ludzka w mgnieniu oka obleci świat dokoła”. — Keyes pochylił się do przodu. — Proszę mnie posłuchać, przyjacielu. To, czy wierzy pan w moje słowa czy też nie, jest w istocie nieważne. Ważne jest to, że stoimy u progu nowej ery, że nasza mrówcza praca polegająca na gromadzeniu i strzeżeniu dzieł ludzkiej myśli dobiega końca i niebawem przejdziemy do naszej właściwej misji.

— Czyli? — Jeremy zmierzył go nieufnym spojrzeniem. Kiedy Keyes mu powiedział, Jeremy zachnął się tylko:

— Ależ to absurd!

Jednakże dało mu to wiele do myślenia. Zgodził się też, że bezpieczeństwo biblioteki jest sprawą najwyższej wagi.

Niemal całą noc przewracał się bezsennie. Czuł się teraz silny i ważny, układał plany, snuł fantazje na temat Emmy. Jutro będzie wolny! Otworzy nową kartę w swoim życiu. Nie będzie już zaciągał długów — żadnych zakupów na kredyt! Znajdzie sobie posadę — choćby jako kancelista u ojca. Oczywiście nadal będzie się spotykał z przyjaciółmi. Człowiek nie zrywa przecież z dnia na dzień wieloletnich znajomości. Ponadto obowiązkiem dżentelmena jest dbać o swój wygląd, nadążać za modą i wyróżniać się strojem spośród pospólstwa. Zatrzyma więc tylko jednego, najwyżej dwóch krawców z Bond Street. Oraz oczywiście fryzjera, szewca i importera jedwabnych fularów. Przydałoby mu się też kilka par nowych rękawiczek i tabakierka...

Zapadł w sen, najspokojniejszy od trzech miesięcy.

Gdy się obudził, przeżył wstrząs.

W celi był kapelan, rozmawiał cicho z Fryderykiem. A zatem egzekucja miała się odbyć już dzisiaj!

Keyes powiedział o tym Emmie, kiedy przyszła. Rozszlochała się spazmatycznie; Fryderyk tulił ją w ramionach i przemawiał do niej ciepło i czule, aby ukryć ból rozdzierający mu duszę.

— Obiecuj, że będziesz się trzymać Jeremy'ego. Prosto stąd jedźcie do

Morven. Nie zostawajcie na egzekucji. Wolę, żebyś mnie zapamiętała żywego.

Płakała z twarzą wtuloną w jego pierś.

— Obiecuj mi to, Emmo!

Jeremy patrzył na nich i pękało mu serce. Żadna kobieta nie kochała go tak, jak Emma Fryderyka — i przeczuwał, że żadna go tak nie pokocha. Oczyma duszy zobaczył swoją przyszłość wyraźnie jak na dłoni: niekończący się ciąg przyjęć, plotek, krawców, mijające kolejne puste lata, aż w końcu umrze, samotny i niekochany, a jego imię zostanie zapomniane, bo niczego w życiu nie dokonał.

A potem pomyślał o Desmondzie Stonie, człowieku bogatym, potężnym i bezwzględny. Wiedział, że nie jest dla niego godnym przeciwnikiem, nie zdoła ochronić przed nim Emmy.

Rozwiązanie zaświtało mu tak jasno jak pogodny letni dzień.

Przełknął ślinę, zebrał całą swą odwagę i ściskając dłonie w pięści, wypalił:

— Fryderyku, niech pan idzie. Zabierze Emmę i swoje plany do Morven.

Tamtych dwoje odwróciło się jak na komendę.

— Co?!

— Kiedy mnie wywołają, pan odpowie. Ja tu zostanę.

— Nie! — krzyknęła Emma.

Jeremy mówił szybko, dygocząc ze strachu, jakby już czuł na szyi zaciskającą się pętlę:

— Kaucja za uwolnienie została wpłacona, strażnik wkrótce wywoła Jeremy'ego Lamba. Nie będzie sprawdzał, czy pan naprawdę nim jest, obchodzi go tylko, żeby stan się zgadzał. A kiedy wezwą Fryderyka Keyesa, ja się zgłoszę.

— Na Boga, człowieku, nie mogę na to pozwolić!

— Nigdy w życiu nie postąpiłem bohatersko. Niech mi pan tego nie odbiera.

— Nie pošlę niewinnego człowieka na szubienicę!

— Pańskie życie znaczy więcej niż moje. Ma pan przed sobą cel, ja żadnego. Inni pana potrzebują, Fryderyku. Mnie nikt.

— Nie zrobię tego! — krzyknął zdławionym głosem Keyes.

— Niech pan posłucha, przyjacielu: powiedział pan kiedyś, że jestem dobrym człowiekiem. Proszę mi pozwolić zasłużyć na to miano.

Keyes spróbował z innej beczki:

— To się nie uda. Stone z pewnością będzie na widowni i spostrzeże, iż to nie mnie prowadzą na szafot.

— Z tego, co pan mówił o nim i jego zdradliwej naturze, wnoszę, że nie ośmieli się skarżyć, ściągnąłby bowiem na siebie podejrzenia, że maczał w tym palce.

— Ale ja po prostu nie mogę pozwolić na taką ofiarę! Jeremy złapał go za ramię. Oczy mu płonęły, choć twarz miał trupio bladą.

— W ciągu całego czasu, jaki tu spędziłem, nie odwiedził mnie nawet pies! Nikt nie pomyślał, że mogę czegoś potrzebować; wszystkie wygody, czystą odzież, nawet jadło, musiałem sobie kupić! Jestem sam, Fryderyku, a moje życie nie ma żadnej wartości. Ten czyn nada mu coś, o czym nawet nie śmiałem marzyć: godność i sens. Jeśli istnieje czy to Światłość, czy Bóg, spotkamy się ponownie.

Fryderyk spojrział mu głęboko w oczy i zobaczył w nich udręczoną duszę.

— A pański ojciec? — rzekł ochryple, bo całkiem zaschło mu w gardle. — Przecież czeka na pańskie uwolnienie.

— Pomyśli, że jak zwykle stchórzyłem i uciekłem do Francji przed kolejnymi wierzycielami. Gdy zaś przez czas dłuższy o mnie nie usłyszy, dojdzie do wniosku, że jego prorocтва w końcu się spełniły i szczełem marnie. Nie będzie za mną tęsknić.

— Ja będę za panem tęsknić. — Twarz Emmy była mokra od łez.

Jeremy ujął ją za rękę i rzekł:

— Proszę, błagam, niech mi pani zaręczy, że to, co mówiła pani o Światłości,

jest prawdą.

— Przysięgam panu, Jeremy, całym swoim sercem i całą duszą, że to prawda.

Poprosił ją jeszcze o jedno: żeby zdjęła czepek. Zrobiła to, a na widok jej wspaniałych włosów łzy napłynęły mu do oczu. Podziękował, całując jej dłoń.

— Do ciebie, Fryderyku, mam jeszcze jedną, ostatnią prośbę. Jeśli zdołasz, wykup stąd Cummingsa. Ukradł pieniądze, żeby nakarmić swoje dzieci. Ale to w gruncie rzeczy przyzwoity facet i dobrze mi służył. A teraz idźcie, prędko. Jedźcie bez przestanku i powstrzymajcie Stone'a.

— Jeremy Lamb! — krzyknął strażnik, podzwaniając przy zamku pękiem kluczy.

Fryderyk uścisnął przyjaciela, obrócił się i zawołał:

— To ja!

Wziął Emmę za rękę i pospieszyli korytarzem do wyjścia, mijając po drodze pomocnika kata, który szedł po skazańca.

— Fryderyk Keyes! — zawołał. Posłyszeli z oddali głos Jeremy'ego:

— Jestem!

Na zewnątrz powietrze pachniało jeszcze rosą, dzwon na wieży dzwonił głośno i posepnie, a widzowie pchali się na egzekucję, chcąc zająć dobre miejsca. Fryderyk i Emma spiesznie skręcili za róg.

Ofiara Jeremy'ego ciążyła Fryderykowi na sumieniu aż do śmierci. Latami zadawał sobie pytanie: „Jeśli ocalałem własne życie kosztem innego, czy naprawdę przeżyłem?”

— W zamian za ten dar, kochany — pocieszała go wierna Emma — ofiarowałeś mu inny dar: Światłość.

**Część czwarta.**

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY.

— Wygląda na bezludną — stwierdziła Candice, lustrując wyspę przez lornetkę.

Wschodni kraniec był płaski, porośnięty wysoką trawą; zachodni, okryty gęstym lasem, tonął we mgle. Nigdzie nie było widać śladów działalności ludzi.

Po krótkim locie z Londynu wynajęli samochód i ruszyli przez urodzajne ziemie południowo-wschodniej Szkocji, poprzetykane polami golfowymi i łagodnymi pagórkami, gospodarstwami i małymi nadmorskimi kurortami. Mężczyzna z gospody Pod Ostem powiedział: „Z Ayr pojedzie pan wzdłuż drogi numer A78 na północ, ale nie główną drogą, tylko trasą widokową. Gospoda jest po prawej, nad klifem. Jeśli zobaczy pan zamek Culzean, to będzie znaczyć, że zajechał pan za daleko”.

Dostrzegłszy drogowskaz zjechali z szosy i dotarli do maleńkiej wioski, przez którą biegła wąska brukowana ulica. Sędziwa, wyglądająca na paręset lat gospoda była tutaj jednym z większych budynków. Bruk kończył się zaraz za nią; dalej było pastwisko ciągnące się aż do urwistego brzegu Firth of Clyde.

Stali teraz na krawędzi klifu patrząc na wyspę oznaczoną na mapie nazwą Morven.

— Myślisz, że Philo tam jest? — spytała Candice mrużąc oczy w blasku opadającego już nad horyzont słońca.

Glenn zerknął za siebie, na gospodę będącą skrzynką kontaktową w poczynaniach Philona. Potem spojrział w dół. Pod nogami mieli pionowe skały podziurawione ukrytymi pieczarami, a u ich stóp skrawki piaszczystej plaży. Zauważył stromą ścieżkę schodzącą na brzeg i chybotliwą keję, do której przycumowana była motorówka.

— Sami się przekonajmy.

Łódź była stara, ale silnik wyglądał na zadbany. Po kilku solidnych szarpnięciach rozrusznika zakaszał i ożył. Oddalili się od lądu, stopniowo nabierając prędkości.

Siedzieli obok siebie wystawiając twarze na wiatr i nie patrząc na malejący za plecami klif, lecz ku tajemniczej wyspie, która zdawała się coraz szczelniej owijać wieczorną mgłą. Przybiwszy do brzegu, zarzucili plecaki, wyciągnęli łódkę na kamienistą plażę i ruszyli w głąb wyspy, chrzęszcząc podszwami po żwirze. Wkrótce jednak ich kroki ucichły w soczystej trawie przetykanej kępami gąbczastego mchu.

Na skraju lasu w ziemię wbity był słup z tabliczką:

KWARANTANNA

NIE WCHODZIĆ

ZAGROŻENIE EPIDEMIĄ.

Ostrzeżenie podpisane było przez Departament Zdrowia Publicznego Szkocji.

Wyczuleni na każdy ruch i szmer, zagłębili się pomiędzy drzewa, depcząc muchochomory i zeszłoroczne liście zaścielające podmokłą ziemię, wdychając grzybny zapach pleśni i butwiejącej ściółki. Po pewnym czasie dotarli do zardzewiałego ogrodzenia z drutu kolczastego. Wisiała na nim inna tabliczka, stara i upstrzona rdzawymi plamami, na której jednak dało się odczytać niewyraźny napis: LABORATORIA MORVEN.

— Laboratoria? — szepnęła Candice. — Co to za miejsce? Rozgiąwszy druty przedostali się na drugą stronę. Las był tu

gęstszy, nasycony zapachem iltu i głosami zwierząt rozpoczynających swe nocne zajęcia. Mgła pełzła po ziemi, owijając im się wokół nóg jak żywa istota.

Candice wydała nagle zduszony okrzyk i zniknęła. Ziemia usunęła jej się spod nóg.

— Jesteś cała? — zawołał Glenn, padając na kolana. Poświecił latarką w dół, w którym leżała Candice obsypana gałązkami i liśćmi.

— Tak — stęknęła. — Co to było, u licha?

— Chyba stara zapadnia. — Podał jej rękę. — Musimy iść bardzo ostrożnie, tu może być więcej takich pułapek.

Ruszyli dalej, a gdy wreszcie wynurzyli się z gęstwiny, stanęli jak wryci.

— Boże! — westchnęła Candice. — Co za kolos!

Pomimo wiszącej w powietrzu mgły w zmierzchającym świetle dało się wyróżnić kontury budynku, a nawet sporo detali — przysadziste czworokątne wieże, średniowieczne mury obronne, gąszcz stromych dachów, spośród których sterczały gotyckie iglice, gigantyczne filary i przypory, oraz położoną centralnie wieżę zegarową zwróconą na wszystkie cztery strony świata jak Big Ben. Mieli przed sobą olbrzymią eklektyczną budowlę, wysoki na trzy piętra ni to zamek, ni to pałac — imponujący i na swój sposób piękny, choć Candice na jego widok poczuła ciarki na plecach.

W setce okien nie paliło się ani jedno światło.

— Nikogo tu nie ma — powiedziała cicho.

— Niekoniecznie. — Glenn wskazał jeden z licznych kominów. Unosiła się zeń smużka dymu.

Wycofali się pod osłonę drzew i pochyleni, kryjąc się w zaroślach, okrążyli posiadłość od strony północnej, skąd było widać zwieńczoną krenelażem kamienną wieżę o wąskich otworach strzelniczych zamiast okien — najstarszą część kompleksu, do której najwidoczniej dobudowano resztę. Na tyłach zamku ujrzeli zagłębienie fosy, dziś wyschniętej i zarośniętej zielskiem. Przez lornetkę widać było ciemniejszą plamę w murze.

— Jak myślisz, czy to jest otwór? — Glenn wręczył lornetkę Candice.

— Pewnie stary ściek. — Wzdrygnęła się. — Założę się, że pełno w nim szcurków.

Glenn zrobił krok do przodu, lecz cofnął się, przyciągnął do siebie Candice i pocałował ją w usta.

— To na szczęście — wyjaśnił, chwytając ją za rękę, nim zdążyła zaczerpnąć tchu.

Pobiegli przez podmokłą łąkę w stronę otworu, który na szczęście okazał się znacznie większy, niż wyglądał z daleka. Był to wlot sklepionego tunelu o stropie z cegieł. Wewnątrz śmierdziało wilgocią, słychać było spłoszone szelesty i chroboty. Poczuli się jak w krypcie.

— Może kiedyś służył jako piwniczka — szepnął Glenn.

Na drugim końcu krąg mdłego światła latarki wyłuskał z ciemności masywne drewniane drzwi.

Podłóże było nierówne, omszałe i śliskie, powietrze lodowato zimne. Dygotali, choć mieli na sobie kurtki; z ust unosiły im się obłoczki pary. Glenn obejrzał drzwi przy świetle latarki, zauważając, że dolna krawędź w ciągu lat zostawiła rysy na kamieniach. Przykucnął, żeby je obejrzeć.

— Tych drzwi nie używano od bardzo dawna — szepnął. Obiema rękami uchwycił wielką klamkę i pociągnął. Drzwi

uchyliły się skrzypiąc.

Uderzył ich w twarze zgniły odór, jakby wyfrunął stamtąd uwolniony przez nich duch. Przed nimi ziała ciemność. Oczyma wyobraźni widzieli mężczyzn w kolczugach, szczękających mieczami i gotujących się do ataku. Ale za drzwiami nie było nikogo, tylko wąskie kręcone schody biegnące w górę.

Schody były strome. Szli ostrożnie, trzymając się ściany. Na szczycie natknęli się na kolejne drzwi. Te otwarły się łatwiej.

Przed nimi w chłodnym mroku ciągnął się pusty ciemny korytarz. Po kilku krokach natknęli się na skrzyżowanie: główny korytarz biegł dalej, ale w prawo i w lewo odchodziły od niego identyczne odnogi.

— Jeśli dobrze się orientuję — rzekł cicho Glenn — główna część zamku, ta nowsza, jest bardziej w lewo. — Poświecił latarką w lewą odnogę.

Zatrzymali się, nasłuchując. Ale dotarły do nich tylko szelesty i ciche popiskiwanie myszy, a z zewnątrz stłumiony głos rogu mgłowego.

— Glenn... — Candice pociągnęła go za rękaw. — Co to za laboratorium? Dlaczego wydział zdrowia je zamknął? I co ma z tym wspólnego Philo?

Bezradnie wzruszył ramionami. Idąc w lewo, natknęli się na drzwi, które różniły się od pozostałych. Były metalowe i oznaczone napisem: „Wstęp tylko dla osób upoważnionych”. Glenn pchnął je lekko. Otworzyły się bez szmeru.

Mieli przed sobą olbrzymie pomieszczenie, tak duże, że światła latarek nie docierały do przeciwległej ściany. Powietrze było tu zaskakująco suche, zwłaszcza w



porównaniu z wilgocią panującą w korytarzu; panowała idealnie umiarkowana temperatura i kompletna cisza.

Weszli na palcach. Drzwi zamknęły się za nimi z ledwie dosłyszalnym kliknięciem. Kręgi światła latarek prześliznęły się po zadziwiającym wnętrzu. Nie było tu okien, podłogę pokrywało wypolerowane linoleum, a na pokrytym dźwiękochłonną wykładziną suficie umieszczone były rzędy lamp jarzeniowych. Nowoczesne wyposażenie klóciło się z wiekową fasadą budynku; podświadomie spodziewali się tu ujrzeć stojące zbroje i średniowieczne gobeliny, a nie monotonne szeregi stalowych szafek z płytkimi szufladami, jakie służą zwykle do przechowywania odbitek lub grafik. Sięgały aż pod sufit; do wyższych szuflad można się było dostać tylko z wysokich drabin umocowanych na szynach. Środkiem pomieszczenia biegło przejście, akurat na tyle szerokie, że mogły nim iść swobodnie dwie osoby.

— Co to za miejsce? — spytała szeptem Candice, wytrzeszczając oczy.

Szafki ani szuflady nie były oznakowane. Istniał tylko jeden sposób, aby się przekonać. Glenn ostrożnie zahaczył palcem metalowy uchwyt i pociągnął. Ku jego zdziwieniu szuflada wysunęła się bezszelestnie na kulkowej prowadnicy.

— Nie są zamknięte. Widocznie właściciel nie obawia się złodziei — mruknął Glenn kierując światło latarki na zawartość szuflady.

Candice aż jęknęła, gdy uświadomiła sobie, na co patrzy. Hermetycznie zamknięty w przezroczystym pleksiglasowym etui leżał fragment papirusu pokrytego spłowiałym pismem. Obok biała kartka papieru z wypisaną na maszynie notką: Księga Malachiasza, najstarsza znana kopia, weryfikacja: Z. N. Zurych, Cu, analiza chem. Dat: ok. 98 r. p.n.e. Poniżej widniał przekład: Oto już nadchodzi dzień [luka w tekście] a słońce sprawiedliwości wzniesie się na uzdrawiających skrzydłach.

— Nic nie rozumiem — powiedziała zniżonym głosem Candice, oglądając się na drzwi, którymi weszli, jakby spodziewała się, że lada moment wtargnie nimi oddział uzbrojonych strażników. — Czy to są te Laboratoria, o których była mowa na tablicy?

— Najwyraźniej nie biologiczne ani chemiczne.

— A wzmianka o wydziale zdrowia?

— Pewnie fałszywa, żeby odstraszyć wścibskich. Zdumienie Candice wzrosło,

gdy otworzyli następną szufladę

i latarki oświetliły iluminowany fragment kroniki z czasów konkwisty, również zaopatrzone w opis podający datowanie i sposób jego weryfikacji, a także przekład.

— W miesiącu Toxcatl lud Tenochitlanu obchodzi święto ku czci Tezcatlipoki — przeczytała półgłosem i spojrzała niżej. — Młodzieniec ów będzie żył przez jeden rok...

Zafascynowani, wysuwali kolejne szuflady i znajdowali w nich listy, relacje, pamiętniki i rozprawy z wszelkich epok i kultur, spisane na pergaminie, papirusie i papierze, po hebrajsku, grecku, łacinie, w różnych pismach Dalekiego Wschodu, sanskrycie i innych, których nie potrafili rozpoznać. Niektóre teksty wymalowane były na korze, inne wyryte w kamieniu. Była tu korespondencja z szesnastowiecznych Niemiec, średniowieczne dokumenty angielskie, prekolumbijskie kipu, lecz każdemu towarzyszył zapisany na maszynie arkusik z przekładem, opisem, świadectwem autentyczności i wieku z podaniem wyników rozmaitych testów poczynając od zdjęć z mikroskopu skaningowego po analizę pyłków kwiatowych.

— To jest archiwum — odezwała się Candice trochę za głośno, bo na widok tych wszystkich cudów zapomniała na chwilę, dlaczego się tu znaleźli.

— Religijne — dodał Glenn omiatając światłem latarki niezliczone rzędy szuflad. Żółty krążek wyławiał z ciemności coraz to nowy fragment zadziwiającej całości. Każda otwarta szuflada zawierała słowa o piekle i niebie, Bogu oraz duszy.

— Mówiłeś, że aleksandryjczycy są ateistami. Po co im te wszystkie święte księgi?

Za rzędami szafek znaleźli hermetycznie zamknięte szklane gabloty ze wskaźnikami podającymi stałe odczyty temperatury i wilgotności. Wewnątrz były większe okazy — książki, tabliczki, długie zwoje. Coraz to nowe języki i pisma, coraz to nowe boskie tajemnice.

Oczy nieomal wyszły Candice z orbit, gdy nachyliła się nad długą prawie na dwa metry płaską gablotą. W niej, starannie zabezpieczony między dwiema taflami szkła, leżał rozwinięty papirusowy zwój pokryty egipskimi hieroglifami.

— To Księga Umarłych — szepnęła z niedowierzaniem

— ale znacznie starsza niż jakikolwiek znany mi egzemplarz.

— Nachyliła się, żeby odczytać opis. — Jeśli podane tu datowanie jest prawdziwe, to przesuwa datę o kilkaset lat wstecz! Zaraz... — Nachyliła się ponownie. — Glenn, ten papirus został przetłumaczony ponad sto lat temu! Jak to możliwe, że nigdy o nim nie słyszałam?

Przesuwali się dalej aż do końca sali, gdzie widać było podwójne drzwi.

— Do czego może być ateistom potrzebny zbiór tekstów wszystkich religii świata? — szeptała Candice. — Chcą udowodnić nieistnienie Boga?

Glenn zatrzymał się nagle. Z mrocznej niepamięci wypłynął głos chłopca, rytmicznie recytujący zadaną lekcję: Kim jesteśmy? Zbieraczami obrazów Boga. W jakim celu?...

— Glenn? Glenn! Co się stało?

— Nic. — Otrząsnął się. — Coś mi się przypomniało. Taki jakby katechizm, którego uczyła mnie matka. Było w nim o aleksandryjczykach gromadzących obrazy Boga.

— Po co?

— Właśnie tego nie mogę sobie przypomnieć. — Ujął ją za rękę. — Chodź. — W jego głosie zabrzmiał pośpiech.

Kolejne stalowe drzwi otwierały się na mały korytarzyk, z którego były tylko dwa wyjścia: schodami albo windą. Wybrali windę; wewnątrz zobaczyli pięć przycisków. Mieli dwa piętra nad sobą i dwa poniżej, co oznaczało, że w zamku są podziemia.

— W dół — powiedziała odruchowo Candice. Bliżej ziemi zawsze się czuła pewniej. Glenn nacisnął guzik.

Z windy wychodziło się do długiego oświetlonego kinkietami korytarza, w którym jednak nie było żadnych drzwi. Kiedy dotarli do ślepego końca, Glenn opukał boazerię.

— Wnętrze zamku zostało przebudowane. Za płycinami jest pusta przestrzeń. — Nasunęła mu się myśl o tajnych przejściach, którymi pan zamku odwiedzał nocą bawiące w gościnie damy.

Stopniowo odkrywali, że rozkład pomieszczeń jest całkowicie nieprzewidywalny. Korytarze nagle się rozgałęziały i łączyły, drzwi zasłaniały ślepe ściany, płatanina schodów i wind dziurawiła zamek jak tunele w mrowisku. Te drzwi, które nie były ślepe, albo nie dawały się otworzyć, albo prowadziły do pustych pomieszczeń — przeważnie archiwów i bibliotek. Jeden tylko pokój ich zaskoczył — pięknie umeblowany salonik oświetlony kryształowym żyrandolem, z ogniem płonącym na kominku. Wystrojem przypominał nieco męski klub z epoki wiktoriańskiej — głębokie skórzane fotele, trofea myśliwskie na ścianach, broń w oszklonych szafkach. Mimo światła tu też nie było żywej duszy.

Pospieszyli dalej.

Kiedy po raz kolejny wycofywali się ze ślepego zaułka, Candice spytała z irytacją:

— Jak myślisz, czy ktoś celowo zbudował tu ten labirynt?

— Możliwe, dla bezpieczeństwa. W dawnych czasach nie mieli systemów wideo. Złodziej tu wchodził, ale znacznie trudniej było mu wyjść. Zanim znalazł drogę, można go było złapać. A oto i masz odpowiedź. — Glenn pochylił się i odczytał wmurowaną w ścianę mosiężną tabliczkę:

Labirynt ukończono w roku 1825 według projektu Fryderyka Keyesa. KU  
PAMIĘCI JEREMYEGO LAMBA

Candice rozejrzała się z drżeniem

— Glenn, czy ty też masz wrażenie, że jesteśmy obserwowani?

— Mam je od chwili, gdy postawiliśmy stopę na tej wyspie. I jestem prawie pewny, że wiem, kto na nas patrzy.

Ukryte przejście biegło przez sam środek zamku i tylko jeden człowiek znał jego początek i koniec. Philo Thibodeau szedł spiesznie ciemnym korytarzem, oświetlając sobie drogę latarką. Jego biała odzież jaśniała w mroku niczym ciało astralne. Skończył już ostatnią ze swoich prac.

Spojrzał na fosforyzującą tarczę zegarka. Detonatory zostały nastawione, zaczęło się odliczanie. Podstawowy parametr stanowił czas. Musiał to zrobić w odpowiedniej chwili.

Zadrzał w ekstazie.

Już niedługo, Lenoro...

Droga przez labirynt prowadziła ich do zamkniętych na klucz drzwi, schodów wiodących donikąd, pustych pomieszczeń. Ale nigdzie nie było ludzi.

Kolejne stalowe drzwi były zamknięte, ale mogli zajrzeć do środka przez wizjer. Znaleźli tu odpowiedź na pytanie Candice. Zobaczyli duże, rześcicie oświetlone pomieszczenie zastawione nowoczesnymi urządzeniami laboratoryjnymi.

Na wprost wejścia była komora o szklanych ścianach, z napisem: PRZED WEJŚCIEM WŁÓŻ KOMBINEZON I MASKE. Ludzie różnych ras i w różnym wieku, ubrani w dresy albo białe kitle, pracowali w skupieniu, krążąc pomiędzy stołami i aparaturą niczym pszczoły rojące się w ulu.

Candice szeroko otwartymi oczyma patrzyła na restaurowane posągi, prześwietlane skrawki papirusu, szumiące maszyny, migające światełka...

— Doktor Stillwater! Patrz, nad czym pracuje! — szepnęła z podnieceniem. Kobieta stała przy dużym stole, na którym rozłożone były gliniane tabliczki, i robiła notatki. — To na pewno tabliczki z Dżebel Mara!

Glenn odciągnął ją od drzwi i rozejrzał się z niepokojem.

— Chodź. Musimy znaleźć Philona, zanim ktoś nas złapie.

Po drodze minęli bibliotekę zapelnioną aż po sufit bezcennymi białymi krukami. Rzuciwszy pobieżnie okiem na tytuły, przekonali się, że zbiór jest tematyczny.

— Wszystko o dniu Sądu Ostatecznego! — powiedziała Candice, wciąż czując na sobie spojrzenie niewidzialnych oczu. — Czy o to właśnie chodzi aleksandryjczykom? Przygotowują się do końca świata?

Kiedy Glenn w końcu na nią spojrział, miał dziwną minę.

— Poniekąd, ale... — Pokręcił głową. — Tu chodzi też o Boga.

Candice zmarszczyła brwi.

— Powiedziałeś, że nie wierzą w Boga.

— Wierzą w Boga. — Okruchy wspomnień nareszcie scaliły się w umyśle Glenna. — Ale nie wierzą w jego istnienie.

— Nie rozumiem.

— Bóg jeszcze nie zaistniał. Bractwo powołane zostało, by Go stworzyć.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY.

Od czterdziestu ośmiu godzin Philo nie tknął pożywienia i pił tylko czystą wodę. Pomimo to jego energia życiowa osiągnęła szczyt; nigdy nie czuł się silniejszy. Skorzystał z sauny w swoim prywatnym apartamencie, żeby wypocić z ciała wszystkie zanieczyszczenia, potem dokonał drobiazgowych ablucji używając najczystsze­go mydła z oliwy, opłukał się zaś wodą źródlaną, sprowadzaną w butelkach z Alp. Potem wytarł się grubym szorstkim ręcznikiem z egipskiej bawełny.

Na łóżku leżała przygotowana jeszcze nie noszona odzież, którą zamówił u londyńskiego krawca specjalnie na tę okazję. Śnieżnobiała koszula uszyta była z jedwabiu utkanego z ręcznie przędzionych pojedynczych włókien wewnętrznej warstwy kokonu, tak delikatnych, że można ją było włożyć tylko raz. Do tego białe spodnie z najcieńszego belgijskiego lnu. Zamiast butów białe satynowe pantofle, będzie bowiem stąpał po świętej ziemi. Świeżo przystrzyżone włosy, broda i wąsy. Na przegubie oryginalny zegarek ze stalową bransoletą zamykaną na mikroskopijny kluczyk. Mechanizm detonacyjny bomb.

Na koniec włożył do kieszeni spodni dwa niewielkie pistolety Derringera o kolbach wykładanych macicą perłową, jednostrzałowe, ale zabójczo skuteczne z małej odległości. Na jego potrzeby wystarczą.

Był gotowy.

Candice wytrzeszczyła na niego oczy.

— Stworzyć Boga?!

— Stopniowo przypomina mi się coś w rodzaju katechizmu, którego matka

nauczyła mnie w dzieciństwie. „Kim jesteśmy? Zbieraczami obrazów Boga. W jakim celu? Aby dać Boga światu. W jaki sposób? Kiedy poznamy godo końca, wtedy Bóg się narodzi.” Candice, ci ludzie wierzą, że biorą udział w akcie stworczym. To ten akt jest ostatecznym celem stowarzyszenia.

— Ale jakże mogą stworzyć Boga? Przecież to Bóg stworzył nas!

— Aleksandryjczycy wierzą, że nie zostaliśmy stworzeni — rzekł Glenn, zwracając — lecz po prostu wyewoluowaliśmy z pierwotnej materii wszechświata. Nie stało się to jednak przypadkiem. Nasze pojawienie się ma konkretny cel: powołać Boga do życia. Bez nas nie mógłby zaistnieć. Takie jest zadanie bractwa.

— I jak chcą to osiągnąć?

— Kiedy zostaną zgromadzone wszystkie pisma, wszystkie przemyślenia i wizje, a zatem kiedy ludzkość będzie wiedzieć o Bogu już wszystko, wtedy Go poznamy i On się narodzi.

— Ale przecież w Starym Testamencie Bóg istnieje. Jak mogliście to przeczytać?

— Pamiętam, że ojciec zwrócił mi kiedyś uwagę na pewien szczegół dotyczący sceny z Mojżeszem przy krzaku gorejącym. Przekład jest błędny. Bóg nie mówi: „Jestem, który jestem”, lecz „Będę, który będę”. Tak brzmi oryginalny hebrajski tekst. Używając czasu przyszłego komunikuje Mojżeszowi, że jest dopiero w trakcie stawania się. Zauważ też, że mówiąc o nadejściu Boga, Jezus również używa czasu przyszłego. Modli się do Ojca: „Przyjdź królestwo Twoje”. Aleksandryjczycy nazwali swój zamek w Pirenejach „Chateau-de-Dieuenir”.

— Zamek Nadejścia Bożego — przetłumaczyła Candice. Kolejna klatka schodowa prowadziła tylko w dół. Ich kroki odbijały się echem od kamiennych ścian.

— To musi mieć coś wspólnego z globalną świadomością — mówił Glenn. — Sto tysięcy lat temu na Ziemi żyła tylko garstka ludzi, którzy dopiero zaczynali być świadomi własnego istnienia, cóż dopiero istnienia sił wyższych. Teraz jest nas sześć miliardów, a nasza świadomość osiągnęła znacznie wyższy poziom. Żyjąc w jaskiniach, poszczególne grupy ludzkie nie kontaktowały się ze sobą. Dla pierwszych społeczności rolniczych wioska była nieomal całym światem. Dziś świat stał się globalną wioską, łączą nas telefony, satelity... Jeśli wziąć pod uwagę coraz szybsze tempo, w jakim to się rozwija, już niedługo każdy człowiek na świecie będzie w stałym kontakcie ze wszystkimi innymi. Przynajmniej tak to wy-

gląda w teorii. Teilhard de Chardin, jezuita, stwierdził, że ludzkość ewoluuje mentalnie i społecznie ku ostatecznej duchowej jedności nazwanej punktem Omega...

U stóp schodów znaleźli następne drzwi. Nie były zaryglowane i otworzyły się po naciśnięciu klamki. Znaleźli się w olbrzymiej sali. Tu rzeczywiście stały renesansowe zbroje, a antyczne meble tkwiły pod ścianami okrytymi średniowiecznymi gobelinami. Paliły się lampy, ale na masywnych rzeźbionych kredensach stały także znicze z rubinowego szkła. W zdobionych kolorową emalią wazach pyszniły się świeże kwiaty; niektóre lśniły jeszcze kroplami rosy na płatkach. Ktoś musiał je tu niedawno przynieść.

Nie zastali go już, lecz sala nie była pusta. Mieszkało tu wielu ludzi uwięzionych w złoconych ramach, na płótnach i drewnie, w marmurowych popiersiach. Wyglądali ze swych epok w dwudziesty pierwszy wiek z takim samym zdumieniem jak dwoje przybyszów, którzy rozglądali się wokół szeroko otwartymi oczyma. Ściany i meble ozdobione były herbami rodów, obrusy haftowane w drzewa genealogiczne. Domyślili się, że tu zawarta jest historia bractwa, a twarze na obrazach i w popiersiach, podobnie jak nazwiska w medalionach drzew, należały do byłych członków stowarzyszenia.

Na honorowym miejscu wisiał portret krzyżowca o potężnej posturze, odzianego w kolczugę i długą szarą tunikę, na której — co zdumiało ich najbardziej — nie miał czerwonego krzyża templariuszy ani maltańskiego joannitów, lecz krąg złotych płomieni.

Ten sam symbol, który zdobił pierścień Glenna.

— Glenn! — odezwała się Candice. — Spójrz na jego rękę, tę opartą na mieczu!

U prawej dłoni rycerz miał sześć palców.

— Czemu tu nikogo nie ma? — Candice obejrzała się nerwowo i przywarła do Glenna, gdyż wydało jej się, że słyszy jakiś dźwięk za ścianą.

Każde wolne miejsce w długiej galerii zaludniał tłum z różnych epok, mężczyźni w zbrojach, kaftanach i frakach, kobiety w krynolinach lub powiewnych empirowych sukniach; jedni nadnaturalnej wielkości, inni mniejsi od dłoni.

Na końcu galerii, na rzeźbionej mahoniowej komodzie przytwierdzony był pod szkłem zapisany po grecku papirus. Towarzyszący mu współczesny opis wyja-



śniał, że dokument pochodzi z czwartego wieku przed naszą erą i jest aktem fundacyjnym Biblioteki, opatrzonym pieczęcią króla Ptolemeusza.

— Patrz na to imię. — Candice wskazała palcem.

— Filoz. — Glenn skinął głową. Przypominał sobie coraz więcej szczegółów. — Tak nazywał się pierwszy najwyższy kapłan. Moja matka wywodziła swój ród od kobiety imieniem Artemizja, krewnej Ptolemeusza, księżniczki krwi i najwyższej kapłanki Wielkiej Biblioteki. — Wskazał portret krzyżowca. — A ten człowiek, hrabia de Valliers, potomek Artemizji w linii prostej, był przodkiem mojej matki.

— A zatem i twoim przodkiem — skonstatowała Candice. Jej wzrok padł na inny portret. — Popatrz na to!

Płótno przedstawiało brodatego mężczyznę w renesansowym stroju, trzymającego astrolabium. Przymocowana do ramy mosiężna tabliczka nosiła napis: Michel de Nostre Dame.

— Nostradamus!

— Spójrz na jego pierścień. — Znow złote płomienie okalające rubin. — Też był członkiem bractwa.

Na stole pod obrazem leżała wielka księga przepowiedni, otwarta na dwudziestym czwartym czterowierszu czwartej centurii:

Quy soubz terre sainte d'ame voixfeinte Humaine flamme pour divine voir  
luire; Fera des seulz de leur sang terre tainte, Et les s. temples pour les impurs de-  
struire.

Poniżej zamieszczony był przekład:

Spod świętej ziemi duszy jęk usłyszą,  
W człowieczym ogniu ujrzą jasność Bożą,  
Ziemia skalana krwią zostanie mniszą,  
Ruiny świątyń przed nieczystym złożą.

Glenn zaczął przewracać kruche stronicę, aż doszedł do siódmej centurii. Tu

miała ona więcej niż czterdzieści trzy strofy; pod numerem osiemdziesiątym trzecim zapisano:

Wezwanym miesiącu Merkury w odwrocie,

Zdobna kaplica wśród światła powodzi.

Siedmiu marszałków siedmiu słońc dosiądzie,

W wielkiej Światłości ziemia się odrodzi.

Glenn patrzył w zadumie na przepowiednię. Światłość. Wizja, którą ujrzał spadając w przepaść. Odpryski światła w jego obrazach. Teraz wiedział, co przyniesie — Dni Ostatnie. Armagedon.

— Ziemia się odrodzi — szepnęła Candice czując, że włosy na karku jeżą jej się ze strachu. — Co to znaczy?

— Nostradamus pisał zagadkami, wymyślał słowa i zmieniał nazwy własne przedstawiając w nich litery. Robił tak, by uniknąć oskarżenia o czary. Nikt naprawdę nie wie, o czym mówią jego przepowiednie. — Glenn popatrzył na liczne złote płomyki zniczy, pełgające w rubinowych czarkach jak małe gwiazdki. — O, to mogłaby być zdobna kaplica wśród światła powodzi.

— A siedmiu wodzów i siedem słońc? — Podniosła na niego sposepniałe oczy.

— Candice — rzekł Glenn gorączkowo, pospiesznie — w dniu nadejścia Boga nasz świat się skończy. Światłość to Dzień Sądu. Teraz jestem tego pewien.

— Dzień... — głos uwiązał Candice w gardle.

— Nie wiem, jak to wszystko do siebie przystaje: teksty religijne, Nostradamus, działalność aleksandryjczyków. Ale Philo potrzebował tabliczek z Dżebel Mara nie bez powodu. On coś planuje. Zniszczenie, o którym pisał ojciec. Dlatego moja matka się go bała. — Jeszcze raz przebiegł oczyma czterowiersz, przypominając sobie telefoniczną rozmowę z Maggie Delaney. — Jest kwiecień, czwarty miesiąc, Merkury się cofa. Philo wypełni proroctwo zawarte w tej strofie.

— Czyli siedem słońc... — Candice zabrakło tchu.

Twarz Glenna mówiła wszystko. Nie musiał nawet dopowiadać słowa: „bom-

by".

— Ale dlaczego? — jęknęła z rozpaczą. — Dlaczego Philo chce końca świata?

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY.

— Posłuchaj mnie. — Glenn ujął Candice za obie ręce i zajął jej głęboko w oczy. — To sprawa między Philonem i mną. Musisz stąd odejść. Weź motorówkę i wracaj na ląd.

— Nie odejdę bez ciebie.

— Wiesz, że nie mogę się teraz wycofać.

— A więc stawimy mu czoło razem.

„Detonator działa na falach radiowych” — objaśnił go dostawca. — „Dwie mile zasięgu. Osiem megabajtów pamięci, można zaprogramować do dwudziestu funkcji.” Ale Philo nie zamierzał oddalać się na dwie mile, i potrzebne mu było tylko siedem

przycisków.

Patrząc na świecące czerwone cyfry na wyświetlaczu, pomyślał: Aleksander Wielki podpalił świat. Philo Aleksander Thibodeau zrobi coś więcej.

Byli w podziemiach zamku. W świetle jarzeniówek widać było nagie betonowe ściany i posadzkę. A przed nimi — masywne stalowe drzwi.

— Wygląda to na stary schron przeciwoatomowy, pewnie z lat pięćdziesiątych — rzekł Glenn naciskając klamkę. Drzwi otworzyły się bezszelestnie.

Nie byli przygotowani na to, co ujrzeli.

Szklane gabloty mieściły niewyobrażalne skarby — korony i tiary, wysadzane

klejnotami królewskie jabłka i lśniące berła, gronostajowe płaszcze i złote buty, inkrustowany szlachetnymi kamieniami tron...

Drzwi cicho zatrzasnęły się za nimi.

— Philo, gdzie jesteś?! — krzyknął doprowadzony do ostateczności Glenn.

Cisza.

Ostrożnie kroczyli między gablotami pełnymi złotych i srebrnych kielichów, jadeitowych bogiń, krucyfiksów z kości słoniowej.

— Co to za zapach? — Candice zatrzymała się przed rzędem bezcennych bizantyńskich ikon.

— Nic nie czuję. Pociągnęła nosem.

— Śmierdzi benzyną.

— Philo!!! — zawołał ponownie Glenn. Nasłuchiwali przez chwilę.

— Nikogo tu nie ma.

Pospieszyli z powrotem do drzwi. Tym razem nie dało się ich otworzyć.

— Czekaj... — powiedziała Candice. — Coś słyszę.

— Też słyszę.

Regularny dźwięk: bip... bip... bip...

Kierując się słuchem ruszyli jeszcze raz przez labirynt szklanych gablot, w których szmaragdy i szafiry iskrzyły się refleksami jarzeniowego światła. Dotarłszy na tyły skarbcza, stanęli jak wryci. Ujrzeli widok, który odebrał im mowę.

Bomba miała dwa metry długości i zielonkawą powłokę kształtem przypominającą pocisk karabinowy. Kolorowe przewody łączyły ją z mechanizmem, z którego dobiegał sygnał.

— Atomowa? — wyszeptała ledwie dosłyszalnie Candice, jakby hałas mógł spowodować detonację.

— Nie. Miałaś rację, że czuć benzynę. W środku jest napalm.

— Napalm?!

— Mieszanka zapalająca w postaci żelu. Bardzo skuteczna. Zresztą widziałas chyba filmy o Wietnamie. Powłoka bomby jest cienka, aluminiowa. A detonator... — Umilkł.

Zobaczyli czerwone cyfry na wyświetlaczu. Odliczanie już trwało.

— Wybuchnie! Potrafisz ją rozbroić? Glenn pokręcił głową.

— Philo sprowadził nas tu, żeby nas zabić?

— Żebyśmy byli świadkami jego potęgi.

— Ale dlaczego chce podpalić zamek? Glenn spojrział na nią z powagą.

— Choćby po to, żeby zniszczyć zbiory. Może nie chce przybycia Boga, bo nie chce się z nim dzielić władzą. Postanowił więc powstrzymać Światłość. A teraz my musimy powstrzymać jego.

Zauważył mały kasetowy magnetofon oparty na detonatorze. Podniósł go ostrożnie i wcisnął przycisk odtwarzania. Z głośnika dobiegł głos Philona:

— Zaczęła się wreszcie godzina ostatnia, więc pierwsza rzecz oddać hołd temu, co jest światłem. Tak znajdziesz drogę do wyjścia, Glenn. Spotkamy się w pokoju myśliwskim.

— Co jest światłem? — wymamrotała nieprzytomnie Candice, nie mogąc odebrać oczu od uciekających sekund na wyświetlaczu detonatora. — Słońce? Co to w ogóle znaczy?

— To znaczy — Glenn rozejrzał się dokoła — że Philo prowadzi z nami grę, robił to od początku. Każe nam skakać przez obręcze. Nie chce, żebyśmy tu zginęli. Potrzebni mu jesteśmy żywi, żeby mógł się przed nami pysznić. Drzwi otwiera pewnie jakiś ukryty mechanizm. Musimy go znaleźć. Mamy dokładnie... — Nastawił stoper na swoim ręcznym zegarku — pięć minut.

— Puść to jeszcze raz.

Ponownie przesłuchali kasetę. Pierwsza rzecz: złożyć hołd temu, co jest światłem.

Podbiegli do rzucającej się w oczy azteckiej rzeźby odlanej z masywnego złota. Pospiesznie obmacali całą jej powierzchnię — ornamenty, postacie, węzowe sploty, twarz w centrum płaskorzeźby, jej oczy, nos, wystający język. Drzwi nie drgnęły.

- Co dalej? — spytała Candice. Rozejrzeli się bezradnie po niezliczonych przedstawieniach słońca. Pozostały cztery minuty.

— Mamy za mało czasu!

Rzucili się do gablot pełnych tarcz słonecznych z brązu, srebra i złota, asyryjskich skrzydlatych dysków, symboli Apollina i Ra.

Trzy minuty

— Symbolem słońca jest koło, dysk, krąg, czasem oko

— mrucał pod nosem Glenn. — Ludwik XIV nazywał siebie Królem Słońce...

— Nie zdążymy sprawdzić wszystkich! Glenn zerknął na zegarek. Dwie minuty.

— Może szukamy nie tego, co trzeba — rzekł z namysłem.

— Może nie chodzi o słońce.

Gorączkowo analizując w myśli różne możliwości, Candice powtórzyła:

— Zaczęła się wreszcie godzina ostatnia, więc pierwsza rzecz oddać hołd temu, co jest światłem... Czeka! Chyba widziałam...

Za rzymską mozaiką z bogiem słońca Heliosem wisiał na ścianie średnio-wieczny gobelin. W żywych kolorach i drobiazgowych szczegółach przedstawiał ludzi z zadartymi głowami zebranych na wzgórzu. W górnych rogach tkaniny widniały dwie litery, alfa i omega. Pierwsza i ostatnia.

A nad głowami klęczących postaci Jezus wznosił się w niebiosach.

Ja jestem światłością świata...

— Glenn! Chodź tutaj!

Podbiegł do niej. Kiedy odsunęli gobelin, zobaczyli...

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI.

Zobaczyli windę. Jedna minuta.

— Gdzie jest pokój myśliwski?

— Tam, gdzie wisiały wypchane głowy zwierząt. Na którym to było piętrze?

— Szóstym. Nie, piątym! A może czwartym?

Glenn nacisnął czwórkę; ciasna winda zadygotała i nieskończenie powoli zaczęła pełznąć w górę. Złapał Candice za rękę i ścisnął ją mocno. Wpatrywali się z napięciem to w stoper, to w kolejno zapalające się numery pięter.

Stoper był szybszy. Dotarli zaledwie na drugie, gdy wskazówka dobiegła końca. Zero. Czas minął. Glenn porwał Candice w objęcia, usiłując osłonić ją całą swoim ciałem.

Czekali.

Mijały sekundy. Minuta. Otaczała ich cisza, kamienne milczenie grubych zamkowych murów. Winda podrygując minęła powoli trzecie piętro.

— Wybuchła?

— Musielibyśmy usłyszeć albo poczuć.

— To co to było, atrapa? — spytała Candice z niedowierzaniem. — Żeby nas przestraszyć?

— Albo Philo zdalnie przerwał odliczanie. — Zauważył wypieki na twarzy Candice, gwałtownie pulsującą żyłkę na skroni. — Posłuchaj mnie: Philo to wariat. Ale to on ustala zasady gry. Pozwól, żebym ja z nim rozmawiał. Żadnych nieprzemyślanych akcji. Obiecuj mi.

— Glenn...

— Candice, on liczy na to, że potracimy głowy. Jedyne, co nam może pomóc, to spokój i opanowanie.

Na czwartym piętrze winda wypuściła ich do przedsionka z trojgiem drzwi. Te na wprost i po prawej były zamknięte. Trzecie ustąpiły.

Poznali rześście oświetlony salonik z kominkiem i trofeami na ścianach. Przy gotyckim oknie stał Philo cały w bieli, jak zjawa.

— Jak widzę, rozwiązaście zagadkę. Wiedziałem, że mogę na was liczyć — rzekł z uśmiechem. — Czy podobał ci się labirynt, Glenn? Zaprojektował go niejaki Frederick Keyes, twój prapradziadek, wiedziałeś o tym? Rywalizował przy tym z moim przodkiem, którego nie zawahał się oszukać. Można by wręcz rzec, iż szedł do celu po trupach.

Z wahaniem weszli do pokoju. Glenn rozejrzał się czujnie. Nikogo więcej tu nie było, wszystko wyglądało normalnie i nie budziło podejrzeń. Ręce Philona były puste.

— Ta bomba...

— Nie bój się — rzekł łagodnie Philo. — Jeszcze nie czas. Glenn obrzucił go nieufnym spojrzeniem.

- Mechanizm zegarowy nie odliczał czasu do detonacji, tylko do uzbrojenia bomb. Teraz są uzbrojone.

— Są! Zatem jest ich więcej? — wybuchła Candice, tężejąc.

— Siedem, rozmieszczonych w różnych częściach zamku — wyjaśnił przyjaźnie Philo. — Ta, którą widzieliście w skarbcu, jest największa i najpotężniejsza. — Uniósł rękę i podciągnął rękaw białej koszuli, odsłaniając lśniący zegarek na przegubie.

— Zapalniki uruchamiane są przez radio za pomocą tego oto cacka. To istny cud technologii, wykonany na moje specjalne zamówienie. Antymagnetyczny, ognioodporny i tak niewrażliwy na wstrząsy, że młotem też nie da się go zniszczyć. Niezawodny. Z chwilą uruchomienia sekwencji zapłonu nie można jej już zatrzymać. A jeśli myślisz, że zdołasz mnie dopaść i obezwładnić, wyjaśniam:



bransoletka została zamknięta na klucz i nie zdejmiesz mi jej z ręki.

— Ale dlaczego? — jęknęła Candice.

— Glenn wie, dlaczego. Po to tu przyszedł.

— Przyszedłem tu — rzekł spokojnie Glenn — żeby aresztować cię jako podejrzanego o zamordowanie mojego ojca.

— Nie, wcale nie dlatego. I nie musisz używać słowa: „podejrzany”. Zabiłem go. — Philo uniósł brew. — Widzę, że nie jesteś tym zaskoczony.

Podszedł do kominka, wziął pogrzebacz i szturchnął nim płonące polana.

— Twój ojciec nie pochwalał nas i naszych działań — podjął.

— Tolerował nas tylko przez wzgląd na twoją matkę. Dlatego nie przywiozła cię tu, gdy byłeś mały. John zmusił ją, aby zachowała milczenie do uzyskania przez ciebie pełnoletności. Nie miał do tego prawa. Należysz do bractwa. Jesteś z naszej krwi.

Ostatnie części układanki trafiły na swoje miejsce. Dwadzieścia lat temu jeden mężczyzna krzyczał: „On jest z naszej krwi!” A drugi odparł: „Trzymaj się z dala od mego syna, bo cię zabiję”.

— Więc go zamordowałeś. Z zemsty. — Glenn nie spuszczał oczu z przegubu Philona. Jak to zrobić, żeby nie zdążył odpalić bomb?

— Z zemsty? Po części też, ale głównie dlatego, żeby nie pętał mi się pod nogami. — Philo odłożył pogrzebacz na miejsce.

— Kiedy się dowiedziałem, że Gwiazda Babilonu może mieć związek z zaginioną Księgą Miriam, ostatnim brakującym fragmentem Pisma Świętego, pojąłem, że nadejście Światłości jest bliskie.

Nie mogłem pozwolić, żeby John stanął pomiędzy mną a Lenorą. Dość się wycierpiała rozdarta pomiędzy dwoma mężczyznami, z których jeden był jej mężem, a drugiego kochała.

— Moja matka nie żyje — rzekł zimno Glenn.

— Połączymy się znów w Światłości.

Oboje wpatrywali się w niego jak zakłęci. W oczach Candice malowała się kompletna dezorientacja, w oczach Glenna rosnący niepokój.

— Nie mająca sobie równych Światłość! — zawołał Philo. — Istnieją tysiące przepowiedni jej nadejścia. Nasz wspólny przodek, Aleksander, nie był jedynym. Znaleźliśmy odniesienia do Światłości w religijnych tekstach różnych kultur odległych od siebie o tysiące mil i całe stulecia. Od Pigmejów z Afryki Środkowej po Indian wybrzeża Pacyfiku, od koptyjskiego mnicha z dziesiątego wieku po współczesnego nam szwedzkiego fizyka nazwiskiem Lundegaard. W wielu umysłach niezależnie powstała ta sama idea: Bóg nadejdzie w światłości, kiedy ludzkość będzie gotowa.

— A jaką rolę mają w tym odegrać twoje bomby? — Glenn nieznacznie rozejrzał się po pokoju, szukając sposobu, by odwrócić uwagę Philona i unieruchomić mu ręce.

— Wiesz, czym zajmowała się twoja matka, kiedy tu przyjeżdżała? Studiowała prace Hypatii z Aleksandrii, matematyczki żyjącej na przełomie czwartego i piątego wieku naszej ery. Poszukiwała w jej równaniach i twierdzeniach dowodu na istnienie Boga, a raczej należałoby rzec: jego matematycznej formuły. Po religii i filozofii nauka jest ewolucyjnie następnym etapem w stawaniu się Boga. Z każdym wiekiem odsłania się przed nami coraz więcej wiedzy. Człowiek pierwotny żyjący w jaskiniach myślał, że księżyc jest niematerialnym duchem. Człowiek współczesny spacerował po jego powierzchni. Galileusz został postawiony przed sądem, bo ośmielił się poprzeć tezę, iż Ziemia krąży wokół Słońca. Dziś znamy inne planety obiegające inne słońca. Sto lat temu fizycy deklarowali, że nauka dobiegła kresu. Nie pozostało jej nic do odkrycia i zbadania. Niedługo potem dowiedziono teorii kwantowej i zrodziła się zupełnie nowa gałąź nauki. Poznaliśmy świat subatomowy. Co będzie dalej? Co może być następne, jeśli nie Bóg? Przy dźwiękach trąb anielskich i fajerwerkach kwarków religia weźmie ślub z nauką. Cała ludzkość będzie świadkiem godów transcendentnego Stwórcy ze szlachetną Substancją!

— Wyłożyłeś swój punkt widzenia — rzekł Glenn. — Rozbrój te bomby i będziemy mogli dyskutować dalej.

Rozległo się pukanie do drzwi. Weszła Mildred Stillwater w białej bluzce, krzywo zapiętym żółtym sweterku i tweedowej spódnicy, niosąc tacę z herbatą. Umieściła ją na zabytkowym mahoniowym stoliku i zaczęła rozstawiać nakrycia. Zdobne w różyczki porcelanowe filiżanki delikatnie podzwaniały, stykając się ze

spodeczkami.

— Wygląda równie pięknie, jak pachnie — pochwalił ją Philo. — Earl Grey, jedyna przyzwoita herbata na tej planecie. Wiesz, co by się do niej przydało, Mildred? Kilka listków świeżej mięty. Z naszej szklarni.

— Zaraz przyniosę — przytaknęła skwapliwie, ale najpierw zwróciła się do gości:

— Widzę, że jesteś zaskoczona, moja droga. — Uśmiechnęła się, ujmując w dłonie zimne ręce Candice. Okrągłe okulary upodobały ją do sowy, a ściągnięte w ciasny koczek włosy sprawiały, że jej twarz wydawała się maleńka i okrągła. — Nie wiedziałaś, że jestem członkinią bractwa? Mój ojciec też do niego należał. I tak dalej, aż do siódmego wieku.

Obróciła się do Glenna.

— Przyjmij moje najszczerze wyrazy współczucia z powodu śmierci twojego ojca. Wszyscy byliśmy wstrząśnięci tym wypadkiem. I bardzo ci dziękuję, że podarowałaś nam tabliczki Estery. To naprawdę bardzo szczerze z twojej strony. Pieśń Miriam... cóż to za piękny poemat!

— Mildred — przypomniał jej Philo — prosiliśmy o mięte.

— Już idę — Mildred spłoniła się jak dzierlatka.

Ona się w nim kocha, pomyślała Candice. Ciekawe, czy wiedziała, że Philo jest mordercą?

— Być może powinienem był zabić Johna wcześniej — rzekł Philo, gdy za Mildred zamknęły się drzwi. — Kochałem twoją matkę, jak żaden mężczyzna nie kochał kobiety. Kiedy umarła, myślałem, że sam też umrę z żalu. Pocieszałem się wiedzą, że połączę się z nią w Światłości. Księga Daniela mówi: „A wielu z tych, którzy śpią w prochu ziemi, obudzi się. Jaśnieć będą jak jasność na sklepieniu niebieskim... Jak gwiazdy na wieki wieczne...” Ale ja nie chciałem dłużej czekać. Nie mogłem czekać. Przypomniałem sobie, że zostałem wybrany, by dać Boga światu. Zrobię to teraz.

— Masz zamiar rozkazać Bogu, żeby przyszedł? — spytał Glenn z niedowierzaniem.

— Mój poprzednik, Jezus, myślał, że ziści Boga. Ale to chwalebne zadanie zostało przeznaczone mnie. Jezus tylko utorował mi drogę.

— Ale po co ci bomby?

— Zniosą Mu moje przesłanie. Candice wytrzeszczyła oczy.

— Chce pan zburzyć zamek, żeby stworzyć Boga?

— Wysadzić go — sprostował Philo — w powietrze. Pod niebiosa. I nie chodzi o zamek, lecz o wszystkie święte pisma, które się tu mieszczą. Nie kazano nam tylko zbierać ksiązek i siedzieć beczynnie czekając, aż Bóg sam się objawi. Musimy posłać mu wiadomość. Słowa lecące w niebo na skrzydłach ognia obudzą Wszechmogącego z płodowego snu i narodzi się w chwale.

Odwrócił twarz do ognia. Oczy mu płonęły.

— Aleksander Wielki rozpoczął podbój świata od spalenia Teb i przeszedłszy przez trzy kontynenty zakończył go obracając pałac Kserksesa w Persepolis w stos popiołów. — Zwrócił pałający wzrok na Candice. — Czy ja mam być gorszy?

— Moi przełożeni wiedzą, gdzie jestem. — Glenn usiłował zachować spokój. Nie spuszczał oczu z przegubu Philona. Jeśli zdoła go obezwładnić, czy uda mu się przerwać odliczanie?

— To nie ma znaczenia, co wiedzą. Nic nie zdołają zrobić. Ja panuję nad wszystkim.

— Ale przecież w laboratorium są ludzie!

— Nie wiedzą o bombach, doktor Armstrong.

— Blefujesz — rzekł Glenn. — Nie zniszczysz plonu ponad dwóch tysięcy lat myśli ludzkiej i boskiego natchnienia. Nawet ty nie ośmielisz się tego zrobić.

Philo podszedł do okna i powiedział:

— Coś wam pokażę. Podejdźcie i spójrzcie tam w dół. Widzicie szklarnię?

Światło z okien budynku oświetlało wykładaną kamiennymi płytami dróżkę wiodącą z zamku do oranżerii pełnej wrażliwych roślin.

— Patrzcie tam.

Na ścieżce pojawiła się żółta plamka. Sweterek Mildred. Kobieta szła w stronę szklarni.

— Idzie po miętę do herbaty — rzekł miękko Philo.

Mildred weszła do szklarni zamykając za sobą drzwi.

— Teraz uważajcie. — Philo nacisnął guzik. Oślepił ich błysk eksplozji.

— O Boże! — Candice rzuciła się do okna, z przerażeniem patrząc na bijące w niebo płomienie. — Zabiłeś ją, ty łajdaku!

— Zrobiłem to dla jej dobra. Cierpiałaby, biedactwo, a tak odeszła w nieświadomości.

Glenn schwycił Candice za ramię.

— Zmykaj stąd, prędko! — Ale ona uczepiła się go kurczowo, łyzy ciekły jej po twarzy.

— Ta była pierwsza — rzekł Philo, patrząc z podziwem na swoje dzieło. Zażądała bez zarzutu, zatem inne też go nie zawiodą. — Sześć pozostałych umieściłem w kluczowych punktach zamku: w archiwum naukowym, krypcie Jezusa, Sali Przodków i tak dalej. Siódmą widzieliście w podziemiach. Zdetonuję je kolejno. Ściany zostały dodatkowo nasączone łatwopalną substancją. Morven wznie się w ogniu chwały.

Glenn patrzył na płonące rośliny i otaczające szklarnię krzewy. Iskry strzelały w niebo. Ogniste piekło, z którego nikt nie uszedłby z życiem. Ale coś tu nie gra...

Nagle zrozumiał. Nikt nie wybiegł z budynku, żeby sprawdzić, co się stało.

— Zablokowałem wszystkie drzwi w zamku — rzekł Philo, czytając mu w myślach. — Nikt się nie wydostanie.

— Wszystkich chcesz pozabijać? — krzyknęła histerycznie Candice.

— Niech się pani o nich nie martwi. Z ochotą przyjmą palmę męczeńską jak ich poprzednicy siedemnaście wieków temu.

— Wypuść ich!

— Nie mogę ryzykować, że pobiegną po pomoc albo ustawią się z wiadrami i zaczną gasić.

Glenn gorączkowo szukał w myśli jakiejś strategii.

— Philo, porozmawiajmy. Rozbrój bomby...

— Słyszałem o twojej zdolności przekonywania. Mówią, że potrafisz ściągnąć z dachu skoczek, który jedną nogą jest już w powietrzu. Dlaczego nie zapytasz, po co sprowadziłem cię do Morven?

— Jak to? — wtrąciła się Candice, lecz na wspomnienie Mildred spalonej w szklarni zatrzęsa się tak gwałtownie, że zadzwoniły jej zęby.

— To ja wszystko urządziłem. I nie mówię do pani. To dotyczy Glenna. Miał tu przyjechać sam. Czyniłem co w mojej mocy, żeby zawrócić panią z tej drogi, doktor Armstrong. Niestety w pogłoskach, że jest pani absolutnie nieprzewidywalna, jest aż nazbyt wiele prawdy. — Odwrócił się do Glenna. — Monitorowałem twoją podróż od wyjazdu z Kalifornii. Zgubiliśmy cię na moment na pustyni, ale odnaleźliśmy ślad, kiedy wsiadłeś na pokład „Ateny”. Wysłałem po ciebie fałszywą kontrolę sanitarną w Salerno. Dotarło do mnie, że Stavros planuje skraść wam te skorupy, żeby sprzedać je na czarnym rynku. Przy okazji pewnie by was zamordował.

Glenn syknął z furją:

— Tyle troski po to, żebyś mógł mnie zamordować osobiście? Dlaczego nie kazałeś mnie wykończyć po drodze? Albo jeszcze w Los Angeles? Po co ten cały cyrk?

— Zabić cię? Ależ, drogi chłopcze, nie po to tu jesteś!

— Więc po co, na miłość boską?

— Żebyś panował u mego boku rzecz jasna.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI.

Na kominku tańczyły i syczały płomienie, za oknem wciąż huczał pożar, strzelające iskry przenosiły ogień na korony sąsiednich drzew. Z niższego piętra słychać było stłumione krzyki.

— Nie sprowadziłem cię tu zaraz po śmierci Johna — podjął Philo napawając się osłupieniem widocznym na twarzy Glenna — ponieważ najpierw musiałeś się wykazać, przejść próbę ognia, jak każdy bóg. I zaiste przeszedłeś ją zwycięsko. Dowiodłeś swej roztropności, odwagi i siły. Teraz zakończysz dotychczasowe życie, by rozpocząć nowe. Nie będziesz już zwykłym śmiertelnikiem, lecz jedną z Istot Wyższych. W naszych żyłach płynie krew Aleksandra Wielkiego. To na nas spoczywa najświętsze zadanie: mamy dać światu Boga. Czy możesz się wyprzeć swego pochodzenia?

Ileż razy Philo sam słyszał te słowa? „Urodziłeś się po to, by dać światu Boga. To twoje przeznaczenie, synku.” Batszeba mówiła mu też o Światłości. „Płomień Boży nie niszczy, jak ognie piekielne.

Jest chłodny i ożywczy, jasny, lecz nie oślepiający, ciało w nim nie czernieje, nie rozpada się w garść popiołu.”

— Mojego... — Glenn zająknął się, brakło mu słów.

— Aleksander zmarł w Persji, a po jego śmierci tron objął Ptolemeusz. To właśnie on, syn, wypełnił misję ojca: zbudował Wielką Bibliotekę i zaczął ją napępiać wiedzą całego świata. Ten pierwszy najwyższy kapłan Biblioteki spłodził synów, oni zaś także spłodzili synów i córki, dając początek rodowi, którego koligacje możemy prześledzić aż do dnia dzisiejszego; do Philona Aleksandra Thibodeau i Glenna Aleksandra Mastersa, którzy stoją dziś w tym pokoju.

Glenn poczuł, że kręci mu się w głowie. „Drugie imię masz po wujku” — powiedziała mu kiedyś matka, a przecież nigdy nie słyszał, by miała brata.

— Sandrina nie mogła donosić ciąży — ciągnął Philo. — Kiedy poroniła po raz czwarty, uznałem to za znak, że ty miałeś być moim synem. Gdybym poślubił Lenorę, byłbyś mój. Teraz jesteś wreszcie przy mnie, by sprowadzić Boga i w Jego blasku panować nad światem wraz ze mną i Lenorą. Matka, Ojciec i Syn. Święta Trójca.

Glenn oblizwał wyschnięte wargi, zerknął na białą jak ściana twarz Candice, na pożar pod lasem. Na to nie był przygotowany.

— Jak, skoro chcesz zabić i mnie, i siebie?

— Nasza śmierć będzie tylko mgnieniem. Przekroczymy próg i narodzimy się z powrotem w Światłości.

W tejże chwili Glenn dopiero w pełni uświadomił sobie, z kim ma do czynienia. Ten człowiek nie tylko nie bał się śmierci, ale pragnął jej w nadziei na większą nagrodę. Żadne doświadczenie zawodowe nie przygotowało Glenna na śmiertelną rozgrywkę z obłąkanym piromanem samobójcą.

— Nie może pan tego zrobić! — wykrzyknęła Candice, nie mogąc przestać myśleć o ostatnich chwilach Mildred w ognistym piekle.

Philo zwrócił ku niej gniewną twarz.

— Pisał Paweł do Tesaloniczan: „Ducha nie gaście, proroctwa nie lekceważcie!” To przez ciebie mój syn waha się, czy wypełnić swe przeznaczenie. Spójrz na niego! Zagubiony, niepewny... Odebrałaś mu siły jak Dalila!

Włożył rękę do prawej kieszeni białych lnianych spodni i wyjął derringera.

— Proszę wyjść do drugiego pokoju, doktor Armstrong. To, co się tu będzie działo, nie jest przeznaczone dla niepowołanych oczu.

— Spokojnie, Philo. — Glenn wyciągnął przed siebie rękę. — Odłóż broń.

— Nie prowokuj mnie, synu, bo strzelę.

Kiedy Candice zaczęła się cofać w stronę drzwi, dodał:

— Sama jest pani sobie winna. Usiłowałem zawrócić panią z tej drogi. Skoro groźby nie pomogły, spróbowałem wabika. Posadę w San Francisco otrzymał już bratanek jednego z członków zarządu. Pani podania nikt nawet nie czytał. Nie chcieli tam pani. Prawdę mówiąc, jest pani pośmiewiskiem w swojej branży, doktor Armstrong, razem z pani teorią o faraonie Neferetiti. Reed O'Brien obawiał się, że ośmieszy pani jego instytucję.

Candice wyzywająco uniosła głowę, walcząc ze łzami napływającymi jej do oczu.



— Hojna donacja na rzecz muzeum przekonała go jednak, by zechciał zobaczyć panią w innym świetle. Powinna była pani przyjąć tę pracę, doktor Armstrong. Ale pani tego nie zrobiła. Koledzy mówią o pani: „uparta i narwana”. I proszę spojrzeć, do czego to doprowadziło.

— Daj jej spokój, Philo — wtrącił Glenn. — To sprawa między nami dwoma.

Ale Philo postąpił w kierunku Candice trzymając wycelowany w nią pistolet. Znów się cofnęła.

— Philo, błagam cię, puść ją. Odblokuj drzwi pożarowe i pozwól ludziom stąd wyjść. Będę z tobą panował. Pomogę ci sprowadzić Boga. Zrobię, co zechcesz.

Philo potrząsnął głową.

— Puste słowa, synu. Mówisz tak z jej powodu. Wcale tak nie myślisz.

Kiedy Candice weszła do sąsiedniego pokoju, Philo zatrzaskał za nią drzwi. Glenn złapał za mosiężną gałkę. Nie obróciła się.

— To grodz pożarowa, bardzo wytrzymała — rzekł Philo takim tonem, jakby oprowadzał go po zamku. — Zaraz ci zademonstruję.

Nacisnął kolejny przycisk na swoim zegarku i obaj posłyszeli za ścianą stłumiony odgłos eksplozji.

I krzyk.

Glenn rzucił się do drzwi, szarpnął za klamkę, która nagle zrobiła się gorąca. Po tamtej stronie szalał ogień.

— Nie ma innego wyjścia. — usłyszał. — Ale płomienie szybko zużyją cały tlen, więc nie będzie się długo męczyć.

— Wypuść ją!

Skoczył na Philona, ale tamten był szybszy. Zanim zdążył go dopaść, nacisnął spust. Trafiony kulą Glenn zatoczył się na ścianę i osunął po niej na podłogę.

— Gdy nadejdzie Światłość — powiedział Philo — na wiele rzeczy będziesz patrzył inaczej.

Candice nie miała czym oddychać.

Gdy tylko Philo zamknął za nią drzwi, zobaczyła bombę zapalającą. Rzuciła się w przeciwną stronę kraniec ogromnego salonu, zanim rozszalało się w nim piekło. Ale ogień prędko się do niej zbliżał, pożerał meble i zasłony, nappełniał pokój dymem, parzył w płuca.

Kaszłąc i dławiąc się waliła w ściany, wołając o pomoc. Kręciło jej się w głowie, łzy ciekły po policzkach. Gardło piekło tak, jakby już płonęło.

— Ratunku! — krzyknęła, tłukąc pięściami w ścianę. Płomienie sunęły ku niej, powietrze było już za gorące, by nim oddychać, dym kłuł ją w oczy, oślepiał.

— Pomocy!

Nagle jedna z płyty boazerii uchyliła się i Candice wpadła do ciemnego tunelu. Płyta natychmiast zatrzasnęła się z powrotem. Candice wstała z kolan i zanurzyła się w ciemność, byle dalej od ognia.

W nieoświetlonym przejściu musiała poruszać się po omacku jak ślepy kret, ocierając dłonie o cegły i kamień. Wpadła na ścianę. Tunel kończył się ślepo. Zaczęła się cofać. W tejże chwili mury zadrżały ponownie. Philo zdetonował kolejną bombę.

Poczuła odór dymu i benzyny. Fala żaru biegła przez tunele. Jak woda w Dżebel Mara, pomyślała Candice. Ale tym razem nie było przy niej Glenna, żeby wyprowadził ją na zewnątrz. Posłyszała krzyki ludzi wołających o pomoc, bębniących w zaryglowane drzwi. Pod naciskiem dłoni Candice otworzyły się następne drzwiczki. Przeszła przez nie i znalazła się w ciasnym pomieszczeniu niewiele większym od szafy. Próbowwała się cofnąć, lecz tym razem płyta ani drgnęła.

Była pogrzebana żywcem jak Estera z Babilonu.

Potworny ból. Smród dymu i chemikaliów.

Kiedy w głowie mu się trochę rozjaśniło, zorientował się, że leży na podłodze. Pod lewym ramieniem miał kałużę krwi. Usiadł, omal nie mdlejąc, kiedy ból przeszył go od nowa. Spojrzał na zakrwawioną koszulę. Dlaczego Philo go nie zabił?

Bo i tak wszyscy zginiemy, przyszła mu na myśl odpowiedź.

Chwiejnie dźwignął się na nogi i rozejrzał dookoła. Gdzie jest Candice?

Nagle sobie przypomniał.

Philo zniknął, przez otwarte okno wpadał chłodny wiatr i smugi dymu.

Glenn ściągnął bieżnik z mahoniowej komody, strącając z niej wazon i świecznik, zwinął go i wepchnął pod koszulę, by zatamować krwotok. Potem podbiegł do okna. Zobaczył Philona na biegnącym za oknami szerokim parapecie. Oświetlona pożarem, jego biała sylwetka rysowała się wyraźnie na tle ciemnego nieba.

Gdzieś blisko rozległ się krzyk i Glenn nagle uświadomił sobie, że to Candice.

— Candice! — wrzasnął, dopadając do ściany. — Tutaj! Gorączkowo obmacywał boazerię. Jak ją stamtąd wydostać?

Zaczął walić pięściami w panele.

Kolejny głośny huk. Zamek zatrzęsł się w posadach. Brzęk tłukącego się szkła, kula ognia wznosząca się pod niebo.

— Candice!!! — Glen szarpnął stojącą przy ścianie biblioteczkę, zaczął zrzucać książki z półek. Kiedy podniósł dzieła zebrane Juliusza Verne'a, płycina boazerii odsunęła się i Candice wpadła z ukrytego przejścia wprost w jego ramiona. Kaszłała, z trudem łapała oddech.

— Dzięki Bogu! — wyszeptał, odgarniając jej włosy z oczu.

— Jesteś ranny!

— Nic nie szkodzi.

— Szkodzi. Trzeba cię opatrzyć.

— Candice, Philo jest na dachu. Odpala kolejne bomby.

Wrócili do okna. Lewe skrzydło budynku stało w płomieniach, języki ognia wydostawały się z okien i przez osmalony krater w dachu.

Philo stał na gzymsie z uniesionymi ramionami, wiatr targał jego siwe włosy. Wołał:

— Rzekł Bóg: „Niech się stanie światłość!” I stała się światłość. I Bóg zobaczył, że światłość jest dobra!

Glenn wyszedł przez okno na zewnętrzny parapet, przyciskając do siebie zranione ramię.

— Philo! — krzyknął.

— Archiwa naukowe! — Philo szerokim gestem wskazał płonące skrzydło zamku, gdzie iskry i płatki popiołu unosiły się pod niebo, a rozszalały ogień dawał więcej światła niż we dnie.

— Prawa Newtona, listy Kopernika, równania Einsteina, oto fruną do Boga!

Kiedy Glenn się zbliżył, Philo przebiegł na sąsiedni dach po zawczasu przygotowanej desce i kopnięciem strącił ją w dół. Glenn musiał się zatrzymać. Dachy Morven o cztero- i dwuspadowych szczytach, mansardach, różnych wysokościach i nachyleniach, najeżone kominami, wieżycami, świetlikami niczym stworzony ludzką ręką Wielki Kanion Kolorado, mogły stanowić wymarzony poligon ekstremalnej wspinaczki. Nie miał jak dojść do Philona. Musiałby się przedostać do sąsiedniego budynku.

— Skąd wiesz, że czegoś nie przeoczyłeś? — krzyknął.

— Jeśli spalisz archiwa, a Bóg nie nadejdzie, zmarnujesz dzieło dwóch tysięcy lat!

Nad drzewami wzeszedł zbliżający się do pełni księżyc, oblewając całą scenę nadnaturalnym blaskiem. Gwiazdy nagle zaczęły świecić mocniej, jakby szaleńczy plan Philona istotnie działał i przyroda przygotowywała się na narodziny Światłości.

— Nie jestem jednym z twoich złodziejasków, Glenn! Gadaniem mnie nie powstrzymasz! Ja wiem, co się tu dziś stanie, a jeśli ty masz choć kroplę oleju w głowie, też to pojmiesz. Ale mniejsza z tym. Uwierzysz, gdy sam zobaczysz.

— Niszczysz wszystko, co kosztem tylu ofiar zgromadzili nasi przodkowie!  
— krzyczał Glenn.

Pożar pochłaniał więcej niż tylko papier; niweczył dwa tysiące trzysta lat ludzkich marzeń i poświęceń. Szata, w której Alaryk wjechał do Jerozolimy, pasmo włosów Emmy Venable, listy miłosne Kunegundy, które nigdy nie dotarły do Krzysztofa, kunsztowny labirynt stworzony przez Fryderyka Keyesa — wszystko to także odchodziło w niepamięć, pożerane przez ogień.

Ale Philo odparł:

— Rzekł Jezus: „Przyniosłem ogień na świat i oto podtrzymuję go, aż zapłonie. Kto jest blisko mnie, blisko jest ognia, a kto jest daleko ode mnie, daleko jest od Królestwa! Nikt bowiem nie zapala lampy i nie stawia jej pod korcem ani w miejscu ukrytym, lecz zwykle stawia ją na świeczniku, aby każdy wchodzący i wychodzący widział jej światło”.

Glenn otarł pot z czoła. Myśl jak on, nakazał sobie w duchu. Czego Philo może się najbardziej obawiać?

— Filip i Aleksander także wrócą! Czy pomyślałeś o tym? Upomną się o władzę nad światem!

— Oni byli słabi! Filip dał się zgładzić, Aleksander zapił się na śmierć! Ja jestem silniejszy niż oni obaj razem!

Philo dotknął zegarka. Kolejna eksplozja. Zamek zadygotał. Kolejny snop płomieni buchnął w niebo. Powietrze wypełnił kwaśny odór łatwopalnych substancji. Ludzie krzyczeli.

— Czy zniszczenie Morven wystarczy? — krzyknął Glenn. — Powinieneś też chyba podpalić archiwa watykańskie!

— Wszystko, czego mi trzeba, od dawna jest tutaj. W Watykanie pozostały tylko kopie i nieistotne śmieci. A ja nie niszczę Morven! Wysłałem je do Boga, żeby sprowadzić Go na ziemię, a wraz z Nim moją ukochaną Lenorę!

Walcząc z osłabieniem i bólem pulsującym w bezwładnym ramieniu Glenn spróbował wspiąć się wyżej. Dach miał sześćdziesiąt stopni nachylenia. Przytrzymując się okna mansardy spojrzął w dół, w przepaść dzielącą go od Philona, i zakreśliło mu się w głowie. Zsunął się z powrotem.

— A jeśli Nostradamus się mylił? — naciskał. — Jeśli mylnie zinterpretowałeś czterowiersz? Siedem słońc może oznaczać bomby, ale gdzie jest siedmiu marszałków? Nie możesz przyjąć tylko połowy przepowiedni, a odrzucić resztę. Philo, zastanów się! Jeśli popełniłeś błąd, jeśli jest za wcześnie na przybycie światłości, niszcząc to wszystko zniweczysz na zawsze jedyną szansę narodzin Boga i połączenia się z moją matką!

Philo gwałtownie obrócił ku niemu głowę.

— Lenora i ja już dziś będziemy razem!

— To dlaczego mówiła, że ją przerażasz? Philo zeszywniał.

— Pisała o tym w dzienniku. — Glenn z trudem łapał oddech, walczył z obezwładniającym bólem. — Sam możesz przeczytać. To jej własne słowa.

— Kłamstwa!

— Ona się ciebie boi, Philo. Siejąc śmierć, jej nie odzyskasz. Otwórz drzwi, zwolnij blokady. Pozwól wszystkim stąd wyjść.

— Muszą zginąć! Bogu potrzebne są ich dusze!

Glenn podjął decyzję. Prędko zawrócił do pokoju myśliwskiego. Tam rozbił oszkloną szafkę i wyjął z niej karabin. Cofnął zamek — komora była pusta. W szafce znalazł pudełko z amunicją, posykurując z bólu nappełnił pięcionabojowy magazynek, założył go i przeładował, żeby wprowadzić nabój do komory. Odbezpieczył karabin i przez okno wy dostał się z powrotem na parapet.

W tym czasie Philo przebiegł skośnym przesłaniem do trójstopniowego podnóża platformy masztu i zaczął się na nią wspinać. Glenn mocno oparł kolbę o prawe ramię, wymierzył.

— Starczy tych fajerwerków, Philo. Nie ruszaj się.

— Nie zabijesz mnie. Potrafisz tylko dużo i mądrze gadać. Glenn wystrzelił. Rozległ się huk i z dachu odpadła dachówka.

— Zdejmij detonator, Philo!

— Zapomniałeś, że jesteś pacyfistą? — Philo zsunął się ze stopnia i zwinnie schował za masywny komin.

Glenn wystrzelił ponownie, strącając z dachu kolejną dachówkę.

— Następnym razem odstrzelę ci rękę! — krzyknął. Philo sięgnął do detonatora.

— Lenoro! — zawołał unosząc głowę ku rozgwieżdżonemu niebu. Kolejna eksplozja wstrząsnęła zamkiem. Płomienie wystrzeliły z zachodniego skrzydła. Byli teraz otoczeni wieńcem ognia.

Oczyrna piekącymi od dymu i oślepiionymi blaskiem zobaczyli, jak Philo znika za następnym kominem i materializuje się nieco dalej.

— Gdzie on idzie? — zawołała wychylona z okna Candice.

— Nad centralną część zamku. Dokładnie pod nim, w skarbcu, jest bomba.

Największa i najpotężniejsza, przypomniał sobie.

Na parapecie pojawiło się dwóch mężczyzn, nieodłącznych towarzyszy Philona — Afrykańczyk i ten ze znamieniem na policzku. Posuwali się w stronę Glenna.

— Nie rozumiecie, że on chce nas wszystkich zabić? — krzyknął do nich. — Was też!

— Oni tego chcą! — wrzasnął z dachu Philo. — Wierzą we mnie!

Glenn popatrzył na nich, zobaczył, że są uzbrojeni, i powoli uniósł lufę karabinu. Byli już na wysokości pokoju myśliwskiego. W chwili gdy posłyszał ostre szczęknięcia odbezpieczanych pistoletów, na dachu naprzeciw pojawiła się kolejna postać.

Mildred Stillwater z rozwianym włosom wyglądała jak anioł zemsty.

Jej widok odwrócił na chwilę uwagę adiutantów Philona i w tejże samej chwili Glenn strzelił. Murzyn upadł, ten ze znamieniem nagle zachwiał się i stoczył z parapetu. Rzucony przez Candice ciężki brązowy posążek trafił go prosto w głowę.

— Słyszałam, jak mówiłeś, że zabiłeś Johna Mastersa! — wołała Mildred. — Nie wierzyłam własnym uszom, chciałam się upewnić, więc wysłałam Francescę do szklarni, a że było zimno, dałam jej swój sweter! I dlatego zginęła! Bo to mnie chciałeś zabić, prawda? Zablokowałeś wszystkie drzwi, ty potworze! Ledwie zdążyłam wypuścić ludzi z laboratorium. Ale i bez nich masz na sumieniu dość ofiar, czyż nie? Norbert Williams, Jennie Meade, Ygael Pomeranz... To ty ich zabiłeś! A ja... a ja ci w tym nie przeszkodziłam!

Krzyczała jak obłąkana, ból wykrzywił jej twarz. Przygniotła ją fala wspomnień o mężczyźnie, którego kiedyś kochała i którego z powodu Philona zostawiła stojącego samotnie przed ołtarzem. Całymi tygodniami później telefonował do niej, błagając, by mu powiedziała, czym zawinił, że utracił jej serce. Szloch wy-

darł się z gardła Mildred.

— Andy, czy mi kiedykolwiek przebaczysz? — załkała.

— Bóg nadchodzi! — krzyknął Philo, nie zwracając na nią uwagi.

— Jedyne, co nadchodzi, to kara za twoje zbrodnie! Glenn szybko przeładował karabin. Następna kula przeznaczona była dla Philona. Wycelował mu prosto w pierś.

— Doktor Stillwater, niech się pani odsunie! Ale Mildred nagle zadarła głowę ku niebu.

— Co to? — spytała Candice.

Glen nastawił ucha. Jakby odległy grzmot, który się zbliżał. Śmigłowce?

— Słyszycie? — wrzasnął Philo. — Bóg nadchodzi! Niech się stanie Światłość!

Coś stuknęło Candice w głowę. Przeciągnęła dłonią po włosach. Były wilgotne.

Uderzyła ją kolejna kropla. I następna.

— Mój Boże — szepnęła. Z czystego, rozgwieżdżonego nieba padał deszcz. Wielkie krople zmoczyły koszulę Glenna.

— Co u licha? — mruknął zdziwiony.

Wiatr powiał mocniej, księżyc zniknął. Chmury wbiegły na niebo, pożerając światło gwiazd. Ulewa przybierała na sile. Philo podniósł głowę ze zgrozą.

— Nie! — krzyknął. — Lenoro, gdzie jesteś?! Mildred ocknęła się pierwsza.

— A żebyś się smażył w piekle! — zawołała, uderzając go rękami w pierś.

Gładkie pantofle Philona ześliznęły się po mokrych dachówkach. Stracił równowagę i wymachując ramionami zjechał na skraj dachu. Spadając, zdążył jeszcze uchwycić się rynny i zawisł cztery piętra nad dziedzińcem.

Ulewa przerodziła się w nawałnicę. Płomienie gasły z sykiem, kłęby pary mie-



szały się z czarnym dymem.

Uczepiony okapu Philo zwolnił chwyt jednej ręki, chcąc nią sięgnąć detonatora.

— Nie!!! — krzyknął Glenn.

Palce Philona oparły się na przegubie. Przez strugi spływającego mu po twarzy deszczu widział siódmy przycisk i już miał go nacisnąć, gdy wyświetlacz nagle zgasł.

Zamrugął oczyma. Nacisnął guzik. Po chwili jeszcze raz. I znowu.

Wtedy zdał sobie sprawę, że zamawiając superodporny mechanizm przeoczył jedną cechę, o której nawet nie pomyślał, że się przyda: zapomniał dodać, że detonator ma być również wodoszczelny.

Chłostany wiatrem i deszczem, odchylił głowę do tyłu i zawył:

— Lenoro, ukochana, zaczekaj na mnie!

Obrócił głowę i przez długą chwilę patrzył na Glenna. Potem spojrział w dół i puścił rynnę.

— Nie! — Glenn przypadł do krawędzi gzymsu.

Posuwając się kroczek za kroczkiem, przylepiona do ściany budynku Candice dotarła do niego w chwili, gdy Philo drgnął, stoczył się z mokrej sprężystej kępy krzewów na ziemię, a potem podniósł się i wbiegł do budynku.

— Co się dzieje?

— Przeżył. Chyba chce ręcznie zdetonować bombę.

— Jak my się stąd wydostaniemy?

Za plecami mieli już ogień. We wnętrzu budynku szalał pożar, choć po dachach i w rynnach płynęła woda.

— Tędy! — zawołała Mildred, wskazując starą wieżę, którą zakończone było ich skrzydło zamku.

Glenn podał Candice rękę i pomógł jej przedostać się po gzymsie do okna wieży. Prowadziły z niej w dół kamienne stopnie, wytarte i śliskie. Schodzili szybko, lecz ostrożnie, kaszląc w kłębach czarnego dymu. Twarze piekły ich z gorąca.

Schody wychodziły do wielkiego dziewiętnastowiecznego holu w bogatym mauretańskim stylu. Zbiegały się w nim wszystkie skrzydła zamku. Mildred już tu była.

— Chodźcie za mną!

Pobiegli. Do skarbcza schodziło się z salonu muzycznego. Lecz tu szalało już piekło. Wielki koncertowy fortepian Steinwaya palił się jak wiązka chrustu. W drzwiach stał Philo, zbity z tropu tą nagłą przeszkodą. Winda już nie istniała. Drogę do schodów odciął mu ogień. Nie było więcej wejść do skarbcza.

Zrobił krok do przodu.

— Philo, nie rób tego! — zawołał Glenn, osłaniając twarz przed buchającym z salonu żarem.

Philo obejrzał się. Na twarzy malowało mu się uniesienie.

— Ogień się mnie nie ima. Przejdę nietknięty.

Wszedł do środka. Białe ubranie zapaliło się na nim. Podobnie włosy; chwilę później biała skóra zaczęła czernieć w płomieniach. Philo okręcił się, spojrzął na nich przez ścianę ognia, zaskoczony. To nie powinno się było stać!

Ale stało się. Tak jak wiele lat temu, gdy ojciec błagał zza zamkniętych drzwi, by go wypuścić, matka krzyczała przeraźliwie... Ból był nie do zniesienia. Nawet dusza w męce wypalała się do cna. Matko, ojcze, i ja to wam uczyniłem...?

Patrzył na Glenna. W jego oczach pojawiło się nagle zrozumienie, błysk otrzeźwienia w szaleństwie.

Co ja zrobiłem?!

Potem wydał z siebie ostatni krzyk:

— Lenoro...!

Brzask wyławiał z mroku poczerniałe ruiny, ludzi owiniętych w koce, policjan-

tów z psami przeszukujących pogorzelisko. Zanim jeszcze Mildred udało się odblokować drzwi, uwięzieni wezwali pomoc, korzystając z telefonów komórkowych. Gdy tylko burza się uspokoiła, na wyspie wylądowały łodzie i śmigłowce. Teraz wstawał nowy dzień. Do Morven ściągnęli ludzie z lądu — oberżysta, konstabl, lekarz, właściciel pobliskiego majątku — wszyscy aleksandryjczycy. I Francois d'Orleans, agent Interpolu, który natychmiast przejął dowodzenie w śledztwie, wyprzedzając oficerów miejscowej policji, którzy nie należeli do bractwa.

Tajemnica Morven była bezpieczna.

Candice usiadła obok Glenna na niskim kamiennym murku. Serce drgnęło jej radośnie, a potem wypełniło się dumą. Glenn Masters, pogromca bandytów. Jej Glenn.

— Jak się czujesz? — spytała.

Kiedy Philo poniósł śmierć w płomieniach, Candice wzięła udział w poszukiwaniach ludzi, którzy mogli być jeszcze uwięzieni w ocalałych częściach zamku. Glenn tymczasem pozwolił pielęgniarce z Morven, aby opatrzyła mu ramię. Na szczęście kula przeszła na wylot przez mięśnie, kość była nie uszkodzona, a rana czysta.

— Będę miał problemy przy grze w polo — zażartował i skrzywił się, poprawiając temblak. Przyjrzał się twarzy Candice, umazanej sadzą. — A ty?

— Ożywiona jak nigdy — zaśmiała się lekko. — Po dwóch dobach bez snu powinnam była właściwie paść na miejscu.

Glenn stracił jej z włosów płatek popiołu. Przez dwadzieścia lat myślał, że miłość odbierze mu siły; że jeśli pozwoli sobie na odczuwanie emocji, zawładnie nim ciemna strona jego natury. Było całkiem odwrotnie. Miłość do Candice pozwoliła mu pokonać słabość.

Podeszła do nich Mildred Stillwater.

— Myślę, że władze dadzą się przekonać, iż Philo zginął wskutek nieszczęśliwego wypadku. Na razie udało się nam załatwić wpisanie do protokołu wadliwej instalacji elektrycznej jako przyczyny pożaru. — Odgarnęła z twarzy kosmyk włosów. — Nie mieliśmy o niczym pojęcia! Rozmawiałam z kolegami, zauważyli, że Philo dziwnie się ostatnio zachowywał, ale... chyba wszyscy trochę się go baliśmy.

Popatrzyła na zamek, miejscami zrujnowany, w innych miejscach nietknięty. Pożar został ugaszony, tylko tu i ówdzie tliło się jeszcze pogorzeliśko.

— Na szczęście nasze najcenniejsze skarby ocalały. Listy Magdaleny, ewangelia świętego Marka, księga cesarzowej Hsu Tsi... Dowiedziałam się właśnie, że część naszych ostatnich nabytków pochodziła z kradzieży. Zwrócimy je oczywiście właścicielom.

Rozplecione pasma włosów opadały jej na ramiona. Bez okularów pulchna, pozbawiona zmarszczek twarz wyglądała dziwnie młodo, a oczy o kształcie migdałów przykuwały wzrok, dając świadectwo niegdysiejszej urodzie.

— Co z resztą ludzi? — spytała Candice.

— Na szczęście doliczyliśmy się wszystkich. To znaczy, oprócz biednej Franceski. Trochę zadraśnięć i lekkich oparzeń, ale generalnie nikt nie poniósł większej krzywdy.

Zadrzała i otuliła się ciasniej czerwonym swetrem.

— Słyszałam, Candice, że przeszłaś straszne chwile. Jak wiesz, podsłuchiwałam pod drzwiami i kiedy Philo zaczął mówić o zniszczeniu Morven, pobiegłam ostrzec innych. Gdybym została, może udałoby mi się nie dopuścić do tego, że wepchnął cię do tamtego pokoju.

— Nie powstrzymałaby go pani. Żadne z nas nie było do tego zdolne. Dopiero deszcz go zwyciężył.

Mildred podniosła głowę i spojrzała w czyste poranne niebo.

— Dziwne... — powiedziała. — Szkocja słynie z kapryśnej pogody, ale wczorajsza burza była niezwykła nawet jak na tutejszy klimat. Dzięki temu coś sobie uświadomiłam... Błędnie zinterpretowaliśmy przesłanie zawarte w wizji Aleksandra. Myśleliśmy, że Bóg dopiero ma nadejść. Tymczasem On zapowiadał swój powrót. Jest z nami przez cały czas, od Adama i Ewy, strzeże nas i wysłuchuje naszych modlitw. Na to, by obcować z nim w Światłości, musimy sobie najpierw zasłużyć,

— Skąd pani jest tego taka pewna? — spytała Candice.

— Ponieważ to On sprowadził deszcz nad Morven, żeby ocalić swoje święte

słowa. Jak inaczej można wyjaśnić tę burzę?

Mildred spojrzała na zrujnowany zamek, na swoich przyjaciół, wyczerpanych i powoli otrząsających się z szoku.

— Zostaniesz z nami, Glenn? Tak bardzo przydałaby się nam twoja pomoc.

— Moje miejsce jest gdzie indziej, pani doktor. Tam, w kraju.

Chciał już wrócić do pracy. Kapitan Boyle za rok wybierał się na emeryturę i Glenn zamierzał się ubiegać o jego stanowisko. Będzie dalej walczyć z przestępcami, choćby zza biurka. A poza tym — jeździć w góry. Wspinać się, ale także zabierać ze sobą farby i malować Światłość, by inni także mogli ją poznać.

Portret Candice nosił już gotowy w głowie. Jej twarz, choć w tej chwili brudna jak nieszczęście, jaśniała. Odkrywając tajemnicę Światłości, Candice wyzwoliła blask, który dotąd był ukryty w jej wnętrzu:

— Czy Aleksandryjczycy będą kontynuować swoją misję? — zapytała z nadzieją.

— O, tak. Nie mamy zamiaru osiadać na laurach. Światłość może nadejść jutro albo za tysiąc lat; wiem tylko, że Boga nie należy popędzać. — Mildred spojrzała na nich, wspominając własną młodość, i zapragnęła obdarować ich czymś, co mogliby wnieść w nowe wspólne życie. — Philo był szaleńcem — powiedziała — ale w jednym miał rację: Światłość zjednoczy nas z tymi, których kochaliśmy. Zobaczysz jeszcze swoją matkę, Glenn.

Odrobinę speszona, przeprosiła ich, mówiąc, że ma coś do zrobienia.

Glenn patrzył za nią, zastanawiając się nad jej słowami. Po chwili uznał jednak, że przemyśli je gruntownie innego dnia, teraz bowiem miał na głowie bardziej palący problem. W zadumie obrócił na palcu ognisty pierścień z rubinem. Nada się jako pierścionek zaręczynowy. Nie był jeszcze pewien, jakimi słowami oświadczy się Candice. Musiał obmyśleć odpowiednią strategię, bardzo ostrożną — wiedział przecież, że Candice nie chce wychodzić za mąż, zdecydowana przejść przez życie samotnie, jak jej matka. Chociaż właściwie Sybilla była wdową... Zastanowił się, czy może tego użyć jako argumentu na swoją korzyść.

— Candice... — bąknął, postanawiając wstępnie rozpoznać teren. — Co byś powiedziała, gdybym spytał...

— Tak — przerwała mu.

— Co: tak?

— Tak, wyjdę za ciebie. O to chciałeś zapytać, prawda? Złapał ją i pocałował bez tchu, nie bacząc na uśmiechy siedzących w pobliżu ludzi. Potem odsunął się i rzekł z mocą:

— Obiecuj mi, że zawsze będziesz równie impulsywna.

— Jeśli ty mi coś obiecasz.

— Co takiego? — Miał ochotę znów ją pocałować, a potem zabrać ją na łód, do gospody, gdzie na piętrze były pokoje do wynajęcia.

— Że nie przestaniesz malować tej swojej Światłości.

Mildred wyszła z budynku niosąc osmalony karton. Przystanąła obok kolegów, którzy popijali herbatę ze styropianowych kubków, i przez chwilę przyglądała się Glennowi i Candice. Obejmowali się. Ona także przed laty mogła wyjść za dobrego człowieka, lecz rzuciła go, gdy Philo poprosił, żeby pojechała z nim do Morven. Ciekawe, gdzie teraz mieszka, co robi, czy się ożenił... Być może nie jest jeszcze dla nich za późno...

— To są tabliczki z Dżebel Mara — powiedziała, wręczając pudełko Candice.  
— Razem z moim przekładem. Przy publikacji wymień, proszę, na pierwszym miejscu nazwisko Johna Mastersa, bo to on je odkrył.

Candice z wdzięcznością przyjęła dar.

— Co w nich jest?

— Masz, sama przeczytaj!

Jestem służebnicą Boga żywego.

Niosę świętą lirę,

Niosę świętą piszczałkę,

Niosę święty bęben.

Przewodzę moim siostróm w muzyce,

Przewodzę moim siostróm w pieśni,

Przewodzę w tańcu.

Idź za Mną, rzekł Bóg żywy,

Za morze,

Przez morze,

Na drugi brzeg

I wyśpiewuj Mą chwałę.

Albowiem promienie słońca są jako Ramiona ojca, co pieścżą i chronią. Już się nie lękamy. Radujmy się i śpiewajmy na Jego chwałę.

Candice uświadomiła sobie nagle potworną prawdę: to, że Estera została zamurowana żywcem, nie miało nic wspólnego z jej tabliczkami. Była to zemsta okrutnego Persa za to, że niewolnica śmiała od niego uciec.

— Mam nadzieję, że wyjedziesz stąd natchniona wiarą — powiedziała Mildred.

— Muszę wiele przemyśleć — odparła Candice. — Za dużo się nasłuchałam o końcu świata.

— Koniec świata nie jest czymś, czego koniecznie trzeba się obawiać. Objawienie świętego Jana, pełne strasznych obrazów, jest tylko jedną z wielu jego wizji. Znacznie liczniejsze, i to w różnych systemach religijnych na całym świecie, przepowiadają piękną apokalipsę! — Mildred uśmiechnęła się ciepło. — Przypomnij sobie, że choć to słowo stało się dla nas synonimem zagłady, po grecku oznacza tyle co „odkrycie”, poznanie prawdy. W tym sensie Apokalipsą jest objawienie się piękna Boga i Jego świetlistego wszechświata.

Mildred wskazała karton.

— Jest tu coś jeszcze. Prezent dla ciebie, moja droga. Świątynia Amona w He-liopolis od najdawniejszych czasów przechowywała spisy władców Egiptu. Zostały one przeniesione do Biblioteki w roku trzysta dziesiątym przed naszą erą. Od

dawna wiem o twoich badaniach dotyczących Neferetiti i jest mi wstyd. Nie miałam prawa tego przed tobą ukrywać.

Zaskoczona Candice zajrzała do pudełka. Jej oczy rozszerzyły się nagle.

— To autentyk — zapewniła ją Mildred. — Certyfikat jest pod spodem, podobnie jak chronologia dziejów tego dokumentu, przekazywanego z pokolenia na pokolenie od czasów osiemnastej dynastii aż do Ptolemeuszy.

Chłodne światło budzącego się dnia padło na fałszywą złotą brodę oraz berło i bicz noszone tylko przez panujących władców. Candice odczytała ciąg hieroglifów w kartuszu: Nefertiti.

Odebrało jej mowę. Uścisnęła Mildred, nie mogąc znaleźć właściwych słów.

Glenn dźwignął się chwiejnie, bo wydarzenia minionej nocy zaczynały powoli zbierać swoje żniwo.

— Czy możemy już iść?

— Tak! — Candice spojrzała na niego rozjaśnionym wzrokiem.

Wyciągnął do niej rękę dumając o nieznannej cudownej przyszłości, którą mieli przed sobą, o świetlistej unii dusz, o rodzaju ludzkim rozwijającym się w miłości, i pomyślał, że choć wiele jest jeszcze niewyjaśnionych tajemnic i nierozwiązanych zagadek, jedno wie na pewno: nigdy nie przestanie go zadziwiać uwodzicielski, miodopłynny głos Candice.

— To chodźmy — powiedział.

Candice włożyła rękę w jego dłoń. Owiał ich lekki wiatr; myśleli, że to morska bryza, ale to był krąg duchów, śpiewających złotymi głosami, aby im podziękować i życzyć szczęścia. Byli wśród nich Filos i Artemizja, rycerz Alaryk, brat Krzysztof i Kunegunda, Michał zwany Nostradamusem, Frederick Keyes, Emma, Jeremy Lamb, John i Lenora Masters, a także David Armstrong, ojciec Candice.

Szeptali:

Spotkamy się znów w Światłości.